

PROWINCJA
KWARTALNIK
SPOŁECZNO - KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 2 (4)

2011

Redakcja
Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Okladka: Mariusz Stawarski

Grafika - Patrycja Wróbel – Martwa natura (str. II okładki) i Nitkowa kraina (str. III)
Obraz Stanisława Masłowskiego – Wiosna 1905 roku (str. IV)

Skład i łamanie:
www.z8.com.pl

Druk: Drukarnia W&P
ul. Akacjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca
Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10
tel. 693 527 614, provincia@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi Burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi Staroście kwidzyńskiemu
Andrzejowi Rychłowskiemu Burmistrzowi Malborka
Leszkowi Taborowi Burmistrzowi Sztumu
Wojciechowi Cymerysowi Staroście sztumskiemu
Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Sztumskiemu Centrum Kultury
Miejskiemu Domowi Kultury w Malborku
Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury w Nowym Dworze Gdańskim
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim
www.marienburg.pl
www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:
Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Miejski Dom Kultury w Malborku
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika Sztum, ul. Galla Anonima 8
Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5
Księgarnia Idea Jz. w Nowym Dworze Gdańskim Pl. Wolności 11
Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową
– zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i niewykorzystanych, zastrzega sobie również prawo do ich ewentualnego skracania oraz zmiany proponowanych tytułów.
Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy
– Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
województwa pomorskiego
w ramach zadania publicznego
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w roku 2011”



ISBN 978-83-86590-23-0
ISSN 2082-0291

PROWINCJA

Nr 2 (4) 2011

Spis treści

Czwarta „Prowincja”	5
Lothar Quinkenstein - Prowincja, Heimat, literatura	6
Marek H. Kotlarz - Odkrywanie prowincji	22
Aleksandra Paprot - Żuławskie powroty	24
Proza	
Jacek Albrecht - Portret. Bajka na motywach życia	31
Tomasz Wandzel – Dotyk motyla	40
Janusz Moździerz – Chłód, Schody - opowiadania	47
Anna Bołt – Zaduszná wieś. Garb – opowiadania	51
Ryszard Filbrandt – Konwój. Fartuch - opowiadania	54
Poezja	
Marek Stokowski - Madonna Malborska	59
Maciej Kraiński - Druga Brama	60
Agnieszka Kuczkowska - Wiersze	61
Paulina Dyka - Retro space	64
Jerzy Fila - Stroiciel	65
Esej	
Andrzej Kasperek	
- Wiosna 1905 według Stanisława Masłowskiego	
i Jacka Kaczmarskiego, cz. 2	67
Reportaż	
Tomasz Wandzel - Plan dnia	82
Wędrowki po prowincji	
Marek H. Kotlarz - Żuławskie ścieżki Güntera Grassa	85
Jerzy Domino – Zabytkowe kanały	93
Kordian Kuczma - Patroni naszych ulic- Sierakowscy	99
Maciej Kraiński - Opowiadki z Waplewa	103
Ewa Pytel – Kościół Świętego Mikołaja w Cyganku	106
Ks. Mieczysław Józefczyk – Kościoły malborskie	
w I połowie XVII wieku	112

Marcin Owsinski – Ostatni Świadkowie	121
Jerzy Wiśniewski – Tajemnica mirowickiego krzyża	129

Na tropach historii

Grzegorz Woliński – Cystersi na misyjnym szlaku	132
Roman Niemczyk – Wiktoria pod Trzcianą	140
Arkadiusz Wełniak - Rodziny ziemiańskie w powiecie sztumskim w latach 1772-1945 ...	147
Wacław Bielecki – Organy kościoła Św. Anny w Sztumie	159
Danuta Thiel-Melerska – Służyli Bogu i Ojczyźnie. Organiści Kościoła Św. Anny w Sztumie	167

Sylwetki

Tomasz Gliniecki – Opowieść o kowalu z Żuław, co w Elblągu samochody robił	177
Karolina Manikowska – Ferdinand Schulz – bohater ponad podziałami	185

Wspomnienia, zapiski, dzienniki

Adam Langowski – Z polskiej szkoły do Wehrmachtu	190
Andrzej Wiłun – Celuloza z pamięci cz.2. Osinobus	197
Paweł Paziak – Wspomnienia z rzeki świętej wyłowione	203

Recenzje

Marian Szarmach – Rajski ogród	206
Leszek Sarnowski – Żuławskie klimaty	208
Wacław Bielecki – Sztumskie Opowieści	210

Z przymrużeniem oka

Marek Stokowski - Prowincjonalia	213
--	-----

Noty o autorach

100 najwybitniejszych Pomorzan i Ludzi Morza - ogłoszenie	244
---	-----

Czwarta „PROWINCJA”

W pierwszym numerze naszego kwartalnika wiele uwagi poświęciliśmy tożsamości lokalnej. Wracamy do tematu tekstem naszego gościa Lothara Quinkensteina, Niemca, który od 16 lat mieszka w Polsce, a od niedawna w Malborku. Wprowadza on nas w świat prowincji i prowincjalizmu europejskiego, Heimatu i Vaterlandu, niemieckiego romantyzmu, rozliczeń z przeszłością, poszukiwania własnej tożsamości, pokazując jednocześnie rolę literatury w opisywaniu i osławianiu raju lub traumy utraconego dzieciństwa. W tym kontekście na uwagę zasługuje również tekst Aleksandry Paprot, studentki kulturoznawstwa z Uniwersytetu Gdańskiego, pokazujący zderzenie dwóch światów w powojennej rzeczywistości Żuław – nowych osadników i tych, którzy żyli tu od wieków. W prowincjonalną podróż przedwojennych Żuław zabiera nas Marek Kotlarz, podążając śladami Güntera Grassa i Jego pisarskich opowieści.

Jak zwykle prezentujemy na naszych łamach fragmenty prozy. Tym razem to debiutanckie opowiadanie Jacka Albrechta, a także teksty znanych już autorów jak Anna Bołt, Tomasz Wandzel, Janusz Możdziej czy Ryszard Fillbrandt. Publikujemy również wiersze debiutujących poetów. Są nimi: Paulina Dyka, Agnieszka Kuczkowska, czy znany w Nowym Dworze Gdańskim z muzycznych pasji Jerzy Fila. Zachęcamy także do lektury reportażu „Program dnia” Tomasza Wandzla z Prabut, który został nagrodzony w ubiegłorocznym ogólnopolskim konkursie im. M. Szumowskiego.

Dla pasjonatów eseistyki proponujemy dalszy ciąg rozważań Andrzeja Kasperka wokół związków obrazu Stanisława Masłowskiego *Wiosna 1905 roku* z twórczością Jacka Kaczmarskiego

Tradycyjnie wiele miejsca poświęcamy historii naszego regionu – o misji cystersów, piórem Grzegorza Wolińskiego, bitwie pod Trzcianą z czasów wojen szwedzkich, opisaną przez Romana Niemczyka, ziemiaństwie sztumskim, Arkadiusza Wełniaka, dwa artykuły poświęcone organom i organistom ze Szumu, autorstwa Danuty Thiel-Melerskiej i Wacława Bieleckiego, wspomnienia Floriana Piaseckiego, Polaka wcielonego do Wehrmachtu, zebrane przez Adama Langowskiego, czy kolejny odcinek wspomnień z budowy kwidzyńskiej Celulozy, autorstwa Andrzeja Wiłuna mieszkającego w Berlinie.

W wędrówkach po prowincji znajdą Czytelnicy ciekawe sylwetki nieprzećiętnych dawnych mieszkańców Żuław i Dolnego Powiśla, takich jak rodzina Sierakowskich, szybownik Ferdinand Schulz, czy Franz Komnick, twórca przemysłu samochodowego w Elblągu, wywodzący się ze wsi Trapiszewo pod Nowym Stawem.

W tym numerze publikujemy prace plastyczne Patrycji Wróbel, młodej artystki z Malborka, która pierwsze kroki stawiała w Państwowym Ognisku Plastycznym w Malborku, a potem ukończyła Wydział Grafiki UMK w Toruniu. W swoich melancholijnych pracach próbuje ona zwrócić uwagę na to co niedostrzegalne, interesują ją banalne często przedmioty codziennego użytku, którym nadaje inne znaczenie, umieszczając je często w pejzażu zainspirowanym krajobrazami swoich rodzinnych stron, czyli Żuław i Pomorza.

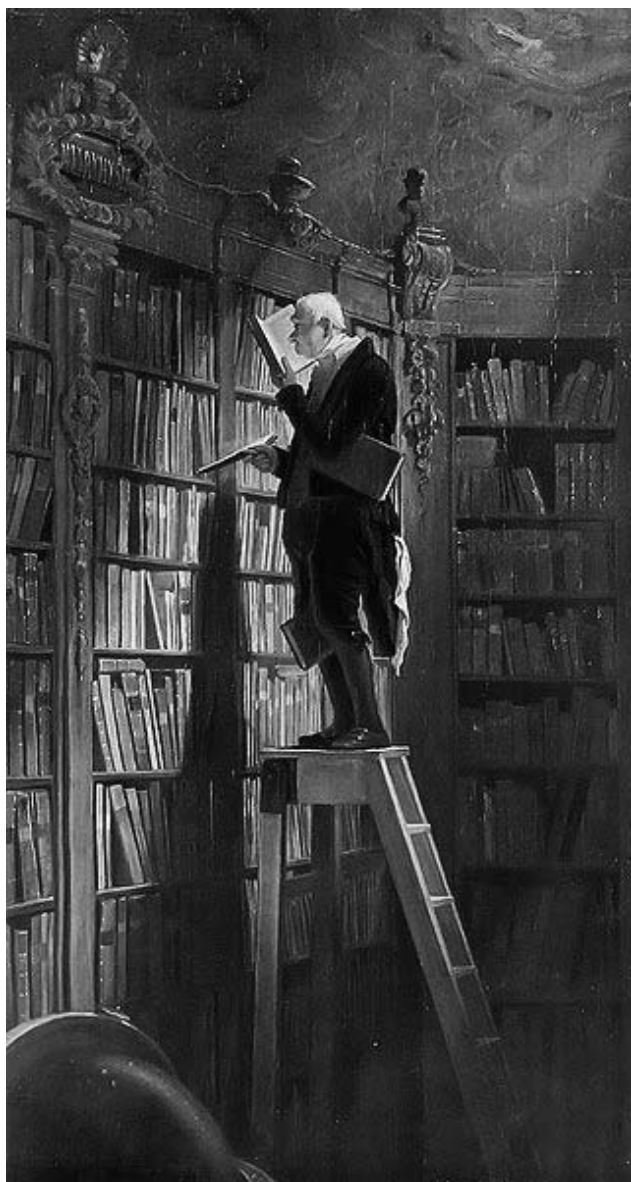
Mamy nadzieję, że różnorodne teksty naszych autorów umilą Państwu czas letniej kanikuli i skłonią do refleksji

Zapraszamy do lektury -
Redakcja

Lothar Quinkenstein

Prowincja, Heimat, literatura

Trzeba mieć ojczyznę, by jej nie potrzebować...
(Jean Améry)



Carl Spitzweg - Mól książkowy.

Zarys historyczny

Wilhelm Raabe, XIX-wieczny niemiecki pisarz, powiedział kiedyś, że co najmniej trzy czwarte niemieckiego geniuszu pochodzi z prowincji. Tym stwierdzeniem nie tylko głaskał „naród poetów i filozofów” po brzuchu, ale również trafił – choć na pewno nie miał tego na myśli – w sedno niemieckiego kłopotu historyczno-politycznego, którego skutki okazały się na tyle poważne, że ciągną się aż do naszych czasów.

W latach Rewolucji Francuskiej, Niemcy były poszatkwane na ponad trzysta jednostek politycznych, co ostatecznie odzwierciedlało mapę Europy po Wojnie Trzydziestoletniej. W niemieckiej karykaturze XIX w. wygląda to tak: na przejściu granicznym zatrzymuje się furmanka – koń stoi w jednym księstewku, chłop na koźle siedzi w drugim, a ziemniaki znajdują się w trzecim i zaczyna się spór o cło...

Była to sytuacja mało korzystna, zarówno pod względem politycznym, jak i ekonomicznym. Nic więc dziwnego, że słowa Goethego, mówiące o tym, iż Niemcy, nie grając na razie wielkiej roli na europejskiej arenie politycznej, tym bardziej powinni się zająć kulturą, działały jak balsam. Z łatwością można znaleźć dowody na to, że taka „rekompensata” faktycznie miała miejsce – przecież sam Weimar, w czasie swojego rozkwitu jako Mekka literatury, był prowincjonalną dziurą, tak samo Jena, załążek niemieckiego romantyzmu. Sęk tylko w tym, że oprócz tych miejsc, które mogłyby potwierdzić słuszność słów Goethego, istniało mnóstwo innych, gdzie głupota, samowola i – przede wszystkim – represje mniej liberalnych władców nie skutkowały rozwojem kultury, lecz tylko przykrą samoinscenizacją jakiegoś mniemanego mini-Wersalu, z którego każdy poważniejszy poeta lub filozof czym prędzej uciekał (pod warunkiem oczywiście, że wcześniej nie lądował za swoją powagę w jakimś lochu).

Kontrapunkt do tej historii Niemiec – od czasów napoleońskich, przez Kongres Wiedeński, aż do połowy lat 50-tych XIX wieku – napisał Heinrich Heine, poeta o niemałych fascynacjach romantycznych za młodu, który pod presją cenzury oraz ze świadomością, że jako Żyd nigdy nie dostanie profesury w Niemczech, przeszedł na protestantyzm i wyemigrował do Paryża. Stamtąd patrzył raz ze zdziwieniem, raz ze śmiechem, a raz z żalem na poczynania ojczyzny, którą tak rozpaczliwie kochał, że nie mógł przestać o niej pisać. Przepiękny jest na przykład fragment z jego Szkoły romantycznej, który mówi – z myślą o wielkiej miłości niemieckich romantyków do „nocnych stron” człowieka i natury – o duchach. Owszem, pisze Heine, w takim małym miasteczku z domkami z pruskiego muru, gdzie około godziny szóstej wieczorem już tylko strażnik nocny błąka się po uliczkach, taki duch jak najbardziej ma rację bytu. Ale w Paryżu, gdzie wraz z godziną duchów ludzie wychodzą z teatru lub opery, aby pójść jeszcze na lampkę wina do kawiarni, zrobiłby z siebie pośmiewisko. W tym samym tekście Heine pi-

sze o wielkim szczęściu, którym była znajomość Augusta Wilhelma Schlegla (jednego z głównego teoretyków romantyzmu) z Madame de Staël. Heine komentuje lapidarnie, że Schlegel nareszcie zaczął się lepiej ubierać. Wspomina też o zapachu tytoniu i świec z łożu, cechującym poddasza, na których kwiat niemieckiej nauki siedzi otoczony obwolutami Kanta, Schellinga i Fichtego.

Co na pierwszy rzut oka może wyglądać na prostolinijne porównanie „(niemiecka) prowincja – (francuska) metropolia”, kryje w sobie o wiele więcej. Heine, jako przekonany demokrat, z wielkim zmartwieniem obserwował ową niemiecką obsesję „poetycką i filozoficzną”, która, jego zdaniem, owocowała co prawda ciekawymi osiągnięciami intelektualnymi, ale jednocześnie w karygodny sposób zaniedbywała codzienne sprawy polityczne. Heine widział oczywiście, że Rewolucja Francuska doprowadziła do terroru (nieraz o tym pisał), ale tego, że Niemcy wciąż i wciąż tkwili w starych strukturach feudalnych i jeszcze udawali, że właśnie tak jest najlepiej, bo misję mają „wyższą”, nie mógł wybaczyć swoim rodakom. Dla niego Francja, pielęgnująca nurt filozofii racjonalistycznej, była wzorem rozsądnej pragmatyki, która nie chce gubić się w labiryntach spekulacji, lecz nieco rozjaśniać świat lampą rozumu. A jego słowa o sercu Francuza, które pod wpływem patriotyzmu stają się większe, w przeciwieństwie do serca Niemca, które pod wpływem patriotyzmu zaczyna się kurczyć (miał tu na myśli antynapoleońską propagandę, która z antyfrancusko-pseudopatriotycznymi hasłami wzywała do boju), należą chyba do najładniejszych podziękowań, które emigrant napisał kiedyś pod adresem swojej drugiej ojczyzny. (Tak na marginesie: również o pielgrzymce Madame de Staël do krainy niemieckich myślicieli wagi ciężkiej Heine napisał kilka ostrych zdań, zirytowany faktem, że akurat ona z takim zapalem rzucała się w intelektualne objęcia na owych poddaszach. Oprócz tego chyba był też trochę zazdrosny, że ktoś inny, niż on sam, zaczyna Francuzom tłumaczyć zagadki niemieckiej duszy).

Krytyka niemieckiego romantyzmu, przeprowadzona przez Heinego, skupia się wokół aspektu apolityczności. I tu nie ma dyskusji. Wszystkie ówczesne polityczne powikłania ledwo jakimś dalekim echem odbijają się w dziełach romantycznych. Oczywiście, poeta może pisać o czym chce, i jeśli nie ma ochoty pisać o wojnie, która akurat toczy się pod jego domem, jest to jego sprawa i kropka. Jednak faktem pozostaje, że poeta – oferując pewien model interpretacji świata – współkształtuje pamięć zbiorową. Czy tego chce czy nie, jego sztuka nie szybuje w eterycznych sferach, ona toczy się po ziemi. A problem z romantyzmem niemieckim jest taki – i to właśnie nikt inny, tylko Heine widział jak na dłoni – że w uproszczonej wersji dla użytku ogólnego staje się niestety prowincjonalnością o fatalnym kształcie. Wtedy to tzw. Innerlichkeit („wewnętrzność” – czyli skłonność do dumania nad światem i upajania się własnymi uczuciami) siedzi sobie z fajką przy

piecu i czyta Schillera, podczas gdy jeszcze tego samego dnia cenzura zamyka następną gazetę. Cokolwiek by się nie działo w wielkim świecie, w niemieckim domu jest gemütlich.

Pamiętam, że kiedyś długo rozmawiałem z amerykańską malarką i graficzką o tym słowie. Ona wciąż je słyszała od Niemców. Słownik podaje, że znaczy ono mniej więcej: cosy, snug, comfortable, ale te wyrażenia nie do końca oddają jego ukrytą treść. Spróbowałem więc zacząć od tego, że słowo to pochodzi od Gemüt. Oprócz Seele (dusza), Gefühl (uczucie) i Geist (duch) mamy i to pojęcie dotyczące spraw duchowych. Niemcy widocznie odczuwali i odczuwają jeszcze coś więcej w chwilach wzniosłych. Po zawitych wywodach doszedłem do wniosku, że nieprecyzyjność w tym przypadku jest metodą, bo jedno z żelazną konsekwencją przez cały XIX wiek (i jeszcze dłużej) utrzymywano: głębia tego niemieckiego Gemüt jest niewymierzalna, a każde spojrzenie usiłujące przeniknąć tajemnicę, musi się zagubić w oparach mitomanii. Dzisiaj słowo gemütlich pojawia się np. w reklamowych opisach wnętrz restauracji i hoteli lub w programach festynów – po części oficjalnej nastąpi: gemütliches Beisammensein, czyli kawa, ciasto, piwko i kielbaski. A to z kolei słownik języka angielskiego określa jako social gathering. Tylko podziwiać ten anglosaski pragmatyzm. Oszczędza on człowiekowi sporo kłopotu.

Oprócz mglistej tajemnicy związanej z Gemüt, romantyzm niemiecki skonstruował model historii, który wzoruje się na myśli eschatologicznej. Historia rozwija się w trzech fazach: najpierw stare dobre (mityczne) czasy harmonii człowieka z naturą, potem burzenie tej harmonii poprzez racjonalizm, który oddziela człowieka od natury, ostatecznie („kiedyś”) – rekonstrukcja harmonii przez poetę, który swoim śpiewem na nowo zaczyna odczarowany świat. W tym ostatnim procesie – tu odzywa się Rousseau – prosty lud i dzieci mają szczególny udział jako „pomocnicy” poetów, bowiem oni nie zostali „zainfekowani” racjonalizmem i dzięki temu mają jeszcze bezpośredni kontakt z naturą.

Ta konstrukcja pojawia się w najróżniejszych wariantach. Są mniej udane wiersze, które kończą się opiewaniem zachodu słońca, są bardziej udane, które mówią o dwuznaczności misterium natury: o zachwycającym jej pięknie i o strachu przed milczeniem bezkresnej przestrzeni. Są też arcydzieła, które podchwytyją paradoksy średniowiecznej mistyki. Ale najciekawsze teksty tej epoki powstały chyba tam, gdzie poeta, znając założenia romantyzmu od A do Z, przedeklinował go do samego końca, ujawniając tym samym jego ślepe załuki. Autorem takich dzieł jest np. Jean Paul i oczywiście Heinrich Heine.

Odruch antymodernistyczny jest nie tylko cechą niemieckiego wydania tej epoki, romantyzm per definitionem wciąga nas w utopię regresywną. W niemieckiej historii mamy jednak do czynienia z takim splotem uwarunkowań, że pewne pomysły, które można by w innych okolicznościach trakto-

wać jako aspekty debaty estetycznej, tu stawały się kwintesencją konstrukcji tożsamości narodowej. Odnieśmy się do słów Goethego. Jeśli największy poeta niemiecki zalecał rodakom zajmowanie się duchem a nie polityką, to naród mógł być dumny ze swojej prowincjonalnej apatii. To nic, że ten sam Goethe nie raz podkreślał, że jakiegokolwiek próby zamykania ludzi, ich myśli a tym bardziej dzieł artystycznych w kategoriach dumy narodowej uważa nie tylko za małostkowe, lecz wręcz szkodliwe, gdyż może to prowadzić tylko do banału. To nic, że ten sam Goethe w swojej powieści *Lata wędrówki* Wilhelma Meistra zaprojektował prowincję pedagogiczną jako pierwowzór najszerzej zakrojonej edukacji humanistycznej. Ważne było tylko to, że „Mistrz” ukuł zgrabną formułkę, którą każdy nauczyciel gimnazjalny mógł sobie przypiąć do kłapy, aby dręczyć następne pokolenie uczniów z kompleksionymi ambicjami.

To wszystko można by, przy odrobinie dobrej woli, nadal traktować jako pewnego rodzaju pomyłki w przestrzeni europejskiej historii kultury. Ideologia Trzeciej Rzeszy natomiast, nie do pomyślenia bez historii niemieckiego XIX wieku, cały ten XIX wiek umyślnie rozbija w drobny mak. Teraz wszystko, co u romantyków, a tym bardziej u Goethego, Schillera lub Hölderlina, miało być ideałem, którego odbłask przypomina nam o świecie, jakim mogłby być, staje się potworną dyktaturą jednoznaczności, która nie pozwala na najmniejszą nawet próbę alternatywnej interpretacji świata. Duch, który w idealistycznym założeniu miał być gwarantem wolności w marzeniu o realizacji czegoś lepszego, powraca jako tyran najgorszej rzeczywistości. A zachwyty wszystkim co „naturalne” i „ludowe”, stają się – jak tego Heine się obawiał – pogardą dla cywilizacji, a to co było „volkstümlich”, teraz jest „völkisch”, czyli atrybutem rasistowskiej agresji.

Joseph Goebbels był germanistą z doktoratem, wiedział więc, gdzie trzeba szukać materiału dla odpowiednich chwytów propagandowych. Przede wszystkim cała nazistowska ideologia Blut und Boden (ziemia i krew) jest niczym innym niż wulgaryzacją tego, co u lepszych poetów romantycznych (takich jak np. Novalis lub Joseph von Eichendorff) pojawia się jako echo panteizmu (Spinoza) lub mistyki (Jacob Böhme, Emanuel Swedenborg). Trzecia Rzesza sprowadza to wszystko na dno najokropniejszej dosłowności, przedstawiając uczciwe, pracowite chłopskie życie jako pierwowzór niemieckiego bytu (kiedy jednocześnie najnowsza technologia przemysłu zbrojnego pracuje pełną parą), a pojęcie „Heimat”, które w utworach wymienionych autorów jest wyrazem tęsknoty metafizycznej, ilustruje się obrazami wiejskich sielanek, czyli topornością.

Przypomina się przy tej okazji również jeden z ważniejszych prekursorów tej ideologii – Josef Nadler, autor *Historii literatury niemieckich plemion i regionów*, napisanej podczas pierwszej wojny światowej, a więc na kilka dobrych lat przed powstaniem NSDAP. Każdy region, tak brzmi

główna teza Nadlera (którą na wybranych przykładach „weryfikuje”), rodzi, ze swoim specyficznym krajobrazem i klimatem, pewien sposób myślenia, który uwidacznia się w literaturze napisanej przez ludzi tego regionu lub „plemienia”. Gdzieś, z powodu wyższych lub niższych gór, ludzie są bardziej dowcipni, gdzie indziej, z powodu dużej ilości lasów lub niedostatku czegoś tam, są bardziej melancholijni lub piszą lepsze ballady...

Oczywiście absurdem byłoby obwiniać romantyków za późniejsze deformacje ich myśli dotyczących relacji poety z kosmosem. Wszelako na końcu takiej debaty zawsze musi paść pytanie: Gdyby Niemcy nie trzymali się tak długo i kurczowo tej swojej apolitycznej Innerlichkeit, to czy uwierzyliby ślepo we wrzaski niedosłzłego malarza z Braunau am Inn? Oczywiście nie-małe znaczenie ma tu pierwsza wojna światowa, Traktat wersalski i tysiące innych spraw – ale ostatecznie wracamy wciąż na nowo do „narodu poetów i filozofów”, który tak „banalne” rzeczy jak republikę miał za nic i dostał za to okrutny kwit, za który musiała zapłacić cała Europa.

Po 1945 r. pojęcie „Heimat” przede wszystkim pojawiało się w kontekście „Verlorene Heimat”, czyli na posiedzeniach wypędzonych. Oprócz tego tylko partia CDU (Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna) publicznie mówiła od czasu do czasu o Prusach Wschodnich lub o Sudetach, ale wystrzegająca się kwestia dwóch państw niemieckich nieco zasłoniła te tematy. Partia SPD (Socjaldemokratyczna Partia Niemiec) pod względem „Heimat” była bardziej wstrzemięźliwa, co doprowadziło do jasnego podziału. „Heimat” stała się sprawą konserwatystów, a już na pewno podczas ruchu studenckiego nikt, kto czytał pisma Theodora W. Adorno lub Maxa Horkheimera, nie posłużyłby się tym pojęciem – chyba że w celu jego demontażu. Zbyt jasne były ideologiczne skażenia.

Dopiero w latach 70. zarysowuje się pewna zmiana. Niemiecka Republika Federalna przeżywa najcięższy kryzys od początku swojego istnienia, spowodowany atakami terrorystycznymi grupy RAF (Rote Armee Fraktion / Frakcja Czerwonej Armii). Część kultury alternatywnej, która dystansuje się od przemocy, szuka nowej orientacji, pojawiają się pierwsze idee ekologiczne, z Ameryki Północnej przychodzi, wraz z kolejną falą ruchu hipisowskiego, zachwyt kulturą indiańską. Silnie też powraca romantyzm jako wyraz wiary w możliwość lepszego świata, bądź to w postaci zespołów, które łączą inspiracje zaczerpnięte z folk music z niemiecką poezją dawnych lat, bądź to w postaci antropozofii (która do swojego panteonu wcieliła Novalisa). Na tym podłożu powstaje m.in. idea komuny wiejskiej jako modelu wspólnoty samowystarczalnej i egalitarnej, realizującej wizję społeczności sprawiedliwej dla wszystkich. I tak prowincja, która do tej pory uchodziła raczej za gniazdo tych wszystkich niereformowalnych, którzy na jakiegokolwiek pytanie o najbliższą przeszłość reagują standardowym stwierdzeniem, że za Hitlera „przynajmniej był porządek”, staje się miejscem dla utopii kontrkul-

tury. Są to też lata, kiedy debiutuje tzw. „Neuer Heimatfilm”. Programowo dystansuje się on od swojego klasycznego brata, który w latach 50-tych osłodził Niemcom cud gospodarczy. Ten nowy nurt nie epatuje już alpejskimi sielankami, lecz opowiada na przykład o trudności dorastania na wsi, o tym, jak ciężko tam znaleźć pracę, o konfliktach między pokoleniami, o tym, jak przytulna ciasnota potrafi doprowadzić człowieka do szału, oraz – w związku z przybyciem „gastarbeiterów” do Niemiec – o tym, jak ksenofobiczna potrafi być prowincja.

Warto tu zaznaczyć, że również ruchy obywatelskie na nowo odkryły prowincję. Słynny jest na przykład opór przeciwko budowie elektrowni atomowej w nadreńskim Wyhlie w latach 80-tych. Protest zorganizowano wspólnie, dzięki inicjatywie Niemców i Francuzów – i przeprowadzono go akurat tam, gdzie w czasach Heinego Ren uchodził za „świętą” niemiecką granicę z „arcywrogiem”. Zaangażowanie obywatelskie w Wyhlie świadomie nawiązywało do historii francusko-niemieckiej. Między innymi powstał nowy tekst do piosenki Die Wacht am Rhein (Straż nad Renem), który zamienił hymn niemieckiego XIX-wiecznego nacjonalizmu na hymn oddolnej demokracji transgranicznej.

Obecnie w Niemczech coraz bardziej zacierają się różnice między dużymi miastami a prowincją. Proces ten trwa już kilka dobrych lat. Nadal jednak istnieje wyraźny podział na „Heimat” i „Vaterland”. Wielu Niemców w ogóle nie używa słowa „Vaterland”. Jeśli już chcą opisać jakąkolwiek przynależność geograficzną, mówią o „Heimat”, co ma wydźwięk osobisty, określa wyłącznie region a nie cały kraj, i na pewno nie kojarzy się z „państwem”, lecz z ulicami dzieciństwa i sernikiem babci. Regionalizm XIX wieku, można by powiedzieć, przeżył transformację w kategoriach systemu federalnego, wprowadzonego po 1945 r. w celu decentralizacji władzy w Niemczech. Jeśli akurat tutaj niemiecka historia trochę pomogła przekonać Niemców do demokracji, to tym lepiej.

Po zjednoczeniu Niemiec, pewien rozgłos zyskała „prowincja wschodnia”. Niestety, owa prowincja ma fatalną reputację. Oczywiście trzeba pamiętać, że prasa (zachodnich landów) nieraz dramatyzuje, aby udowodnić zapóźnienia obszaru posttotalitarnego. Ale prócz uprzedzeń, są i fakty. Opustoszałe tereny, z których w ostatnich 20 latach prawie połowa ludności wyjechała na zachód kraju, ewidentna radykalizacja prawicowa pośród sfrustrowanych pozostałych, przerażające poparcie dla partii NPD (Narodowo-demokratyczna Partia Niemiec) – to musi budzić niepokój.

Przypomina się przy tym wypowiedź byłego kanclerza Niemiec, Helmuta Schmidta, w wywiadzie sprzed kilku lat dla gazety Die Zeit. Zapytany, czy może wymienić miejsce, w którym od stóp do głów czuje się Niemcem, Helmut Schmidt powiedział: „Oprócz Auschwitz – żadne”.

Zarys osobisty

Odkąd mieszkam nie tylko poza prowincją, na której się wychowałem, ale także – od 16 lat – w innym kraju, kwestie związane z pochodzeniem i tożsamością – siłą rzeczy – interesują mnie jeszcze bardziej.

Myślę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że wioska w Kraju Saary, gdzie chodziłem do podstawówki, w latach 70. była głęboką prowincją. Ojcowie pracowali albo w kopalniach albo w hucie. Prawie za każdym domem stało osiedle klatek na króliki, każda rodzina obowiązkowo miała kawałek ziemi „po dziadku” i uprawiała na niej kapustę lub ziemniaki. Matki na co dzień nosiły fartuchy, a kiedy wracaliśmy z naszych wypraw przez dziki Kurdystan lub z Wyspy Skarbów dostawaliśmy kanapki z leberką, a potem nóż i koszyk na mlecz dla królików. Myślę też, że nie przesadzę, kiedy te niezliczone godziny na „naszych” polach i łąkach, nad „naszym” potokiem i w „naszym” lesie nazwę szczęściem. A zatem stare dobre czasy? Zaczynam się wahać.

Lata 70. to wspomniany już szczyt aktywności terroryzmu grupy RAF. Tylko – po pierwsze na naszej wsi żadna bomba nie wybuchła, po drugie wszelka polityka była niezrozumiałym gadaniem w wiadomościach lecących z radjyka, w czasie gdy starszy brat majstrował w garażu. O wiele bardziej interesujące od listów gończych rozlepianych na urzędzie pocztowym (z jaskrawym napisem VORSICHT SCHUSSWAFFEN! – Uwaga Zbrojeni!) były dla nas komiksy westernowe. Raz tylko, pamiętam, spróbowaliśmy bawić się w Baader-Meinhofowców, tylko że nikt za bardzo nie wiedział, o co tam chodzi. Przy starej szopie jako tako odegraliśmy jakieś napady na banki, a potem już było nudno. Daliśmy sobie spokój i znów ruszyliśmy w ślady Winnetou. Raj i historia, tuż obok siebie.

We wszystkich opowieściach o specyficznym pokroju nostalgicznym kryje się ta sama pomyłka: sugeruje się nam, iż beztroska wynikająca ze świadomości dziecięcej – pod warunkiem oczywiście, że dzieciństwo nie było naznaczone traumą – jest cechą czasu i regionu. Tym samym próbuje się odgradzać „swoją” małą kawałek świata od „niedobrej” reszty. Zazwyczaj idzie to w parze z linearną koncepcją czasu, według najstarszego modelu: od złotego wieku do okropnej współczesności...

Ale tak naprawdę historia nie liczy się z naszymi wyobrażeniami o niej. Tak samo nie liczy się z tym, co jest metropolią i co jest prowincją. To znaczy – to też jest źle powiedziane – historia nie jest podmiotem, jej podmiotem zawsze jest człowiek, i to on decyduje, czym jest „Heimat” i dla kogo. Czasami kończy się to tym, że ludzie muszą uciec ze swojej „Heimat”, aby ratować się przed sąsiadami.

Kiedyś, podczas studenckiej podróży po Anglii, zatrzymaliśmy się na malusieńkim kempingu, gdzieś na południowym wybrzeżu. Stały tam tylko dwa namioty, nasz i jakiś inny. W małym domku znajdowała się łazienka. Kiedy tam wszedłem, jeden prysznic był zajęty. Wszedłem więc pod drugi.

Nagle nad ścianą dzielącą kabinki pojawia się ręka, a męski głos – ewidentnie myśląc moje prychnięcie z obecnością kogoś innego – poprosił najgrubszą gwarą z dziedzica naszej podstawówki, żebym podał mydło.

Zwykła niespodzianka wakacyjna, o której potem zapomniałem. Przypomniała mi się podczas lektury esejów Jeana Améry. W swoim tekście *Ile ojczyzny potrzebuje człowiek?* (ze zbioru *Poza winą i karą*) Améry opisuje sytuację, która przytrafiła mu się w 1943 r. On, austriacki Żyd na emigracji i członek grupy oporu w Belgii, nagle stoi oko w oko z esesmanem, który, nie mogąc spać z powodu hałasów w konspiracyjnym mieszkaniu, zapukał do drzwi ludzi z belgijskiej *résistance*. „Tamten człowiek”, pisze Améry, „gapiący się na nas zaszpanym spojrzeniem, nie okazał wobec nas żadnych właściwych swemu tropicielskiemu rzemiosłu zamiarów, zażądał tylko wrzaskliwie spokoju dla siebie i swojego znużonego nocną służbą kolegi. Wyraził swoje żądanie – i to właśnie było dla mnie w tej scenie najbardziej przerażające – w dialekcie mojej bardziej lokalnie pojmowanej ojczyzny. Dawno już nie słyszałem tej intonacji i dlatego też poczułem w sobie szaleńcze pragnienie, by odpowiedzieć mu w jego własnym dialekcie. (...) W tym momencie w pełni i na zawsze pojąłem, że ojczyzna jest obszarem wroga, i że ten dobry kolega został tu przysłany, aby mnie usunąć z tego świata”.

Przypominając sobie przy owej lekturze moje niewinne spotkanie na kempingu w Anglii, zrozumiałem, że poczucie bezpieczeństwa, które budzi w nas „Heimat”, nie wynika z jakiejś geofizycznej „naturalności”, ale tylko i wyłącznie z ludzkich ustaleń. Przede wszystkim zacząłem zdawać sobie sprawę z przepaści dzielącej estetycznie wysublimowane smutki od „niedobrej, dręczącej tęsknoty”, którą odczuwał Améry i „o której nie da się mówić tonem Eichendorffa”. Człowiek, który opuszcza swoje rodzinne strony z własnego wyboru, jeszcze w swojej nostalgii jak najbardziej jest „w domu”, człowiek, któremu sąsiedzi odbierają ojczyznę, bo uważają, że z powodu „fałszywej krwi” nie ma prawa żyć – i to nie tylko na tej ziemi, ale już na żadnej – nie odnajduje pocieszenia w sztuce. A ileż razy spacerowaliśmy (w późniejszych latach szkolnych) po „naszym” lesie, z odpowiednią lekturą pod pachą (*Hymny do nocy* Novalisa, *Wilk stepowy* Hessego...), aby poddać się fantazjom romantycznego samozatrącenia w gąszczu uczuć, w gwieździstych szumach nocy?

Z naturą główny problem jest taki, że ona – jak napisał gdzieś Ernst Bloch – nic nie czyta. Ani Heraklita, ani Platona, ani Rousseau, i wszystkie nasze próby interpretacji jej ukrytych zamiarów jej samej nie obchodzą. Kilka razy już „udowodniono”, że wszyscy z natury są równi, kilka razy „udowodniono”, że wszyscy z natury są różni. Idąc tropem romantyków, możemy szukać klucza do tego sporu w świecie dzieci, chociaż Rousseau byłby tym mocno rozczarowany. Dzieci z niesamowitą łatwością przyjmują podział na „nasze” i „obce”. Sam pamiętam, jakie to było „naturalne”. Granicą były

kolejowe tory. Tu teren przyjacielski, tam teren ichszy, nie-nasz. Oczywiście potyczki rozgrywały się w ramach ustalonej zabawy (nie wolno było rzucać kamieniami, i „jeńca” trzeba było puścić, kiedy zaczął płakać), ale strach pomyśleć, jak niewiele trzeba, aby takie sytuacje wykorzystać do zaszczepienia prawdziwej nienawiści.

W sumie możemy się tylko cieszyć, kiedy uda nam się zgubić co najmniej część naszej „naturalności”, bo niewinna to ona na pewno nie jest. Przede wszystkim człowiek w formie „naturalnej” byłby Casparem Hausenem, bo dopiero dzięki pewnej dozie sztuczności – jako *ens sociale* – potrafi rozwijać swoje umiejętności. Rousseau miał znaczne zamiary i jego Wyznania nadal są świetną lekturą (jeśli chcemy się czegoś dowiedzieć o początkach radykalnego subiektywizmu, to nie ma lepszej książki), ale grubo się mylił utrzymując, że natura jest z gruntu dobra, a cywilizacja z gruntu zła.

Jednak ta tęsknota za czymś, co ma być zawsze dobre, leży u podstaw klasycznych opowieści o „Heimat”. Chcemy, żeby chociaż na kilku kilometrach kwadratowych porządek świata jeszcze nie był zaburzony, wszakże – czy chcemy, czy nie – musimy się pogodzić z tym, że on jest zaburzony właśnie nami. To, że jesteśmy w stanie powiedzieć „ja”, oznacza, że nie jesteśmy już na łonie natury, jesteśmy „wobec” niej i musimy sobie z tą wolnością poradzić, bądź to jako wypędzeni z raj, bądź to w ramach imperatywu kategorycznego.

Jeśli więc z przynależności do pewnego regionu miałyby wynikać cokolwiek w rodzaju wartości, to może w ramach „rozsądnego” patriotyzmu lokalnego jako alternatywy do patriotyzmu ogólnokrajowego, który po pierwsze jest dość abstrakcyjny (słusznie zauważyła Hannah Arendt, że może kochać pojedynczych ludzi, a nie cały naród), a po drugie w swojej monumentalności łatwo zbliża się do szowinizmu. Takie zmniejszanie skali bywa chyba przydatne, zwłaszcza w czasach, które można traktować jako postnarodowe. Moglibyśmy nawet pójść o krok dalej i zamienić pojęcie „patriotyzm” na „odpowiedzialność”, co wcale nie oznacza, że musimy zrezygnować z pewnych wrażeń emocjonalnych. I odpowiedzialność można połączyć ze specjalami kuchni regionalnej lub poezją napisaną w dialekcie. A po pracowitym dniu konkretnej troski o „Heimat” (sprzątanie śmieci z lasu itd.) mielibyśmy przynajmniej powód do dumy.

Duma. To w ogóle jest drażliwy temat. Z czego mam być dumny w mojej „Heimat”? Z faktu, że przypadkowo tu się urodziłem? Z całym szacunkiem, ale to jest za mało. Z czynów „moich” przodków. Tu jesteśmy zazwyczaj mało konsekwentni. Lekką ręką podpinamy się pod wielkie osiągnięcia, ale z tymi mniej szlachetnymi oczywiście nie chcemy mieć nic wspólnego.

Co łączy mnie z Erichem Honeckerem, który pochodził z Neunkirchen, miejscowości położonej 15 km „od nas”? Albo z dziadkiem Johna Dillingera, który pochodził z wioski koło Dillingen nad Saarą, skąd, z nie wiadomych

mi powodów, wyemigrował do Stanów, gdzie jego wnuk – ów John – stał się „wrogiem publicznym numer jeden”? Albo z Frankiem Farianem, twórcą zespołu Boney M., który w swoim saarlandzkim mieszkaniu zmiksował przebój *By the Rivers of Babylon*? Czy to znaczy, że w Kraju Saary istnieje tradycja dyktatorska lub przestępcza? Tradycja sukcesów estradowych?

Na jakimś domu w Neunkirchen jest tablica, że Goethe tu kiedyś spędził jedną noc, przed włoską lodziarnią w St. Wendel jest tablica w chodniku, że Nicolaus Cusanus tu kiedyś miał prebendę. Oczywiście mogą teraz westchnąć i ustawić się do zdjęcia. Obawiam się jednak, że zakończy się to fałszywym dreszczykiem spotkania z minionymi czasami. Mogę też spróbować uruchomić jakąś anamnesis. Przypomnieć sobie lub uświadomić to, co dawno jest już znane. *Coincidentia oppositorum*, *docta ignorantia* – wszystko jest w zasięgu ręki, kiedy tylko chcemy.

Może jeszcze reprezentacja piłki nożnej z Kraju Saary, która istniała w latach 1950-1956? W 1954 r. brała udział w kwalifikacjach do mistrzostw świata. Z Norwegią jeszcze jakoś jej poszło, jeden mecz nawet wygrała, z Niemcami jednak przegrała już definitywnie. Jest to dla mnie ciekawy, aby nie powiedzieć kuriozalny podtekst niemieckiego zwycięstwa w finale – tak zwanego „Cudu w Bernie” – z ówczesnym matadorem węgierskim. Oprócz tego widzę tę reprezentację z Kraju Saary przede wszystkim pod kątem historycznym. To, że ona istniała, było bezpośrednio związane z drugą wojną światową, w wyniku której Kraj Saary w latach 1947-1956 miał status mniej więcej autonomiczny, dysponując własną walutą i konstytucją. W tym momencie, siłą rzeczy, przypominam sobie też plebiscyt z 1935 r., kiedy to mieszkańcy Saary zdecydowali się powracać „do domu”, czyli dołączyć do Trzeciej Rzeszy. Gustav Regler, pisarz z miejscowości położonej 30 km „od nas”, stanął wtedy na rzęsach, aby swoim najbliższym rodakom wytłumaczyć, że ich patriotyzm jest wykorzystywany przez zbrodniarzy. Po plebiscycie uciekł do Francji a potem do Hiszpanii, gdzie walczył po stronie republikańskiej, a jeszcze później trafił do Stanów Zjednoczonych, by w końcu zatrzymać się w Meksyku. W 1963 r. zmarł podczas podróży po Indiach. W RFN przemilczano jego teksty, bo kiedyś był komunistą; w NRD przemilczano je, bo odłączył się od komunizmu. Niektóre książki Reglera są kapitalne, niektóre słabsze, ale to właśnie jego niedoskonałości, jego pomyłki i jego bezpośrednie zaangażowanie nauczyły mnie paru rzeczy, jakich nigdy nie znalazłem ani u Goethego ani u Novalisa.

A od „mojej” prowincji, żebym tego nie zapomniał, dostałem kiedyś stypendium, za co jestem wdzięczny. Ale to coś innego niż duma. I jedno muszę w tym miejscu jeszcze powiedzieć: dystansu do „mojej” prowincji nauczyłem się nie od niej, tylko przez to, że ją opuściłem. Gdybym dzisiaj jeszcze tam mieszkał – nie wiem, czy nadal bym nie uważał, że kwintesencji filozofii należy szukać u Henry Davida Thoreau.

Kilka razy już zadałem sobie pytanie, czy „ostatecznie” wolę prowincję czy duże miasto. Odpowiedzi nie mam. Prowincja potrafi być przyjemna, ale też potrafi być nie do wytrzymania. Tak samo duże miasto. A już na pewno jedno i drugie staje się groteskowe, kiedy nawzajem chcą sobie udowodnić, co lepsze. Kiedy słyszę, że na prowincji ludzie są miłsi, bo tam wszystko małe i swojskie, zaczynam się nudzić. Również stwierdzenie, że wszystko, co niedobre, przychodzi z dużego miasta (lub z Ameryki – co często na jedno wychodzi), uważam za mało oryginalne. Nie mniej nudna jest zblazowana postawa, która uważa, że człowiek, który jeszcze nie był w tym lub tamtym muzeum w Barcelonie, Londynie lub Nowym Jorku, nic nie wie o świecie.

Moim zdaniem problem nie tkwi w prowincji jako takiej; problem tkwi w prowincjonalności, rozumianej jako zafałszowanie rzeczywistości w celu jej upraszczania. Prowincjonalność może wynikać z braku konkretnych doświadczeń, może też wynikać z pospolitego lenistwa, jeśli ludzie mimo odpowiednich doświadczeń chcą się trzymać absurdałnego przekonania, że cały świat ma tylko jeden kolor skóry, jeden język ojczysty, zna tylko jedną religię, jeden sposób bycia parą i tylko jeden przepis na ogórkową.

Potrzebujemy pewnego rodzaju ciągłości, bez dwóch zdań. Na podstawie tego, co się zachowuje, jako wiedzę, jako pamięć, tworzymy to, co nazywamy kulturą. Ale marzenie, żeby wszystko pozostało tak, jak jest, oznaczałoby śmierć kultury. Tak samo zapędy rewolucyjne na zasadzie *l'art pour l'art*, które na oślep wygłaszają hasła nie zadawszy sobie trudu przeczytania całego kontekstu, przynoszą sporo emocji, ale marne efekty w praktyce. Więc chyba nie warto ulegać pokusom operowania wyłącznie czernią i bielą. Kiedy skrajności nawzajem się demonizują, pożytek z tego jest żaden. To, że kiedyś zniesiono pańszczyznę oraz fakt, że od jakiegoś czasu nie musimy już należeć do arystokracji, aby pobierać gruntowne nauki, uważam za dobre. Są to osiągnięcia owego oświecenia, które nieco naburmuszony konserwatyzm tak chętnie dyskredytuje. Z drugiej strony żaden postęp cywilizacyjny nie potrafi uwolnić nas od podstawowych pytań. Więc i w XXI wieku wciąż warto sięgać po Etykę Nikomachejską, po Talmud lub po Tomasza z Akwinu.

Bardzo jesteśmy przydatni na sugestię, że „kiedyś” było lepiej, życie здавало się bardziej uporządkowane, a ludzie bardziej moralni, bo bali się króla i Boga. Czytając teksty, które mają kilka wieków, widzimy jednak, że to czysta iluzja, a wszelkie próby konstruowania lepszych czasów muszą się kończyć tworzeniem bajek. Polna droga – aby zacytować tytuł tekstu Martina Heideggera, który aż pęka od resentmentów antymodernistycznych – nie prowadzi do raju, tylko do kiczu. Tak samo pochopna wersja „drogi ku przyszłości” może przyprawić tylko o gęsią skórę, bo jedną ideologię zastępuje drugą. Nie możemy dokonać wyboru pomiędzy życiem „prostym” a „skom-

plikowanym”. Ono po prostu zawsze jest skomplikowane, a nasze nadzieje wciąż się wahają. Raz chcemy, żeby nic się nie zmieniło, raz, żeby zmieniło się wszystko, a jedno i drugie jest – w sumie (błędów) – uzasadnione.

Więc ostatecznie jak? Lepiej nam na prowincji czy lepiej w dużym mieście? Wymigam się od odpowiedzi. Po prostu jej nie znam. Czasami lubię odwiedzać „stare” miejsca, patrzeć na bujną zielen, która dzisiaj, po kosztownych renaturalizacjach, pokrywa nasz ulubiony plac zabaw – w latach 70. dzięki złomowisko tonące w szlamie potwornie cuchnącego strumyka. Lubię chodzić po „naszym” lesie, aby spotykać samego siebie (z najróżniejszymi książkami pod pachą), i zawsze jest jakaś olśniewająco prosta prawda w takich spotkaniach, kiedy ktoś, trzymając rękę na wysokości kolan, mówi: „pamiętam cię jeszcze, jak byłeś taki...” Mimo tego stwierdzenie, że u nas każdy każdego zna, brzmi dla mnie bardziej jako groźba niż pocieszenie.

„Na ojczyznę wybrałam sobie miłość”, pisała w jednym ze swych wierszy Mascha Kaléko, która w latach 30. musiała uciec z ukochanego Berlina do Stanów Zjednoczonych, gdzie prowadziła emigranckie życie na granicy biedy. O tym, że ojczyznę nie jest jakiś kawałek ziemi, tylko godność ludzka, napisał Antoni Słonimski w swoim wierszu *Ten jest z ojczyzny mojej*. Takie pojęcia ojczyzny nie mieszczą się w kategoriach geograficznych lub politycznych. Na szczęście, chciałoby się dodać, bo tym samym uświadamiają nam, że myślenie powinno być szersze od dosłowności.

Skoro jesteśmy przy literaturze, to chciałbym przekazać pewną ciekawostkę. Kilka lat temu przeszła przez Niemcy moda na Europę wschodnią (Andrzej Stasiuk miał w tym spory udział). Tak jak kiedyś Dziki Zachód figurował jako przestrzeń dla projekcji różnych marzeń, konstrukcja Dzikiego Wschodu stała się czymś na miarę raju utraconego. O ile odkrywanie, że żelazna kurtyna skutkowałą poważną deformacją wyobrażeń o Europie było – zwłaszcza z zachodniego punktu widzenia – uzasadnione, to już dalsze wnioski wyciągane z tych odkrywczych podróży nie zawsze okazywały się budujące. Rumuńsko-niemiecki pisarz Richard Wagner trafnie podsumował zasadnicze nieporozumienie tego zachwyty Wschodem: „Metropolia chce się przejechać furmanką, prowincja marzy o samochodzie.”

Literatura, jako medium pamięci, ma jednak wyjątkową skłonność do przeszłości, i – co za tym idzie – tendencję do upiększeń. W gruncie rzeczy sama w sobie jest nostalgią: Ból (álgos), wynikający z silnej potrzeby powrotu (w rodzinne strony) (nóstos) mówi o naszej świadomości przemijania. Stąd też nasze wszystkie późniejsze retusze, które chcą utrzymać nasz prywatny raj w stanie nienaruszonym. Gdybyśmy złożyli wszystkie te „najpiękniejsze miejsca” – każdą pojedynczą „Heimat” – na jednej puzzlowej planszy, to cały świat byłby cudowny. Jednak i tam, w tych wszystkich najpiękniejszych miejscach, ludzie do końca szczęśliwi nie są, więc coś jest na rzeczy.

Malutki świat prowincji, który dla autora, szukającego materiału do sklecenia sielanki, jest zaletą, dla autora szukającego „prawdziwego” dramatu, wydaje się być wadą. W swojej autobiograficznej książce *Opowieść o miłości i mroku* Amos Oz opowiada piękną historię, która pokazuje, jakie sztampowe są te wszystkie przypuszczenia. Jako młody człowiek z wielkimi ambicjami do pisania, w kibucu chodził po ścianach z rozpaczą. Hemingway, Faulkner – wielkie tragedie, losy się ważą, a tu ludzie plewią grządki, sieją trochę plotek i idą spać. Aż pewnego dnia Oz trafił na książkę Winesburg, Ohio Sherwooda Andersona. Są to epizody z najgłębszej prowincji amerykańskiej, a proza tak oszałamiająca, że nie mógł się od niej oderwać (jedną ze swoich ostatnich książek – *Sceny z życia wiejskiego* – Oz napisał jako podziękowanie dla Andersona). Siła książki Winesburg, Ohio polega na tym, że nie jest o prowincji, tylko o ludziach, i to, co się na tych stronach dzieje, nie jest co prawda spektakularne w sensie akcji, ale jak najbardziej dramatyczne w skali ludzkich przeżyć. Pierwsze opowiadanie (*Hands*) mówi o człowieku, z którego miejscowa wspólnota robi kozła ofiarnego; ostatnie (*Departure*) mówi o młodym człowieku, który wsiada do pociągu, aby opuścić Winesburg. Prowincja jest dodatkiem do tej prozy, nie tematem, dlatego też Winesburg, Ohio daleko przekracza granice miejsca akcji.

Po jeszcze trudniejszym terenie porusza się literatura, kiedy chce łączyć prowincję z dzieciństwem. Wtedy nieraz usiłuje przedstawić samą siebie jako medium rekonstrukcji utraconej jedności. Jest to tak samo wątpliwe, jak przenoszenie uczuć z człowieka na miejsce. Książką, która w rewelacyjny sposób opowiada o przeszłości, nie gubiąc z oczu faktu, że każdy smutek, każda radość nieodwracalnie są terazniejsze, jest *Sycylijska Rozmowa* Elia Vittoriniego. Podróż dorosłego narratora do wioski dzieciństwa nie prowadzi do ponownego uzyskania „błogostanu”, gdyż Vittorini nie zamyka dla nas jakimś chwytem estetycznym szczeliny między dniem dzisiejszym a przeszłością, tylko właśnie pokazuje, że potwierdzeniem naszej tożsamości jest także rozstanie. Przy czym musimy jeszcze raz wziąć pod uwagę, że książkę Vittoriniego należy czytać pod innym kątem niż eseje Jeana Améry. Narrator cały czas może być pewien swojego pochodzenia, nikt nie odebrał mu przynależności do Sycylii, to on sam pewnego dnia zdecydował się wyjechać.

Może jeszcze dwa słowa o raju. Holenderski autor Maarten 't Hart wyobraża go sobie tak: Przez listopadową mżawkę, o zmierzchu pójść do pewnego kościoła, tam zasiąść przy organach i zagrać Bacha. Chilijski pisarz Roberto Bolaño ma z kolei taką wizję raju: Siedzieć w bibliotece i czytać Pascala. Obie te fantazje powinny nam dać do myślenia. Z rajem kojarzy się – tu i tam – pewien wysiłek intelektualny, a to znaczy, że samo przebywanie w jakimś miejscu nie wystarcza. Tak samo moim zdaniem jest ze wszystkimi wyobrażeniami, które łączymy z pojęciem „Heimat”. Sama topografia to ledwo początek – pewna przypadkowość, punkt, z którego wyruszamy dalej.

Najlepiej chyba ujął to Bruno Schulz w swoim słynnym liście do Stanisława Ignacego Witkiewicza. Nie chodzi o to, aby napisać historię Drohobycza, nawet nie chodzi o własne dzieciństwo, chodzi o obrazy, które to miejsce, to dzieciństwo dostarczają. Trzeba je rozszyfrować, pracując tym samym nad egzegezą rzeczywistości. Początek magii nie leży w topografii, tylko w naszej kreatywności.

Zdaję sobie sprawę, że żadna myśl – mówiąc za Jerzym Ficowskim – nie zdoła „ocalić / ani jednego życia”, nie potrafi „zatrzymać / ani jednej kuli”. Tym bardziej zdaję sobie sprawę z tego, że każda moja kolejna lektura jest podsztyta bezsilną nadzieją, aby móc nią odwrócić historię. W końcu nie zostaje mi nic innego niż zapamiętać, czego nauczyłem się od Brunona Schulza. To on w dużej mierze uświadomił mi manicheistyczne ograniczenie w myśleniu niemieckiego romantyzmu. Trzeba zostawić za sobą podział świata na część „dobrą”, „czystą” (natura, poezja) i „nie dobrą, zanieczyszczoną rozumem” (cywilizacja). U Schulza życie jest niepojętą całością mającą w sobie tyle samo piękna co absurdu. Jego artyści nie zamierzają wcielać się w rolę kapłanów ani zbawicieli, jak czynią to poeci i malarze Novalisa lub Ludwiga Tiecka. Demiurg Schulza nie dąży do uduchowienia świata materialnego, on ma pełne ręce roboty, stwarzając właśnie coś materialnego z tego niepojętego surowca, który ciągle wymyka się spod kontroli. Nie ma też u Schulza, nawet w momentach klęski swoich postaci, ani krzty gnostycznej pogardy. Jest tylko niekończący się podziw dla kaprysów istnienia.

Nie znam większej sprzeczności od tej między Schulzowską poetologią a ideologią, której służył jego morderca. „Heimat”, widziany oczami Schulza, wizjonera-kabalisty, staje się tą przestrzenią – aby jeszcze raz przywołać Ernsta Blocha – w której nikt jeszcze nie był. Prawdziwą utopią współtworzącą świat, a nie mniemanym kluczem, który, jako instrument władzy, zabiera się do zdobywania łupów.

PS. 1: Ludwig Harig, pisarz z Kraju Saary, kiedyś „[pragnął] opisać Ericha Honeckera jako [swojego] krajana, z wszystkimi cechami i osobliwościami rodem z Zagłębia Saary.” Swój wywód Harig kończy sugestią, „że montowany jest drut kolczasty z pragnienia ucieczki, że rośnie mur z tęsknoty za domem”. Herta Müller w swoim eseju I jeszcze strach ogarnia nasze serce (ze zbioru Głód i jedwab) opatruje te ewidentne bzdury jedynym możliwym komentarzem: „Na wyszukaną subtelność wynajdywania form patriotyzmu lokalnego w decyzjach Honeckera mógł sobie pozwolić jedynie ktoś, kto nigdy nie musiał żyć w jego dyktaturze. Stylizuje się tu wymyślony ból dyktatora i nie zważa na realny ból w kraju. Również Ceașescu był Saarlandczykiem, jeżeli drut kolczasty i lufy karabinów oznaczają »tęsknotę za domem«”.

PS. 2: Najlepszy opis niemieckiej Innerlichkeit usłyszałem od francuskiej nauczycielki tańca renesansowego, którą kiedyś spotkałem w Krakowie. Urodzona paryżanka, z niemieckim mężem przeprowadziła się do

Norymbergii. Układ jak z Heinego, pomyślałem, a niemieckie duchy akurat w tym mieście mają najgorsze pochodzenie. Na moje pytanie, czy to nie było trudne, westchnęła: Łatwo nie było... w ogóle nie mogłam się przyzwyczaić do tych obskurnych lokali... niskie stropy, malutkie kolorowe szybki, przez które nic nie widać, a Niemcy jeszcze wmawiają mi, że w takich ciemnicach jest gemütlich. W Paryżu kawiarnie i bary mają wielkie okna, przecież nie chcesz patrzeć na jakieś stare sklepienie albo na okopcone belki, chcesz patrzeć na życie na ulicy, na innych ludzi...

PS. 3: Szwajcarski dowcip: Chłop z malutkiej wioski położonej w najgłębszej dolinie kantonu Valais wybiera się do Zurychu, bo słyszał, że tam tak ładnie. Wyrusza w drogę, najpierw na piechotę, potem furmanką, potem pociągiem do miasteczka, dalej następnym pociągiem... Kiedy wraca, cała wioska go otacza. – No powiedz, jak tam w tym Zurychu? Jest taki ładny, jak mówią? – No, tak, odpowiada, ładne miasto, bardzo ładne... Tylko tak strasznie daleko od szosy.

Marek H. Kotlarz

Odkrywanie prowincji

Prowincja – to słowo mieszkańcy wielkich aglomeracji zwykli opatrzyć nutą politowania, a czasem nawet pogardy. Prowincjonalne to niemodne, bez polotu, by nie powiedzieć, zapyziałe. To, co wartościowe, rodzi się w Warszawie i Krakowie. No, ewentualnie w innych wielkich miastach.. Ważne wystawy, przedstawienia teatralne czy koncerty omijają prowincję. Zresztą lubią sponsoring, obfite wsparcie finansowe centralnych i lokalnych władz, czasem zaś dużych, nierzadko będących własnością skarbu państwa, przedsiębiorstw. Tam też powstaje „wielka” literatura, mieszkają poważni poeci i prozaicy. A jeśli nie mieszkają, to już na pewno wydają swoje książki i publikują utwory. Prowincja takich możliwości nie niesie, po co więc sobie nią zaprzętać głowę?

Na szczęście nie każdy tak myśli, na szczęście nie każdy traktuje prowincję jako miejsce bez perspektyw i nie siedzi z założonymi rękami. I dzięki właśnie takim ludziom mogłem otworzyć pierwszy numer kwartalnika, na przekór wszystkim nazwanego przewrotnie „Prowincja”. Ale to nie byle jaka prowincja i nie byle jacy „prowincjusze”!

Ta prowincja to Żuławy i Dolne Powiśle, a zatem teren od wieków będący zapleczem Gdańska, bardzo szczególny tak pod względem geograficznym, historycznym jak i kulturowym. A prowincjusze to absolwenci oświeconych uniwersytetów w Gdańsku, Toruniu i Warszawie, którzy ten region pokochali, dostrzegli jego niezwykłość i postanowili to zauroczenie i wiedzę o nim przekazać, opowiedzieć, przypomnieć jego pogmatwaną historię.

Ale „Prowincja” to nie tylko historia, zabytki, dziedzictwo dawnych wieków – autorzy są prowincjuszami z wyboru, nieobcy im wielki świat i wielkie wydarzenia – zatem znaleźć tam można również poezję i prawdziwie interesującą prozę. To właśnie moje klimaty – fragmenty powieści, strzępki wspomnień, zagubione zabytki i nostalgia Żuław i romantyzm wielkiej rzeki i morza.

Dla mnie to jednak coś jeszcze więcej, to spotkanie na kartach kwartalnika ze znajomymi, ale inne niż zazwyczaj. To odkrycie Andrzeja Kasperka jako pisarza, choć znałem go dotąd jako działacza NZS, uczestnika studenckich strajków z 1981 roku, działacza podziemnej opozycji. Ponad dwadzieścia lat temu straciłem go z oczu, a teraz powrócił w ten zaskakujący sposób, zbiorem „Back in the DDR i inne opowiadania”. Na co dzień jest nauczycielem w Nowym Dworze i nie przeszkadza mu to, jak widać, spełniać się literacko.

To Marek Stokowski, kustosz malborskiego zamczyska i pedagog muzealny, warszawiak z pochodzenia, ale też poeta i uznany już autor wielu książek – właśnie w radiowej Trójce nie tak dawno czytana była jego kolejna powieść „Stroiciel lasu”. To ilustracje i opracowanie graficzne Mariusza Stawarskiego, malborskiego malarza, paradoksalnie chyba, bardziej znanego za granicą niż w Malborku.

To wielu innych interesujących autorów i tematów, a wszystko to pod kierownictwem Leszka Sarnowskiego, mieszkańca Sztumu, dziennikarza związanego z radiem i telewizją.

Sam jestem gdynianinem z urodzenia, wiele lat mieszkalem w Gdańsku, a od ponad ćwierćwiecza w Sopocie, ale Żuławy i Powiśle zawsze mnie fascynowały, jak wszystkie miejsca niejednorodne, nietypowe, z pogranicza różnych kultur. Ale też dzięki swemu niedocenianemu urokowi. Kraina Prusów zawojowana przez zakonne państwo, potem własność Gdańska zamieszkiwana przez tak zamożnych chłopów, że gdańscy rajcy wydawać musieli przepisy uniemożliwiające im noszenie zbyt bogatych ozdób (by nie zawstydzali mieszczan), to tradycja holenderskich mennonitów, którzy tu szukali schronienia przed prześladowaniami, ale to też Niemcy, Polacy i Żydzi. Niemal wszyscy obecni mieszkańcy przybyli już po II wojnie, dziedzictwo przeszłości zostało więc zerwane, lecz teraz grupa ludzi, redaktorów i autorów „Prowincji”, próbuje je przywołać, uchronić i spopularyzować. Dolne Powiśle i Żuławy to ziemia krzyżackich zamków, takich jak Malbork, Sztum czy Kwidzyn, ale też zapomniane mennonickie cmentarze i wiatraki, to podcieniowe domy chłopskie, które jeszcze dziś budzą podziw, bo w niczym nie przypominają elementu wiejskiej zagrody, to Sztutowo, dzierżawione swego czasu przez dziadka słynnego filozofa Artura Schopenhauera, a potem obóz koncentracyjny i wiele innych niezwykłych miejsc. Wszystko się tu splata i miesza, ale też przyciąga i budzi zainteresowanie.

Żuławy są też wyjątkowe krajobrazowo – płaskie, pocięte kanałami i rzeczkami, porośnięte wierzbami i sitowiem – są niewyobrażalnie nostalgiczne. Turystycznie nadal nieodkryte, a można tu jeździć na rowerze wędrować, pływać kajakiem czy żaglówką.

A przecież ten region, to nie tylko depresje Żuław, to także rzeki wiślanej delty (Szkarpa, Nogat, Martwa Wisła, Leniwka), strome wiślane skarpy, Mierzeja Wiślana i Zalew Wiślany, a także lasy w okolicy Sztumu. Mam nadzieję, że z kolejnymi numerami kwartalnika będę miał okazję wracać do tych miejsc i ponownie je odkrywać.

Aleksandra Paprot

Żuławskie powroty



Dom podcieniowy w Stalewie, fot.A. Paprot.

Urodziłam się na Żuławach i w moim bliskim otoczeniu często opowiadano sobie o odwiedzinach dawnych mieszkańców naszych domów. Zawsze ciekawiło mnie, dlaczego Niemcy przyjeżdżają tutaj ponownie, robią zdjęcia i proszą o możliwość wejścia do domu, w którym dorastali. Zdarzało się również, że moi sąsiedzi utrzymywali trwałe kontakty z odwiedzającymi oraz wymieniali korespondencje między sobą.

Na moje pytania znalazłam odpowiedź podczas przeprowadzania wywiadów w trakcie badań terenowych na Żuławach Elbląskich. Jedno z pytań zadawanych rozmówcom budziło wiele emocji. Dotyczyło ono spotkań z dawnymi właścicielami domów, które zamieszkują obecni mieszkańcy. Wiele informatorów chętnie opowiadało o takich przyjazdach, zachowaniach odwiedzających i reakcjach im towarzyszących. Pojawiały się również opinie obecnych mieszkańców wsi na temat tych wizyt.

Analizując przyczyny przyjazdów po latach, należy podkreślić, że Żuławy to region, gdzie można spotkać się obecnie z tygłem kulturowym wielu nacji, grup etnicznych i regionalnych. Jest to wynikiem procesów i przekształceń jakie miały miejsce na tym terenie na przestrzeni wielu lat po II wojnie światowej.

Po okresie wojennych niepokoїв i wysiedleniu rodzin pochodzenia niemieckiego z terenu Żuław, zaczęła osiedlać się tutaj ludność napływowa. Boleśław Maroszek podaje, że byli to głównie mieszkańcy województw sąsiednich (głównie gdańskiego), południowo-wschodnich (krakowskiego, lubelskiego, kieleckiego i rzeszowskiego) oraz repatrianci z ZSRR¹. Zasiedlanie omawianego terenu następowało kilkoma etapami, mającymi miejsce na przestrzeni od kilku do kilkunastu lat po wojnie. Stabilizacja i integracja ludności napływowej nie przebiegała łatwo. Rodziło się wiele konfliktów pomiędzy nowymi mieszkańcami a tymi, którzy tu pozostali. Ludność dostawała w posiadanie majątki poniemieckie, a często do jednego gospodarstwa przydzielano nawet kilka rodzin, które musiały koegzystować w jednym domu. Taka sytuacja nie budowała poczucia własności i potrzeby dbania o domostwo, dlatego tak wiele zabytkowych i unikatowych zagród uległo częściowej lub całkowitej dewastacji. Ludzie nie mieli świadomości znaczenia dorobku kulturowego tego obszaru, nie mieli od kogo czerpać wzorców w uprawianiu roli na tak specyficznym terenie. Początkowo napływowi osadnicy prowadzili wybitnie krótkowzroczną politykę maksymalnego wykorzystania zastanych zasobów i uprawiania tylko części otrzymanych gruntów. Choć gleba kusiła swoją żyznością i możliwością osiągnięcia wysokich plonów, to musiało minąć wiele lat zanim zgłębili oni tajniki gospodarowania na terenie depresyjnym, które tak znakomicie znali już wcześniej poprzedni mieszkańcy Żuław.

Warto dodać, że część nowych osadników uważała pobyt na Żuławach za tymczasowy i miała negatywny stosunek do tego regionu. Niepewność bytu, ciągle zagrożenie powodziami, zmiana na klimat charakteryzujący się dużą wilgotnością i wahaniami ciśnienia powodowały u ludzi złe samopoczucie oraz występowanie wielu dolegliwości. Przesiedleńcy nie byli również przystosowani do zwyczajów panujących na tym obszarze. Nowe otoczenie i zderzenie z inną rzeczywistością może świadczyć o swoistym szoku kulturowym charakteryzującym wrażenia, emocje i odczucia nowych mieszkańców². Wiele rodzin, które przymusowo musiały opuścić swoje ojczyzny chciało powrócić po okresie niepokoїв do swoich majątków. W wielu przypadkach nigdy do tego nie doszło i osadnicy musieli zacząć współistnieć z innymi nacjami w nowym, wielokulturowym regionie. Doprowadziło to do wytworzenia nowej tożsamości i wymieszania się wielu kultur, tradycji i obyczajów, co dziś daje efekt ujawniający się chociażby podczas zwykłych sąsiedzkich spotkań w postaci charakterystycznych potraw, zwyczajów itp.

Nowi osadnicy mieli odtąd zacząć funkcjonować w nowej przestrzeni kulturowej. Mieszkańcy ci nie wiedzieli nic o kulturze materialnej Żuław i trudno było im uzyskać jakiejkolwiek informacje na temat dziejów regio-

¹ B. Maroszek, Stabilizacja i integracja społeczna mieszkańców Żuław [w:] Żuławcy Wiślane, red. J. Szukalski, Gdańsk 1966, s. 156.

² A. Drożdż, Wielokulturowość Żuław – raport z badań terenowych [w:] Żuławcy w poszukiwaniu tożsamości, red. A. W. Brzezińska, Pruszcz Gdański-Gdańsk 2009, s. 14.



Maszyna do szycia Singera - ślad po dawnych mieszkańcach Zwierzna, fot. A. Paprot.

głości kultury, jaka była charakterystyczna dla tych terenów przed wojną. Osadnicy, którzy przybyli na Żuławy tuż po wojnie wspominają, że w niektórych miejscowościach mieszkali jeszcze Niemcy. Jednak stereotypy panujące wśród nowych mieszkańców ujemnie wartościowały byłych gospodarzy Żuław. Osadnicy często niechętnie odnosili się do tego, co obce. Mogło to wiązać się z negatywnym heterostereotypem⁴ Niemca, który został wytworzony w świadomości Polaków w wyniku zdarzeń mających miejsce podczas II wojny światowej.

Jednak wśród ludzi, którzy zamieszkali na Żuławach, można było spotkać również pozytywne zachowania wobec ludności niemieckiej, co odzwierciedla przytoczony poniżej fragment wywiadu:

Badacz: Jakie były kontakty pomiędzy Polakami a Niemcami?

K.: No myśmy mieli z tym Niemcem dobry kontakt. On z nami rozmawiał, ja na niego nie mogę nic powiedzieć. Było tak, że po prostu, chciał, żebyśmy się zapoznali, bo on już twierdził jednak, że i tak stąd wyjadą. Żeby się z tymi terenami zapoznać, jak się na nich pracuje. Co można siać, co można robić. Bo on już tak opowiadał w ten sposób.

Badacz: A co się z nim stało potem?

K.: Były transporty, wyjeżdżali do Niemiec.

Badacz.: A on odwiedzał tutaj Panią potem?

K.: Nie, nie odwiedzał, ale kontakt listowny mieliśmy.

Badacz: Czyli wspomina go Pani pozytywnie?

K.: Ja tak. Nie mogę nic powiedzieć na niego⁵.

³ Na podstawie tekstu referatu „Losy poewangelickich i pomennonickich cmentarzy na Żuławach Elbląskich” wygłoszonego w Elblągu przez A. Paprot 26.11.2010 r. podczas konferencji Krajobraz kulturowy Żuław Elbląskich zorganizowana przez UAM w Poznaniu, UA w Poznaniu, UwB w Białymstoku i Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu.

⁴ Heterostereotyp to stereotypowa opinia lub wyobrażenie dotyczące innych lub obcych grup społecznych i etnicznych por. Jaracz. M., Stereotyp w nazwiskach polskich a współczesna świadomość językowa, „LingVaria” 2007, nr 2.

⁵ Informator K. ur. w Żninie. Na Żuławy przybyła w 1946 r. Wywiad przeprowadzony 07.2010 r. we wsi Rozgart przez Z. Poznańską.

Przykład ten pokazuje, że nie zawsze odnoszono się nieprzychylnie do wcześniejszych mieszkańców Żuław. Rozmówcy mówili niekiedy nawet o pomocy jakiej udzielali Niemcom tuż przed ich emigracją z Polski.

Minęło wiele lat nim dawni mieszkańcy Żuław znów stanęli na swojej rodzinnej ziemi. Wcześniej nie przyjeżdżano głównie ze względu na nieprzychylną sytuację polityczną, a także z powodu obaw jakie prawdopodobnie nie wytworzyły się wśród ludności niemieckiej.

Jednak chęć ponownego spotkania z tzw. krainą lat dziecińczych była tak ogromna, że z czasem mieszkańcy Żuław zaczęli zauważać podróżnych, którzy na dłuższą chwilę zatrzymywali się w poszczególnych miejscowościach, oglądali z daleka domostwa i robili zdjęcia. Mieszkańcy początkowo z rezerwą i wrogością odnosili się do obcych, którzy nagle chcieli odwiedzać ich domy i oglądać je w środku. W ich pamięci wciąż jeszcze żyły obrazy z czasów wojny, kiedy to sami byli zmuszeni do opuszczenia swoich domów. Niezapowiedziane wizyty gości zagranicznych budziły różne reakcje:

H. H. Z.: Kiedyś przyjechał Niemiec i mówił, że jest synem gospodarza co tutaj mieszkał.

Badacz: Tutaj w tym budynku?

H. H. Z.: Tak, w tym i mówił, że on się będzie starał w Niemczech, żeby mu tę gospodarkę oddali, że po ojcach się należy i wszystko. A ja mówię proszę pana, a my gdzie pójdziemy? Nam Ruscy nie oddadzą. (...) No tak, jeśli tu, to i tu, ale gdzie tam, tego nie robią. Ale jakoś ucichło. Przyjeżdżali chyba ze trzy lata po kolei.

Badacz: Ten sam pan?

H. H. Z.: Nie, kiedyś młodszy przyjechali.

Badacz: Ale też z tej rodziny?

H. H. Z.: Chyba tak, ale tak się zaczął mądrzyć, zdjęcia robić i wszystko, a ja wyszłam i mówię: proszę pana, nie pozwalam robić zdjęć. Owszem, przed wojną było pana, ale kiedyś było polskie i do Polski teraz należy i ja sobie nie życzę, żeby pan tu zdjęcia robił. No i z tłumaczem był, tłumacz przetłumaczył, zabrali się i poszli. A to tak przyjadą i dużo tak po kryjomu robią, ale oni znają te tereny⁶.

Wypowiedź ta pokazuje, że wśród powojennych osadników panowała pewna obawa, że dawni właściciele będą chcieli dostać z powrotem miejsce, które tutaj zostawili. Potwierdza to również rozmowa z mieszkanką Rozgartu:

Z. G.: A to była taka artystka [Niemka], która jak przyjechała tu do nas to pytała się wpierw o obrazy. Bo tu były bardzo drogie obrazy. Tego nic nie było, nic nie zostało. Została tylko jedna szafa, to oni ją zabrali tę

⁶ Informator H. H. Z. ur. w 1935 r. w Brześciu. Na Żuawy przybyła w 1946 r. Wywiad przeprowadzony 12.07.2010 r. we wsi Zwierzno przez A. Paprot.



Ozdobna klamka w jednym z domów podcieniowych na Żuławach, fot. A. Paprot.

szafę do Niemiec. Tylko tam było, że kupiona jest to gdańska szafa była. Tam był taki (...) wypisany co, w którym roku, kto to kupił⁷.

Inną przyczyną unikania kontaktów z przyjeżdżającymi Niemcami była nieznajomość języka niemieckiego, która uniemożliwiała porozumienie się.

H.: Tu kiedyś przyjechała, (...) ze swoim bratankiem, Niemka. I ona tam mieszkała w tym mieszkaniu,

ale tam jej nie chcieli wpuścić (...) ta kobita sąsiadka pierwsza. (...) I ona tam mieszkała [Niemka] i tam była pukała nikt jej nie chciał otworzyć. A to było z rana. Bałagan w domu, pieluchy, dzieciaki nie ubrane, mówi, gdzie ja tam obcych ludzi wpuszczę. Po niemiecku nie umie, co ja z nimi będę gadała. Tak się tłumaczyła no także nie umiała po niemiecku⁸.

W niektórych wsiach mieszkali jednak osoby, które miały kiedyś styczność z językiem niemieckim. Często byli to ludzie pracujący podczas wojny na robotach przymusowych w Niemczech. Po wojnie w swoich miejscowościach stali się oni pewnego typu pomostem pomiędzy byłymi, a obecnymi mieszkańcami. Dzięki nim ludzie powoli zaczęli przychylniej odnosić się do Niemców i rozumieć przyczyny ich przyjazdów. Choć często dawni właściciele i ich potomkowie przyjeżdżali z własnymi tłumaczami, to jednak na podstawie przeprowadzonych badań wynika, że nowi osadnicy czuli się pewniej, gdy osobą budującą nić porozumienia był dobrze znany im sąsiad. Tworzyło to większe poczucie zaufania i pewności.

Współcześni mieszkańcy Żuław wspominają, że gdy byli jeszcze dziećmi, to przyjeżdżali Niemcy, którzy rozdawali im cukierki. Były to czasy, kiedy na półkach polskich sklepów nie łatwo było dostać słodczyce. Jak przyznają rozmówcy, to wydarzenie pozytywnie wpłynęło na postrzeganie tych wizyt w życiu dorosłym. Inni z kolei mówili, że zdarzało się, iż Niemcy dawali nowym właścicielom domów pieniądze, by ci dbali o ich utrzymanie.

Warto podkreślić, że celem przyjezdnych było często odwiedzenie cmentarza i grobów swoich bliskich. W wielu wypowiedziach informatorzy mówili o tym, że to właśnie one były dla odwiedzających miejscem szczególnej zadumy i troski.

⁷ Informator Z. G. ur. w 1933 r. w 1947 r. w Walentynowie. Na Żuławy przybyła w 1947 r. Wywiad przeprowadzony 11.07.2010 r. we wsi Rozgart 13.07. 2010 r. przez A. Kotowicz.

⁸ Informator H., ur. w 1934 r. w Bielsku. Na Żuławy przybyła w 1947 r. Wywiad przeprowadzony 11.07.2010 r. we wsi Krzyżanowo przez M. Paluszek.

M.: Przyjechała córka tego właściciela. Przyjechali taksówką z Elbląga i jeszcze we dwie, trzy koleżanki, bo w Jasionnie mieszkali i przyjechali na cmentarz. Ale to tam było zarośnięte⁹. Wizyty na starych poniemieckich nekropoliach spowodowały, że powoli zaczęto zauważać problem zaniedbania i dewastacji tych miejsc.

Przyjazdy Niemców po wojnie do dawnych posiadłości stały się również początkiem niezwyklej przyjaźni i trwałych kontaktów polsko-niemieckich. W pewnym momencie wielu nowych mieszkańców Żuław zaczęła ciekawić przeszłość tych terenów, a goście zza granicy mogli stać się znakomitymi informatorami, którzy opowiedzą o dziejach ich miejscowości. W czasie badań terenowych rozmówcy często podkreślali, że wiedzą kto mieszkał dawniej w ich domu i we wsi, bo dowiedzieli się tego od byłego właściciela domu, który kiedyś u nich był.

Spotkania z byłymi właścicielami i ich potomkami, jak w przypadku mieszkanki Stalewa przerodziły się w przyjaźń:

E. S.: (...) przyjeżdżał ten gospodarz tutaj z żoną, z bratem. Ale płakał, ojoj. Łapał się za drzwi, płakał. Jeszcze mu klucz oddałam. Mówię masz pan, przyjedzie jeszcze kiedyś pan, to pan otworzy. To jak on ścisnął ten klucz. To już był starszy człowiek.

Badacz: Ten starszy to tylko raz był?

E. S.: Ten starszy to raz, ale jego brat to jeszcze przyjeżdżał. O jak myśmy się zaprzyjaźnili, choć mi tego naprzysyłali: paczki, ryż, cuda. (...)

Badacz: A mówili skąd są i gdzie mieszkają teraz?

E. S.: Mieszkają w Niemczech i oni nas też zapraszali¹⁰.

Podobną sytuację opisuje mieszkanka Kępniewa:

J. W.: (...) my tutaj mamy Niemkę. Która żyje jeszcze, która się tutaj urodziła. Ona jeszcze co kilka lat, co 2 – 3 lata odwiedza z mężem. Teraz mąż umarł to sama teraz.

Badacz: A gdzie oni mieszkają teraz?

J. W.: W Hamburgu, to ona przyjeżdżała tutaj.

Badacz: A to taka starsza pani?

J. W.: No starsza, ponad 80 lat już ma, ale zaprzyjaźniliśmy się. Piszemy do siebie. Ona 15, czy 20 lat miała jak uciekła.

Badacz: Tam po wojnie już pewnie?

J. W.: W czasie wojny, jeszcze przed frontem do Gdyni na statek i do Hamburga do Niemiec tam. (...) bo ona nam opowiada jak to kiedyś gospodarzyli, jak dziadek gospodarzył, potem ojciec. A potem my opowiadamy, jak my gospodarzemy.

⁹ Informator M., Wywiad przeprowadzony 07. 2010 r. we wsi Gronowo Elbląskie przez Z. Poznanską.

¹⁰ Informator E. S. ur. w 1930 r. w Koźle. Na Żuławy przybyła w 1947 r. Wywiad przeprowadzony 13.07.2010 r. przez A. Paprot.

Badacz: A pamięta pani, od którego roku jej dziadkowie tutaj mieszkali?

J. W.: Nie, tego nie. Trudno się dogadać, bo mieliśmy tłumaczkę, to tak przez tłumaczkę. Ona po niemiecku, to my się nie dogadujemy tak. A ona teraz jak pisze do mnie, to ma Polkę opiekunkę i po polsku pisze. W ten sposób się porozumiewamy¹¹.

Niektórzy informatorzy otrzymywali zaproszenia od przyjezdnych, by odwiedzić ich w Niemczech. Mieszkańcy Żuław, o ile mieli taką możliwość, chętnie z zaproszenia korzystali i nawet kilkakrotnie byli za granicą u dawnych właścicieli swoich domów. Świadczy to zarówno o chęci podtrzymywania kontaktów, jak i o potrzebie budowania świadomości dotyczącej dziedzictwa kulturowego Żuław.

Byłym mieszkańcom Żuław odwiedzającym te tereny towarzyszyły różne emocje. Często była to niepohamowana radość z ponownego znalezienia się w krainie lat dziecińczych. Bywało również, że na ich twarzach gościł smutek i pojawiały się łzy wzruszenia oraz nostalgia za tym, co minęło i już nigdy nie powróci. Tym, co pozwalało im otrzeć łzy były spotkania z nowymi mieszkańcami ich żuławskich domów.

Dowiadując się, że pojedynczy mieszkańcy wsi podejmują rozmowę z gośćmi zza granicy, pozostali z czasem stawali się bardziej otwarci wobec Niemców. Chętniej zapraszano ich do domów, pokazywano jak zmieniło się gospodarstwo i sąsiednie budynki. Spotkania takie kończyły się rozmową przy kawie, a czasem Żuławiacy nawet proponowali gościom nocleg.

Obecnie przyjeżdża coraz mniej dawnych mieszkańców Żuław – są oni starszym pokoleniem, które często nie jest już w stanie samodzielnie się poruszać i ma problemy ze zdrowiem. Dlatego też dziś najczęściej odwiedzającymi wsie, domy i cmentarze żuławskie są ich potomkowie, którzy poszukują na Żuławach miejsc, gdzie dorastali ich przodkowie.

¹¹ Informator J. W. ur. w 1939 r. w Choraju. Na Żuławę przybyła w 1947 r. Wywiad przeprowadzony 12.07.2010 r. przez A. Paprot.

Jacek Albrecht

Portret

Bajka o maskach na motywach życia

„A całe życie ludzkie czymże jest innym jak nie jakąś komedią, w której każdy występuje w innej masce i każdy gra swoją rolę, dopóki Reżyser nie sprowadzi go ze sceny? Każe on jednak nieraz temu samemu człowiekowi występować w różnych rolach, tak że ten, kto niedawno w purpurze grał króla, teraz odgrywa służkę odzianego w łachmany. Pewnie wszystko to gra cieni, ale nie inaczej i z tą komedią ludzkiego życia.”

Erazm z Rotterdamu „Pochwała głupoty”



Zadziwiające, jak fascynujące opowieści snuje wokół nas prawdziwe życie. Nie zauważamy ich na ogół w pędzie codziennych spraw, ale gdy nieco na chwilę zwolnimy zaskakuje nas łatwo opowieść mądra i piękna, nieraz smutna, ucząca i z morałem, o którą otrzeć się można dosłownie wszędzie. I czasem aż żal, że ulec ma ona po prostu zapomnieniu. Próbuje więc niekiedy, nawet bez zawodowej wprawy pisarskiej, spisać ją ku pożytkowi i radości bliźnich.

Właśnie jedna z takich historii rozwijała się niespiesznie już wiele lat temu w sennej atmosferze prowincji daleko gdzieś na północnym wschodzie naszego pięknego kraju. Wydała mi się ona pouczającym przykładem żartu, jakiemu czasami poddawane jest nasze życie. Ostrzega ona też przed pochopnym traktowaniem zbyt serio tego, co nas niejednokrotnie spotyka.

Była właśnie ciepła, wczesna jesień, kiedy to wyczerpany wyjątkowo trudnym końcem lata w firmie, wybrałem się na kilkanaście dni, by odechnąć, w okolicy pewnego nad wyraz spokojnego miasteczka. W gościnnych progach wujostwa ze strony matki spędzałem tam dni leniwie na spacerach, czytaniu i pasjansach pomału wracając do sił i zdrowia. Ich serdeczny dom lubiłem odwiedzać szczególnie, czując wyjątkową moc regenerującą tej niespotykanej urokliwej okolicy. Po jakimś czasie odkryłem też zaskoczony, że właśnie takie miejsca stają się jakże często źródłami baśni. Świat w nich bywa lekko zamglony, a ludzie o zdziwionych oczach nieporadnie wydają się tam chodzić po ulicach pełnych marzeń. I tak na uliczce Przymurnej na przykład mieszkał w owym mieście pod numerem 9 pewien, niemłody już, malarz artysta. Ksawery, bowiem zaprzyjaźniliśmy się z czasem, był osobnikiem neurastenicznie wręcz wrażliwym, usiłującym wciąż przeróżnymi maskami bezpieczeństwa otaczać swoją udręczoną duszę. Wysoki i nad wyraz szczupły, od lat swym żurawim krokiem przemierzał okolicę w poszukiwaniu tematów malarskich, aż z czasem stał się charakterystycznym elementem krajobrazu okolicznych łąk i ścieżek. I chociaż nie był w zasadzie tak naprawdę „miejscowym”, zdawało się, że jest tu od zawsze tak idealnie dopasował się do klimatu penetrowanych zakątków. Przed laty, nie dogoniwszy marzenia w postaci pewnej efemerycznej brunetki, przystanął tu na chwilę, aby złapać oddech. Nastroje, jakie odkrył w pobliskich pejzażach, współgrały z jego własnymi, a malowanie ich leczyło pomału jego chore serce. I tak niepostrzeżenie minęło blisko dwadzieścia lat. Spotykałem go czasami, gdy ze szkicownikiem w rękę chodził swoimi ścieżkami i coraz to czymś zadziwiony, notował tematy do możliwych prac. Penetrował w ten sposób w poszukiwaniu natchnienia okoliczne lasy oraz najbliższe wioski i gawędziliśmy chwilę kiedy nasze drogi przypadkowo się spotkały. Opowiadał mi wówczas kilka minut o swojej pracy i życiu. Wyznał, że po latach automatycznie znajduje już widoki, które się będą sprzedawać. Maluje je potem bez radości, ale jedynie to potrafi robić. Czasami jednak zdarzało

się inaczej. Bywało, coraz rzadziej wprawdzie że podczas swych wędrówek spotykał coś prawdziwie pięknego, co trwale zostawało mu w oku. Podniecony budował wtedy w głowie obraz, jaki bardzo chciałby namalować. Stopniowo widział go coraz wyraźniej, aż nie mógł myśleć o niczym innym. Wracił więc w owo miejsce, wykonywał mnóstwo szkiców i opracowywał szczegóły. Czasami też malował bezpośrednio już w plenerze a w pracowni tylko wykańczał dzieło. Potem napięcie powoli opadało, uspokajał się i był gotów zobaczyć nowe piękno wokół. Tak powstawały jego najlepsze prace. Był do nich potem ogromnie przywiązany i ich nie sprzedawał, toteż i zwykle chodził biedny. Gdy nie mógł jednak z jakiegoś powodu stworzyć wysnionego płótna nosił nie powstały obraz w głowie i bardzo się męczył. Nie był w stanie malować nic innego, więc próbował z pamięci odtworzyć dręczący go widok. Knoty, które wtedy powstawały niszczył i był coraz bardziej nieszczęśliwy.

Ostatnio prawie przestał naprawdę malować. Nie znajdował już też pięknych rzeczy wokół...

Miał w miasteczku paru przyjaciół, u których bywał, żeby do reszty nie zdziwaczeć. Że zaś był człowiekiem płochliwym, ubierał wtedy swój najlepszy, czarny sweter i siedł na tak zwane przyjęcie w przebraniu artysty.

A przyjęcia, w owym mieście zwane rautami, na których go od czasu do czasu widywałem miały starą, latami uświęconą tradycję. W pierwszą sobotę miesiąca odbywał się więc zawsze raut u doktorostwa L. Pojawiali się tam znajomi państwa domu, lekarze z okolicy, a czasami też ładne pielęgniarki ze szpitala sanatoryjnego w lesie. Jedzenie u L. było zawsze dobre, a i pić mógł, ile chciał. Zaglądał do nich żeby zobaczyć twarze z obcego mu świata, pożartować jak miał dobre dni, lub upić się na smutno. Druga sobota natomiast należała zwykle do proboszcza, który, jako jedyny, spotkania u siebie nazywał „herbatkami”. Tam znów grywano w brydża popijając niezłe wino z księżowskiej piwnicy i zającąc się wspaniałymi ciasteczkami domowej roboty gosposi. Ale obaj najchętniej chodziliśmy w ostatnie comiesięczne soboty do starego aktora od lat osiadłego tu na emeryturze. Pan Mieczysław znał wiele przedziwnych, życiowych historii i chętnie je do późna opowiadał. Szczególnie zaś lubił snuć opowieści o maskach. A maski, jakie ludzie zakładali na scenie i w życiu frapowały Ksawerego niezmiernie. Jako malarz próbował nawet uprawiać portret, ale niezmiernie rzadko udawało mu się odsłonić prawdziwą twarz modela. Nieraz nie mogliśmy się obaj nadziwić, jak ktoś może przeżyć życie, żeby spod jednej, odsłonić co najwyżej drugą maskę i nigdy nie pokazać twarzy. Stary mistrz znał wielu takich ludzi; aktorów, którym przyrosły do oblicza fragmenty granych ról, ale nie tylko. Opowiadał też o porcelanowych lalkach w sztucznym świetle fałszywych uśmiechów z zabawkami zamiast serc. Współgrało to z nastrojami romantycznej duszy Ksawerego, który smętnie rozmyślał wtedy o komedii, jaką

każdy z nas gra na tym świecie. Mi przychodziła wówczas na myśl piękna i pusta w środku Olimpia z „Opowieści Hoffmana” Offenbacha, jaką niegdyś na długo zapamiętałem w interpretacji zespołu MET.

Na jednym z takich przyjęć, gdy swoim zwyczajem siedział zaszyty w najciemniejszy kąt z butelką Bourbona, wyrwany został nagle z półdrzemki, bprzedstawiano mu bowiem akurat siostrzenicę gospodarza domu. Tak poznał Martę. Stała przed nim uśmiechając się niepewnie niepozorna, w stroju modnym w owym czasie wśród młodzieży. Zobaczył więc niezasnurowane glany, sztruksowe dżinsy, kilka bluzek i przepastną kurtę nieokreślonej barwy, choć był środek lata. Twarz podkreślał jeden cienki, misternie upleciony warkocz z kolorową wstążką. Miłe dziecko, pomyślał, ale poderwał się z oporem i rozmawiali czas jakiś. Pod ładnymi dość wokalami stroju, makijażu, hardych słów i gestów wyczuł tą samą niepewność i strach przed okazaniem zaufania, jakie i jego dręczyły całe życie. Bratnia dusza, pomyślał i zaczął ją dyskretnie obserwować. Dziewczyna rozmawiała wesoło przechodząc od grupy do grupy, hałaśliwie kryjąc swoje zagubienie. Spostrzegła, że jej się przygląda i zaczęła uśmiechać się do siebie ukradkiem. Ożywił się, a gdy zażartował coś głośno, obróciła głowę w jego stronę unosząc jednocześnie rękę w geście ni to zdziwienia z figlarną iskierką w poważnych zwykle oczach. No i przydarzyło mu się wówczas to, czego nie doświadczył już od dawna. Marta, całkiem zwyczajna dotąd chociaż miła panienka wydała mu się w tym geście naprawdę piękna. Wydało mu się że znowu znalazł piękno tego świata. Odruchowo zagadnął czy nie zechciałaby mu pozować. Lekko zdziwiona zgodziła się powtarzając gest ręki, który na niego tak podział. Oszołomiony wybiegł nie pożegnawszy się z nikim i od razu zaczął wyobrażać sobie obraz, duży dość, żeby pomieścić w niemal naturalnej wielkości lekko odwróconą głowę, tors pół tyłem gdzieś do pasa i ową rękę w geście zdziwienia. No i te figlarne ogniki w oczach. Wyobraził sobie też, że podaruje jej skończone dzieło i to będzie taka ładna scena w jego życiu. Ale chociaż dziewczyna zgodziła się, nie był do końca pewien, czy naprawdę zechce mu pozować i to w tak trudnej pozie, więc spróbował się z nią spotykać na gruncie lekkiego flirtu. Posprzątał w pracowni, gdyby zechciała wstąpić na herbatę (wyrósł bowiem na Stachurze i herbata była dla niego zawsze gestem przyjaźni). Sprzedał nawet jedno ze swych ulubionych płócien (start żurawi z mgły na Mazurach, gdzie wybrał się wiele lat temu), żeby móc ją zaprosić na obiad.

Marzył, że zostanie jego muzą. W końcu zebrał się na odwagę, ale na propozycję konkretnego terminu pozowania zobaczył tylko dziecinny nieco, zdziwiony gest ręki tak jakby z półobrotu i może jakiś niechętny błysk w oku. Było to bardzo podobne do tego, co chciał namalować, tym razem jednak nie zrobiło już na nim takiego wrażenia. Zaskoczony nadal spotykał się z dziewczyną ponawiając swoją propozycję, ale za każdym razem oglądał

tylko ten sam zdziwiony gest, za którym nie mógł już dostrzec twarzy. Stał się rozdrażniony i natarczywy, a ona w końcu zaczęła go unikać. Łączyło ich jeszcze czas jakiś wspomnienie, o którym opowiadał mi z błyszczącymi oczami, poruszony do głębi, choć minął z górą rok gdy odwiedziłem ponownie wujostwo w okolicy i spotkaliśmy się przy niedrogiej whisky w ogródku miejscowej kawiarni.

Było późne lato, gdy znajomy zaproponował mu odstąpienie na parę dni wynajętej łódki. Zwykła mała kabinówka nie robiła zbyt dobrego wrażenia, ale kiedyś przepadał za łopotem żagli i chlupotem wody o kadłub. Nie pływał już jednak od lat, gdyż po spotkaniu kilku niepotrzebnych, bezsensownych śmierci na wodzie nabawił się urazu. Lecz kiedy opowiedział o tej propozycji Marcie, ona ucieszyła się tak jakoś spontanicznie i ładnie, że zgodził się na wspólny, krótki rejs, niepewnie. Wy płynęli więc, ona uczyła się z zapalem sterować, a on śpiewając fałszywie stare szanty cieszył się wodą i jej towarzystwem. Wiały łagodne wiatry, toteż sunęli niespiesznie wzdłuż brzegów pokazując sobie nawzajem co ładniejsze widoki i gaworzyli radośni przygodą. Jednak gdy zapuścili się na zbyt otwartą wodę, przydarzyło im się to co zdarza się, zwłaszcza późnym latem: dogoniła ich gwałtowna burza. Ściemniało, a spokojne dotąd wody podniosły się w spore, pienne fale. Łagodny zrazu wiatr zaczął szarpać porywistymi szkwałami. Niepozorny jachcik coraz to przechylał się gwałtownie nabierając wodę burtami. W ciemności i deszczu brzeg całkiem zniknął im z oczu. Do tego grzmiało. Po wielu latach nie pływania sytuacja wydała mu się groźna i poczuł się niepewnie. I wtedy naraz z Marty opadły wszystkie maski. Okazała odwagę, spokój i zaufanie, jakiego potrzebował. Zręcznie pomagała mu w manewrach ryzykując wypadnięciem gdy popełniał proste błędy. Przemoczona i zmarznięta nie skarżyła się, a scena dobijania do pomostu, gdy odbity od pobliskich drzew, gwałtowny powiew spychał ich łódź na otwarte jezioro, a ona uczepiła się rękami desek zanim rzucił cumę, zostanie mu w oczach na całe życie. Poczuł też wtedy dla niej coś, jakby szacunek...

Minął jednak już czas jakiś i zapal jego gaś powoli. Jak zwykle obrazu, który już nosił w oczach nie udawało mu się wyrzucić żadnymi sztuczkami. Nie pomogło rysowanie smętnych karykatur dziewczyny z pamięci, ani drobne pod jej adresem złośliwości. Pisywał też do niej smętne „poetyckie” listy, których nie wysyłał... Pisał na przykład, że czuje się jak stara harfa, w której potrafiła niechcący naraz wszystkie zakurzone struny. Że wydobył się z nich jakiś jazgot, kakofonia, która mogła ją wystraszyć i w której się zagubił. Zaczął udawać, ale brzmiało to fałszywie więc uciekła i już to rozumie. Wyobraził sobie nawet że się w niej nieszczęśliwie zakochał, ale tu ona okazała się mądrzejsza i nie dała się zwieść jego egzaltacjom. W końcu wyjechał na dłużej, jednak obraz piękna, którego nie udało mu się uchwycić na płótnie podążył za nim i dręczył go koszmarami. Pił coraz więcej, stacza-

jąc się pomału w sen alkoholowych majaków. Życie wśród nich było łatwiejsze, byle oczywiście nie dopuścić do ciężkiego kaca. Na koniec klinował już byle czym i z byle kim i temu poświęcał całą, pozostałą mu uwagę i zaradność. Gdy już niezbyt jasnym okiem oglądał w miejscowym barze okolice dna ludzkiej godności przydarzył się dziwny traf, który go w efekcie uratował. Przypadkowa melodia w radiu przypomniła mu jedną z dawnych oper, na których lubił bywać mieszkając jeszcze w dużym mieście. Pociągał go wówczas zaczarowany krajobraz połączonych muz: muzyki i teatru zaklęty w nieśmiertelnych przypowieściach o życiu. I naraz przeniósł się ponownie w świat „Opowieści Hoffmana”, świat masek i pozorów taki jak go niegdyś zrozumiał, niby wesoły a jednak poważny, wręcz w głębi tragiczny. Stały mu znów przed oczami trzy różne maski tamtej dziewczyny, jej trzy różne odbicia w marzeniach bohatera i umykająca mu rzeczywistość możliwego szczęścia. W przeblasku trzeźwości zrozumiał też w końcu swoją sytuację. Dotarło do niego, że prawdziwego oblicza Marty nie pozwalały mu zobaczyć nie tylko jej maski. Spostrzegł, że po latach, gdy praktycznie naprawdę nie malował, przylepiło się i jemu coś do twarzy, co mu fałszowało świat. Coś co ona wyczuła i nie chciała, żeby na nią przeszło - choćby na portrecie. Prawda, jaką ujrzał, była gorzka: zakłamaný pozer, jakim się stał, nie budził sympatii. Pojął, że aby namalować wymarzony portret nie wystarczy, że tego tak mocno chce, musi jeszcze do tego dorosnąć. Musi ponownie oczyścić serce, a on w ogóle zapomniał, że posiada taki organ. Jego rozum świetnie radził sobie sam. Rozmyślając o tym popadł w swoje najczarniejsze przynębenie, ale tęsknota do piękna obudzona przez dziewczynę nie dała mu już trwać w tym stanie nazbyt długo. Zaczęła ogarniać go też coraz większa złość na marnowany czas. Posunął się nawet do kilkudniowej głodówki, żeby doprowadzić do przełomu. Jeszcze większa złość, jaką tam spotkał, złość na siebie, że tak daje się wodzić za nos emocjom dała mu w końcu niezbędną siłę do przemian.

Spotkałem Ksawerego ponownie gdy w okolicę przywiodły mnie znowu rodzinne sprawy. Wujostwo sprzedawali akurat dom za duży dla nich na starość i przenosili się do mniejszego lokum w mieście, w czym niezbędna im była moja pomoc. Gdy przy kilku późnych butelkach Rieslinga w jego małej pracowni snuł swoją opowieść widziałem, że już rozpaczliwie szuka ratunku. Wspomniałem wówczas o ośrodkach, gdzie uczą tradycyjnych technik refleksyjnych, z których czasem też korzystałem.

Pobieranie nauk tego typu stawało się modne w owych przełomowych czasach. Kraj otwierał się właśnie na świat, a tam ludzie jak on nieco nieprzystosowani, w stresach ciągłej gonitwy za sukcesem od lat już szukali wytchnienia i refleksji w mądrości dawnych tradycji. Szczególnie ceniono sobie wiedzę dalekiego wschodu. Wkrótce i u nas pojawiła się w tłumaczeniach bogata literatura, którą pomału poznawał, a nauczyciele z Indii czy

Chin docierali już także w jego strony. Po namyśle Ksawery zdecydował się na wczasy ze szkoleniem Chi-kung, co zrozumiałem w wolnym przekładzie jako naukę o energii świata. Są to też chińskie ćwiczenia lecznicze o tysiącletniej tradycji. Jest to również sposób życia prowadzący przez ćwiczenia i medytacje do stopniowej poprawy przede wszystkim zdrowia fizycznego, ale i psychicznego. Dowiedziałem się, że Ksawery wybrał się tam kilka razy, ale początki miał trudne. Ciało jego było w stanie głębokiego zaniedbania. W swoich smętnych nastrojach nie uprawiał żadnych sportów. Nabawił się zrostów kręgosłupa w kilku miejscach, skarżył się też na nerki. Nogi miał coraz słabsze (Chińczycy twierdzą, że starzejemy się od nóg), oraz spory brzuszek. Do tego palił za dużo. Kolejne pobyty na „obozach” przynosiły jednak kolejne przełomy w jego ciele i pomału zaczął się wciągać. Pogodny nastrój utrzymywał się też coraz dłużej. Po euforii pierwszych spotkań doszedł wkrótce do okresu ciężkiej i na ogół bolesnej pracy nad sobą. A plan zapowiadał się na lata... Z czasem został instruktorem, głównie po to, żeby samemu zmobilizować się do systematyczności ćwiczeń. Jeździł też regularnie na spotkania z mistrzem kilka razy w roku. Poważnie zaczął traktować naprawę swojego zaniedbanego ciała i umysłu. Towarzyszące ćwiczeniom medytacje prowadziły równocześnie do wyciszenia i skupienia myśli, łagodzenia napięć psychicznych i stresów. Dobrze się też czuł wśród ludzi, którym zależało na tym samym co i jemu. Rozumieli się, pomagali sobie wzajemnie i czuł się wśród nich bezpiecznie. Bo gdy wyciągał na przykład swój dyskopatyczny, pokrzywiony i pozrastany kręgosłup to po prostu bolało. A gdy przełamywał kolejne skostnienia umysłu, targały nim rozhuśtane emocje. Ale po każdym takim pobycie miał uczucie że wraca odrobinę mądrzejszy, że odrobinę jaśniej myśli i ma odrobinę sprawniejsze ciało.

Poczuł też po jakimś czasie jak zdrapują mu się z twarzy kolejne warstwy udawania. Z czasem ćwiczył coraz regularniej, aż jego serce i umysł osiągnęły względny spokój. Wtedy na pomoc przywołał duchy przodków. Zaczął malować portrety bliskich co odeszli i o których niemal zapomniał. Mozolnie uczył się od nowa pokory i szczerości. Zaczął lubić ludzi, nawet gdy czasem zasłaniali się gestem czy przesadnym makijażem. Zauważał też teraz ich samych, a nie tylko formy jakie tworzą w przestrzeni. Niektórych malował. Przeniósł się też wkrótce do dużego miasta, gdzie otworzył wymarzoną pracownię portretu.

Portret był dziedziną sztuki, do której Ksawery długo nie mógł znaleźć własnej ścieżki. Ciągnęło go do niego zawsze, ale nawet w najlepszych latach nie uprawiał go zbyt często. Zwykle miał duże trudności z nakłonieniem modela do tego by pozował mu tyle czasu ile potrzebował i obrazy powstawały niedokończone. Wymagał też wtedy od siebie wielkiej koncentracji, co wyczerpywało go bardzo i nie dawało pełnej satysfakcji. Gdy zaś osłabł, uznał że wszystko co maluje jest portretem świata i przestał zabiegać o malowa-

nie podobizn ludzkich. Wydumał też sobie, że namalowane twarze zostaną mu w głowie upiorami i będą go straszyć w koszmarach. Próba przełamania tego stanu z Martą zakończyła się klęską i jeszcze bardziej pogłębiła jego nieufność do tej formy twórczości i do ludzi w ogóle. Dopiero gdy już kilka lat pracował nad sobą zatęsknił ponownie za pracą z człowiekiem i dla konkretnego człowieka - zatęsknił za portretem. Wtedy też przestał się bać. Inaczej także, dojrzałej zobaczył tę formę sztuki. Portret wydał mu się teraz jedną z najtrudniejszych do uprawiania dyscyplin artystycznych. Przypominał operę. Był połączeniem formy, a więc wizerunku modelu z treścią czyli nastrojem, muzyką jego duszy. Był również dziełem plastycznym – obrazem – a więc zakomponowanym świadomie układem plam barwnych, linii i faktur na płaszczyźnie mających własne reguły oddziaływania. Był ponadto dziełem sztuki, a więc nowatorskim rozwiązaniem problemu artystycznego przez twórcę. Należało najpierw więc uchwycić formę i tu Ksawery nauczył się korzystać z nowoczesnych technik cyfrowych. Następnie trzeba było otworzyć się na drugiego człowieka aby pokazać mu swoją prawdziwą twarz licząc że pozwoli on zobaczyć swoją. Tu z kolei pomocne były ostatnie lata ćwiczeń refleksyjnych. No i wreszcie przekazać to na płótnie. Problemy plastyczne a więc kompozycję linearną, barwną, przestrzenną, perspektywę, wiedzę o fakturach, opanował jeszcze w szkole. Panowanie nad nimi przyniosły tu lata praktyki dając mu z czasem tak zwany „warsztat”. W sferze sztuki zależnej od talentu w ogóle czy od chwilowego natchnienia zdawał się na instynkt, który raz podsuwał mu ciekawsze, raz mniej ciekawe rozwiązania. I jeszcze pamiętał żeby nie trwało to zbyt długo i żeby wyszło lekkie i spontaniczne a nie ciężkawe i wymęczone. (Chyba jednak trzeba to zajęcie najpierw po prostu bardzo polubić – myślał czasem.) Ksawery w każdym razie uznał, że chce to robić, lubi to robić i że jest już na to gotowy. I faktycznie, było coraz więcej zamówień na jego niezbyt tanie prace i wiodło mu się coraz lepiej. Nie dręczyły go też już nocnymi koszmarami cudze ani własne maski.

Gdy odwiedziłem go latem w jego miejskiej pracowni i podziwiałem wiszący nad kominkiem wyjątkowo ujmujący obraz przedstawiający młodą kobietę, usłyszałem do kilku piw bezalkoholowych przedziwne zakończenie tej historii.

Gdzieś pół roku po przeprowadzce Ksawery spotkał na ulicy Martę. Nie chodziła już w glanach. W ładnej sukience, włosy miała spięte do tyłu, tylko bok twarzy podkreślał cienki, misternie spleciony warkoczek z kolorową wstążką. Zaskoczeni patrzyli na siebie czas jakiś nieufnie, aż udało im się usiąść przy małej kawie i lampce koniaku na tarasie pobliskiej kawiarni. Na moment wróciły jego stare lęki, ale nie było już w nich tamtej agresji. Po chwili ciepło już patrzył na nią jak na dawną i dobrą znajomą. Ona opowiadała nieco nerwowo o kolejnej szkole, którą kończy, aż zapytała lekko się

rumieniąc czy ciągle chce ją namalować. Ucieszył się trochę nienaturalnie, ale umówili się następnego dnia w pracowni. Poprosił, żeby ubrała się w to, co najbardziej lubi nosić, a do pozowania usiadła w pozie, w jakiej się czuje najwygodniej. Spostrzegł jeszcze w kawiarni, że ciągle robi czasami ten sam zdziwiony gest, który pamiętał, ale nie widział już w tym nic ani specjalnie pięknego ani też denerwującego. Płótno, jakie powstało było jednym z jego najbardziej udanych. W łagodnej tonacji dominowały ochry i ciepłe ziemie z nutami błękitu celurowego jaki lubił. Marta była na nim trochę dzieckiem i trochę kobietą. Nieco smutna, w oczach miała ufność i figlarne ogniki. Podał go też jej jak niegdyś zamierzył i miała go wkrótce odebrać.

Ksawery wiedział jednak, że nie powstał obraz, jaki niegdyś zapragnął namalować. Teraz Marta była już innym człowiekiem, a i on się zmienił. To już inny malarz namalował portret innej dziewczyny. On nie miał tamtego entuzjazmu, a i jej rysy odmieniła patyna pierwszej dojrzałości. Nie byli też tak jak wtedy zagubieni. A przecież wówczas najbardziej chciał uchwycić tamten właśnie stan jej duszy – wystraszonej i samotnej, schowanej za maską dziecinnej jeszcze nieco arogancji i tak bardzo korespondujący z jego własnymi nastrojami. Ukrywane pod różnymi maskami właśnie, zagubienie i samotność człowieka w spieszącym się coraz bardziej świecie miała być prawdziwym tematem obrazu, jaki to sobie wtenczas ambitnie zamierzył.

Obecnie powstał zaledwie dobry (a jak upierali się niektórzy znajomi bardzo dobry) portret. Patrząc na niego Ksawery czuł ciągle lekki żal, że nie potrafił sprawić, aby Marta mu wtedy zaufała. Niecierpliwie też czekał aż odbierze obiecane dzieło i zamknie się ostatecznie tamten okres w jego życiu.

Klewki 2000/Malbork 2010

Tomasz Wandzel

Portret motyla

Wczesnym porankiem Dobre Miasteczko budzi się do życia. Gdzieś za-
szczeka pies, gdzieś zapieje kogut. W Dobrym Miasteczku nikogo nie dzi-
wi ani jedno, ani drugie. Normalnym jest też, że każdego dnia punktualnie
o szóstej dwadzieścia w pobliżu rynku rozlega się rżenie konia. Takie już
są małe miasteczka, że niby mają prawa miejskie, a tuż pod urzędem lu-
dzie hodują kury, kaczki, króliki, a nawet konie. Dla mieszkańców Dobrego
Miasteczka jest to naturalne. Tak naturalne, jak mróz w lutym albo tęcza po
burzy. Są jednak takie wydarzenia, które zmieniają ustalony od lat porządek
rzeczy. Odciskają głębokie i precyzyjnie wyraźne piętno na społeczności,
której dotyczą. Tak też stało się tego letniego dnia w Dobrym Miasteczku.

Właściwie nikt nie wiedział skąd wzięła się nazwa Dobre Miastecz-
ko. Czy było ono dobre? Było zwyczajne. Mały od dawna nie remontowa-
ny rynek, kilkanaście sklepów, kościół, dwie knajpy, zamknięty na głucho
budynek dworca kolejowego, szkoła i ośrodek zdrowia. Taki byłby pobież-
nie nakreślony szkic Dobrego Miasteczka. Ale ktoś, kto poświęciłby nieco
więcej czasu na poznanie miasta wiedziałby, że jest on pozbawiony tego co
najważniejsze, czyli ludzi. Pierwszą, która zauważyła że coś się dzieje była
Martyniakowa. Emerytowana pracowniczka kolei każdego ranka szła na
przejazd kolejowy niby to na spacer, ale wszyscy wiedzieli, że idzie zoba-
czyć czy czasami nie nadjedzie osobowy z Lublina do Kielc. Ostatni pociąg
przejechał przez dobre Miasteczko w dniu, gdy cała Polska ruszyła do refe-
rendum by wybrać wolność. Dla mieszkańców Dobrego Miasteczka był to
koniec pewnej epoki, już nigdy nie mieli słyszeć pod swoimi domami stu-
kotu jadących pociągów. A dla Martyniakowej dzień, gdy po raz ostatni jako
drużniczka zamykała szlabany na przejazd osobowego z Lublina do Kielc.
Jeszcze teraz na wspomnienie tego dnia w kącikach starych już oczu zbierają
się łzy. Minęło kilkanaście lat, w ciągu których pochowała męża, doczekała
się sześciorga wnucząt, ale tylko wspomnienie osobowego z Lublina do Kielc
potrafiło wyzwolić w niej płacz. Dochodząc tego poranka do przejazdu zo-
baczyła jadący drogą wóz cyrkowy. Dziwne dla niej było, że jechał sam, a nie
w kolumnie innych wozów. Zbliżał się koniec lipca i ludzie wypatrywali już
z oczekiwaniem przyjeżdżającego od lat cyrku. Była to atrakcja, która na kil-
kanaście dni przyćmiewała nawet najbardziej pikantne skandale obyczajowe
w Dobrym Miasteczku. Odwiedziny cyrku były dla Dobrego Miasteczka
tym, czym igrzyska dla Rzymu. Wóz minął idącą poboczem Martyniakową
i zniknął między zabudowaniami. Kobiętę ciekawiło gdzie są pozostałe wozy
cyrkowej trupy, chciała nawet zawrócić do miasteczka i odszukać mijający ją
samochód, ale przyzwyczajenie wzięło górę i dalej szła w kierunku nieczyn-

nego przejazdu kolejowego. W wyobraźni słyszała gwizd zbliżającego się osobowego z Lublina do Kielc, widziała podniesioną w pozdrowieniu dłoń maszynisty i codzienne twarze pasażerów patrzących na nią z powszechną obojętnością. Martyniakowa postąpiła chwilę przy przejeździe i ruszyła z powrotem do miasta. Za pół godziny rozpoczynała się poranna msza.

Jadwiga Wróbel, gospodyni księdza proboszcza kończyła obieranie ziemniaków na obiad. Od czasu do czasu spoglądała przez okno na budzący się do życia rynek Dobrego miasteczka. Okno jej kuchni było dla niej jak przysłowiowe okno na świat. Pierwsza widziała co dzieje się na rynku. Nic nie umknęło jej uwagi. Gdy pewnego dnia wójt późnym wieczorem wracał pijany z urzędu do domu, Wróblowa akurat skubała kurę na rosół, więc nie sposób było nie zauważyć pijanego wójta. Innym razem Pani Sółkowska, właścicielka sklepu z używaną odzieżą szła z panem Kowalskim, nauczycielem geografii pod rękę. Wróblowa pierwsza to zauważyła, bo właśnie robiła na drutach ciepłe skarpetki dla księdza proboszcza. Największym jednak atutem opisywanego okna było to, że mogła Wróblowa obserwować ławkę przy kościele. Ławkę, która od zawsze należała do koła różańcowego. Każdego dnia, gdy tylko pogoda pozwalała siadały na tej ławce Wróblowa, Martyniakowa, Nowidzka i Malinowska. Wszystkie one znały się jeszcze z czasów szkolnych. Do niedawna była także z nimi Baśka Kozak, ale łaskawy Pan powołał ją już do siebie. Siadały więc we cztery na tej ławce i odmawiały różaniec. Po każdej dziesiątce robiąc dłuższą przerwę na wymianę wiadomości. W Dobrym Miasteczku podobnie jak gdziekolwiek indziej można było wyróżnić wiadomości prawdziwe, do nich należały nekrologi, wiadomości prawdopodobne, te dotyczyły pogody oraz te inne koncentrujące się na ludziach.

Wróblowa posoliła ziemniaki, odstawiła garnek na szafkę i właśnie miała iść ubierać się na poranną mszę, gdy zobaczyła przez okno, że coś dzieje się przy rozłożystej lipie rosnącej na środku rynku. Młoda dziewczyna wraz z dużo starszym mężczyzną coś tam robili. Mężczyzna rozłożył małe krzesło i z leżącego u jego stóp futerału wyjął skrzypce. Dziewczyna rozścieliła na ziemi barwny dywan, ściągnęła buty i weszła na dywan bosymi stopami. Na jej kostkach błyszczały grube złote bransolety, czarna sukienka obsypana czerwonymi makami sięgała prawie do kostek.

- Ki diabeł? - zamruczała pod nosem Wróblowa robiąc pośpiesznie ręką znak krzyża. Mężczyzna zaczął grać, a dziewczyna tańczyła. Tańczyła jak motyl choć była człowiekiem. Kobieta z krwi i kości o ruchach motyla. Wróblowa patrzyła z niedowierzaniem. Choć sama w młodości lubiła taniec, to nigdy nie spotkała nikogo, kto tańczyłby z taką lekkością. Ruchy dziewczyny były swobodne, pełne gracji. Zdawało się, że unosi się na leciutkim wietrze muzyki płynącej delikatnym strumieniem ze skrzypiec.

- Matko Przenajświętsza! - wykrzyknęła Wróblowa i wybiegła z kuchni. Przez ciemny korytarz plebani, przez zalany porannym słońcem dziedziniec biegła do bocznych drzwi kościoła. Ksiądz Jerzy Karuzela przygotowywał się właśnie do porannej mszy, gdy do zachrystii wpadła gospościa. Cała czerwona gestykulowała rękami i próbując złapać oddech wykrzykiwała jedno słowo.

- Diabeł, diabeł, diabeł!

Ksiądz patrzył z przerażeniem na swoją gospodynię. Znał ją prawie trzydzieści lat, ale nigdy nie widział jej w takim stanie.

- Co się stało pani Wróblowo? - podszedł do kobiety, złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Proszę księdza na rynku pod lipą jest diabeł - wyszeptała Wróblowa.

- Jaki znowu diabeł? - dopytywał się ksiądz.

- Ma się rozumieć, że wcielony i to wcielony w ciało kobiety. Tak jak w Biblii Ewa kusiła jabłkiem, tak ta diablica kusi swoim ciałem - mówiła w zapamiętaniu Wróblowa.

- Nie rozumiem nic z tego, co Wróblowa mi tu opowiada.

- To niech ksiądz idzie ze mną, tylko proszę wziąć święconą wodę - Wróblowa zaczęła ciągnąć księdza za rękaw sutanny do wyjścia.

- Wróblowo, ja teraz msze mam, po mszy zobaczę te wasze urojenia. Siadajcie do ławki i czekajcie - pod groźnym wzrokiem księdza gospodyni jakby zmalęła i ucichła. W milczeniu wykonała polecenie proboszcza, usiadła do ławki, w której siedziała już Martyniakowa. Martyniakowa widziała biegnącą do zachrystii Wróblową, ale nie słyszała co działo się w środku.

- Co Wróblowa taka błada? - zapytała z troską w głosie.

- Widziałam diabła - odpowiedziała gospodyni.

- Diabła w zachrystii?

- A uchowaj Boże! - Wróblowa prawie krzyknęła. - Na rynku pod lipą się rozgościł. Niby to tańczy, ale ja wiem swoje, że to diabeł, który chłopów zwodzi na pokuszenie.

- Co pani powie? - w tonie Martyniakowej słysząc było autentyczne zdumienie. - A co na to ksiądz?

- Proboszcz powiedział, że po mszy się temu przyjrzy, ale ja wiem, czy on coś poradzi. - odpowiedziała Wróblowa wyjmując z kieszeni różaniec. - Bo choć to ksiądz, to przecież jest także chłopem i kto wie, czy ta diablica nie rzuci na niego uroku jako na chłopca rzecz jasna, a nie księdza - kontynuowała gospościa przepuszczając przez palce paciorki różańca. - Jedyna nadzieja to modlitwa do Najświętszej Pani, ona na pewno coś poradzi - dokończyła szeptem Wróblowa i skupiła się na modlitwie.

W tym samym czasie na rynku zaczął gromadzić się coraz większy tłum ludzi, którzy jeszcze nigdy nie widzieli takiego przedstawienia. Nieprzeciętna uroda tancerki wzbudzała zachwyt obecnych mężczyzn i nie skrywaną zazdrość kobiet.

- To nie dziewczyna, to motylek! - krzyczał listonosz Leszczyński. - Czyż ona nie tańczy wspaniale? - zapytywał obecnych na rynku i z energią nastolatka bił brawo.

- Czarownica a nie żaden motylek - odpowiedziała emerytowana krawcowa Aldona Michałek. - Sukienka niczego sobie, doskonały materiał, idealny krój - dodała okiem fachowca. - Ale sama dziewczyna to obraz nędzy i rozpaczy. Zobaczcie sami jaka chuda. Można by jej wszystkie żebra policzyć. A te cycki to ledwie jej od ciała odstają - zakończyła z pogardą. Sama pani Michałek była słusznej tuszy, podobnych rozmiarów był jej biust. Na rynku pojawiała się coraz więcej ludzi. Nadciągali z każdej strony zwabieni nowiną o niezwykłym zjawisku, jakie pojawiło się na ich rynku. Dziewczyna jakby nieświadoma obecności gapiów w zapamiętaniu tańczyła swój motyli taniec. Dźwięk skrzypiec niósł się po rynku, odbijał echem od stuletnich kamienic i wzlatywał w niebo ku słońcu. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwracał uwagi na młodego mężczyznę, który siedząc w otwartym oknie jednego z domów malował na płótnie tańczącą dziewczynę. Ona chyba go zauważyła, bo co jakiś czas uśmiechała się do niego karminowymi ustami. Po skończonej mszy ksiądz Jerzy był zdziwiony ilością wiernych. Zazwyczaj na porannej mszy zjawiało się kilkadziesiąt osób. Tym razem obecnych w kościele było zaledwie kilkunastu ludzi. Jeszcze nie zdążył się przebrać gdy do zachrystii wbiegła Wróblowa.

- Proszę księdza trzeba szybko przepędzić tego diabła, zanim zgubi całe miasteczko!

- Spokojnie pani Wróblowa, jak tylko się przebiorę i zjem śniadanie zobaczę tego pani diabła.

- O Jezu drogi - śniadanie! Wykrzyknęła gospoia i wybiegła z kościoła. Przez tę diabolicę zapomniała przygotować śniadanie dla księdza proboszcza. Na szczęście miała jeszcze kawałek pieczeni z kolacji. Krojąc mięso cały czas patrzyła na rynek. Tłum gęstniał z każdą chwilą. Tylu ludzi Wróblowa nie widziała ani na procesji w święto Bożego Ciała, ani na pochodach pierwszomajowych.

- A to diablica! - mówiła do siebie smarując kromki chleba masłem, które odkąd była gospodynią proboszcza kupowała od tego samego gospodarza z pobliskiej wsi. Zalewała właśnie herbatę, gdy przyszedł ksiądz.

- Ksiądz popatrz jakie zbiegowisko zebrało się, by oglądać to zło wcielone - powiedziała Wróblowa wskazując ręką okno. Ksiądz nic nie odpowiedział tylko usiadł przy stole.

- Teraz to dopiero widać prawdziwe oblicze naszych parafian, zamiast do kościoła wolą oglądać diabelskie sztuczki - mówiła podając księdzu śniadanie.

- Czy Wróblowa czasami nie przesadza? Z tego, co zdążyłem się zorientować, to nie żaden diabeł ani zło wcielone, ale tańcząca dziewczyna.

- Dziewczyna! Wystarczy się dobrze przyjrzeć, aby zobaczyć, że to diablica! A to, co robi nie jest tańcem, ale kuszeniem - kobieta usiadła przy stole i mówiła dalej. - Proszę księdza, za długo na tym świecie żyję, aby dać się omotać. Ksiądz nie przywykły do oglądania zła, ale ja to się go dużo naglądałam.

- Zwłaszcza przez nasze kuchenne okno - powiedział z uśmiechem ksiądz.

- A żeby ksiądz wiedział. Czasami jak tak sobie patrzę, to żadne nawet najmniejsze grzeszki naszych parafian nie ujdą mej uwadze.

- Wróblowo, a czy wy czasem zamiast w okno nie powinniście częściej spoglądać w lustro?

- A po co niby mam dnie przed lustrem spędzać, czy ja jestem taka jak doktorowa Zielińska, która tylko przed lustrem siedzi i włosy szczotkuje?

- Może jak by tak Wróblowa popatrzyła w lustro, to by zobaczyła belkę we własnym oku, a nie tylko drzazgi w oczach bliźnich.

Wróblowa poczerwieniała i trudno było stwierdzić czy to ze wstydu, czy złości. Wróblowa nie była złą kobietą. Tak jak żaden człowiek nie jest ani dobry ani zły. W każdym z nas jest miejsce na dobro i zło, a jedynie od nas samych zależy czym to miejsce zapewnimy.

- Ja tam święta nie jestem i ksiądz jako mój spowiednik to wie, ale tą tam na rynku to musi ksiądz przepędzić z miasta, bo będą przez nią same kłopoty.

- Już dobrze pani Wróblowa, jak tylko zjem, pójde zobaczyć co się tam dzieje - odpowiedział ksiądz zabierając się do śniadania.

Mały rynek Dobrego Miasteczka jeszcze nigdy w swojej historii nie widział tylu ludzi. Dziwiły się okna starych kamienic oglądając to, co działo się w sercu spokojnego dotąd miasta. Ludzie zajęli wszystkie wolne ławki oprócz ławki należącej do koła różańcowego, która wyglądała jak zapomniana bezludna wyspa. Gwar dyskusji mieszał się z ostrymi tonami skrzypiec. Pan Kaszanka, właściciel sklepu mięsnego, który tak naprawdę nazywał się Walczyński, ale w Dobrym Miasteczku mało kto o tym wiedział, krzyczał najgłośniejszym jak potrafił.

- Ludzie to pamiętny dzień dla naszego miasteczka. Odwiedziła nas niezwykle utalentowana dziewczyna. Co tam dziewczyna, to istny anioł w ludzkiej postaci. Tak tańczyć potrafią tylko anioły!

- Diablica a nie żaden anioł! - odrzyknęła mu jedna z kobiet stojących przy kościele.

Mieszkańcy podzielili się na dwa obozy. Przeciwnicy tancerki zebrali się przy kościele, a jej zwolennicy przy budynku urzędu miasta. Dziewczyna jakby nieświadoma tego, co dzieje się wokół wirowała na barwnym dywanie wśród słonecznych promieni przebijających się przez listowie lipy. Było kilka minut po dziesiątej, gdy z budynku plebani wyszedł ksiądz. Wróblo-

wa jak wierny pies kroczyła tuż za nim. Gdy ludzie zobaczyli duchownego cały rynek zamilkł, jedynie skrzypce wciąż nadawały rytm ruchom tańczącej dziewczyny. Ksiądz Jerzy usiadł na ławce koła różańcowego i przypatrywał się tancerce przez dłuższą chwilę. Następnie wstał i głosem donośnym jakby mówił jedno z swoich żarliwych kazań powiedział.

- Kochani mieszkańcy Dobrego Miasteczka. Nawet nie wiecie jak się cieszę widząc was tylu w tym miejscu. Nie ukrywam, że milej by mi było gdybyście tak samo licznie odwiedzali naszą świątynię podczas mszy świętej. Zgromadziło was tu zjawisko, którego jeszcze w naszym miasteczku nie było. Zjawisko nowe i nieznane, ale czy to oznacza, że złe? Wśród was są tacy, co twierdzą, że ta tańcząca dziewczyna jest diabłem, czarownicą, złem wcielonym. Powiadam wam, że ja tego w niej nie widzę. Widzę natomiast Kobietę, która nie pozwoliła, by talent otrzymany od Pana zmarnował się.

Przez tłum stojący przy kościele przetoczył się pomruk. Ksiądz go zignorował i mówił dalej.

- Każdy z nas otrzymuje jakieś talenty. Jedni otrzymują śpiewny głos, inni zdolności manualne, a jeszcze inni potrafią wspaniale gotować i piec. Ile jest takich, którzy nie dbają o otrzymane talenty? Ilu jest takich, którzy nawet nie starają się poznać swoich talentów? Uwierzcie mi, że naprawdę wielu.

Zgromadzony tłum słuchał tego osobliwego kazania w milczeniu, nawet dźwięk skrzypiec ucichł, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

- A tu oto przed nami mamy żywy i prawdziwy dowód dbania o otrzymane dary, rozwijania ich, a co najważniejsze dzielenia się nimi z innymi. Mówiąc to ksiądz wskazał dłonią miejsce, gdzie tańczyła dziewczyna. Ale pod lipą nie było nikogo. Zniknął staruszek grający na skrzypcach, barwny dywan i dziewczyna w zwiewnej sukience obsypanej makami. Ksiądz zamilkł w pół zdania i ze zdziwioną twarzą rozglądał się wokół. Zapadła tak przejmująca cisza, że bzyczenie przelatującej osy wypełniło echem cały rynek Dobrego Miasteczka. Ludzie rozglądali się niepewnie wokół siebie, jakby szukając jakiegokolwiek potwierdzenia, że tańcząca pod lipą dziewczyna była czymś materialnym, a nie tylko złudzeniem, które przytrafiło się kilkuset osobom jednocześnie. Ksiądz Jerzy po raz pierwszy w życiu nie wiedział co powiedzieć. On, o którym mówili, że urodził się po to, by mówić. Byli tacy, którzy żartowali, że ma bardzo odpowiednie nazwisko, bo gdy się rozkręci z kazaniem to trudno go zatrzymać. Ileż to razy kościelny Antoni musiał dawać mu znaki dłonią, że msza powinna już się skończyć, a on jest dopiero w środku kazania.

Kochani, chodźmy do kościoła pomodlić się o dar zrozumienia tego, co się tutaj wydarzyło. Powiedział w końcu i skierował się do świątyni. Ludzie tłumnie ruszyli za księdzem. Nikt nie zwrócił uwagi na odjeżdżający z bocznej uliczki wóz cyrkowy. Następnego dnia do miasteczka przyjechał cyrk, ale

po raz pierwszy w historii jego odwiedzin nikt nie przyszedł na przedstawienie. Mijały dni, tygodnie i miesiące. Ludzie w Dobrym Miasteczku nie rozmawiali o wydarzeniach tamtego lipcowego dnia. Ale gdy opowiadali sobie jakieś historie to bardzo często mówili, że było to albo przed dniem, gdy na rynku tańczyła dziewczyna, albo że było to po tym dniu. Nikt z mieszkańców Dobrego Miasteczka nie ma pojęcia, że w jednym z domów na ich rynku w niepozornym pokoju na dawno nie malowanej ścianie powieszony na zwykłym gwoździu wisi portret tańczącego motyla.

Janusz Moździerz

Chłód

Czy mógłby powiedzieć dokładniej ze wszystkimi zapamiętanymi szczegółami sprawę Nemtuduma no jeśli mówi za dużo więc robi tak próbuje ale długie osamotnienie nie najlepiej wpływa na jego pamięć może coś przeoczyć czy pomieszać kolejność faktów jednak z pewnością nie celowo prosi tylko aby mu nie przerywać często gubi wątek zresztą ostatnio jakby mu coraz trudniej się skupić coś podobnego do zielonego kisielu w mózgu pewnie samotność i brak dostatecznej ilości światła nigdy nie lubił pory zmroku jakieś takie rozmiękczenie myśli jedynie tutaj w pokoju łatwiej o przypominanie nie wie dlaczego ale tak jest swoją drogą ciekawe jak odkryli starą historię ach oczywiście coś wspominał tam w kolejnym życiorysie nigdy nie przywiązywał żadnej wagi uważa też że zrywanie sprasowanych późniejszym czasie zdarzeń należy do trudnych zadań ani nie wzbudza entuzjazmu raczej drażni lecz jeśli pomoże odegnać choć na krótko ten nieznosny chłód właśnie...

... Tak już sobie całkiem uświadomił podskórny chłód nie wewnątrz głęboko ale zaraz tuż pod powierzchnią prawie dotykalny każdego wieczora kiedy przez szpary w klapie okna zaczyna całonocną zmianę neon z tamtej strony ulicy zawsze jednakową kolejnością kolorów czerwony zielony niebieski w równych odstępach on kuli się na swoim wyrku twarzą do wilgotnej ściany wówczas wypęła niezauważalnie stanowczo obejmuje delikatnie w posiadanie całe ciało aż do nadejścia świtu i klawisza w dzień zimnica ustępuje toteż gdyby trochę więcej światła mógłby już właściwie zacząć jeśli mają przez tę godzinę zakończyć ten kawałek seansu...

Otyły psycholog znużonym ruchem podrzucił ramiona, wstał, przez moment mocował się z zapiekłym olejną farbą mosiądzem okiennego okucia, oderwał wypaczoną ramę, zmęczony niespodziewanym wysiłkiem opadł na trzeszczące krzesło, potarł dłonie i przymknął powieki...

Fioletowe strugi spłynęły po zmatowiałej szybie w kąt u stóp badanego widział tym jednym ocalałym okiem skrawek nieruchomej zieleni to włoski orzech z błyszczącymi w bezruchu kulami niedojrzałych owoców pomyślał że następne lato umyka jak sen przebudzonemu po rżysku przepłynął młody biegacz w bordowym overolu chyba by go już nie dogonił chociaż lubił długodystansowe trasy w swobodnym biegu i był dobry nawet bardzo dobry gdzieś pozostały dyplomy machinalnie dotknął cienkimi palcami mięśni ud zwiotczały skurczył twarz na myśl ile już czasu codziennie odmierza ciemny prostokąt podłogi przydzielonej celi sylwetkę sportowca przecięła krata za oknem w rozwidleniu brzemiennego drzewa powyżej głowy sennego naukowca przysiadła turkawka wykrzywiając niespokojnie pracowity łebek wi-

docznie w pobliżu gmachu zataczał uparte kręgi w cierpliwym szybowaniu gołębiarz potem wrócił o dwadzieścia lat limfatyk zza wyplamionego biurka przysypiał magnetofon z poszumem nawijał nowe metry taśmy bordowy biegacz wciąż truchtał kroki na przełaj a on brnął coraz dalej w przeszko-
dę czasu przeszłego...

Nemtudum tak mówiła jego matka wymawiała jednym tchem trudne słowo a może im obcym wydawało się ze słuchu że stanowi jeden wyraz w każdym razie brzmiało dla wszystkich jednakowo Nemtudum i tak po-
zostało po śmierci kobiety nikt go inaczej w Kamiennej nie wołał przynaj-
mniej głośno tajemnicze słowo żaden z tamtejszych nie domyślał się skąd
matka Nemtuduma je wytrzasnęła ale fakt sprawiła nim sporo zamętu mą-
drzejsi przypuszczali iż sama go nie wymyśliła jednak udowodnić jej było
trudno a obca nie kwapiła się do wynurzeń prze tuziemcami bo urodziła
się z tamtej strony Mlecznej Rzeki kiedy ksiądz zobaczył go podczas chrztu
oprócz zwykłej formułki „zamruczał ze zdziwieniem” homo proponit, Deus
disponit” zapamiętać choć wtedy nikt z obecnych nie zrozumiał on także
rozwickał słowa duchownego wiele lat później miejscowi trochę pogadali
na ten dziwny przypadek w zakrystii i puścili zdarzenie w niepamięć Nem-
tudum podrośł na tyle że zaczął chadzać własnymi ścieżkami raz trafił do
nich przyjezdny lekarz umieścił się u wdowy bo za taką podawała się kobieta
zza rzeki chyba z nudów obadał chłopaka szczególnie zainteresowała go
dziwacznie sformowana głowa widzieli podpatrując zza parkanu na koniec
rozłożył owłosione czarno ręce orzekając „mente captus” niedługo wyjechał
zostawiając recepty a ludzie znowu szybko zapomnieli w odpowiednim cza-
sie matka przyprowadziła Nemtuduma do szkoły przebywał w izbie najwy-
żej kwadrans ten fakt doskonale zapamiętał siedział jako szósty w tej samej
czterooosobowej ławce z brzegu mógł przyjrzeć się dokładnie poczynaniom
wielkogłowego głowacz nie wykazywał zainteresowania pogadanką o pierw-
szych literach zajął się natychmiast w sposób pełny i zdecydowany własnymi
genitaliami dzieciom ta czynność zaimponowała po klasie poszedł szmer
pani zareagowała bardzo energicznie i ta pierwsza lekcja była jego ostatnią
przynajmniej w szkole chyba zrozumiałe że Nemtudum żył zawsze za pan
brat z naturą i oczywiście najlepiej znał się na łowieniu ryb w Mlecznej Rze-
ce chętnie opowiadał przy spotkaniu o skutecznym sposobie z uwiązanym
końskim łbem na węgorku oni wiedzieli że nie kłamie i wtedy właśnie umó-
wili się na poranny połów wyszli krótko przed świtem we trzech z takim jed-
nym nazwiska nie pamięta ani twarzy oni dwaj nowi zabrali kilka granatów
do głośnienia chcieli też się pokazać wtedy każdy normalny chłopak miał
sporo zbierali różne pozostałości po wojnie w zwalonej prochni za farą
lecz Nemtudum znowu ich zaskoczył przyniósł oprócz łba całkiem dobrą
minę talerzówkę trochę się nawet wystraszyli ale poszli za nim głowacz po-
prowadził daleko wądołami pod nieczynną zwirownię nad głębokie zakole

do kładki na wrzosowiska woda szła mętna jak zawsze bystrze uciekająca nurtem pod łożyny stanęli na brzegu Nemtudum coś pomajstrował przy talerzówce wszedł na środek belki oni dwaj tylko patrzyli z boku nagle huknęło poszedł wir powietrzny odrzuciło go w jeżynowe chaszczce nie usłyszał żadnego krzyku chciał podbiec lewa noga zdrętwiała pomacał w strachu była całkiem zimna bez ran pokuśtykał nad wodę kładkę całkiem rozerwało w drzazgi jakieś strzępy popłynęły wierzchem nurtu po Nemtudumie został dyndający na konarze wierzby koński czerep z powrozem a ten trzeci już zdążył przebyć większą część drogi do domu nie wie czy mina była swoja czy cudza oczywiście przesłuchali ich krótko do granatów się nie przyznali uznano epizod za wypadek to się wtedy dość często zdarzało nie tylko chłopakom dali im spokój i zimny skurcz nogi minął wcale o nim pytającym nie mówił czasem dopadał go podczas letniej kąpieli ale nieregularnie bagatelizował tę przypadłość dopiero kilkanaście lat później pojawił przyczynę nie już nigdy nie próbował połowów na głuszonego czy koński łeb w Mlecznej Rzece ani gdzie indziej mógłby jedynie dodać jeśli to coś pomoże że słyszał o Nemtudumie jakoby był podobno bękartem z wojennego gwałtu i to wszystko co potrafi powiedzieć uważa że i tak niemało jak na godzinne spotkanie...

Usłyszał psychologa: „Ote toi de la que la que je m’y mette” (Usuń się, chcę zająć twoje miejsce - franc.) - tak zna pojął lecz niemożliwe nawet absurdalne szczerze dziwi się będzie miał o czym myśleć po powrocie to bardzo obiecujące i dziękuje...

Otyły psycholog zatrzymał szelest taśmy, przymknął okno, spłoszona turkawka frunęła niskim lotem wzdłuż ściany między murami; bordowego biegacza nie dojrzał.

Schody

Postanowił wspiąć się wyżej. Szukał uparcie. Trochę po omacku,. Wreszcie znalazł wyjście. Wdrapał się.(A może trafniej byłoby oznajmić: „...wstał do piekieł, po drodze mu było...”). Któż to potrafi rozwikłać, nie znając powodu ani kolejności wydarzeń ?! W każdym razie jedno jest pewne: schody odegrały w tej przyziemnej - jednak! - sprawie, rolę przewodnią. Wiadomo już, że wychylił się ponad oczekiwany ogólnie poziom. Taka to cecha wspinacza, który nie ogląda się na konsekwencje ryzykownego kroku. W górę, w górę, bracie – powtarzał w duchu stawiając odcisk stopy na kolejnym stopniu. Aż sięgnął głową zenitu. Prawie. Tak mu się przynajmniej w pierwszej chwili oszołomienia wysokością wydawało. (Pozory – zgodnie z porzekadłem – najczęściej wprowadzają na fałszywy szlak). Wtedy mu odbiło. Po raz pierwszy. Zaczął pozostałe stopnie pokonywać tyłem – z głową zwróconą za siebie. Jakby miał dość oglądania obrazów wyłaniających się niespodzie-

wanie. Pewnie nie lubił zaskoczenia. A może pozostało mu jeszcze trochę zadziorności charakteru ? Gdyby wtedy kto zapytał go o przyczynę niespotykanego parcia przed (czy za ?!) siebie, pewnie nie doczekałby się poprawnie brzmiącej – w miarę logicznej – odpowiedzi zagadniętego. Może jedynie byłoby nią zwykłe, nieomal chłopskie rąbnięcie na odlew otwartą dłonią w twarz ciekawego cudzych spraw. Rzeczywiście – prawdopodobieństwo podobnego zdarzenia wydaje się być spore. Wciąż lubił wspinaczkę. Nie dostrzegł jeszcze, że nie wolno w niej szukać żadnych zasad. Nie słyszał też pojęcia: czarna dziura. Wielu pojęć nie dane mu było wcześniej poznać. Nic na przykład nie wiedział o Wyścigu. Ale miał intuicję wspinacza. Więc nie pozostawiał wiele miejsca dla odpoczynku. Uciekał przed czasem. Jeszcze nie wiedział, że goni w piętę – a czas pracuje na zasadzie spirali. Nikt mu nie zwrócił uwagi na zejście ze szlaku. Zbyttno się wysforował. Czuł na plecach gorąco bijące z oddechów goniących... (w taki sam zakłęty krąg zapamiętania..) I przyspieszał. Rwał z kopyta. Byle dalej. Od czego... Jeszcze nie zdawał sobie sprawy... Czasem go zatykało; gdzieś pośrodku klatki iskierki bólu łakomie dopominały się o prawo do zmiany szalonego tempa... Lekceważył oznaki fizycznej słabości. Wszak zawsze szczycił się rozumem. I nim kierował. Z wzajemnością. Wciąż patrzył przed siebie, zamiast spoglądać – choćby przez ułamek sekundy – pod nogi. I kiedy sięgał głową chmur, zanurzony w delikatnej mgle, niewątpliwie oczarowany rozpościerającym się widokiem, nie spostrzegł brakującego stopnia i nie wyczuł zapachu stęchliny bijącego z przegniłej poręczy bezpieczeństwa; zapatrzony w złudzenia, runął na szereg podobnych sobie wspinaczy, których zdołał wyprzedzić. Nawet dubeltowo... Choć nie naumyślnie. Przynajmniej w jednym przypadku: nie przewidzianej wędrówki z powrotem... Jednak los ostatecznie go zawiódł. Właściwie zakpił z niego ponownie.

Bowiem w drodze powrotnej nie sięgnął dna. Oparcie znalazł w spojrzeniach wstępujących za nim...

I wówczas dopiero pojął, że siła tkwi w jedności niezaspokojonych pragnień... A on właśnie pozbył się ostatniego złudzenia.

Anna Bolt

Zaduszna wieś

Często jeździmy do Tychnow. Znajduje się tam malowniczy kościółek z cegły, oczywiście zamknięty. Ale jest krata w drzwiach i można przez kratę co nieco dojrzeć. Stare drewniane stropy, stare schody na chór, stare drewniane ławki, stare obrazy. Mnie przyciąga zapach kadzidła, świec, kwiatów i niewidzialna obecność duchów. Szwagier twierdzi, że duchy wracają na ziemię, żeby pokutować za grzechy. Dopiero po odbyciu pokuty dostają się do nieba. Zastanawiam się, czy wróć po śmierci do Kwidzyna, czy gdzie indziej?

W Tychnowach zawsze straszło. Babcia szwagra po przyjeździe z Ameryki kupiła dom z duchem mieszkającym na strychu. Był to duch pewnej Niemki, która powiesiła się w domu i zostawiła karteczkę, żeby ją pochować w Tychnowach. Uszanowano jej wolę i pochowano za domem. Babcia szwagra do śmierci opiekowała się grobem Niemki.

Szwagier spotkał się z duchem namacalnie. Raz z kolegą szedł w nocy na skróty przez ponemiecki cmentarz. Nagle nastąpił na coś miękkiego, co na dodatek beknęło. Chłopcy uciekli, ale wrócili po paru minutach, bo nie dawało im to spokoju. Okazało się, że na drodze leżał największy pijaczyna ze wsi. Od tego czasu szwagier nie boi się duchów.

Dziadkowie szwagra szybko wrócili z Ameryki. Nie spodobało im się. Babcia szwagra przywiozła z Ameryki jednorazowe talerze z aluminium, na których podawała aż do śmierci obiady.

Dziadek i babcia szwagra już dawno nie żyją i oczywiście, chociaż rodzina jest duża, to szwagier sam musi opiekować się ich grobem. Mimo że, jak mówi, inni dostali pieniądze za sprzedany dom. A on nie dostał ani grosza. Życie jest niesprawiedliwe, szczególnie wobec przyzwoitych ludzi.

Tychnowy to bogata wieś. Ale jest jeszcze dużo biedy wokół. „Ania, ty nie wiesz, jak ludzie jeszcze żyją” – mówi szwagier. I opowiada o ludziach lasu. Jest ich trzech braci. Mieszkają na odludziu w lepiance. Mają palenisko na zewnątrz i gotują sobie tam jakąś zupę. Chodzą w czarnych ubraniach, śpią na czarnym pościeliu. Przyjmą wszystko, co im się przyniesie. Co jakiś czas każdy z nich idzie do więzienia za jazdę po pijanemu na rowerze. Więzienie jest dla nich wybawieniem. Są szczęśliwi. Uśmiechają się do każdego bezzębnymi czarnymi ustami.

Oglądamy też działki pod budowę w Tychnowach. Jedna była ładna, ale na skarpie. Co będzie – mówimy, gdy przyjdą deszcze i ziemia się obsunie. Tak było w górach z ziemią kuzyna szwagra. Już miał się budować, ale jesz-

cze odczekał miesiąc. Przyszły ulewę, ziemia się na metr obsunęła, akurat w tym miejscu, gdzie miał stanąć dom. „Bóg mnie uchronił” – mówił kuzyn i zaczął uśmiechać się do Boga.

Szwagier w dzieciństwie przyjeżdżał do dziadków do Tychnow pociągiem. We wsi nie było stacji kolejowej, więc musiał wysiąść przystanek dalej i szedł torami aż doszedł do domu. Zwykle dźwigał 5-litrową kanę mleka. Raz nie mógł otworzyć drzwi w pociągu i pojechał dwa przystanki dalej aż do Ryjewa. Wysiadł i szedł przez las do Tychnow dziesięć kilometrów, płacząc i dźwigając ciężką kanę. Do dziś nie wie, za jakie grzechy.

Po śmierci dziadka szwagier jeździł pomagać babci w polu. Pielił ziemniaki. Za każdy rząd otrzymał złotówkę. Rządków było dużo, więc zbierało się trochę grosza. Za zarobione pieniądze chodził do kina. Bilet kosztował 5 zł. Był drogi, ale właśnie wtedy w kinie wyświetlali Winnetou. Na taki film nie żał było pieniędzy.

Pamiętam Winnetou bardzo dobrze. A także jego przyjaciela Old Shatterhanda. Stałam w długiej kolejce po bilet na te filmy. Wychodziłam z kina wstrząśnięta i oszołomiona. Po latach przeczytałam w jakiejś plotkarskiej gazecie, że aktor grający Old Shatterhanda miał skłonności pedofilskie. Poczułam się, zresztą nie po raz pierwszy w życiu, oszukana i zbrukana. Wszystkie świętości mojego dzieciństwa zostały utopione w kałuży, a ja stałam obryzga błotem przez przejeżdżający samochód i nie mogłam wydać z siebie ani słowa.

Słowa przekłętogo, znanego nawet wszystkim dzieciom, słowa powszedniego jak chleb. Dlaczego?

Opuszczamy Tychnowy, zaduszną wieś.

Garb

Urodziłam się z garbem i z garbem umrę. Garb czyni garbatego bogatym o doznania garbate. Płakałam. Krzyczałam w niebogłosy. Ukołysano na chwilę garba. I znowu płacz. Łkanie. Wewnętrzne, gardłowe, dławiące. Szloch. Strach na przemian z rozpaczą. I tak dzień za dniem. Godzina za godziną. Ukołysana garbem, z garbem zasypiałam na chwilę, potem budziłam się, by krzyczeć, drzeć się, dławić ciszę. Spazm garbatego dziecka i łapczywe ssanie piersi. Kołysana, głaskana, tuliłam się do ciepłego ciała, a potem wygięta w pałąk znowu płakałam. Aż wypłakałam wszystkie łzy i patrzyłam tępo przed siebie.

Matka Boska wisiała na ścianie. Bolesna w boleści. W okrągłej czarnej ramie. Na policzku dwa cięcia precyzyjnie zadane nożykiem do obierania pomarańczy. Krwawiła. Patrzyła smutno.

Kłótnie na przemian z trzaskaniem drzwiami. Podniesione głosy. A potem cisza i ból, jak siekanie różgami pleców. Szramy na ciele. Zdrowaśki. Przekładanie różańca. Koronki cierniowe. Kolce róży za paznokciami.

Wchodzenie mężczyzny w kobietę, jak w masło. Osełka masła zawinięta w ściereczkę. Na wojnie na wagę złota. Rozsmarowana, kasza okraszona złotem, ozłocona płomieniami. Twarz okraszona uśmiechem. Paczka z sucharami wieziona na starej szkapie. A potem powrót o zmierzchu, wycie wilków, serce pod gardłem. Podgardle zwierzęce sprzedawane w sklepie. Sznur zwisający na żyrandolu. Cień, złowrogi cień podchodzący do gardła. Pijak na schodach polewany kubeczkiem wody. Pisk dziecka. Pisk opon. Wypadek. Ofiary w ludziach. Stos ofiarny. Stos nie prasowanej bielizny. Trzepanie prześcieradeł. Żaglowiec Magellana na środku oceanu. Burza w szklance wody.

Zabijanie kury siekierką na pieńku. Polewanie wrzątkiem i skubanie piór. Obdzieranie ze skóry. Darcie pasów, prześcieradeł. Całun. Nabożeństwo żałobne. Odkryta trumna. Nieboszyk wołający o pomstę do nieba. Głos wołającego na puszczy. Głos wołającego z zaświatów.

Głosy , głosy w głowie. Głowa pełna krzyczących głosów. Targowisko. Stare ciuchy wystawione na sprzedaż. Sukienki w krzyczące kolory. Krzyczące włosy. Targanie za włosy, wrywanie włosów. Farbowanie włosów na pomarańczowy kolor.

Wóz cygański na środku ulicy. Uwaga, idą Cyganie, zabierają dzieci, chowają je do torby. Cyganka powróży ci przyszłość. Wrózenie z kart, wrózenie z fusów, złowróżbne przepowiednie. Koniec świata. Kupujemy cukier, mąkę, robimy suchary. Zasłaniamy okna, żaluzje, zasłaniamy siebie.

Sukienka uszyta ze starych zasłon. Zasłonięte miejsca intymne. Zasłonięte ciało. Plamy na ciele po wylewie. Rzeka krwi wylała. Przypudrowanie wybroczyn.

Piękno martwego ciała. Wszystko co martwe jest piękne. Martwy przekaz. Martwica całego ciała. Gangrena obu nóg. W obciętych kończynach martwe czucie. Martwy punkt na horyzoncie.

Martwi mnie twoja nieczułość. Nie wróciła na noc. Zamartwia się na śmierć.

Śmierć przyszła ukradkiem, jak kuna. Podkraśla jajka. Zasuszony płód lamy na kobiece dolegliwości. Suszenie ziół na strychu. Zapach jasnoty, podbiału, krwawnika.

Krwawe gody. Biały daniel za siatką. Usiadł za stołem na minutę przed śmiercią.

Cierpliwość została nagrodzona.

Ryszard Filbrandt

Konwój

Samochód pancerny podjechał wolno pod tylne drzwi Krajowego Banku Myśli i zatrzymał się. Wyskoczyło z niego trzech rośli konwojentów w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Wszyscy byli uzbrojeni w broń długą. Dwóch z nich stanęło przy samym pojeździe, trzeci nacisnął przycisk dzwonka obiektu i po chwili wszedł do środka. Kierowca został w szoferce.

Po dłuższej chwili drzwi banku znów otworzyły się i ukazało się w nich dwóch mężczyzn niosących przystosowaną do tego rodzaju transportu skrzynię i idący przed nimi konwojent. Ten ostatni otworzył specjalne pomieszczenie w samochodzie, w którym przesyłka została umieszczona. Dowódca jeszcze raz spojrzał na widniejący na niej napis: „Myśli archiwalne. Przeznaczone do złomowania”, po czym zatrzasnął skrytkę i przekręcił klucz. To samo uczynił z drzwiami samochodu, kiedy już wsiedli konwojenci. Sam zaś skierował się do kabiny.

- Dokąd teraz? - spytał kierowca.

- Do Przetwórni. Stamtąd zabierzemy dwa pakunki - odpowiedział dowódca konwoju.

- Dobra. To co, jedziemy?

- Jedziemy.

Kierowca przekręcił w stacyjce kluczyk, włączył pierwszy bieg i samochód ruszył spod banku w stronę centrum miasta. Droga do Przetwórni zajęła im około pół godziny czasu. Kiedy zbliżali się do celu, dowódca przez radiotelefon zgłosił swój przyjazd.

Wielka, ciężka brama Przetwórni wolno i z pojękiwaniem otworzyła się. Samochód pancerny majestatycznie wtoczył się na kamienny plac, otoczony zewsząd ceglanymi ścianami z rzędami okien. Po wykonaniu odpowiedniego manewru zatrzymał się przed wejściem do jednego z działów, w którym już stali pracownicy firmy z wózkiem.

- Cześć, chłopaki! Oj, macie wy dobrze. Ciepłko, kawusia zapewne już zaparzona - zagadał do nich dowódca, otwierając specjalnym kluczem drzwi samochodu, a potem pancerną skrytkę.

- Cześć, witamy. Odezwał się ten, któremu dzieje się krzywda - odparował mu mężczyzna w ciemnym garniturze: - Jeździ sobie tu i tam, czas leci, o kasie nie wspomnę.

- A chciałbyś się zamienić?

- Dziękuję, nie skorzystam. Cha, cha, cha ...! - zaśmiał się szpakowaty: - No dobra, zabieramy te śmiecie - dodał przenosząc z drugim pracownikiem skrzynię z samochodu na wózek.

- Zaraz wracam - odezwał się dowódca do swoich podwładnych, znikając w korytarzu budynku razem z wózkiem i pracownikami Przetwórni. Długim korytarzem doszli do pomieszczenia z napisem „SKARBIEC”, przed którym stał uzbrojony strażnik. Po naciśnięciu dzwonka, cierpliwie czekali na otwarcie.

Niespełna kilka minut później, dwie skrzynie z napisem „Myśli po sterylizacji” zostały załadowane na wózek. Dowódca konwoju podpisał ich odbiór i wszyscy w pierwotnym składzie udali się w drogę powrotną do samochodu pancernego.

- Gdzie teraz jedziemy, szefie? - spytał kierowca dowódcę, gdy ten zatrzasnął za sobą drzwi kabiny.

- Nie domyślasz się?

- Nie.

- Do najważniejszego gmachu w państwie, chłopie! - odpowiedział mu dowódca.

- Taaam?!

Fartuch

W gabinecie lekarskim na krótko zapanowała cisza. Młody mężczyzna w jasnym swetrze i wytartych mocno spodniach dżinsowych westchnął ciężko, po czym zamknął oczy. Dopiero, kiedy je otworzył spytał:

- Czy to już ostatnia moja wizyta, panie doktorze?

Siedzący na wprost niego lekarz wstał z fotela, podszedł do biurka i zaczął pośpiesznie wertować w swoim notesie.

- Nie, została jeszcze jedna - odpowiedział. - Zapiszę pana na osiemnastego, czyli przyszły czwartek. Godzina ... trzynasta. Pasuje panu?

- Może być. Przyszły czwartek, trzynasta - powtórzył młodzieniec.

- Tak jest, zgadza się. Teraz wypiszę panu receptę. Lekarstwo proszę brać dwa razy dziennie, rano i wieczorem.

- Dobrze, panie doktorze. Dziękuję i do widzenia.

- Do zobaczenia za dwa tygodnie.

W gabinecie Oddziału Psychiatrycznego nastała cisza. Doktor Smarta uzupełnił dokumentację ostatniego pacjenta, po czym sięgnął po telefon komórkowy. W tym momencie otworzyły się drzwi i ukazała się w nich głowa sprzątaczkii.

- Przepraszam, panie doktorze. Na korytarzu nie ma na razie nikogo, czy mogłabym teraz posprzątać? - spytała błagalnym głosem.

- Oczywiście, proszę bardzo. Skorzystam z okazji i wyskoczę na chwilę do samochodu - odpowiedział lekarz zawieszając swój fartuch na wieszaku.

- Oj, bardzo dziękuję, panie doktorze. Dobry z pana człowiek. Zyskam trochę na czasie. Po południu muszę lecieć na wywiadówkę do szkoły. Przepraszam, że tak bez fartucha, ale wczoraj wieczorem wyprałam go, nie zdążył jeszcze wyschnąć.

- Nic nie szkodzi. Może pani mój ubrać - powiedział z lekkim uśmiechem Smarta.

- Ależ, panie doktorze! Gdzieżbym śmiała. Jeszcze ktoś by pomyślał, że jestem nowym lekarzem. Cha, cha, cha ...!

- I co by się takiego stało? To tylko nieoczekiwana zmiana ról. No dobra, pani Zosiu, to ja znikam. Na razie.

Po tych słowach Smarta zniknął za drzwiami. Sprzątaczką została sama. Nie pierwszej już młodości kobieta westchnęła najpierw ciężko, dopiero potem postawiła na środku pomieszczenia wiadro z wodą. W pierwszej kolejności starła z biurka i innych mebli kurze. Przed przystąpieniem do mycia podłogi, chwyciła miotłę i zaczęła skrupulatnie ją zamiatać. Przesuwając ostrożnie wieszak z białym fartuchem, przyjrzała mu się uważnie. Później, przez cały niemal czas nieprzerwanej pracy, nie mogła przestać o nim myśleć. W pewnej chwili znów podeszła do niego. Jej zmęczona, a przez to nieco ponura twarz pokryła się nagle figlarnym uśmiechem. Odstawiła na bok narzędzia swojej pracy i szepnęła:

- A co tam! Tylko na chwilę. I tak nie zauważy.

Ostrożnie i z wielkim namaszczeniem zdjęła fartuch z wieszaka, i założyła go na siebie. Przez chwilę nie ruszała się z miejsca, tylko z uwagą wpatrywała w siebie. Wyciągnęła przed siebie raz jedną rękę, raz drugą. To samo uczyniła z nogami. Na koniec z gracją obróciła się w lewą stronę, potem w prawą.

Podczas swojej dalszej pracy, sprzątaczką zauważyła, że w miarę upływu czasu jej ruchy stawały się coraz wolniejsze i mniej skoordynowane.

- Co jest? - spytała sama siebie, zdziwiona nagłą zmianą, jaka w niej zaszła.

Przerwała swoje dotychczasowe zajęcie, wyprostowała się i bez wahania odłożyła miotłę na bok. Dla pewności, czy ów stan wciąż jeszcze trwa, czy to tylko chwilowa niedyspozycja, sprzątaczką pokiwała kilka razy głową, a potem z uwagą rozejrzała się po gabinecie. Wszystko co ją otaczało, przybrało jakby inny wymiar. Raptowna zmiana, jaka zaszła zarówno w niej samej, jak i samym pomieszczeniu, wpłynęła na jej zachowanie. Pani Zofia innym niż zazwyczaj ruchem ręki przesunęła palcami po włosach, wyprostowała się, chrząknęła kilka razy, podeszła do biurka i usiadła przy nim. Bez najmniejszych skrępołów założyła okulary i otworzyła szufladę.

W tym momencie do gabinetu wszedł doktor Smarta. Na widok sprzątaczkki siedzącej przy biurku i ubranej w jego fartuch ... znieruchomiał z wrażeń. Szybko jednak opanował swoje zdziwienie, zamknął za sobą drzwi, po czym podszedł bliżej i rzekł:

- Widzę, że pani dosłownie potraktowała mój żart i naprawdę założyła na siebie mój fartuch. Muszę przyznać, tak na marginesie, że całkiem nieźle prezentuje się pani za moim biurkiem. Jak prawdziwa pani doktor Zofia. No, no ...! - pokiwał z uznaniem głową.

Kobieta w białym fartuchu spojrzała na niego spod okularów badawczym wzrokiem i po krótkim namyśle odparła:

- Pan mnie chyba z kimś pomylił. Trudno, nic na to nie poradzę. Ale ... zostawmy to. Zatem... jak pan się nazywa?

- Pani Zosiu, jak pani już zauważyła, ja też lubię żarty, ale w tej chwili nie mam na nie ani czasu, ani ochoty! - zdenerwował się Smarta. - Na korytarzu czekają pacjenci, więc proszę ustąpić mi miejsca przy biurku i zdjąć łaskawie mój fartuch!

- Proszę się uspokoić! Pan, zdaje się, zapomina, gdzie pan jest! Pytam więc raz jeszcze: jak pan się nazywa?

- No nie, ja chyba zwariuję! Pani mnie nie poznaje?! Jestem doktor Smarta. Ja tu pracuję. Jestem lekarzem. Na korytarzu ...

- Smarta - przerwała mu Zofia przekładając z uwagą koperty pacjentów: - Nie mam tutaj pańskiej karty chorobowej. Ach, ta administracja! Będę musiała przywołać ich do porządku. To nic, później uzupełnię wpis. Na razie zapiszę pana na kartce - w tym miejscu sięgnęła po notes i zaczęła coś w nim pisać.

- Pani Zosiu, proszę w tej chwili opuścić mój gabinet! - zirytował się Smarta. - Ale w tej chwili! - powtórzył uderzając pięścią w blat biurka.

- Spokojnie, proszę się tak nie denerwować - zrównoważonym tonem odpowiedziała mu kobieta w białym fartuchu: - Proszę przejść kilka kroków dalej i usiąść sobie wygodnie w tamtym fotelu - wskazała mu palcem jeden z dwóch ustawionych naprzeciwko siebie mebli tapicerowanych.

- No nie, to zakrawa na bezczelność! Ta baba po prostu zwariowała! Niech pani sobie wreszcie wbije do tego pustego łba, że to właśnie ja jestem tutaj lekarzem i to właśnie ja zacznę zaraz przyjmować pacjentów, a pani jest zwykłą sprzątaczką! - krzyknął Smarta.

- Niech pan się liczy ze słowami! Pan jest w gabinecie lekarskim, a nie w knajpie, albo na boisku piłkarskim! Więc jak będzie, usiądzie pan w tym fotelu, czy też mam wezwać ochronę, żeby pana stąd wyprowadzili?

- To jakiś obłęd! A może tylko jakiś koszmarny sen? Dobra, niech będzie. Widzę, że coś pani opętało, jakiś diabeł wstał w panią. Dla świętego spokoju zajmę miejsce w fotelu. Ale, zaznaczam, tylko na chwilę. Niech pani doktor - w tym miejscu Smarta z naciskiem i mocno zaakcentowaną ironią wydusił z siebie ostatnie słowo - ma radochę.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, skierował swe kroki w stronę wskazanego przez kobietę w białym fartuchu miejsca. Pani Zofia usiadła na wprost niego.

Zapadła pełna oczekiwania cisza. Pacjent Smarta raptownie skurczył się w sobie, zbladł, zaś w oczach pojawił się lęk i niepewność. Doktor Zofia patrzyła na niego spokojnym, badawczym, w pełni profesjonalnym wzrokiem. Mężczyzna w fotelu odniósł wrażenie, jakby go prześwieciła na wylot, a przez to czytała wszystkie jego myśli. Na skutek tego odkrycia jego policzki pokryły się rumieńcami, a na czole wystąpiły krople potu. Nerwowym ruchem poprawił krawat, potem odpiął guzik pod szyją.

Przedłużające się milczenie stało się także dla doktor Zofii nieznośne. Otworzyła usta, żeby zadać pacjentowi pierwsze pytanie, gdy w tej samej chwili rozległo się krótkie pukanie do drzwi, a potem do gabinetu weszła pielęgniarka.

- Przepraszam, panie doktorze, pilny telefon do pana - powiedziała wpatrując się ze zdziwieniem to na Smartę, to na sprzątaczkę. - No nie, ale plama! - dodała, wpatrując się z uwagą w jedno tylko miejsce na fartuchu. - Pani Zosiu, proszę go natychmiast zdjąć, dam nowy.

Kiwając z zażenowaniem głową, pielęgniarka podeszła do szafy i wyjęła z niej czysty fartuch, po czym podeszła do Smarty i pomogła mu go założyć.

- Panie doktorze, telefon! - odezwała się do lekarza, odbierając jednocześnie z rąk Zofii stare, nieco już ubrudzone odzienie personelu lekarskiego.

- Telefon? A tak ... telefon. Dziękuję, już lecę - odparł z zakłopotaniem Smarta kierując się w stronę wyjścia.

- To ja też już pójdę - powiedziała w zamyśleniu sprzątaczką, rozglądając się przy tym bacznie wokół siebie. Chwytając wiadro i miotłę dodała: - Podłogę umyję później.

W gabinecie została pielęgniarka. Ale i ona po chwili wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Marek Stokowski

Madonna Malborska

Przed wszystkim
chroniłam dziecko.

Oślaniałam je
aż do końca,
choć wiedziałam,
że musi umrzeć.

Oni strzelali
salwami, z armat.

Nie, nie mieliśmy
najmniejszej szansy,
choć byliśmy
niby z kamienia.

Maciej Krainński

Druga Brama¹

Komunikat specjalny, Gdańsk, piątek 29 sierpnia 1980 roku

Tu druga brama, druga brama...

Czy bramy w kraju mnie słyszycie?

Mówię co widzę, co widziałam-
Tu przygarnietym do mnie ciałom,
rozlane życie ostudzałam.
Tu zęby siane wspólnej sprawy
kiełki puściły - w niebo krzyże.

Tu druga brama, druga brama...

Czy bramy świata mnie słyszycie?

Mówię co widzę-
Tu jak arbuzy, sierpnia branie,
głowy zaległy na straganie.
Tu ramię w ramię, brzuch w brzuch prawie,
zległ amfiteatr w wolnej sprawie.
Tu tętni życie, tu czekanie, tu patos-Polska.
Tu pierwszy krok się syna waży,
co tknięty długim paraliżem w trzydziestym szóstym roku życia,
nogę niezdarnie w przód ustawia.

Tu druga brama, druga brama...

Tu gladiatorzy się zawarli,
tu tworzą wolną Republikę-
niewolni taka wolę mają by na ramiona podnieść Nike.

Czy bramy w kraju mnie słyszycie?

Tu kwiaty, kwiaty...

Rodzę życie!!!

¹ Wiersz powstał w sierpniu 1980 roku w czasie strajku w stoczni w Gdańsku.

Agnieszka Kuczkowska

W twoich ramionach brak miejsca
na wolność którą jestem
Hipnoza słów jest bolesna
jak trawa tnąca błękit
jak żyły tnące przestrzeń
aż do granic pustki

Naucz mnie oddychać poprawnie
w świecie w którym tlen jest
tak drogi – ja go marnuję
Bawię się nim i gubię
po kawałku
Wypada mi z rękawa
ostatnia część przestrzeni
wtapiam ją w kurz
kłamie że oddycham
w moich rękach wszystko
jest nieszczerze
dlatego dotykam Cię na odległość
i podrzucam Ci w różne miejsca
resztki mojego ciepła
udekorowane słowem

Prozą uprażone niebo
sypie pijane snu okruchy
Promocyjnie dostaniemy coś bez lęku
Sezonowe miłe bajki
dziś aplikujemy sobie
by bezdźwięcznie móc wykrzyknąć to
co sący się spod powiek
Otoczeni tylko sobą
nic już nie musimy grać
Zbierzmy wszystkie snu okruchy
Kupmy jutro
chodźmy spać...



Miasto, fot. A. Kuczkowska.



Zaulek, fot. A. Kuczkowska.

Pocięci powietrzem
chodź, opatrzmy rany
ktokolwiek zechce nam pomóc
będzie jak my – przegrany
Liczą się już tylko rozpady
im dalej od jutra jesteśmy
tym bliżej nam do zagłady
więc zostaw dzień tam gdzie był
Przeczytaj o tym co mówili
wróźby sypane z ust zatrutych kłamstwami
ktoś kiedyś podniesie jedno
i stanie się kopertą pomiędzy listami

Burzami w siebie rzucamy
nie kontrolując
czasu, który nie zwraca na nas uwagi
Kiedyś pierwsze krople potu
wystrzelą nam z porów
z krwi gronami burgundowymi
splatać się będą w miłosnym uścisku
aż padniemy rozczłonkowani
niepokrzepieni
oszukani sami sobą

Jak zwykle
niezwykle ciche kuleczki
ogrzewane w palcach
rozsadzane próżnią
tańczą wokół życia
Obiecując wieczność zabierają czas

Katując Boga
na śniadanie i kolację
zbyt znanym wierszykiem
przyprawiającym o mdłości
Chcesz znaku, gołąbka białego
przyniesie ci pokój
z aureolą – gratis
Zbieraj deszcz do kieszeni
i 24 godziny na dobę czcij
Może jedna z kropel to ślina Boga
którą zgubił śmiejąc się ironicznie

Paulina Dyka

RETRO SPACE¹

mnie nie lubią kobiety
które całymi dniami
przesadnie dbają o czystość
domu i tak kiedyś „na sprzedaż”

mnie nie lubią kobiety
na wysokich obcasach
pasujących kolorem do karoserii limuzyny mężczyzny
ze złotymi kartami płatniczymi

mnie nie lubią ludzie
mnie nie nęka żadna zjawia

ledwie co
skorupały już wierne trzciny
ulotniły się leśne sitowia i blade wałki

w tym czasie
miasto mnie uwodzi
igrając ironią natury

leżę tu
leżeć chcę

ty wciąż wystukujesz ten sam rytm
psychedelic trance
na moich zrośniętych kościach
półprywatnych
jeszcze przez dziewięć miesięcy

krzyczysz: wolność
myślisz: miłość

¹ Paulina Dyka jest uczennicą I LO w Kwidzynie. Jest laureatką wielu miejskich i krajowych konkursów poetyckich. Prezentowany wiersz zdobył pierwszą nagrodę w konkursie pod tytułem „Jestem zamurowana” organizowanym w tym roku przez Panią Annę Bołt z filii nr 3 Biblioteki Miejsko-Powiatowej w Kwidzynie.

kiedyś skonasz za słowo
bez oddechu podległe
na nierozpoczętych jeszcze dyskusjach

a
to już
wody mętnie szemrane
niepewne

czuję
jak wariacka siła wyrzuciła ze mnie
nowych dziewięć ciepłych nadziei
na życie w przeklętym mieście

moje kino i cynamon na jesień
giną bez słońca
milimetr po milimetrze

jestem замуrowana w przestrzeni retro
przetrwam ocalona

przedstawiana na fotografiach
jako jasnooka o siwych włosach i bladej cerze

nerwowo mówiąca
znająca głód i zimno
klasyfikowana w kategoriach zaangażowanej i kobiecej

nie będzie
niewolnicą żadnej miłości
nie będzie
uwięziona
we własnych aspiracjach
po ostatni oddech

Jerzy Fila

Stroiciel

Tadeuszowi Dydzie, przyjacielowi

Pianino, fortepian
i On
w koncertowej sali.
Pewnie na siebie czekali.

On, dżentelmen z teczką
- doktor brzmienia.
Słuchem i kluczem,
fałsze w stroje przemienia.

Ojcowie, z nieba i ziemi,
talent dali,
duszę wzbogacili,
by wokół wszyscy się cieszyli.

Oktawy, kwinty i ton,
strojne dźwięki sprasza.
Stroiciel, to On,
na koncert wszystkich zaprasza.

Andrzej Kasperek

Wiosna 1905 według Stanisława Maślowskiego i Jacka Kaczmarskiego¹ cz. II

Stanisław Maślowski (1853-1926) był rówieśnikiem Leona Wyczółkowskiego (1852-1936) oraz Juliana Fałata (1853-1929). Łączyło ich ukochanie pejzażu, szczególnie krajobrazu Ukrainy. Jego dorobek i popularność znacznie im jednak ustępują. Jakże są tego powody? Może po prostu jego skromność. „Otóż Maślowski nie miał w sobie nic z owej brawury, owego dążenia do efektu. Malował skromnie, w sposób ściszony. Każda jego akwarela odznaczała się prostotą i uczuciem bardzo bezpretensjonalnym. Jego kolor jest delikatny, nastrojowy, pełen zadumy i czułości. W jego obrazach czuje się tchnienie liryki autentycznej i przeżycia wyzbytego pretensjonalności.”²

Niewiele poświęcono mu opracowań, nie ma do dziś jego monografii. Jego syn Maciej, wybitny historyk sztuki, poświęcił mu tom *Stanisław Maślowski. Materiały do życiorysu i twórczości*. We wstępie napisał: „Pragnę w ten sposób przekazać całą wiedzę moją o artyście, którego twórczość nie odkryta, nie odnaleziona lub zapomniana, a tak straszliwie zdewastowana w czasie ostatniej wojny domaga się poznania i pełnej wreszcie oceny.”³

Ceniono go, wysoko nawet. Zbierano jego obrazy. Dziś jego akwarele i obrazy olejne są rozproszone po kolekcjach prywatnych i muzeach, wiele przepało. Można zaryzykować tezę, że gdyby nie obraz *Wiosna 1905 roku*⁴, to byłby kompletnie zapomniany. A przecież tak pochlebnie go kiedyś oceniano: „Jest to artysta narodowy na wskroś. Narodowymi są motywy jego prac i ich pojęcia, narodowymi temperament. Życie tryskające z obrazów, siła barw...”⁵ Słowa te

¹ Jest to skrócona wersja rozdziału książki pt. *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie*, poświęconej analizie kilku piosenek barda: *Encore, jeszcze raz, Pikieta powstańcza, Zesłanie studentów, Wigilia na Syberii, Zatruta studnia oraz Powrót z Syberii*. Zajmuję się w niej utworami opowiadającymi o trudnych stosunkach polsko - rosyjskich. Esej *Encore jeszcze raz według Pawła Fiedotowa i Jacka Kaczmarskiego* był drukowany w kwartalniku „Bliza” (nr 1/2009), a jego rosyjski przekład opublikowało pismo „Nowaja Polska” (nr 1/2011; jest dostępny pod adresem: <http://www.novpol.ru/index.php?id=1434>).

² Ignacy Witz *Polscy malarze, polskie obrazy*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1970, s. 245.

³ Stanisław Maślowski. *Materiały do życiorysu i twórczości*, oprac. Maciej Maślowski, Ossolineum, Wrocław 1957, s. 7.

⁴ Obraz S.Maślowskiego *Wiosna 1905 roku* prezentujemy na IV stronie okładki.

⁵ Cyt. za: *Polski Słownik Biograficzny*, t. XX/1, Ossolineum, Wrocław 1975, s. 130.

pisał na początku XX wieku Eligiusz Niewiadomski, malarz, historyk sztuki i uczestnik walk o wolną Polskę, dziś znany tylko jako człowiek, który zastrzelił w grudniu 1922 roku Gabriela Narutowicza, pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej. Oczekując w więzieniu na wykonanie wyroku śmierci dokończył pisać swe dzieło *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*. Znajdziemy tam fragment poświęcony Masłowskiemu. Warto go przytoczyć, bo książki nigdy nie wznawiano: „Młodość [malarza] należy do epoki realizmu. I on także palił się do sukmany i kożucha. Jednak wrodzone poczucie charakteru pozwoliło mu oddać nie tylko malowniczość ubiorów, ale żywych, bajecznych chłopów, nieporównanych w sylwecie i ruchu, rozprawiających, pijących, wracających z pijatyki na chwiejnych nogach, naradzających się na zebraniu gminnym, baraniejących wobec *Komisarza* itp. Wszystko z mnóstwem niezmiernie żywych, oryginalnie podpatrzonych szczegółów. Z tym samym poczuciem charakteru rysuje on *Starego sługę* w znoszonym kontuszu, patrzącego spoza rogowych okularów, *Babunię* nieruchomą, tkwiącą oczami w przestrzeniach, zatopioną we wspomnieniach pięknych dni, co wyjrzały ku niej z otwartej szkatułki, pełnej pożółkłych listów... To znów przechodzi do krajobrazu, do ubogiej równiny mazowieckiej, gdzie - na zrudziałym wygonie - jak kolorowy groch rozsypane, pasą się liczne kwiatule, czarnule i krasule..., żywe, barwne plamki obrazu. Ukraina, dokąd jeździł w ciągu kilku lat, dała mu nowe wzruszenia, pogłębiła poezję ducha, wprowadziła w świat nieznanych dotąd nastrojów. Taką perłą poezji jest jego *Duma Jaremy*. [...] Jego zjazd ku wiosce ukraińskiej, gdzie spod jednolitego płaszcza śniegów tu i owdzie tylko przeziiera plamka komina, ściany, badyłów czy strzechy, robi zupełnie wrażenie japońskiego pędzla. *Lasek* - rzadka smuga, raczej koronka sosen w dali - biedny, przetrzebiony polski las - jest arcydziełem wycucia charakteru w najuboższym i najmniej wdzięcznym motywie pejzażu polskiego. [...] Podobnie *Cyganka* dekoracyjnie potraktowana, dla barwnych plam, czerwonego fartuszka i żółtych bursztynów rzucona na papier. Tym zdobyczom pozostał Masłowski wierny aż do ostatnich czasów. - Chce być tylko i wyłącznie malarzem. wierzy jedynie w plamę barwną, w lekkość kreski, jasność tonu i naiwność formy.”⁶

Stanisław Luidgard Zygmunt Masłowski pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej. Jego ojciec, Rajmund, był jednym z wielu wysadzonych z siódła, jak to wówczas określano. Pozbawiony ziemi, zmuszony do szukania chleba w mieście zarabiał korepetycjami, a jednocześnie studiował prawo na kursach „jurideczeskich”, bo uniwersytet warszawski zamknięto po powstaniu listopadowym. Typowy los dla przedstawiciela tworzącej się wówczas warstwy polskiej inteligencji. Włodawa - miejsce urodzenia malarza - to pierwszy przystanek na drodze prawniczej kariery jego ojca; poprzez Garwolin, Chęciny aż po Kalisz.

⁶ Eligiusz Niewiadomski *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*, Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa 1926, s. 211-214.

Z historią *in statu nascendi* stykał się już w Chęcinach i pobliskim Jędrzejowie, gdzie bywał u dziadka Wincentego, co to jeszcze pod Napoleonem służył. Na pamiątkę została mu „blizna na policzku od kozackiej piki.” Tradycja domowa była patriotyczna. Ojciec w Chęcinach był powstańczym naczelnikiem okręgu, za co został aresztowany i parę miesięcy przesiedział w kieleckim więzieniu, skąd zwolniono go po usilnych staraniach żony po zapłaceniu „sztrafu” za „podejrzenie, że należał do buntowniczej organizacji [...] w wysokości 334 rubli srebrem.” Nie była to wówczas mała suma. Z wycieczki po okolicy Stanisław zapamiętał spotkanie z „kozuniami” wiozącymi rannych powstańców oraz „obóz insurgentów w Jędrzejowie biwakujący na rynku – konie, ludzie, wozy, broń w kozłach, ogniska, śpiewy.” Bardzo podobne te losy do dziejów ojca Żeromskiego, z którym zresztą malarz wymieniał się opowieściami o 63 roku, z tą tylko różnicą, że Masłowski te czasy sam przeżył i pamiętał.

Wtedy też pojawiają się chęci do rysowania, pierwsze szkice, rysunki z natury, kopiowane z czasopism obrazy Juliusza Kossaka. Rodzice zaakceptowali talenty plastyczne syna i po skończeniu edukacji w kaliskim gimnazjum (ale bez matury) rozpoczyna studia w warszawskiej Szkole Rysunkowej. Jedynym przedmiotem, którego nie zaniedbywał był rysunek. [...]

Są to czasy fascynacji Ukrainą. Stanisław Masłowski był jednym z największych miłośników tej krainy wśród malarzy epoki, a tych przecież nie brakowało. Folklor z Podola i Wołynia był bardzo popularny wśród artystów. *Orka na Ukrainie, Ule na Ukrainie, Pogrzeb huculski...* Wyczółkowski, Stanisławski, Axentowicz, Malczewski, Kossak, Brandt, Chełmoński i wielu innych ciągnęło tam chętnie. Powstała druga szkoła ukraińska, tym razem w sztukach pięknych. Eksploatowano tematy rycerskie, myśliwskie, kozackie. Od Mazepy, Wernyhory i Jaremy po kraśne dziewczki i kozaków wycinających hołubce. Maciej Masłowski pisze: „Ukraiński wątek ogarnął ojca w młodości z wielką siłą; uległ tej epidemii, przeżywał zachwyt, szął zachwytu nad kozaczyzną ze zwykłą sobie gorączką, z całkowitym oddaniem i wyłącznością. Ubierał się po kozacku [...], gadał, śpiewał ukraińskie pieśni, deklamował Szewczenkę, tańczył kozaka jak sam diabeł. [...] Nie tylko jeździł wielokrotnie na Ukrainę, ale nawet w Warszawie wyszukiwał prawdziwych Zaporozców i Dońców, rysował ich, studiował konie [...]”

Znamy zdjęcia malarza w stroju kozackim. Tę skłonność do przebierania się w długie, palone buty, wyszywane rubaszki i barankowe papachy zdradzał często, choć bywało, że jego kolegom i, co gorsza, profesorom ze Szkoły Rysunkowej wcale się to nie podobało. Kiedy tak wystrojony odwiedził profesora Lachnickiego ten najzwyczajniej się na niego obraził. Tę fascynację pokazują tytuły obrazów: *Kozacy, Odpoczynek czumaka, Pożegnanie Kozaka, Dumka Jaremy, Taniec Kozaków*. Ten ostatni z 1883 roku: „stanowił tylko zamknięcie przeżytych do dna młodzieńczych emocji, był jakby malarskim

bankietem pożegnalnym dla Ukrainy, a jednocześnie dla realizmu sentymentalnego, dla realizmu na romantycznej kanwie, dla oczeretów, teorbanów i bodiaków itp. Rekwizytów teatru malarskiej Kozaczyzny.”

Od tej pory chętniej maluje mazowiecką przyrodę i konie. Od połowy lat 80. XIX wieku wiąże się z grupą malarzy i pisarzy skupionych wokół pisma „Wędrowiec” (Stanisław Witkiewicz, Antoni Sygietyński, Aleksander Gierymski). Pismo propaguje realizm i naturalizm. W jego malarstwie pojawiają się świetne nokturny (*Wschód księżycy*), pracuje nad problemem światła w nocy i w dzień (*Zachód słońca*, *Wschód słońca*, *Południe*). Maluje mazowieckie plenery (*Staw w Radziejowicach*), powstają obrazy obyczajowe o tematyce wiejskiej (*Targ w Grzybowie*, *Przed poborem*, *Pierwsze żyto*, *Sprawa o granicę*). To sprawia, że według powszechnej opinii główną cechą jego malarstwa: „było silne odczucie charakteru ziemi polskiej, zwłaszcza Mazowsza.”

Przełom wieku to okres burzy i fermentu – próby i eksperymenty pomiędzy impresjonizmem i neoromantyzmem. Pojawia się wyraźnie jeszcze jeden temat – pejzaż warszawski (*Stare Miasto*, *Targ na Mariensztacie*). Jest to też okres licznych podróży: Monachium, Włochy, Paryż. A w 1912 nawet orientalny Tunis. Owocem tych wojaży są niezliczone akwarele, czarujące barwnością, egzotyką, dekoracyjnością i świeżością spojrzenia. Podobały się bardzo i chętnie je kupowano. Ale chyba najlepiej czuł się w Trokach i w podwarszawskiej wiosce Wola Rafałowska, gdzie znalazł kwintesencję polskiego krajobrazu i gdzie spędzał całe wakacje przez wiele lat. Tam malował *Malwy w ogródku* („malwy w ogródku kwitną różowo i oleander wypuścił także”- pisze w liście do syna w sierpniu 1911), *Maki*, *Lubiny*, *Kaczki nad stawem*, *Na porębie*, *Na pastwisku* i dziesiątki innych akwarel, w których malowaniu osiągnął mistrzostwo.

Wiele obrazów i szkiców pokazuje, że był świetnym malarzem koni. *Wiosna 1905* potwierdza to zresztą. Jego *Stado koni* oceniono bardzo pochlebnie w recenzjach. *Jarmark koński*, *Targowanie*, *Bryczka*, *Sanie*, *Przed polowaniem*, *Czwórka* i *Trójka bałagulska* potwierdzają jego talent w tym kierunku. Z ważniejszych obrazów namalowanych po odzyskaniu niepodległości na wymienienie zasługują *Beliniacy*. Płótno przedstawiające kawalerzystów z 1 Pułku Ułanów Legionów Polskich dowodzonego przez Władysława Belinę – Prażmowskiego.

Cytowałem tu już opinię Eligiusza Niewiadomskiego, który bardzo cenił to malarstwo. Czy mamy się jednak zgodzić z jej dalszym ciągiem? Brzmi on tak: „miejsce Masłowskiego będzie w tym samym szeregu, w którym stanęli artyści skądinąd różnej miary: Kossak Juliusz, Matejko, Grottger, Chelmoński, Piechowski.” Pewnie można by dziś powiedzieć, że Masłowski i tak miał

więcej szczęścia od Wojciecha Piechowskiego, którego już kompletnie zapomniano. A o *Wiośnie 1905*, *Wschodzie księżycy* i wielu innych będziemy pamiętać.

Wydarzenia z czasów rewolucji 1905 nie ograniczały się tylko do tego jednego roku, bo strajki, zamieszki i wiece odbywały się także w latach 1906 i 1907. Artysta mieszkał wówczas w Warszawie i w listach do żony przedstawiał jej realia życia w zbuntowanym mieście. Jest to fascynująca lektura. Żeby oddać klimat tych lat zacytuję kilka fragmentów korespondencji: „Dzisiaj rano koło 5 przez otwarte okno słyszę strzały, zrywam się i widzę naprzeciw zbiegowisko żołnierzy uzbrojonych, wpadli w bramę goniąc kogoś, na ulicy pusto, kilku stróży w negligach; nareszcie po kwadransie hałasów w owej bramie, wypada paru żołnierzy wołając do innych: »pajmali«. Tych żołnierzy było 9, wyprowadzili jakiegoś młodzieńca [podkreślenie moje] bez czapki, w kurtce i w moich oczach bijąc go niemiłosiernie kolbami i pięściami wiedli tak do cyrkułu. Czy go doprowadzili żywego, nie wiem. Za każdym uderzeniem odchyłał głowę biedną w przeciwną stronę, krzycząc: O Jezu [...]” [list z 14 VII 1906] „Dr Bernat mieszka na Marszałkowskiej w hotelu Metropol, bywam tam codziennie o 1 lub wcześniej na obiadach, a bardzo często w kawiarni Ostrowskiego naprzeciw tego hotelu. Przed czterema dniami idzie on do owej kawiarni, lecz w tej chwili nadchodzi tramwaj, który tam się zatrzymuje [...] słyszy w tramwaju 3 strzały browninga, a jednocześnie wypada mu pod nogi półmartwy, zastrzelony policjant, z wrzaskiem, buchający krwią, lecz jeszcze żyje; tak jęcząc ów policjant czołga się na czworakach do drzewka przy trotuarze, lecz zabójca dopada doń i strzela czwarty raz w skroń nieszczęśliwego. Już trupa wynoszą obok do felczera.” (*Materiały...*)

Autor podaje jeszcze wiele przykładów strzelanin oraz panoszenia się „ohydnych hord pospolitej soldateski.” Listy oddają klimat życia w zrewoltowanym mieście, którego mieszkańcy po raz kolejny chwycili za broń. Nieustanne strzelaniny, krew ofiar szarż kozackiej kawalerii pędzącej na oślep po ulicach, śmierć niewinnych ludzi, zsyłki.

Konsul francuski Bayard 13 stycznia 1907 roku donosił do Paryża: „Mimo że na ulicach Warszawy jest nieco bezpieczniej niż na przykład w zeszłym roku o tej porze, to jednak pod koniec ubiegłego roku, 15 grudnia, rzucono osiem bomb na ulicach. Jedną z nich rzucił 17-letni uczeń gimnazjalny. [podkreślenie moje] Są też liczne zamachy rewolwerowe na żandarmów i policję [...] Nie ustają napady na państwowe kasy, biura, dworce, nawet w najbardziej zaludnionych dzielnicach. Warszawska policja nie może nic poradzić, gdyż społeczeństwo odmawia jej pomocy. [...] Więzienia są przepełnione. Mówią, że w listopadzie ubiegłego roku w jednym tylko miesiącu na liście więźniów Cytadeli było 23601 osób. Większość z tych aresztowa-

nych nie staje przed sądem, tylko skazana zostaje administracyjnie na wygnanie z granic Królestwa, a nawet na śmierć. Od 15 zeszłego miesiąca zanotowałem 39 egzekucji.”⁷ Pan konsul zanotował też słowa wypowiedziane do niego przez generał-gubernatora: „Polacy to bandyci gotowi na wszystko [...] Nienawidzą Rosjan, którzy są ich panami. Jedyne sposoby na przywrócenie porządku to brutalna siła. Powinno się jej używać bez granic. [...] Polaków należy unicestwić.”⁸

Revolucja 1905 roku znalazła całkiem spore odzwierciedlenie w sztuce. Inspirowała polskich twórców: Witolda Wojtkiewicza (*Manifestacja uliczna*), Władysława Skoczylasa (*Demonstracja uliczna*) oraz malarzy rosyjskich: Ilię Repina (*17 października 1905*) oraz Borysa Kustodiewa (*Straszydło rewolucji*). Obraz Masłowskiego wyróżnia się wśród wymienionych – jest dziełem wybitnym.

Artysta tęskni za rodziną, jest zmęczony „pracą i brakiem wsi”, ale nie pozostaje obojętny na rzeczywistość, która jest za oknem, na ulicy... Powstaje obraz wyjątkowy w jego twórczości, ale to on właśnie zapewni mu sławę. *Świt 1906 r.*, zwany też *Wiosna 1905* lub *Wiosna 1906*, powstawał wiosną i latem 1906 w pracowni artysty w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej. Rok później został wystawiony razem z dwoma innymi (*Pierwsze żyto* i *Świątynia sztuki*) na wystawie w stolicy. Pierwotny tytuł *Patrol Kozaków* został zmieniony na żądanie policji. „Tło właściwe obrazu najlepiej tłumaczy fragment listu Masłowskiego do niejakiego Fryderyka Dolmana w Londynie: »Co do kwestii motywów, które powodowały mną przy malowaniu obrazu ostatniego [...] sądzę, że wiadomość, iż jestem Polakiem, wystarczy.«” (*Materiały...*)

Gdyby z obrazu usunąć patrol kozacki, to byłby to całkiem zgrabny obraz impresjonistyczny, którego nie powstydziliby się mistrzowie pejzażu miejskiego: Claude Monet (*Bulwar Kapucynów*), Camille Pissarro (*Bulwar Montmartre*) czy Gustave Caillebotte (*Paryska ulica w deszczu* czy *Mężczyzna na balkonie*). Piękna, świeża zieleń drzew, biel eleganckiego ogrodu, strzeliste kolumny pałacyku i jego ukwiecone balkony, równiutko przycięte żywopłoty i wystrzyżone trawniki, znakomicie uchwycony mokry bruk, a nawet gdzieś w tle „rózanopalcu jutrzeńka”. Wszystko to jest mistrzowskim popisem biegłości malarskiej.

Zawsze, kiedy myślę o polskim impresjonizmie złości mnie to, jak jest on nieznany i niedoceniany na świecie. Leon Wyczółkowski, Julian Fałat, Władysław Podkowiński, Aleksander Gierymski, Jan Stanisławski, Józef Pankiewicz i Olga Boznańska tworzyli arcydzieła, przy których błędnie wiele obrazów z kolekcji Musée d’Orsay. Tym bardziej, że jest to na gruncie pol-

⁷ Cyt. za: Joanna Olczak - Ronikier *W ogrodzie pamięci*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2002, s. 131.

⁸ Ibidem, s. 133. Nota bene zadziwia zgodność w opinii o Polakach wśród zaborców. Kanclerz Bismarck w liście do siostry pisał w roku 1861: „Bijcie Polaków, by im ochota do życia odeszła.”

skim najczęściej zjawisko oryginalne, niezapśredniczone. Nad Wisłą i Dniestrem powstawały obrazy, które opisywały urodę życia tutejszego, oddawały kształty, zapachy miejscowe.

Oczywiście Masłowski też należy do tej galerii mistrzów. Już w czasie jego nauki w warszawskiej Szkole Rysunkowej Miłosz Kotarbiński, zauważył, że był on „z natury urodzonym impresjonistą. [...] Barwnością i żywością studiów krajobrazowych z natury wyprzedził najzagorzalszych później impresjonistów.” Nie zapominajmy jednak, że słowo ‘impresjonizm’ początkowo traktowane było jak epitet. W Polsce też nie wszyscy i nie od razu pokochali ten kierunek. Wiktor Gomulicki zżymał się po obejrzeniu dzieł malarza: „artysta ten hołduje skrajnemu »impresjonizmowi«, który przybiera u niego formę rażącej i drażniącej jaskrawości. Obrazy wolne od tej szkolarskiej przesady są o wiele lepsze.”

Jego płótno to rodzaj migawki, obrazka uchwyconego przez wrażliwego i uważnego obserwatora. Środkiem pustych Alei Ujazdowskich posuwa się oddział kozaków, którzy szczerze osłaniają dwóch konwojowanych aresztantów. Nieprzypadkowe jest wybranie za tło tej eleganckiej ulicy, pełnej pałacików, wili i pięknych kamienic. W drugiej połowie XIX wieku powstawały tam liczne siedziby arystokracji i burżuazji.

Formacje kozackie nie miały w Polsce pod zaborami dobrej opinii. Była to formacja szczególnie nie lubiana. Stali się synonimem bezmyślnego i okrutnego żołdactwa. W czasie powstania styczniowego nie brano ich do niewoli, byli zabijani za okrucieństwa, których nie szczędzili Polakom. Bardzo często spełniali rolę żandarmerii. A ta miała w Rosji w tym czasie tak fatalną opinię, że zdarzało się, iż w czasie spotkań korpusu oficerskiego odmawiano podania dłoni dowódcom żandarmom. Gdyby ów patrol miał jeszcze na wyposażeniu długachne piki, to wyglądałyby zupełnie, jak ten, którego żołnierze w okrutny sposób zamordowali i zbezcześcili Szymona Winrycha, bohatera opowiadania Żeromskiego Rozdzióbą nas kruki, wrony... Patrząc na tępe gęby żołdaków, na ich przekrzywione czapki na głowach (co jest oznaką lekceważenia regulaminów wojskowych), na nahajkę w ręku jednego z nich, przypomina się pytanie, które malarz zadał w cytowanym wyżej liście do żony: „wiedli tak do cyrkułu, czy go doprowadzili żywego, nie wiem?” Warto przypatrzeć się, jak malarz oddaje ich podenerwowanie, niepewność i strach, czy ktoś zaraz nie strzeli do nich zza węgła. Przydały się tu pewnie owe warszawskie studia „prawdziwych Zaporozców i Dońców.” A gdzie w Warszawie mógł znaleźć owych mieszkańców Zaporozża, Kubania i cichego Donu? Pewnie w jakimś patrolu właśnie.

Uderza kontrast pomiędzy piękną, a nawet elegancką ulicą, która o tej wczesnej porze jest jeszcze pusta (w głębi widać tylko malutką figurkę posłańca z kwaciarni, który odnosi zamówiony bukiet) a oddziałem konwoju. Drzewa, pałac, trawa i kwiaty są utrzymane w pastelowych kolorach, malowane delikatnymi muśnięciami pędzla. „Jest subtelność, finezja cienie, delikatnej kreski, wrażliwość na kolor, dekoracyjność plamy, nowatorska niezależność wyboru a nade wszystko nieznana świeżość widzenia, jest już jakiś własny, odrębny styl” – zauważy trafnie krytyk. Masłowski nie tylko potrafił malować pięknie ukraińskie i mazowieckie plenery i obrazki obcza-

jowe, nie tylko z mistrzostwem oddawał piękno natury. W jego twórczości zagościł nowy temat – miasto Warszawa i historia, która wdarła się na płótno. Impresjonistyczny popis nie służy tu oddaniu urody miasta, którego dziś nie ma. Ponoć piękniejszego od stolicy Italii. Choć trudno w to uwierzyć, ale w kwietniu 1904 roku malarz pisał z do żony tak: „Rzym jest tak brudny i tak podłe ma trotuary, że nasza Praga jest o wiele porządniejsza. Ludzie tu przy tym chodzą wolno i bez żadnego ładu, i środkiem ulicy, i trotuarem, i są tak brudni i ubrani, a właściwie nie ubrani, że można się do nich przylepić. Wszystko to razem męczy i nudzi.” (*Materiały...*)

A Warszawa jest piękna i bogata. Ale to tylko blichtr i pozór, bo Stanisław Witkiewicz pisał na początku XX wieku: „Kto by widział owoczesną Warszawę z jej wspaniałymi sklepami kosztownych jedwabów, pluszów, aksamitów, futer i koronek, angielskich kortów i paryskich kapeluszy; kto by zliczył magazyny sprzedające wykwintne i drogie jadalne i napoje; kto wiedział, ile ten biedny na pozór kraj wydawał na zmianę ubrania za każdym sezonem, na zmianę nowalii na stołach odpowiednio do pory roku, na nowe typy karet i wyścigowych breków, na angielskie uprząże i konie pełnej krwi, wyścigi i polowania, ile przegrywał w karty w noc jedną, ile wydawał na całe to używanie, w którym chodziło albo o najgrubsze zmysły, albo o próżność [...]”⁹

Karl Baedeker, autor licznych przewodników, opisuje w jednym z nich ówczesną Warszawę, jako miasto w typie Europy Zachodniej a nie Rosji, ładne, z wieloma rozrywkami: operetka, cyrk, „dobra muzyka w letnie wieczory”, niezłe restauracje i kawiarnie Aleksander Błok zauważył bez pruderii: „W kawiarniach, barach jeszcze widno? I Nowy Świat wciąż stręczy ciała/ Na trotuarach swych bezwstydnymi.”¹⁰ Ale to on dostrzeże coś, czego wielu nie chciało widzieć: „Życie ukryło się w podziemiach, / W pałacach pańskich cisza głucha.” Malarz rozmyślnie skonstrastował zabiedzonych aresztantów z przepychem pięknej dzielnicy. Ludzie podziemni, jak ich nazwał Andrzej Strugi, i bogata socjeta. Tak to wówczas wyglądało.

„Spokój panuje w Warszawie” – donosił francuski poseł po stłumieniu powstania listopadowego. Pozory. Warszawa się przyczaiła. W ten idylliczny prawie obrazek spokojnego miasta wdzierają się bura tonacja – mokra jezdnia, brązowe mundury patrolu, kare, gniade i bułane umaszczenia koni... I ta dwójka aresztantów, mali ludzie, jeden w czarnym paltocie i takimże kapeluszu, drugi w uczniowskim mundurze i przepisowej czapce. Kim są, czym zawinili, za co ich aresztowano? Patrząc na ich wzrost i przypominając mi się fragment III części *Dziadów* opisujący „tryumf Cara północy, zwycięzcy nad działością” Jest prawie dokładnie, jak tam: „Małe chłopcy, znędziałe, wszyscy jak rekruci.” Można odnieść wrażenie, że oto historia zatoczyła koło i znowu

⁹ St. Witkiewicz, Aleksander Gierymski, s. 36.

¹⁰ A. Galis, op. cit., s. 226.

mamy kolejną (którą to już?) wersję zesłania studentów. Wiele się jednak przez te lata zmieniło. Jest na tym obrazie coś uderzającego, coś niepokojącego. To twarze i spojrzenia tych młodych ludzi. To nie są niewiniątka widziane na rzeź. Żaden car ani jego sługus Nowosilcow im nie straszny. Przypominają oni młodych ludzi z książki Hanny Malewskiej *Apokryf rodzinny*: „Fotografie studentów z pokolenia mego ojca; jego kolegów petersburskich i innych. [...] Twarze o zdumiewającej energii, szlachetnej surowości drapieżnych ptaków. Prawie każdy z tych młodych ludzi [...] wygląda, jakby był zdolny i skłonny rzucić bombę pod powóz carski.”

Według niektórych krytyków nie jest wcale oczywiste, że są to młodzi ludzie. W opisie obrazu W albumie *Polaków portret własny* znajdziemy taki fragment:

„Na obrazie Maślowskiego konni kozacy posuwający się wolno środkiem Alei Ujazdowskich w Warszawie osłaniają starannie – jakby chcieli ich ukryć przed oczami przechodniów – dwóch spiskowców: zapewne robotnika i inteligenta prowadzonych do więzienia lub na przesłuchanie.” O młodym wieku aresztantów ani słowa. Jakie zastosować tu kryterium? Wzrostu są niewysokiego – sięgają ledwo końskich kłębów. A jeśli weźmiemy pod uwagę, że to konie kozackie, mniejsze od innych, których wysokość nie przekracza półtora metra, to pewnie nie są o wiele wyżsi. Powie ktoś, że twarze mają zbyt poważne. Ale może trzeba na to spojrzeć biorąc pod uwagę, ile lat mieli ówcześni gimnazjaliści. Pisałem o tym wcześniej. A poza tym pełnoletniość uzyskiwał wówczas człowiek dwudziestojednoletni. Dziś patrząc na twarze aktorów występujących w filmie *Młody las* myślimy, że dobrano zbyt starych. Ale to nieprawda. Większość ma po 20-21 lat, tylko dwóch ma 28 i 31 lat. A poza tym kult młodości jeszcze się nie zaczął, gombrowiczowski Młodzikowie dopiero się rodzili. Do fasonu należało raczej postarzanie się. To młodzi marzyli o tym, żeby wyglądać dorośle; stąd często wąsy nad wargą gimnazjalistów.

Pojawia się też problem następujący - na słynnej krakowskiej wystawie „Polaków portret własny” z roku 1979 pokazywano obraz Maślowskiego pochodzący ze zbiorów muzeum Narodowego w Warszawie. Jego reprodukcja została zamieszczona w I tomie albumu poświęconego wystawie. Tam też znajdziemy zbliżenie fragmentu przedstawiającego aresztantów. Są jednak albumy, w których możemy spotkać inną reprodukcję. Odminną jeśli chodzi o kolorystykę i staranność wykończenia. Aresztanci są tam zdecydowanie młodymi ludźmi. Malarz wykonał po prostu „dwie repliki tego obrazu. Pierwsza wersja znalazła się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie.”

Stanisław Masłowski stworzył w swym obrazie zapis historii, ale nie wprost. Tak, jak na płótnie Maksa Gierymskiego udało mu się przekazać to „pod werniksem [...] czasem zagrzebane trochę uczucia”. Pozornie niewiele się tu dzieje, ale „uchwycona została jednak spora doza prawdy o rzeczywistym klimacie tamtego okresu; o brutalnym tłumieniu rosnącego napięcia i o zbliżającym się nieuchronnie kresie stary porządków.”

Gdy patrzę na twarze młodych aresztantów, to wyobrażam sobie, że to przyjaciele Stefana Żeromskiego z czasów jego szkolnej katorgi: Jan Wacław Machajski, czyli Radek i Jan Strożecki, czyli „Figa” Walecki. To oni byli więzieni i „w najsroższy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodzili bez trwogi.” Nigdy się nie poddawali. Wytrwali, ideowi. Takimi należy ich zapamiętać na przekór zapomnieniu, które było losem wielu z nich. Z czego zdawali sobie sprawę, bo z fatalizmem mówili: „I cóż [...] po nas przyjdą te nowe czasy. Tego się spodziewamy. Przyjdzie wielka walka, przyjdzie zwycięstwo. Niechże im będzie na zdrowie, tym jutrzejszym pokoleniom! Jakieś ogromne zdarzenia, wielkie czyny przywała te nasze śmieszne walki. [...] Samotne nasze bohaterstwo i bez nagrody.” (*Dzieje...*) Okropna musiała być ta świadomość, że zostaną po nich tylko długie nocne rodaków rozmowy. Ale został na szczęście jeszcze trochę dobrej literatury i doskonałego malarstwa. To musi wystarczyć im za pomnik grobowy.

Wiosna 1905 (wg obrazu S. Masłowskiego)

„Wiosenny dzień - zapach lip
Po deszczu ulica lśni
Stuk podków i siodła skrzyp
Koń wiosnę poczuł i rży
Bandytów złapano dwóch
Przez miasto prowadzą ich
Drży koński przy twarzy brzuch
Drży twarz przy końskim brzuchu
Długo czekali na tę wiosnę
Całe swoich piętnaście lat
W marszu w Aleje Ujazdowskie
Z twarzy uśmiech dziecięcy spadł
Idą i drogi swej nie widzą
W myślach pierwszy piszą już list
Konie wędzidła swoje gryzą
Uszy drąży kozacki gwizd
To dzieci w słów wierzą sens
To dzieci marzą i śnią
To dzieciom sen spędza z rzęs

Dobro płacone ich krwią
Dorośli umieją żyć
Dorośłym sen - mara - śmiech
To dzieci będą się bić
Za słów dorosłych prawdę
Przeszli, nie widać ich zza koni
Znika po kałużach ich ślad
Jeszcze w ostrogę szabla dzwoni
Czymże byłby bez tego świat
Pusta ulica pachnie deszczem
W drzewach jasny puszy się liść
W mokrym powietrzu ciągle jeszcze
Krąży kozacki gwizd!"

Jacek Kaczmarski zaczyna swój wiersz od słowa 'wiosenny'. Nic dziwnego, przecież utwór ma tytuł *Wiosna 1905* (wg Stanisława Masłowskiego). W utworze pojawia się przymiotnik („Wiosenny dzień”) oraz dwa razy rzeczownik w bierniku: 'wiosnę' („Koń wiosnę poczuł”; „Długo czekali na tę wiosnę”). To słowo-klucz dla zrozumienia obrazu i piosenki. Tytuł jest prostą metaforą – chodzi o prawdziwą, świetnie odmalowaną wiosnę, pochwałę jej piękna, dytyramb na jej cześć, wyrażający radość z jej pojawienia, z obudzenia się po zimowym letargu i odrętwieniu. Chciałoby się za Julianem Tuwimem „świętować wiosnę w mieście”¹¹. Jest to też oczywiście czas odrodzenia nadziei na wolną Polskę. Ta pora roku miała znaczenie symboliczne. Wystarczy tylko przypomnieć słowa Szymona Gajowca z *Przedwiośnia* S. Żeromskiego: „To dopiero przedwiośnie nasze. Wychodzimy na przemarznięte role i oglądamy dalekie zagony. Bierzymy się do własnego pługa, do radła i motyki, pewnie że nieumiejętnymi rękami. Trzeba mieć do czynienia z cuchnącym nawozem, pokonywać twardą, przerośniętą caliznę. [...] Wierzimy, że doczekamy się jasnej wiosenki naszej...” Wszyscy czekali wyśnionej „wiosenki naszej”, jak człowiek stary i schorowany czeka końca zimy, bo wie, że wiosna go uzdrowi i doda mu sił... Jeśli ją przeżyje oczywiście. To przecież także próba sił.

W 1905 nadzieja na wolną Polskę była nieklamana. W Rosji rewolucja wybuchła, bo lud żył biednie, życie stało się wprost nie do wytrzymania... W Polsce wcale nie ma lepszej sytuacji gospodarczej, wojna zahamowała produkcję – sto tysięcy ludzi trafiło na bruk. Ale do spraw socjalnych dołączają się sprawy narodowe. Po 40 latach znowu pojawia się nadzieja na odzyskanie niepodległości. Czerwień i amarant, jak to obrazowo określił Melchior Wańkowicz. Polska Partia

¹¹ J. Tuwim *Wiosna. Dytyramb*. Tu dygresja: W wierszu *Herostrates* drukowanym w 1917 roku w piśmie „Pro arte et studio” Jan Lechoń mógł już rozmarzyć się i napisać, że „Wiosną - niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę” [J. Lechoń, op. cit., s. 8], bo chciał przewartościowania narodowych świętości i stworzenia nowych, odpowiednich do nowej sytuacji Polski, która odzyska niepodległość.

Socjalistyczna potrafiła w swym programie połączyć idee socjalne ze sprawą wyzwolenia narodowego. Piłsudski za kilka lat wysiądzie z czerwonego tramwaju na przystanku „Niepodległość”. Ale droga do tego jeszcze daleka.

Początek i koniec wiersza jest udaną próbą oddania wiosennego nastroju obrazu: „Wiosenny dzień - zapach lip/ Po deszczu ulica lśni”, „Pusta ulica pachnie deszczem/ W drzewach jasny puszy się liść.” Ale to tylko punkt wyjścia do mówienia o tym, co na płótnie najważniejsze – o opresji, przemocy zaborców, aresztowaniu, niewoli. Artysta świetnie uchwycił fizyczny aspekt uwięzienia „bandytów”, wcisniętych pomiędzy konie, znajdujących się w potrzasku: „Drży koński przy twarzy brzuch/ Drży twarz przy końskim brzuchu.” Jest to dodatkowo sposób na ukazanie wzrostu aresztantów – człowiek o normalnym wzroście nie ma twarzy na wysokości końskiego brzucha – oraz strachu młodych ludzi, bo konwojowani przez kozaków spiskowcy mają po „całe swoich piętnaście lat”. Kaczmarek robi paralelę historyczną. Wraca do swego *Zesłania studentów* według zaginionego obrazu Jacka Malczewskiego. Podobnie jak Mickiewicz w *Dziadach III* konsekwentnie pisze o aresztowanych dzieciach. Słowo to w trzeciej strofie pojawi się aż cztery razy.

„Z twarzy uśmiech dziecięcy spadł” – ci niedorośli uczestnicy walki o Polskę przechodzą przyspieszony kurs dojrzewania. Ich twarze są twarzami mścicieli, gotowych na wszystko bojowców, o których pisała Hanna Malewska. Oni już nie chodzą, ale maszerują w rocie aresztanckiej przez Aleje Ujazdowskie. „Idą i drogi swej nie widzą”, bo nie wiedzą, co im pisane: Cytadela czy Sybir. Jednego mogą być pewni:

„Wyzwanie przyszłe mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.”

Jak pisał Adam Mickiewicz w wierszu *Do matki Polki*. List układany w głowie tyle razy, został już w tym kraju napisany. Trzeba zawiadomić rodziców i przygotować ich na najgorsze. Tak jak to zrobił poeta Mieczysław Romanowski: „ja przecież idę wypełniać najdroższy obowiązek, staję do boju za Polskę.” „W Koronie powstanie! Ruszamy w pochód! Przygotuj na to Rodziców. [...] Idziemy pełnić naszą powinność.”

Trzecia strofa przynosi gorzką diagnozę – to na dzieci spada polskie fatum, upiorna sztafeta pokoleń każe im podjąć się pracy, którą ich rodzice porzucili i zapomnieli. To pokolenie ojców i dziadów jest wypalone, wykrwawione i wyniszczone przez straszliwe represje zaborców, sparaliżowane strachem przed kolejnym powstaniem. Marzenie o wolnej ojczyźnie jest już tylko snem dziecięcym. „My i wy”, konflikt pokoleń, w którym dorośli porzucili swe ideały, żyją w atrofii uczuć patriotycznych. To, opisywany z żalem przez wielu autorów z epoki brak solidarności pokoleniowej. Pozostawienie młodych samym sobie. Tę sytuację znamy z powieści Żeromskiego, który

specjalnie podkreśla lojalizm, bierność, tchórzostwo a nawet zaprzaństwo dorosłych, aby tym bardziej podkreślić odwagę, patriotyzm i aktywność młodzieży.

„Dorośli umieją żyć/Dorosłym sen - mara - śmiech”: obrośli w tłuszczy filistrzy, gromadzący dobra materialne są kontrastowo zderzeni z ideową młodzieżą, bo to „dzieci będą się bić/ Za słów dorosłych prawdę” i one za to zapłacą. Kaczmarek zastosował tu anaforę – trzy razy na początku wersetu powtarza: „To dzieci...” Nie ma już żadnych wątpliwości, o kogo chodzi. To oni za kilka lat będą śpiewać *Pierwszą brygadę*:

„Nie chcemy dziś od was uznania,
Ni waszych mów ni waszych łez,
Już skończył się czas kołatania
Do waszych serc, do waszych kies!”¹²

Znaczące jest to podkreślanie: wy, was, waszych – ostatni zaimek został użyty aż czterokrotnie. Wymownie świadczy to o ówczesnych nastrojach i stanie umysłów młodzieży.

Kilka słów należy jeszcze poświęcić kozakom. Autor opisuje ich poprzez dwukrotne przywołanie ich dzikiego gwizdu: „Uszy drąży kozacki gwizd” oraz „Krąży kozacki gwizd!”. W wersji śpiewanej zajmuje on sporo miejsca. Ma to spotęgować grozę tej formacji wojskowej. Nie zapominajmy, że scenka rozgrywa się na eleganckiej ulicy europejskiego, bądź co bądź, miasta. Ów dźwięk ma straszyć mieszkańców a kozakom dodawać animuszu. Francuzi do dziś cierpną na dźwięk słów: *Les cosaques*. Trauma z czasów odwrotu Wielkiej Armii spod Moskwy pozostała. Polacy może nie dostają ataku strachu, ale gwizd - oznaka moskiewskiej dziczy, wdziera się w uszy. Dzieci stepu wpuszczone do miasta, zawsze głodni, zawsze niedopici, zawsze na bakier z prawem. W polskiej pamięci postaną obok Czerkiesów, Kałmuków i tatarskich hord jako symbol przemocy, zniewolenia, ale jednak z odrobiną europejskiej wyższości cywilizacyjnej spostrzegani. Często pobrzmiwa tu ton z Kochanowskiego: „zbójce nas wojują”. Tak naprawdę to stan ich ducha Kaczmarek pokazuje dzięki zastosowaniu metonimii. Opisuje zachowanie kozackich koni. Słysząc tylko „Stuk podków i siodła skrzyp” (tu poeta pozwala sobie na ściągnięcie wyrazu ‘skrzypienie’ na wzór Leśmianowskiego: ‘sprzęg i usi’). Konie są nerwowe: „rżą, drżą, gryzą wędzidła”. To wszystko świadczy o ich nerwowości i niepokoju. Warszawa nie była wówczas spokojnym i bezpiecznym miastem. Szczególnie dla Moskali.

¹² Można znaleźć inną wersję zakończenia pieśni: „Nie chcemy już od Was uznania/ Ni Waszych mów, ni waszych łez!/ Skończyły się dni kołatania/Do waszych serc, jebał was pies!” Podaje ten wariant Mieczysław Pruszyński (*Tajemnica Piłsudskiego*, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1997, s. 25).

Ale ten dziki gwizd w osiemdziesiątym roku miał jeszcze inną wymowę. To były czasy popularnej piosenki „Wejdą, nie wejdą”. Kozacy byli więc symbolem okupanta, zniewolenia, strachu przed powtórką z historii. Nieprzypadkowo Jarosław Marek Rymkiewicz napisze w przejmującym wierszu o początku stanu wojennego:

„Kiedy się obudziłem, Polski już nie było.
Na skwerze przed Teatrem, jak za Paskiewicza,
Małe włochate konie kozackich szwadronów
Szczypały suchą trawę, krzyczeli setnicy
I słyhać było śpiew w nieznanej mowie”

W osiemdziesiątym roku piosenka Kaczmareckiego miała przecież też swój kontekst historyczny. Pisałem o nim w eseju poświęconym *Zesłaniu studentów*. Trudno było nie pomyśleć o studentach z Marca 1968, o założycielach Studenckiego Komitetu Solidarności po śmierci Stanisława Pyjasa czy swoich kolegach, którzy zakładali Niezależne Zrzeszenie Studentów.

Ostania zwrotka podkreśla ulotność tej chwili („przeszli, znika, jeszcze [...] dzwoni”). „Znika po kałużach ich ślad” – czy można wyobrazić sobie mniej trwałą sposob na utrwalenie swej obecności, byle podmuch wiatru osuszy ślad na mokrym bruku. Cytowane wyżej przekonanie o fatalistycznym stosunku Polaków do swej historii (Mickiewicz, Strug, *Pierwsza brygada*) ma kontynuację w pokoleniu Kolumbów. Komuż bardziej niż im można wierzyć, gdy piszą: „Zostanie po nas złom żelazny/ i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.” Albo:

„nie wiedząc, czy my karty iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią, z litości chociaż,
nad grobem krzyż.”

Wojenna generacja, jak żadna inna miała, świadomość paradoksu czy może fatalizmu historii – wiedzieli, że zginą. Pisali o tym w swej poezji a jednocześnie wierzyli w sens swej walki. Prowadzili ją do końca, bo w ten sposób nadawali sens swemu życiu, dawali mu sankcję moralną. Przestawali być niedowarzonymi młodzikami a ich gest był projekcją w przyszłość i odrzuceniem trawiącego ich przekonania o bezsensie egzystencji.

To samo zdanie można odnieść do filomatów, do powstańców listopadowych i styczniowych oraz bojowników rewolucji 1905 roku. Można je też zastosować do rówieśników autora, polskiej młodzieży AD 1980. Wystawa „Polaków portret własny”, która natchnęła poetę i barda do napisania programu *Muzeum*, kończy się zwierciadłem, w której mamy się przeglądać my, Polacy. Posiadacze „duszy anielskiej” i „czerepa rubasznego”... Również Jacek Kaczmarski stawia to lustro w swoich piosenkach przed nami.

Impresja namalowana przez Masłowskiego to zapis momentu historii żywej, tej którą obserwuje się zza firanki z okna we własnym mieszkaniu. Kaczmarek podkreśla tę chwilowość używając techniki charakterystycznej dla impresjonizmu, a mianowicie synestezji. Łączy w tym fragmencie dźwięki („szabla dzwoni”, „kozacki gwizd”), zapachy („ulica pachnie deszczem”) i kolory („jasny liść”), wzrok („nie widać”) oraz dotyk („mokre powietrze”). Przeszli pozostał po nich tylko dźwięk świstu.

Pozostaje jeszcze sprawa pytania postawionego w ostatniej strofie: „Czymże byłby bez tego świat”? Bez czego? Bez idei, bez wolności? Bez „młodości chmurnej durnej”, którą stać na bunt i ofiarę. Nawet życia. Jacek Kaczmarek zadaje w tekstach pochodzących z 1980 roku ważne pytania, podejmuje polskie „przekłete problemy”, które do dziś istnieją i z którymi do tej pory się nie uporaliśmy. Polskie fatum ciągle istnieje. Poeta, piosenkarz i prozaik zmarł po ciężkiej chorobie 10 kwietnia 2004 roku. Traf chciał, że tej daty Polacy już nigdy nie zapomną, choć będą raczej myśleć o tym, co wydarzyło się sześć lat później. Od polskich przeklętych pytań i problemów nie ma ucieczki.

Tomasz Wandzel

Plan dnia

*Godzina 03:50*

Dzwonek budzika wwierca się w ciszę domu, spokojny oddech żony i w mój sen. Przez chwilę chęć dalszego snu walczy z koniecznością obudzenia się. Są tacy, co twierdzą, że to nienormalne wstawać o tej porze. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to podobnie jak kilkunastu znanych mi ludzi jestem

nienormalny. Opuszczam ciepło pościeli na rzecz szklanki gorącej herbaty i szybkiego śniadania. Jeszcze pośpieszne golenie, sprawdzenie czy wszystko zabrane i wychodzę z domu.

Godzina 04:50

Droga na dworzec to dwadzieścia minut przemierzania śpiącego wciąż miasteczka. Jeszcze kilka miesięcy temu doświadczałem luksusu wstawania o godzinę później, ale odkąd rozpoczęto remonty na liniach kolejowych, wszystko się zmieniło. Dopiero przy dworcu spotykam pierwszych ludzi, którzy tak samo jak ja, śpieszą się na pociąg osobowy z Iławy do Malborka. Czy to lipcowy słoneczny poranek oddychający przyjemnym chłodnym powietrzem, czy grudniowa noc rozjaśniana płatkami śniegu, kilkanaście osób pojawia się na peronie dworca w Prabutach. Jeszcze przed dwoma laty było ich więcej, ale niektórzy stracili pracę, inni znaleźli ją bliżej Prabut, jeszcze inni przeszli na zasłużoną emeryturę.

Pani Krysia - księgowa pracująca w Malborku rozprawia z panią Ewą - pielęgniarką z trójmiejskiej przychodni o przepisach na zalewę do ogórków. Pan Janek - kolejarz relacjonuje panu Heniowi także kolejarzowi wczorajszy spór z brygadzystą.

Godzina 05:15

Garstka ludzi wsiada do pociągu. Ciepło panujące w przedziale jest przyjemną odmianą od chłodu i wiatru szalejącego na zewnątrz. Zajmuję miejsce, wyciągam z torby laptopa i piszę. Najdziwniejsze i najciekawsze historie słyszałem właśnie w pociągu. Niejedna z nich nadaje się na książkę, spisuję więc je wszystkie, może kiedyś taka książka powstanie?

W moim przedziale prawie wszyscy znają się z widzenia. Poruszają więc tematy ogólne, a to, że kasztan w mieście został przewrócony przez wicher, a to, że zmarł ten lub tamten.

Godzina 05:50

Dojeżdżamy do Malborka, gdzie rozchodzą się nasze drogi. Ja przesiadam się na pociąg do Gdyni. Tu już zupełnie inne tematy. Może to tak już jest, że gdy ludzie nie widzą wokół nikogo znajomego łatwiej opowiadają historie, najczęściej te z cudzego życia.

- Wie pani ta Elżbieta od Władka to całymi dniami tylko się w telewizor gapi odkąd straciła pracę. Kto teraz przyjmie taką po pięćdziesiątce? - mówi kobieta, która dzisiaj przesadziła z dawkowaniem perfum.

W drugiej części przedziału troje młodych ludzi. Z rozmowy wynika, że wyjeżdżają do Anglii.

- Jak mam szukać czegoś tutaj za głodową stawkę, to już wolę harować w Londynie - mówi chłopak o basowym głosie.

Myślę sobie, że jestem szczęściarzem mając pracę. To nic, że każdego dnia pokonuję 100 km z Prabut do Gdańska i tyle samo z powrotem. Mogę za to, choć przez kilka godzin po powrocie, cieszyć się obecnością żony i dwójki synów. Za kilka dni minie pięć lat, od kiedy pracuję w Trójmieście. Jest to dobra okazja do podsumowania przejechanych kilometrów, wychodzi około 250 000.

Godzina 07:30

Gdańsk Wrzeszcz, teraz trzeba szybko, aby zdążyć na autobus. Przyśpieszony tupot butów świadczy, że nie ja jeden się śpieszę. Tym razem się udało. Tłok w autobusie to nic nowego, zwłaszcza o tej porze, gdy młodzież rusza do szkół.

- Mówię wczoraj do starego, że chuj mnie obchodzi, że robotę stracił, ja nowe spodnie muszę mieć i już - słyszę za plecami rozmowę dwóch nastolatków.

Na szczęście zbliżam się do mojego przystanku. Jeszcze tylko skrzyżowanie i już jestem w biurze.

Godzina 08:00

Weronika już na mnie czeka. Kolejny dzień szkolenia nowo zatrudnionej osoby.

- Dzisiaj jeszcze będziesz słuchała jak rozmawiam z klientami, a od jutra dzwonicz.

- Nie wiem, czy będę gotowa... - jej głos jest zalekniiony.

- Tylko spokojnie. Na pewno dasz sobie radę. Podstawą w tej pracy jest spokój.

- Rozumiem, że pan stracił pracę, ale ubezpieczenie samochodu jest ubezpieczeniem obowiązkowym i bardzo proszę, choć stopniowo wyrównywać powstałą zaległość - „Kolejna ofiara kryzysu” - myślę sobie kończąc rozmowę z kolejnym dłużnikiem.

- Słyszałam, że ty codziennie dojeżdżasz z Prabut do pracy?- zagaduje mnie Weronika między telefonami.

- Takie są czasy, zwłaszcza teraz, że to człowiek szuka pracy, a nie praca człowieka - odpowiadam jej sloganem, który niedługo powyciera się od używania.

Zastanawiam się, dlaczego to, że ktoś przebija się do pracy z drugiego końca miasta przez dwie godziny nie robi takiego wrażenia, jak informacja, że ja przyjeżdżam z Prabut oddalonych o sto kilometrów. Przecież w obu przypadkach czas dojazdu jest zbliżony.

Godzina 15:00

Koniec pracy, pora wracać do domu. W pociągu wdaję się w rozmowę z całkiem przyjemną staruszką.

- A nie jest panu ciężko tak dojeżdżać?

Chciałbym jej odpowiedzieć, że ciężko to się prowadzi rower pod górę, ale mówię tylko, że przez pięć lat człowiek już się przyzwyczaił.

Wysiadam na tym samym peronie, z którego kilkanaście godzin temu wyruszałem do pracy. Idąc do domu zapominam o klientach niepłacących za ubezpieczenia, o ludziach zadających mi dziwne pytania, o starszej pani z pociągu. Myślę o czekających mnie w domu obowiązkach tych bardziej przyjemnych i tych mniej. Czekam prasowanie, a potem muszę wykąpać starszego syna, położyć go spać i koniecznie opowiedzieć bajkę na dobranoc. W wyobraźni już słyszę jego prośbę: „Opowiedz mi bajkę o pasiastym tygrysie”.

Godzina 17:30

Przekraczam próg domu. W powietrzu unosi się zapach czerwonego barszczu, słysząc ogień trzaskający w kominku, żonę mówiącą coś do Jasia - naszego miesięcznego synka.

Czteroletni syn Mateusz biegnie do mnie z radosnym okrzykiem.

- Tato popatrz, co ci namalowałam! W ręczce ściska kartkę papieru. Choć ma już cztery

lata trudno mu zrozumieć, że jego tato jest niewidomy.

PS. Niektóre imiona bohaterów zostały zmienione.

Marek. H. Kotlarz

Żuławskie ścieżki Güntera Grassa

Prawdziwy urok Żuław docenić mogą w pełni tylko ich mieszkańcy, rzadziej przybywający tu goście, którzy znają zazwyczaj północne ich pobrzeże, nadmorskie miejscowości, no i, oczywiście, zamek w Malborku. Większość z nich przemyka jednak jedynie szosą E77 w kierunku Gdańska nie zdając sobie nawet sprawy z faktu, że skręcając na północny zachód przed Elblągiem wjeżdżają w region szczególny, jedyny taki w Polsce. Dla nich jest to po prostu równina porośnięta pojedynczymi wierzbami a czasem topolami. Z punktu widzenia czarnej wstęgi asfaltu, po której pędzą w kierunku Gdańska, nie różni się niczym od monottonnych płaszczyzn Wielkopolski. Żadnych pagórków i wzniesień, nic na czym można by zatrzymać wzrok, tylko ciągnące się aż po horyzont pola i łąki.

Zdarza się porównywać ten region z Holandią, ale tam ubarwiają krajobraz pola różnobarwnych tulipanów, schludne domy mijanych miasteczek, porządnie utrzymane drogi i wszechobecne wiatraki. Żuławy też są płaskie, depresyjne, równinne, pocięte kanałami i podzielone wałami, ale w Holandii tę ziemię wyrwali morzu ludzie, z rozmysłem i wykorzystując zdobycze techniki, tu, na północy Polski, łąd ten ukształtowała sama natura. Długo trwały zmagania łądu z morzem, nim to drugie zaczęło ustępować, powoli i niechętnie. A sprawiła to Wisła nanosząc z głębi łądu ożywczy gęsty muł i rozsiewając go między wschodnią krawędzią morenowych wzniesień Kociewia i Kaszub, i zachodni skraj Wysoczyzny Elbląskiej. Region ten ukształtował wycofujący się do Skandynawii lodowiec, lecz między te dwa wyniesienia wdarły się wody Bałtyku tworząc Zatokę Gdańską i Zalew Wiślany, w których ujście znalazły odnogi największej z polskich rzek.

Wisła niezdecydowanie przez wieki przenosiła swój nurt z jednego miejsca w drugie, zaścielając dno zatoki kolejnymi warstwami naniesionego osadu, wypierała morze, dzieląc się niekiedy na trzy i więcej nurtów, czasem o niektórych zapominając, by przenieść się w jedną czy w drugą stronę, czasem wracając do starego koryta, aż wreszcie między późniejszą osadą, jaka nosi obecnie nazwę Gdańsk, a Wzniesieniem Elbląskim ukształtowała krainę zupełnie wyjątkową – Żuławy.

Te nizinne krajobrazy potrafią jednak zauroczyć i, na szczęście, dzięki temu znalazły swoje miejsce w literaturze jednego z największych współczesnych pisarzy – Güntera Grassa.

Zaczęło się tysiące lat temu, gdy te podmokłe i zalewane wodą, porośnięte sitowiem, poznaczone plamami jezior depresje nie wyglądały jeszcze tak, jak dzisiaj, były niedostępne i nie sprzyjały osadnictwu. Tylko wzdłuż brze-

gów wędrowały, zajmujące się rybołówstwem i myślistwem grupy wędrowców. To wtedy, „Tam gdzie rzeka Visula stale zmieniająca koryto mieszała się z otwartym morzem”, w epoce kamiennej, przybyła na te ziemie Aua, pramatka, która miała trzy piersi i przywiodła ze sobą lud Pomorczyków.

Tak Günter Grass wprowadza bohaterów swoich książek w obszar wiślańskiej delty w epoce kamiennej i osiedla na samym zachodnim jej skraj, wśród rozlewisk, tam gdzie płynąca z kaszubskich wzgórz rzeka Radunia wpada do Motławy, blisko jej ujścia do Wisły. I w tym okresie dziejów zaczyna się w istocie początek cywilizacyjnej historii tego regionu opartej na trwałszym osadnictwie. „Przedtem, w czasach końcowych zlodowaceń i interglacjału, nie było tutaj nic, tylko czas i lodowce. Dopiero po ostatnim okresie zlodowacenia, kiedy gdzie indziej wyskrobywano już idole i ryto obrazy skalne, za ustępującymi lodami podążyli nasi paleolityczni przodkowie. Zastali nieprzyjemną okolicę. (...) Rumowiska morenowe i pradoliny rzek wskazywały szlak ich ucieczki”².

Jakiego pochodzenia było plemię, które przyprowadziła ze sobą Aua? Plemię o matriarchalnym ustroju, łowiące ryby morskie i słodkowodne za pomocą wężycerzy i wytwarzające glinianą ceramikę? Zapewne należało do kultury, którą archeologowie nazywają rzucewską, i która zasiedliła wybrzeża od Zatoki Gdańskiej począwszy, przez Zalew Wiślany aż po Kuroński w końcu czwartego tysiąclecia przed Chrystusem. Był to lud już wtedy wyjątkowy, wyróżniający się, będący efektem krzyżowania się kultury ceramiki sznurowej z kulturami strefy leśnej północno-wschodniej Europy. Budował stałe osady, często wielopokoleniowe, zajmował się rybołówstwem, ale też uprawą i hodowlą, co nie do końca się zgadza z opisem Grassa, który odmawia im tej ostatniej umiejętności, ale przecież „Turbot” jest powieścią, nie podręcznikiem archeologii. Niech więc tak zostanie, osiedlili się tu, w delcie Wisły, i stali się pierwszymi bohaterami opowieści.

Potem nadeszła epoka miedzi i brązu, Aua straciła trzecią pierś i jej miejsce zajęła Wigga, ale to już w epoce żelaza, gdy na Pomorzu pojawili się germańscy Goci.

Turbot, by przeżyć, potrzebował morza, to stamtąd kolejni (i ten sam jednocześnie) bohaterowie przywoływali go, by mógł doradzać mężczyznom, więc wszystko co dzieje się w tej opowieści, nie oddala się z nadto od morskiego brzegu. Może dlatego autor kazał św. Wojciechowi, który przybył do Gdańska, w obecnej jego dzielnicy Osiek dokonać żywota?

Wschodnia część Żuław, aż po Wisłę, po odejściu Gotów i Gepidów, zasiedlona została przez bałtyjski lud Prusów i przeszła do historii jako Pomezania. To Pomezanie byli celem misji św. Wojciecha, tam też w istocie dosięgła go męczénka śmierć, w głębi Żuław, w okolicy jeziora Druzno.

¹ Günter Grass, *Turbot*, POLNORD – Wydawnictwo OSKAR, Gdańsk 1995, s. 42.

² Tamże, s. 76.

Grass jest jednak obrazoburczy, niechętny katolickiej tradycji, prowokujący ale i fascynujący zarazem. Praski biskup ginie więc niechlubnie, ogarnięty bursztynową chucią, z ręki Mestwiny pod ciosem żelaznej chochli i, wbrew oczekiwaniom, nie pozwala czytelnikom wybrać się w fascynującą podróż w nieuregulowane jeszcze i bagienne czeluście Żuław. Ta część żywota św. Wojciecha, w powieści Grassa, jest już tylko dopisaną później legendą.

Nie mniej obcesowo i bezceremonialnie potraktował w „Turbocie” bł. Dorotę, córkę niderlandzkiego kolonisty Wilhelma i jego żony Agaty. Państwo Krzyżackie, państwo rycerzy-zakonników dokonujących swojej misji w imię Chrystusa, które swą nazwę zaczerpnęło od imienia Jego matki, w czasie swojego kilkusetletniego istnienia doczekało się tylko tej jednej wyniesionej na ołtarze osoby. Nie, nie doczekało, doczekali się kolejni mieszkańcy tych ziem, gdyż beatyfikacja Doroty nastąpiła w 1976 roku, gdy po zakonie pozostały na tych terenach tylko pamiątki architektury i pamięć o ich władaniu.

Günter Grass wie, że Alberta Slichtinga, syna zamożnego płatnerza z Gdańska, Kunrada, w głąb Żuław, by poznać mieszkającą w Mątowach Dorotę. Tam właśnie, w niedawno wówczas założonej na prawym brzegu Wisły wiosce, zatrzymywał się Albert podczas swych licznych podróży do Malborka. Zakonni rycerze, zajęci kolejnymi podbojami, wciąż ponawiali zamówienia, potrzebowali broni i pancerzy, więc kowale i płatnerze mieli mnóstwo pracy i pomnażali swój majątek. W czasie jednej z takich podróży Albert poznał i zakochał się w pobożnej dziewczynce, która już w dzieciństwie, obłana wrzaskiem, cudem zachowała swą urodę. Musiała być to miłość wyjątkowa, skoro potrafił czekać wiele lat, by osiągnęła wiek właściwy do zamążpójścia. Gdy zabierał ją ze sobą do Gdańska, liczyła sobie siedemnaście wiosen, on zaś zbliżał się już do czterdziestki.

Małżonkom nie zawsze układało się najlepiej, trudno było początkowo Albertowi zaakceptować pobożność żony. Doczekali się wprawdzie dziewięciorga dzieci, ale aż siedmioro z nich zmarło. Historyczne przekazy podają, że nastąpiło to w wyniku zarazy, ale dla autora „Turboty” prawdziwą zarazą była... Dorota. To ją obarcza winą za wszelkie nieszczęścia, w tym za śmierć dzieci, którym nie poświęcała dosyć uwagi, bardziej zajęta opieką nad biednymi niż rodziną. Ale w gruncie rzeczy Dorota, tak jak wcześniej św. Wojciech, jest okazją, by za niedoskonałość tego świata obarczyć Kościół katolicki. Już w „Błaszany bębenku” Oskar wyłamywał palce figurze Maryi stojącej we wrzeszczańskim kościele, „rozśpiewywał” kościelne witraże – nieskutecznie zresztą. Coś w późniejszym nobliście kazało się liczyć z niezrozumiałą dla niego mocą chrześcijaństwa, nie akceptował jego przestania, ale dostrzegał potęgę. Pofolgował sobie na jego wyznawcach, Wojciechu i Dorocie.

Zawiódł jeszcze czytelników do Kwidzyna, jednego z najbardziej uroczych miejsc bliskim Żuławom Dolnego Powiśla, odległego, przez brak mostu na Wiśle, od uczęszczanych turystycznych szlaków, z prawdziwym klejnotem krzyżackiego zamku i katedrą, będącą jednym z jego narożników. Tam, po śmierci męża, zamurowana w celi bł. Dorota dokonała ziemskich dni. Ale dla Grassa takie rozwiązanie byłoby nie na miejscu, pozwolił więc jej mężowi przeżyć, zmienić nazwisko i ukrywając się przed oczami innych zrzucić jarzmo małżeństwa.

„Turbot” to powieść zadziwiająca, budząca niekiedy oburzenie, ale i nie pozwalająca się oderwać od lektury. Nie potrafię się z autorem w wielu miejscach zgodzić, a jednak uważam tę książkę za wybitną i niedocenianą, zwłaszcza w Polsce, gdzie przyćmiła ją zupełnie gdańska trylogia, a szczególnie „Błaszany bębenek”. Nie wiem dlaczego nikt tego nie dostrzegł, a przynajmniej ja takich asocjacji w publikacjach na temat twórczości Güntera Grassa nie znalazłem, że jest ona antytezą „Wiatru od morza” Żeromskiego, bliską w sposobie przedstawiania pomorskiej historii, choć znacznie bardziej wyrafinowaną. Ale konstrukcja tych powieści jest niemal identyczna, tylko Smętek stał się Turbotem i dotyka spraw znacznie współcześnie istotniejszych niż polskość czy niemieckość tych ziem. Ale nawet jeśli to nawiązanie jest przypadkowe, to Grass jest bliski w narracji Żeromskiemu, tylko głębszy i bardziej odległy przedwojennemu dylematowi, kto jest dobry – Niemcy czy Polacy. Grass tę dwubiegunowość zamienił na coś więcej, na niezliczone dylematy etyczne. Można się z nim nie zgadzać, ale trudno nie być zafascynowanym książką.

Zostawmy „Turбота”, bo jego kolejne opowieści koncentrowały się już na Gdańsku, zostawmy też antykatolickie obsesje Grassa i przeskoczmy się do wieku dwudziestego, na Żuławy, wszak chodzi o żuławskie ścieżki w twórczości Grassa, a nie jego poglądy.

A najbardziej żuławskie są „Psie lata”, mniej znana i najtrudniejsza powieść z trylogii. „Kot i mysz” jest prosta w konstrukcji, niemal klasyczna i... krótka. „Błaszany bębenek” to pierwsze spojrzenie na Gdańsk i losy jego mieszkańców z punktu widzenia gdańszczanina, który jest Niemcem, jak większość przedwojennych jego mieszkańców, czego w okresie PRL-u, przynajmniej do pewnego czasu, nie pozwalano dostrzegać. A Gdańsk polski był, w kategorii tysiąclecia jego historii, chwilami jedynie, podobnie jak Żuławy. Faktyczną władzę królowie i książęta polscy sprawowali tu aż do XV wieku okazjonalnie. Dłużej już polski był ze względu na mieszkańców tego regionu, którzy byli Pomorzanami, zachodniosłowiańskim plemieniem, protoplastami obecnych Kaszubów. Posługiwali się językiem polskim, czy też bardzo mu podobnym. Ale gdy Korona powróciła na te ziemie po wojnie trzynastoletniej i rozciągnęła wreszcie prawdziwą jurysdykcję nad Pomorzem Gdańskim, czy też, jak wówczas mówiono, Prusami Królewskimi,

w Gdańsku i na Żuławach język polski był już rzadkością, gdyż w wielu XIII pojawiać się zaczęli osadnicy z Nadrenii i Westfalii, a XIV z Flandrii i Fryzji. Potem procesy migracyjne jeszcze się nasiliły i właśnie tę prawdę, a także obraz przedwojennego niemieckiego Gdańska przypomniawszy Grass w „Błaszonym bębenku”, sprawiając, że stała się prawdziwym bestsellerem.

Ale Grass równie barwną jak Gdańska w „Błaszonym bębenku”, odmalował panoramę Żuław w „Psich latach”. Waltera Materna i Eduarda Amsele poznajemy na wale przeciwpowodziowym nieopodal Mikoszewa, omywanym wezbranymi wiosną wodami Wisły unoszącymi wszystko, co po drodze mogła zagarnąć. Maternowie byli rodziną, która mełła od pokoleń mąkę we wznoszącym się w Mikoszewie młynie wiatrowym. August Matern wyremontował go za pieniądze uzyskane z handlu, gdy w Gdańsku przez regimenty Prusaków i Rosjan oblegane były wojska napoleońskie. A że był katolikiem, ufundował w nieodległej Stegnie figurkę Maryi Panny. Jego potomkowie wiarę swą zachowali, chociaż Mikoszewo zasiedlone było głównie przez menonitów. Jednak, jak barwnie to opisuje Grass, i menonici byli różni, i wiara Maternów potrafiła się do rzeczywistości dopasować:

„Katolicyzm rodziny Maternów był, jak przystało na rodzinę młynarską, zależny od wiatru, a że na Żuławach zawsze wiał zdatny wiaterek, Maternowy młyn chodził przez cały rok i powstrzymywał od nadmiernego, drażniącego menonitów chodzenia do kościoła. Jedynie chrzty jak i pogrzeby, śluby i wielkie święta ściągały część rodziny do Stegny; raz w roku też, z okazji stegneńskiej procesji polnej w dzień Bożego Ciała, na młyn, kozioł ze wszystkim zastrzałami, mlewnik i skrzynię na mąkę, wielki stąber i trzpień, a w szczególności na śmigi spływało błogosławieństwo i święcona woda; luksus, na jaki Maternowie nigdy by sobie nie mogli pozwolić w takich surowo-menonickich wsiach, jak Junoszyno i Jantar. Wszelako menonici ze wsi Mikoszewo, którzy na żyznej żuławskiej ziemi jak jeden mąż uprawiali pszenicę i zdani byli na katolicki młyn, okazali się menonitami łagodniejszego rodzaju, mieli zatem guziki, dziurki od guzików i normalne kieszenie, do których można było coś włożyć. Tylko rybak i drobny gospodarz Simon Beister był prawdziwym menonitą zapinanym na haftki, surowym i bezkieszeniowym, toteż na jego szopie na łódź wisała tablica z zawiajasowatym napisem:

Kto na haftki się zapina,
z Panem Bogiem zawsze trzyma.
Kto guziki ma, kieszenie,
tego czeka potępienie”³

³ Günter Grass, *Psie lata*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1990, s. 20.

Już po tym fragmencie widać, jak różnorodny był kulturowy świat ówczesnych Żuław, a przecież to zaledwie jego nadmorska część, usłana wydrami i porośnięta lasem. Nie zawsze stosunki między mieszkańcami układały się poprawnie, wszak spłonął młyn Maternów podpalony przez jednego z bezkieszeniowych uczniów Menno Simmonsa.

Menonici pojawili się w delcie Wisły w XVI stuleciu, gdzie sprowadziły ich władze Gdańska, do którego, mocą decyzji Kazimierza Jagiellończyka, od roku 1454 należały Żuławy Gdańskie. Miejscowa ludność nie potrafiła sobie poradzić z tą żyzną, lecz ze względu na depresyjny charakter podmokłą glebą, więc Konstantyn Ferber, gdański burmistrz, postanowił na próbę zaproponować szukającym schronienia przed prześladowaniem holenderskim menonitom osiedlenie się w jednej z częściowo wyludnionych po długoletniej wojnie krzyżacko-polskiej wiosek. Nowi osadnicy, o surowych obyczajach nakazujących ciężką pracę, doskonale poradzili sobie z tym zadaniem i zaczęli zasiedlać tereny Pomorza i wiślanej delty. Żuławy zakwitły wiatrakami, już nie tymi, których celem było mielenie zboża, ale odprowadzanie wody ze zmeliorowanych pól, na których pojawiły się bujne łąny pszenicy. To właśnie ich potomkowie zamieszkiwali wspomniane Mikoszewo, Junoszyno i Jantar między ujściem Wisły a Zalewem Wiślanym.

W czasach gdy spotykamy Waltera Materna i Eduarda Amsela na mikoszewskim wale, Wisła doczekała się nowego, siedmiokilometrowego ujścia zwanego Przekopem, który oddzielił szerokim nurtem Świbno, rodzinną miejscowość Amselów, od Mikoszewa z wiatrakami Maternów, co jednak nie przeszkodziło obu chłopcom się zaprzyjaźnić, bowiem brzegi rzeki łączył parowy prom. Amsel z promu korzystał codziennie, gdyż nim udawał się do wiejskiej szkoły w Mikoszewie. Ojciec Eduarda, Albrecht Amsel, bogaty kupiec ze Świbna, był z pochodzenia Żydem, choć starał się jak mógł wymazać to ze swego życiorysu, uczęszczał więc do ewangelickiego kościoła i nawet udzielał się w kościelnym chórze. Syn wprawdzie nie śpiewał już w chórze, chociaż ewangelikiem starał się być równie dobrym, natomiast miał swoją inną pasję – konstruował przemysłne strachy na wróble, które ustawiał na wale od strony Świbna, gdzie szybko znajdowały nabywców, gdyż jak żadne inne naprawdę skutecznie odstraszały ptaki.

W taki to sposób wybudowany (o ile w przypadku przekopu można mówić o budowaniu) w latach 1890 – 1895 Przekop na Wiśle, którego rolą było zabezpieczyć Wielkie Żuławy przed niebezpieczeństwem powodzi, dzięki przeprawie promowej nie podzielił nadmorskich wiosek, a jedynie ostatecznie ukształtował wyspę, nazwaną potem Sobieszewską. Między przystanią w Świbnie, a przystanią w Mikoszewie panował ożywiony ruch, dzięki promowi obsługiwanemu przez szczególnego rodzaju przewoźnika:

„Kriwe: spękana, sucho wyprawiona skóra, z oczami marcowoszarymi, bez rzęs i z lekkim zezem, co wszakże pozwalało mu prowadzić prom parowy pod prąd na skos, a więc również zezem, od przystani do przystani. Przewoźnik Kriwe przewoził na skos furmanki, rybaczki z koszami fląder, pastora, dzieci szkolne, przejezdnych, komiwojażerów z walizkami próbek, osobowe i towarowe wagony kolejki żuławskiej, było rzeźne i zarodowe, orszaki ślubne i pogrzeby z trumną i wieńcami (...)”.

Związki między brzegami nie zamarły więc po dokonaniu przekopu i wypuszczeniu głównego nurtu Wisły w morze nieopodal Mierzei Wiślanej. Nie przeszkodziło to nawet w wybudowaniu linii kolejowej łączącej Sztutowo, leżące na prawym brzegu nieopodal Zalewu Wiślanego, z Gdańskiem, w tak przemyślny sposób, że wagoniki Gdańskiej Kolei Dojazdowej, o rozstawie szyn 75 cm, przewożone były promem. Wprawdzie prom był w stanie przewieźć jednorazowo tylko pięć wagoników, co sprawiało, że dłuższe składy obsługiwane były na dwa razy i wydłużał się przez to czas podróży, ale przecież alternatywy nie było, na rozwój motoryzacji trzeba było jeszcze sporo poczekać.

Dla Eduarda i Waltera, gdy tylko ukończyli szkołę wiejską, podróże wagonikami kolei wąskotorowej stały się codziennością, gdyż zapisano ich do mieszczącego się w Gdańsku przy ul. Rzeźnickiej gimnazjum realnego Świętego Jana.

Gdańska Kolej Dojazdowa, gdy jeszcze nie wyparł jej transport samochodowy i sieć asfaltowych dróg, odgrywała na Żuławach bardzo ważną rolę. Jej początkiem była krótka, kilkukilometrowa linia której celem było dowożenie buraków z plantacji do cukrowni w Nowym Stawie. A Nowy Staw był wówczas liczącym się ośrodkiem przemysłu przetwórczego, słynął też z mocnego piwa, którego beczułkę wygrał młynarz Anton Materna w gospodarstwie Lührmana, gdy podsłuchiwał gnieźdzące się w mące robaki.

Kilka lat później, w 1887 r., nowostawska cukrownia, uzyskawszy kapitał od kilku zainteresowanych projektem przedsiębiorców niemieckich, rozpoczęła rozbudowę sieci, dostrzegając potrzebę wywożenia płodów rolnych z tego wybitnie rolniczego regionu. Ponadto w odwrotnym kierunku dostarczać mogła materiały budowlane i surowce, choćby węgiel czy nawozy. Przedsięwzięcie okazało się opłacalne, tym bardziej, że ze względu na charakter terenu żuławska kolejka mogła dotrzeć tam, gdzie nie byłoby możliwe położenie torów normalnej szerokości, więc zainteresowała się tym przedsięwzięciem firma Kleinbahnen-Aktiengesellschaft z Berlina i począwszy od 1899 roku rozpoczęła rozbudowę sieci, już o charakterze publicznym. W ciągu najbliższych kilku lat sieć GKD połączyła miejscowości na prawym brzegu Wisły, od Pogorzałej Wsi, Malborka i Stalewa na południu, po Sztutowo i Stegnę na północy. Wreszcie, w 1905 roku, przekroczyła Wisłę w Mikońszewie i dotarła do Gdańska.

I tą właśnie trasą docierali do nowej szkoły każdego dnia Eduard Amsel i Walter Matern wraz z kolegami, którzy dosiadali się do pierwszego wagonu tuż za lokomotywą. Wsiadali na stacji Gdańsk Wąskotorowy (Danzig Kleinbahnhof), usytuowanego w pobliżu Bramy Żuławskiej. Po zakończeniu lekcji tą samą drogą wracali.

„Kolejka jechała z Dworca Żuławskiego, nazywanego przez mieszkańców Dworcem Dolne Miasto, przez Przejazdowo, Koszwały i pod Szewcami korzystała z przeprawy promowej przez Martwą Wisłę, koło Świbna zaś, z pomocą promu parowego, przemierzała tak zwany Przekop do Mikoszewa. Wciągający na wał wiślany każdy z czterech wagoników lokomotywa kolejki – tymczasem Edard Amsel wysiadł już w Świbnie, Waltern Matern w Mikoszewie – podążała przez Jantar, Junoszyno, Stegnę do końcowej stacji linii wąskotorowej do Sztutowa”⁴.

Kolejka wąskotorowa na Żuławach spełniała w czasach Wolnego Miasta również rolę rekreacyjną, w sezonie uruchamiana specjalne połączenia z odkrytymi wagonami (przerobionymi z wagoników tramwajów konnych) do atrakcyjnych miejscowości nadmorskich. Po 1945 roku uruchomiono ją ponownie, zatopiony prom parowy wydobyto i wyremontowano – pływał do 1959 roku. I to był kres świetności Gdańskiej Koli Dojazdowej. W latach siedemdziesiątych rozpoczęto likwidację poszczególnych odcinków, najpierw obumarła część lewobrzeżna, potem, na początku lat dziewięćdziesiątych reszta. Na szczęście, dzięki Pomorskiemu Towarzystwu Miłośników Kolei Żelaznych, ożyła na prawym brzegu Wisły i stanowi jedną z lokalnych atrakcji.

I tu kończy się żuławska ścieżka noblisty i bez wątpienia jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych, Güntera Grassa. Przeniósł potem swoich bohaterów do szkoły z internatem we Wrzeszczu, więc to już gdańska opowieść. Grass bywa w swojej twórczości bulwersujący i prowokacyjny, ale też prawdziwy i, choć stara się to ukryć, sentymentalny – a czyż właśnie taki nie powinien być pisarz? Ale, co dla nas, mieszkańców Pomorza Gdańskiego w większości przybyłych tu po wojnie i ich potomków, najważniejsze, że jako pierwszy tak wyraźnie określił, czym jest w istocie kraina dzieciństwa i jak wielkie ma znaczenie, bez względu na to, czy nazywa się ją Heimatem, czy małą ojczyzną.

⁴ Günter Grass, op. cit., s. 71.

Jerzy Domino

Zabytkowe kanały¹



Kanał Juranda, fot. W. Bielecki.

Jedną z kategorii zabytków techniki są dzieła inżynierskie, a między nimi historyczne kanały. Kanały same w sobie nie prezentują takich walorów estetycznych jak towarzyszące im często obiekty architektoniczne – np. mosty, śluzy, młyny, fortyfikacje. Ich wartością są zastosowane rozwiązania technologiczne i efektywność wykorzystania, nowatorstwo cywilizacyjne w okresie, kiedy powstawały. Były to zawsze bardzo drogie inwestycje, obliczone na wielowiekową użyteczność, i temu podporządkowane były pozostałe aspekty. Były więc wielokrotnie przebudowywane i modernizowane. Swoją wielkością silnie wpływały na układ przestrzenny związanych z nimi miejscowości będąc czynnikami stymulującymi rozwój lub też przeszkodą, szczególnie dla zabudowy i dróg.

¹ Opracowano na podstawie: B. Jesionowski, Malborska Młynówka, w: „Regiony”; M. Jonakowski, J. Domino, Kanał Juranda, studium historyczno – konserwatorskie, mpis, 1996, J. Domino, Kanał Kumieli, karta ewidencyjna zabytków architektury i Budownictwa, WUOZ Elbląg; S. Januszewski, kanał Kopernika, karta ewidencyjna zabytków architektury i Budownictwa, WUOZ Elbląg.

W regionie Żuław i Powiśla, jak chyba nigdzie indziej w Polsce występuje największa różnorodność kanałów wodnych. Wybudowano tutaj i kanały żeglowne – np. Jagielloński, Elbląski, przeprowadzono regulacje i przekopy kilku rzek, w tym odcinki Nogatu, ujście Wisły z towarzyszącymi temu inwestycjami, np. śluzy – w Białej Górze, Gdańskiej Głowie. Na Żuławach napotkać można kanały żeglowno – melioracyjne i melioracyjne, zaś na zboczach wyniesień długie kanały energetyczne i akwedukty. W poniższym tekście zwrócić chcę uwagę na trzy takie zabytkowe kanały: Kanał Kumieli w Elblągu, kanał Juranda w Malborku i kanał Kopernika we Fromborku, by na ich przykładach zainteresować tego typu zabytkami techniki. Wszystkie one powstały jeszcze w średniowieczu, przez stulecia wypełniały swoją funkcję, ale obecnie są zaniedbane lub wręcz zachowane jedynie we fragmentach, a o ich dawnym, dużym znaczeniu niewielu mieszkańców sobie zdaje sprawę.

Wraz z powstawaniem miast na zdobytych ziemiach pruskich, krzyżacy budowali młyny, nowe „przemysłowe” obiekty. Miasta były tu nowym zjawiskiem, nieznaną bowiem Prusom była, i organizacja miejska pod względem społecznym, urbanistycznym a także ekonomicznym, w tym zabezpieczenie dla znacznego skupiska ludzi wody i żywności. Wprowadzili też najnowocześniejsze ówczesne wynalazki techniczne i niespotykane rozwiązania techniczne, inżynierskie i architektoniczne. Młyny, wodociągi, kanały były tu, obok murowanych fortyfikacji i kościołów całkowicie nowymi obiektami. Ponadto kontrola nad dystrybucją wody i produkcją mąki była jednym z podstawowych zasad zakonu (regalia), którego relacje z mieszkańcami miast układały się różnie, a regalia dawały wysokie dochody.

Położenie Fromborka, Elbląga i Malborka na naturalnych skarpach lub zboczach wyniesień dawało okazję do bardziej efektywnego wykorzystania energii wody pokonującą znaczną różnicę wysokości dla napędu kół młyńskich. Trzeba wspomnieć, iż koła napędzane wodą uruchamiały wiele urządzeń, takich jak żarna młące mąkę, olejarnie, piły, stępy, folusze, duże młoty i miechy w kuźni, w późniejszym okresie także papiernie. Siłę wody w miejskich młynach wykorzystywano do poł. XX w. Kanały te pełniły też równoległe inną, bardzo istotną rolę – były wodociągami wody pitnej dla miast i jako wodociągi służyły do końca XIX w. – w Elblągu do 1891 r., w Malborku do ok. 1906 r.

Kanał Kumieli

Najstarszym wydaje się być kanał Kumieli w Elblągu. Powstał prawdopodobnie ok. 1247 r., czyli niemal równocześnie z miastem. Był jednak dlań inwestycją nieodzowną, odprowadzał część wód spływającej z Wysoczyzny elbląskiej rzeki Kumieli (Dzikiej Umieli) i jej dopływu Srebrnego Potoku. Nowemu ciekowi nadano nazwę Nowa Kumiela (Neue Hommel), tytułując go jakby był czymś więcej niż młynówką. Kanał ten swój początek brał

z wielkiego stawu (lub kilku stawów) spiętrzonych przez krzyżaków, zastąpionych po katastrofie w 1924 roku wielkim, otwartym basenem miejskim. Kanał wyprowadzony z tych zbiorników wodnych biegł zboczem doliny Starej Kumieli, kilkanaście metrów powyżej koryta rzeki, wzdłuż dzisiejszych ulic Moniuszki, Traugutta, 1 Maja, nadwieszonym drewnianym korytem przepływał nad fosą miejską na teren Starego Miasta, gdzie z rejonu ul. Menniczej część wody rozprowadzana była do studzien staromiejskich i dalej do Zamku i szpitala Św. Ducha uchodząc do rzeki bądź zamkowej fosy. Po założeniu Nowego Miasta w Elblągu dostarczał także i dla niego wody pitnej. Ulice Traugutta i 1 Maja nosiły od średniowiecza nazwę Grobli Młyńskiej (podzielonej przez szwedzkie fortyfikacje na Wewnętrzną Groblę Młyńską i Zewnętrzną Groblę Młyńską), i sama nazwa traktu jednoznacznie objaśniała jego funkcję. Prowadził on bowiem od miasta do działających poruszanych siłą płynącej wody młynom. W historii Elbląga funkcjonowało tu 7 młynów - Damerauer Mühle w Dąbrowie, pełniący w pocz. XIX w. funkcję kuźni, Thal Mühle, pracujący w późniejszych okresach także jako papiernia, Kupferhammer – hamernia miedzi, potem kuźnia i olejarnia związana z majątkiem miejskim Roland, obiekt czynny do pocz. XX w., Ölmühle – olejarnia związana z majątkiem miejskim Benckenstein, okresowo także papiernia, po 1830 r. młyn zbożowy, Wessel Mühle – młyn Leśne Oczko o tradycji jeszcze XIII wiecznej, Strauch Mühle pełniący rolę obok przemiału, a także garbarni i foluszarni (obecnie Hotel i restauracja Młyn). Przy ul. Traugutta Schedermühle i znajdujący się obok Notsakmühle, także wywodziły się z okresu średniowiecza, chociaż same budynki zostały na przełomie XIX i XX w. wzniesione od nowa. Do lat 60-tych XX w. istniały jeszcze średniowieczne budynki młynów Dolnego i Górnego. Poza wymienionymi funkcjonowały także młyn zamkowy i młyn przy ul. Św. Ducha. Newralgicznym punktem dla biegu kanału był moment przeniesienia wody nad fosą okalającą miasto, a kiedy fortyfikacje elbląskie zostały rozbudowane w XV w. W XVI w., a zwłaszcza przy rozbudowie bastionów szwedzkich w XVII w. woda kanału przeniesiona musiała być aż nad trzema fosami. Progresywnie też ulegał zasklepieniu i jak można wnosić z planów XVII w.

Dzisiaj po kanale Kumieli pozostał jedynie fragment w formie suchego rowu ciągnącego się wzdłuż ulicy Spacerowej w parku miejskim Dolinka. Zobaczyć także można zasklepiony wylot przy Bulwarze Zygmunta Augusta. O zasklepionym odcinku miejskim krążą liczne opowieści, nieraz sprzeczne ze sobą, czy to dotyczące epizodów z 1945 r., oraz relacje osób, które w nim jakoby były. Interesującym byłoby przeprowadzenie stosownych badań własnie nad tą ukrytą częścią i wyjaśnienie wielu intrygujących kwestii.

Kanał Juranda

Kanał Nowa Kumiela obsługiwał jedno z największych miast państwa zakonnego. Zbliżony charakter posiadał kanał przepływający przez Malbork, któremu po 1945 r. nadano nazwę literackiego bohatera Juranda. Wcześniej jego niemiecka nazwa Mühlengraben (Mühlgraben) - Rów Młyński, Młynówka a nawet obecnie odcinek na innym obszarze - Młynówka Malborska określała jego główny charakter – wprawianie w ruch urządzeń młynów. Ale tak jak elbląski, napełniał fosy w systemie obronnym zamku i miasta oraz dostarczał wody pitnej. Wybudowany został prawdopodobnie w końcu XIII w. krótko po założeniu zamku w Malborku, za czasów Mistrza Krajowego Mangolda von Sternberg, może w latach 1280 - 1320 (według B. Jesionowskiego). Jest to najdłuższe takie historyczne dzieło inżynierskie w regionie liczące niemal 30 km. Łączył on wody jeziora Balewskiego, kilku jezior z okolic Sztumu i jeziora Dąbrówka oraz sprowadzał je do Malborka. B. Schmid twierdzi, że w Średniowieczu powstał tylko odcinek pomiędzy Starym Targiem a Jurkowicami wpływając następnie do Tejny, zaś kanał miejski zasilany był wodami jezior Zajezińskiego, Parlety, Stołgza, Goraj, Głębocek i Szczubielec regulowanymi, m.in. w 1403 r. Według niego sztucznym zbiornikiem jest Staw Koniecwałdzki i jezioro Dąbrówka, a A. Semrau podaje jako datę ich powstania rok 1403. Sam końcowy odcinek kanału zdaniem B. Schmida powstał dopiero w pierwszej połowie XIV w., prawdopodobnie po 1309 r., tj. po przeniesieniu stolicy krzyżackiej z Wenecji do Malborka. W zasadzie przebieg kanału od czasów Średniowiecza do dzisiaj nie ulegał większym zmianom, najwyżej podczas oblężeń Malborka, zwłaszcza podczas wojny 13-letniej, jego przebieg mógł ulegać zmianom na terenie przedmieść, ale musiał być odbudowany, bo bez wody, którą dostarczał, nie mogło funkcjonować, ani miasto, ani zamek. Z kanałem Juranda związane jest też inna, bardzo interesująca realizacja – akwedukt niedaleko Jurkowic, gdzie wody kanały wysokim nasypem przerzucone są nad doliną i nad Jurkowską Strugą, która płynie dołem w blisko 60 m tunelu. Jest to też dzieło wzniesione przez krzyżaków, data zaś wykuta na kamieniu z obramienia tunelu – 1858 odnosi się do jego remontu.

Pierwsze malborskie młyny na kanale wybudowane zostały na przełomie XIV i XV w. – Młyn zwany Małym wzmiankowany był w 1412 r., Lohmühle (Szewski) 1399 - 1400, młyn Średni wzmiankowany w 1408 r., Walkmühle przed 1400 r., młyn Piekarski wzmiankowany w 1401 r. i Landmel wzmiankowany w 1403 r. Wszystkie zostały spalone w 1457 r. w czasie oblężenia Malborka. W XVI w., czynne były młyny zbożowe: Piekarski, Słodowy, Średni i Mały. W młynach tych lub w sąsiadujących z nimi budynkach działały, tak jak w Elblągu, obok żaren mielących ziarno, inne urządzenia przemysłowe: - hamernia miedzi i młyn prochowy przy Młynie Słodowym, wykorzystywany także przez szlifierzy, potem przez garbarzy; podupadł



Tunel pod Kanałem Juranda z 1858 roku przez który płynie Struga Jurkowiicka,
fot. W. Bielecki.

w 1607 r. Być może w XVI w. działały obok niego dwa inne szewskie młyny, przy Młynie Piekarskim wzmiankowany był tartak, a także działająca gdzieś na kanale, przy którymś z młynów – może Prochowym – saletrzarnia. Również na zamku działało kilka młynów poruszanych wodą – były to młyny zbożowe, prochowe i szewskie a także słodowe.

Kanał Juranda stracił swoje znaczenie doprowadzania wody dla obronnych fos zamku czy też późniejszych szańców ostatecznie w XVIII w. Jako akwedukt wody pitnej został zastąpiony nowymi ujęciami głębinowymi oraz siecią wodociągowo-kanalizacyjną w 1904-1906 r.; młyny napędzane wodą z kanału pracowały do lat 40-tych XX w. Tak więc od ponad półwiecza rola kanału Juranda sprowadza się tylko do wodnego cieku malowniczo przecinającego miasto, a i ta malowniczość została, przez budowę osiedla wysokich bloków po wschodniej stronie i brutalnego obetonowania koryta, zdegradowana do formy kanału burzowego lub ścieku. Pojawiła się także tendencja do zasklepienia kanału, czego zapowiedzią są liczne betonowe kładki i poszerzone niskie mosty na Alei Rodła i ul. Kościuszki.

Kanał Kopernika

Trzeci z omawianych kanałów znajdujący się we Fromborku jest przykładem recepcji takiego rozwiązania technicznego w odniesieniu do miasta mniejszego. Zasada inżynierską praktycznie pozostała taka sama – przejście wody i skierowanie jej siły w określonym kierunku, a jedyną różnicą była ilość wykorzystujących tę siłę się urządzeń. Nazwanie dawnej Małej Baudy (Kleine Baude) imieniem wielkiego astronoma nie miało związku przyczynowego z fromborskim uczonym, Na powojennych mapach widnieje nazwa - Strużyna. Kanał istniał już przed 1427 r. Jego zasadniczym celem było dostarczenie energii dla fromborskiego młyna i wody pitnej dla mieszkańców miasta i kanonii. Prowadził przez blisko 6 km. (5 846 m) wodę od rzeki Baudy, gdzie znajdował się piętrzący stopień wodny, szerokim łukiem, wschodnim zboczem wyniesienia do miasta, następnie obok kościoła św. Anny, wzdłuż ul. Kopernika, do podnóża Wzgórza katedralnego, skąd zakręcał prostopadle wzdłuż ul. Dworcowej i uchodził do Zalewu Wiślanego. W 1571 r. zbudowano nad kołem młyńskim podnośnik czerpakowy (obecna wieża Wodna), który rozprowadzał wodę do sieci rur wodociągowych na wzgórzu. Było to pierwsze takie urządzenie w Polsce a drugie w Europie, Woda z kanału napędzała także urządzenia znajdujące się obok młyna, funkcjonującego do lat 40-tych XX w. Kanał po 1945 r. został zdewastowany, a urządzenia na kanale – jaz, śluzy, stawidła zostały zniszczone w latach 50 - 60-tych XX w.. Sam zaś kanał w górnym odcinku silnie zarośnięty, na odcinku przy ul. Kopernika zasypany, urządzenia w dolnej części wieży Wodnej i młyn zostały zniszczone, jedynie odbudowana wieża Wodna pełni funkcje galerii sztuki i punktu widokowego. Zachował się w stosunkowo dobrym stanie malowniczy dolny odcinek. Od lat trwają dyskusje i przymiarki do restytuowania kanału kopernikowskiego,

Podsumowując, trzeba stwierdzić, iż kanały te efektywnie służyły do 1945 roku. Cezura zakończenia II wojny światowej i wymiana ludności jest tu znamienna. Nowi mieszkańcy nie umieli odnaleźć w nich, ani walorów użytecznych (akurat w początkowym okresie miał miejsce wpływ wielu niekorzystnych czynników: rabunkowy szaber, brak właścicieli młynów i odgórna walka państwa z prywatnym młynarstwem, konkurencyjne urządzenia elektryczne oraz ogólna indolencja władz, trwająca zresztą w odniesieniu do wielu zabytków techniki, do dzisiaj), ani wartości historycznych czy estetycznych. Jest to wynikiem ciągłej jeszcze odmiennego podejścia naszego społeczeństwa (poza wyjątkami) do tych spraw, niż w krajach Europy Zachodniej. Nadzieję budzą inicjatywy prywatne, np. wieża Wodna we Fromborku, czy młyn przy ul. Kościuszki w Elblągu. Dotyczą one jednak tylko pojedynczych obiektów związanych wprawdzie z kanałami, ale bez realnej możliwości objęcia całości zespołu.

Kordian Kuczma

Patroni naszych ulic

(odc. 3)

Helena i Stanisław Sierakowscy

Według wspomnianego w poprzednim numerze rejestru TERYT w Polsce znajduje się obecnie 25 „ulic Sierakowskiego”. Patronem piętnastu z nich jest Zygmunt Sierakowski (1827-63), oficer armii carskiej, jeden z przywódców obozu „czerwonych” na Litwie w powstaniu styczniowym. Co najmniej czterokrotnie uczczono w ten sposób Józefa Sierakowskiego, z zawodu rzeźnika, jednego z przywódców ludu warszawskiego podczas insurekcji kościuszkowskiej. Ten wywodzący się z Pałuk lub, jak twierdzą inni, z okolic Koła w dawnym województwie łęczyckim¹ ród herbu Ogończyk, wydał także wiele innych wybitnych jednostek, w tym trzech biskupów, jednego wojewodę, jedenastu kasztelanów, dwóch generałów i rektora Szkoły Głównej Koronnej (obecnie Uniwersytet Jagielloński). Największe znaczenie osiągnął na przełomie XVIII i XIX wieku, o czym przypomina, m.in. nagroda Oddziału Małopolskiego Związku Mostowców Rzeczypospolitej Polskiej im. Sebastiana Sierakowskiego („Pontifex Cracoviensis”), 3 Włocławski Pułk Pontonowy im. Gen. Karola Sierakowskiego oraz dworek w Sopocie przy ul. Czyżewskiego.

Bohaterami tego tekstu będą jednak postaci bardziej współczesne – małżonkowie Helena Maria Luiza Karolina Cecylia Teresa Ewa Jadwiga z księżąt Lubomirskich (ur. 25 sierpnia 1886 r. w Przeworsku) i Stanisław Kostka Maria Adam Józef Cyryl hrabia Sierakowski (ur. 9 marca 1881 r. w Waplewie Wielkim; obydwójce zamordowani w październiku 1939 r. w Rypinie). Ich imię nosi osiedle w Sztumie (dawnie Kosmonautów Polskich) oraz Zespół Szkół Rolniczych w Kisielicach, zaś imię samego Stanisława – ulica w Starym Targu (także w Morągu)².

Waplewo Wielkie to rodzinna miejscowość Stanisława. Sierakowscy weszli w jej posiadanie w latach 60. XVIII wieku dzięki małżeństwu swojego przedstawiciela Teodora z wdową po Józefie Bagniewskim. Posiadłość odziedziczyła jego jedyna córka Anna Teodora (1765-92), która wyszła za swego bliskiego krewnego Kajetana Onufrego (1753-1841), kasztelana słońskiego, posła na Sejm Czteroletni, senatora Królestwa Polskiego (1815-17 senator-kasztelan, 1817-31 senator-wojewoda). Był on przedstawicielem postępowego skrzydła ówczesnej polskiej szlachty, jako mówca i publicysta występował w obronie Konstytucji 3 Maja. To on w 1800 r. wybudował dworek, który

¹ Przyjęty przez interesującą nas gałąź rodu w 1510 r. przydomek „z Bogusławic” pochodzi od majątku położonego w tym rejonie.

² Szkoła Podstawowa w Waplewie Wielkim nosi imię Rodziny Sierakowskich.

obecnie służy Towarzystwu Przyjaciół Sopotu. Założył w pałacu bibliotekę, prawdopodobnie również ogród, upiększany później przez jego potomków. Po śmierci Anny Kajetan wystawił w parku dworskim pomnik ku jej czci.

Jego syn Alfons Józef (1817-86), twórca waplewskiej galerii obrazów, i wnuk Adam (1846-1912) uczynili z tej miejscowości ośrodek kultury polskiej na coraz mocniej germanizowanym Powiślu. Alfons zakładając szkoły w Waplewie i Krasnej Łące dołożył starań, aby dzieci mogły się w nich uczyć nie tylko dominującego języka niemieckiego, lecz również mowy ojców. Dzięki temu w 1871 r. 700 spośród 785 mieszkańców wsi należących do majątku znało język polski, zaś 72% mieszkańców Krasnej Łąki głosowało w plebiscycie za przyłączeniem do Macierzy. Adam wykorzystywał swoją pozycję społeczną do obrony miejscowej ludności przed wynarodowieniem jako poseł do pruskiego sejmiku. Wzbogacił krakowskie instytucje edukacyjne rezultatami badań archeologicznych i archiwalnych, które prowadził na Pomorzu. Swoim pasjom naukowym oddawał się również w trakcie podróży m.in. po Algierii, Indiach, Indonezji, Palestynie. Ich rezultatem były „Listy z Podróży” i praca na temat narzeczycy Berberów. Należał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Towarzystwa Antropologicznego i Geograficznego w Berlinie. W Towarzystwie Naukowym w Toruniu piastował funkcję prezesa Wydziału Historycznego, w 1881 r. przyczynił się również do założenia w tym mieście muzeum.

Pałac w Waplewie odwiedzały liczne wybitne osobistości polskiego życia umysłowego, na czele z Janem Matejką i prezesem Akademii Umiejętności, historykiem literatury Stanisławem Tarnowskim. Przez swoich przodków Stanisław Sierakowski był skoligacony z najbardziej znamienitym rodami dawnej Rzeczypospolitej – Potockimi, Branickimi, Dzieduszyckimi, Sołtanami. Jak widzimy, przeznaczenie uczyniło go spadkobiercą chwalebnych tradycji patriotycznych i kulturalnych, przyszło mu jednak działać w o wiele trudniejszych warunkach niż wcześniejszym generacjom. W młodości jednak oddawał się pasji podróżniczej, którą odziedziczył po ojcu. Z safari w Afryce przywiózł wypchanego krokodyla, z Indii – wytatuowanego na piersi tygrysa, dowód wdzięczności Hindusów za pomoc w uratowaniu łodzi rybackich przed sztormem. W myśliwskich wyczynach nie przeszkadzał mu brak oka, które stracił w nieszczęśliwym wypadku jako pięciolatek. Z tego względu był zmuszony używać szklanego. Natura obdarowała go prawie dwumetrowym wzrostem, który jeszcze bardziej rzucał się w oczy, kiedy towarzyszyła mu żona, będąca kobietą wyjątkową niewielką, co jednak nie ujmowało jej naturalnej charyzmy. Para dochowała się siódemki dzieci: Teresy, Adama, Andrzeja, Róży (Rozalii), Marii, Wandy i Jadwigi.

W działalność patriotyczną Stanisław Sierakowski zaangażował się już przed pierwszą wojną światową, kiedy jako uczeń gimnazjum w Chełmnie spędził tydzień w więzieniu za członkostwo w organizacji Filomacji Pomor-

scy. Od 1919 r. należał do Związku Polaków w Prusach Wschodnich, który w 1922 r. wszedł w skład Związku Polaków w Niemczech, którego nasz bohater został pierwszym prezesem. W okresie plebiscytu w 1920 r. sprawował odpowiedzialną funkcję konsula generalnego Komisji Międzysojuszniczej. Niestety, do głosowania nad przynależnością terytorialną Powiśla doszło w okresie największych klęsk wojsk polskich w wojnie z bolszewikami, co przeważało szalę na korzyść Niemiec. Sprawie polskiej nie pomogła nawet wizyta w Waplewie takich luminarzy jak Stefan Żeromski, czy Jan Kaspro-wicz.

Po wyznaczeniu granicy również Waplewo Wielkie znalazło się po niemieckiej stronie. W ten sposób pozostające w rękach Sierakowskich od XVIII wieku włości uległy podziałowi, ponieważ położony w okolicach Brodnicy Osiek przypadł Polsce. Stanisław z Heleną pozostali jednak w Waplewie, podejmując się misji obrońców polskości w rejonie Kwidzyna. Co więcej, pałac posłużył jako schronienie członkom rodu Wańkowiczów, zmuszonych uchodzić z przeżywającej okres antypolskiej reakcji Litwy Kowieńskiej.

W latach 1921-28 hrabia Sierakowski³ reprezentował mniejszości narodowe w pruskim sejmie (Landtagu). Wydawał poświęcony tej problematyce miesięcznik „Kulturwehr”. W działalność społeczną zaangażowała się również Helena, co jest o tyle godne podkreślenia, że w czasie licznych podróży męża na jej barkach spoczywał ciężar opieki nad posiadłością i wychowania dzieci. Księżna już w 1917 r. kierowała komitetem zbioru darów dla dotkniętej I wojną światową ludności przechodzącej właśnie do historii „Kongresówki”. Już w okresie poplebiscytowym stała na czele Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego, Towarzystwa Ziemianek i Towarzystwa Kobiet św. Kingi. Opiekowała się pięcioma wędrownymi bibliotekami, udało jej się zorganizować 15 polskich przedszkoli i lekcje polskiego w 40 szkołach na Powiślu.

W 1926 r. władze niemieckie nakazały Sierakowskim opuścić Waplewo, jednak udało im się wyrugować stamtąd tę rodzinę dopiero w 1932 r. Berliński Zentral-Boden Kreditbank wykorzystując klęskę nieurodzaju i światowy kryzys gospodarczy anulował pożyczkę wziętą pod zastaw majątku. Dzięki pomocy finansowej polskiego rządu zarząd przymusowy nad posiadłościami objął przedstawiciel innego zasłużonego rodu ziemiańskiego, Zbigniew Dominirski (1910-95) z Ramz Małych. Mimo, że sam dwór nie ucierpiał w wyniku II wojny światowej, prawie całe zbiory zaginęły. Tylko nieliczne eksponaty trafiły do gdańskiego Muzeum Narodowego i tamtejszego oddziału

³ Tytuł hrabiowski nadała Kajetanowi Onufremu i Teodorowi Sierakowskim cesarzowa Maria Teresa 13 czerwca 1776 r. Kajetan Onufry został również hrabią Królestwa Polskiego 24 maja 1824 r., zaś Alfons Jan – hrabią Cesarstwa Rosyjskiego 5 lipca 1844 r. W okresie międzywojennym dziedzice Waplewa nie używali tego tytułu w myśl postanowień polskiej konstytucji marcowej.

Biblioteki PAN. A były wśród nich prawdziwe skarby. Biblioteka liczyła 15 tys. tomów, zaś kolekcja malarstwa zawierała dzieła, m.in. Tycjana, Rubensa i Dürera oraz polskich i gdańskich mistrzów.

Zrujnowani kosztocionną aktywnością publiczną Sierakowscy przenieśli się do Polski, do Osieka. Na Stanisławie już wtedy ciążył niemiecki wyrok śmierci. Czas hitlerowskiego odwetu nadszedł w październiku 1939 r. Pierwszy aresztowany został 20 dnia tego miesiąca senior rodu. Jego żona trafiła do więzienia w Rypinie przy ulicy Warszawskiej 20 niosąc mężowi prowiant i koc. Zostali poddani torturom przez członków znanej z brutalności paramilitarnej organizacji Selbstschutz i zamordowani. Razem z nimi prawdopodobnie zginęła ich najstarsza córka Teresa Gniazdowska.

Po II wojnie światowej dwór w Waplewie stał się siedzibą Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej, który służył okolicznym Państwowym Gospodarstwom Rolnym. Ostatecznie w listopadzie 2006 r. Izabela, córka pracującego w Kanadzie profesora architektury Andrzeja Sierakowskiego i żona komentatora sportowego Bohdana Tomaszewskiego, postanowiła przekazać rodową siedzibę Muzeum Narodowemu w Gdańsku na potrzeby jego nowego Oddziału - Muzeum Tradycji Szlacheckiej. Obecnie funkcjonuje w nim również Pomorski Ośrodek Kontaktów z Polonią.

Maciej Kraiński

Opowiastki z Waplewa

*Pamięci Jadwigi hrabianki Sierakowskiej,
najmłodszej córki Pana na Waplewie
Stanisława hrabiego Sierakowskiego,
dedykuję.*

Samolot wyskoczył z mgły nad Luksemburgiem niczym korek z butelki, zamachał skrzydełkami, puknął kółkami i toczymy się po skale luksemburskiej. Najmłodsza z waplewskich Sierakowskich, Jadwiga, przygląda mi się uważnie w swoim domku na Franciszkańskiej. - Rocznik 1924 musiał być wyśmienity, wszystkiego w miarę, i deszczu wiosennego, i słońca letniego - pomimo rurek z nosa i pompy tłoczącej tlen, oczy błyszczą humorem, a słowa kłują testującą ironią. Nie dam się sprowokować - myślę - i omijam rafa lekkich prowokacji. Jadwiga, po mężu Dominikowa Rey, soczystą polszczyzną wysnuwa z siebie dzieje rodziny rozpędzonej na cztery strony świata przez pocisk dziejowy, co wpadł w Waplewie, do rodzinnej wazy z zupą. Z sarmacką krotkochwilnością opowiada o „wiernych sługach wskazujących, Niemcom i bolszewikom hańbiącym dom, zakopane skrzynie z porcelaną po Branickich”. Wszystko nagrywam, każdą pauzę, śmiech, kaszlnięcie i anegdotkę. Muszę jak najwięcej upchnąć w super pojemny dyktafon. Przerywamy. Podają - a'la mode francoise - późny obiad. Śmiejąc się figlarnie moja rozmówczyni ponagla mnie, bym wyjął spod krzesła, na którym sempiternę moszczę, buteleczkę Saint-Emilion. Doskonale rozpoznaję topografię magazynowania kolejnych butelek - odkrywam zbiory pod ścianą w prawym rogu jadalnego, a szczególnie smakowity medoczek czeka na swoją kolej za płaszczem myśliwskim męża Domnika wiszącym w hallu.

- Niech Pan odgarnie hubertusa. Dobry Boże, Saint-Emilion de Bordeaux! Wspaniałe czerwone o głębokiej ciemnopurpurowej szacie, pełne smaku i długiego nosa Cyrano de Bergerac'a, to ci dopiero bukiet! Bezwstydnie obwąchuję wnętrze kieliszka, niczym się nie krępując niucham, wdech-wydech. Czuć beczkę i podmuch oceanu, zioła i wapno, z muszli ostryg, sztaplowanych przez tysiące lat w ziemi nawiedzanej przez słone wody. Akwitania i Garonna. I jeszcze trzy siostry tworzące wielkość regionu, trzy szczepy winne, trzy gracje: Cabernet Sauvignon, Cabernet Franc, Merlot. Rozmowa schodzi na paradoks francuski, czyli na obyczaje francuskiego stołu. Pomimo spożywania olbrzymiej ilości mięs kaczyc, kurzych, króliczych i wołowych, nie mówiąc o ukochanych Gauloisach wypalanych w olbrzy-



Jadwiga Sierakowska hr. REY.

mich ilościach, tubylcy, zwłaszcza południowo-francuscy, wykazują niski wskaźnik zachorowalności na serce.

Ki diabeł! Paradoks, zwie się ten gentelmen z różkami, kopytkiem i ogonkiem przezornie upchniętym w niemieckie pluderki. „Paradoks francuski” zakpił z uczonych chole-rostologów, z diabłą przewrotnością naśmiewając się z luminarzy i pigularzy. Wino daje życie. Zaprzędamy mu duszę jak Faust dla Małgośki. Mówimy o diecie, warzywach owocach, oliwie wyciskanej na zimno i znowu o winie, z winem i ponad wszystko winie, które dobierane z należytych rozmyśleniem, popijane

regularnie przedłuża życie, pomimo rurek z nosa i maszyny tłoczącej tlen. Chciało by się powiedzieć: - Czytaj Biblię narodzi katolicki, a znajdziesz w niej radę św. Piotra udzieloną Tymoteuszowi - „Nie pij więcej wody ale niewielkie ilości wina przez wzgląd na twój żołądek i twoje słabości”.

Cesia Rey, córka Jadwigi, kroi grube plastry wygrzanych w słońcu pomidorów, dorzuca drobno siekanej szalotki, kropi oliwką, extra virgin dosmacza octem balsamicznym. Na chwilę tajemniczo znika w ogrodzie by pojawić się z garścią aromatycznych listków, od niechcenia rzuconych na przygotowane mięsiste plastry.

- Matie, a table! Pomidory z bazylią. Przystawka południa. Bazylia pospolita, *ocimum basilicum*, zwana również bazyliem ogrodowym, bazylijką, balsamem, bazyliszkiem polskim, królewskim ziele i wasilkiem. Ojczyznę bazylii jest tropikalna strefa Azji. W XVI wieku dotarła do Europy. Roślina jednoroczna dorastająca do 50 cm. Kwitnie w lipcu i sierpniu, odznacza się korzennym smakiem i mocnym balsamicznym aromatem. Ulubione ziele Prowansalczyków i Włochów, niegdyś uważane za świętość. W rytuale zbiorów nie mogły uczestniczyć kobiety, jako nieczyste. Bazylia jest bardzo wrażliwa, dlatego Cesia stosuje tylko świeżą, nie sieka, rozrywa listki palcami na drobniejsze kawałki. Używamy jej kiedy chcemy pobudzić apetyt, ułatwić trawienie, zlikwidować nadmierną fermentację i wzdęcia.

A oto całodziennie menu - szlakiem bazylii. Dzień zaczynamy twarożkiem z bazylią. Obiad, zupa fasolowa z bazylią, schab z bazylią z dodatkiem ziemniaków pieczonych w sosie bazyliowym. Kolacja, oczywiście naleśniki bazyliowe. Prócz tego pesto i zupa pistou, czyli z utłuczonej bazylii. Jeżeli

ktokolwiek jeszcze myli bazylię z bazyliszkiem objaśniam wierszykiem: “Bazylia nie jest mamą bazyliuszka. Prababunie sadziły bazylię w doniczkach. Od okien po strych domu, wędrował korzenny zapach niby cynamonu”.

Co zdążyłem wysłuchać – wysłuchałem. Co miałem zjeść – zjadłem. Co było mi dane degustować – degustowałem. Jeszcze na lotnisku stojąc boso przed celnikiem, z miłym uśmiechem wylewającym moją gruszkówkę do stalowego zlewu, odbieram sms-a: „Dziękuję za trud, który Pan sobie zadał! Bóg zapłać! P.S. Gdybym z jakiegoś powodu nie mogła sprawdzić naszego nagrania, to proszę żeby za mnie to zrobiła moja córka Ania Henley. Dziękuję bardzo. J.S. Rey.”

Jadwiga Sierakowska hrabina Rey urodzona w Waplewie Wielkim 1 maja 1924 roku z ojca Stanisława i matki Heleny z książąt Lubomirskich zmarła 7 lutego 2011 roku w Luxemburgu. Pochowana w grobowcu rodzinnym Rey-ów w zamku Montresor nad Loarą. Patrząc na zdjęcie, blond dziewczynka drepcze cienistą aleją parku. Zdjęcie od tyłu. Sukieneczka do kolan. Lekko zaznaczony lewy profil. W perspektywie kwietny klomb z figurą Flory nieco wypiętrzoną pośrodku. Pałac. Miała wtedy pięć lat. Już nie wróci.

Ewa Pytel

Kościół św. Mikołaja w Cyganku



Kościół w Cyganku przed II wojną, zdjęcie archiwalne.

Anonim rzekł:

*„Gdybym miał tysiąc ust i tysiąc języków,
nie byłbym zdolny zliczyć wszystkich kościołów
wzniesionych ku czci św. Mikołaja.”*

Kościół został posadowiony w XIV wieku nad rzeką Tugą, we wsi noszącej początkowo nazwę „Thuenhain”, następnie kolejno Thuyenhaim, Thuwenhagin potem przemianowaną na Tiegenhagen, następnie Tujce i ostatecznie Cyganek.

Nie zachowały się źródła rękopiśmienne mówiące o powstaniu osady i kościoła. W przywileju sąsiedniej wsi z 1349 roku istniał zapis mówiący

o obowiązku płacenia czynszu proboszczowi obecnego Cyganka. Zarówno miejscowość jak i kościół istnieć zatem musiały przed 1349 rokiem. Zachowany akt lokacyjny z 12 sierpnia 1352 roku poświadczał posadowienie wsi na prawie chełmińskim i pozwalał na wybudowanie miejscowego kościoła pod wezwaniem Świętego Mikołaja.

Usytuowanie budowli nad rzeką, na terenach depresyjnych, uczyniło jego losy zależnymi od niej. Liczne podtopienia, występowanie rzeki z koryta, mimo zabezpieczeń wałami przeciwpowodziowymi powodowało uszkodzenia konstrukcyjne. W 1622 roku wały uległy przerwaniu i woda zalewając okolicę ostatecznie podmyła kościół, powodując zawalenie nawy.

Nastąpił czas odbudowy i remontów. W roku 1674 Wisła ponownie uszkodziła wały zalewając Żuławy na siedem długich lat. Spowodowało to prawie zupełne wyludnienie i zapaść gospodarczą całego regionu. Problem powodzi na Żuławach na długie lata rozwiązała budowa Przekopu Wisły w 1895 roku. Obecnie zagrożenie stanowią lokalne podtopienia i napływ wody z Zatoki, a stan zaniedbanych wałów ułatwia niszczycielską działalność wody.

Kościół św. Mikołaja w Cyganku prawie przez swoją historię związany był z obrządkiem katolickim, z wyjątkiem krótkiego okresu w XVI wieku. Na skutek upowszechniania się nauk kościoła luterańskiego i masowego przechodzenia ludności miejscowej do nowego kościoła, katolicki kościół para-

fialny w roku 1574 przejęty został przez protestancką gminę wyznaniową. Decyzją królewską z 1629 roku kościół został przekazany ponownie kościołowi rzymskokatolickiemu.

Od roku 1952 kościół użytkowany był przez dwie parafie – unicką i rzymskokatolicką, a w roku 2000 przeszedł na własność parafii greckokatolickiej. Jej społeczność stanowią przymusowi osiedleńcy i ich potomkowie już tutaj urodzeni. W lipcu 1947 roku na Żuławy przybyło 115 greckokatolickich rodzin, deportowanych z wiosek: Uchrynów, Kornia, Mosty i Tenetyska. Do 1952 roku grekokatolicy uczestniczyli w nabożeństwach w kościele rzymskokatolickim w Nowym Dworze Gdańskim. 14 marca 1952 roku odprawiona została pierwsza msza w Cyganku, który stał się ważnym ośrodkiem religijnym i kulturalnym integrującym społeczność pochodzenia ukraińskiego. Proboszcz swoją opieką duszpasterską objął pomorskie miejscowości Bytów, Szczecinek, Sławno, a w 1957 Gdańsk. W okresie wakacyjnym nauczał dzieci religii, historii, liturgiki i śpiewu cerkiewnego. Obecna parafia obejmuje wiernych powiatu nowodworskiego.

Kościół został zbudowany na osi wschód – zachód z wejściem znajdującym się od strony zachodniej. Budowa przebiegała dwuetapowo. Do 1360 roku powstał kościół o jednej nawie (dzisiejsza część prezbiterialna) z zakrystią przy ścianie północnej. Ważne prace jakimi było wzniesienie ścian nawy po zniszczeniu, w technice ryglowej, wykonano w 1637-1647 roku. Podniesiono wówczas poziom posadzki wewnątrz świątyni, jak również poziom gruntu wokół kościoła o około pół metra. Wykonano nową więźbę niższą od pierwotnej.

W 1647 roku dokonana została lustracja parafii przez biskupa A. Leszczyńskiego. Wspomina ona o istnieniu sklepionej zakrystii i jej wilgotnych murach oraz o murowanej podstawie wieży. W międzyczasie rozebrano gotycką zakrystię, nie używaną już od 1647 roku, z powodu dużego i stale utrzymującego się zawilgocenia. Nową zakrystię wybudowano przy ścianie południowej w 1846. W 1687 roku sołtys Peter Conradt z Petershagen (Żelichowo), pełniący funkcję budowniczego, rozebrał wieżę i odbudował ją z nowych elementów. Powstała niska, murowana z cegły podstawa wieży i drewniana nadbudowa. W późniejszych czasach, wieża poddawana była dwukrotnie renowacji. W 1767 roku wieża otrzymała nowy hełm. Uszkodzona przez burzę w marcu 1768 roku, odnowiona została w sierpniu tegoż roku. W 1846 roku przeprowadzono remont wieży, z wymianą gontu. Ciekawe sprawozdanie z prac remontowych przedstawił B. Schmid w 1912 roku. W części prezbiterialnej wykonano oblicowanie dolnych partii ścian południowych i północnych. W trakcie prac, w gałce chorągiewki wietrznej, odnaleziono trzy dokumenty mówiące o wcześniejszych remontach wieży. Były to kopie dokumentów z 1687 i 1768, a wykonano je w 1846. Nową gałkę wykonaną w Gdańsku wstawiono 27 sierpnia 1912.



Ambona w kościele w Cyganku, fot. E.Pytel.

W 1945 roku w związku ze zbliżaniem się frontu, rozebrano drewnianą część wieży, likwidując tym samym punkt orientacyjny. W 1961 roku kościół został wpisany do rejestru zabytków. W 1978, roku w wyniku pożaru, zniszczeniu uległa część więźby dachowej nawy oraz dach zakrystii. Ogień naruszył wówczas konstrukcję dachu. Nadpalone belki konstrukcyjne dachu kościoła wzmocniono łąkami drewnianymi, a więźbę dachową zakrystii odbudowano.

Od 2006 roku rozpoczęto procedury uzyskiwania środków finansowych na remont kościoła. Posadowienie kościoła na tak podmokłych terenach określiło kształt budowli, gdyż niemożliwe było zbudowanie

dużej, murowanej masywnej wieży. Istnieje wyraźny podział na część ceglana i wybudowaną w technice ryglowej. Podział kościoła jest wyraźny. Najstarsza część to ceglana część prezbiterialna, a późniejsza to nawa ryglowa. Na zewnątrz podziały architektoniczne są niewidoczne, brak architektonicznego wydzielenia części prezbiterialnej, typowe zresztą dla kościołów żuławskich. Obie części elewacji ścian wzdłużnych zbudowane są w jednej płaszczyźnie. Jedynie murowana podstawa wieży jest węższa, wznosi się nad nią szczyt ściany zachodniej kościoła. Otwory okienne, w ścianach północnej i południowej przemurowano po roku 1945, jedynie w szczytowej ścianie wschodniej zachowała się wcześniejsza drewniana stolarka okienna. Okna podstawy wieży częściowo zamurowano przed rokiem 1945. Zachowały się drewniane drzwi wejściowe, pokryte warstwami farb olejnych i zabezpieczone prostą kratą stalową. Budynek nakryty jest dachem dwuspadowym o konstrukcji krokwiowo-jętkowej wzmocnionej zastrzałami i pokrytej dachówką holenderką. Na wieży leży daszek czterospadowy nakryty papą. Elewacje ceglane części prezbiterialnej wymurowano w wątku gotyckim z oryginalnej gotyckiej cegły. Cegła maszynowa posłużyła do wzniesienia zakrystii i wykonania licznych licówek i przemurowań. Ściany części prezbiterialnej i podstawy wieży są oszkarpowane. Przypory wieży są niższe i jednoschodkowe, zaś partie wschodnie wspierają dwuschodkowe ustawione diagonalnie. Ta część elewacji przechodziła wiele remontów. Widoczne są liczne wątki ceglane; różne cegły od gotyckich do współczesnych wyrabianych maszynowo, zbliżonych wymiarami do cegieł gotyckich. Nawet w obrębie jednego wątku występują liczne zaburzenia rytmu.

Ściana południowa jest nieco inaczej zorganizowana niż północna. Pośrodku elewacji, na planie prostokątnym, usadowiona jest zakrystia, pokryta dwuspadowym dachem, którego szczyt obecnie znajduje się na poziomie podwaliny dachu kościoła. Drzwi wejściowe umieszczono z lewej strony, zaś małe okno wysoko pośrodku. Ściana wschodnia zwieńczona jest gotyckim szczytem schodkowym. Blendy są proporcjonalne i posiadają nakrywy ceglane. Zastosowano symetryczny podział – 2 środkowe o równej wysokości, idące przez cały szczyt, po bokach po 2 miejsca o wysokości malejącej. Zostały one wypełnione tynkiem pomalowanym na białe. Zakończono je łukami. Zachowało się niewiele takich gotyckich szczytów na Żuławach. Główne wejście prowadzi przez uskokowy portal z ostrym łukiem zamykającym otwór ustawionym na cokole profilowanym, gład (ukośne ścięcie krawędzi – red.) jest trójskokowy, a wieńczący ostry łuk jest silnie spłaszczony. Widoczne są ślady tynku. Obecnie zatynkowany i pobielony jest ostatni profil. Ściany nawy zbudowane są w technice ryglówki o klasycznej konstrukcji. Na podmurówce ułożony jest wieniec podwalinowy. Górną partię ściany zamyka oczep nasadzony na słupy i dźwigający belkowanie stropowe. Poziome belkowanie tworzą rygle dzielące ścianę na 4 pasy. Przy belkach narożnych zastosowano w dwóch pionowych pasach zastrzały. Wzmacniają one zasadniczo całą konstrukcję. Dla lepszego połączenia wpuszczone są w podwalinę i oczep, nie zaś w słupy.

Wypełnienie pól ryglowych stanowią cegły. W trzech dolnych pasach występuje wątek blokowy (krzyżkowy), zaś ostatni górny wymurowany jest w wątku wozówkowym. W tej części elewacji mieszczono prostokątne okna, o wysokości dwóch pól ryglowych. Całość tworzy harmonijną budowlę, masywnego silnie dominującego elementu krajobrazu. Wnętrze kościoła jest halowe. Część prezbiterialna jest wewnątrz węższa od nawy. Nawa i prezbiterium nakryte są deskowanym sufitem z polichromią o bogatej ikonografii. Wielokrotnie był on przemalowywany i reperowany, a w 1913 roku poddano go gruntownemu oczyszczeniu pod nadzorem A. Fahlberga. O randze ważności zabytku świadczy poziom pracy, rozbudowana ikonografia, nie bez znaczenia jest fakt małej liczby zachowanych takich stropów na Żuławach. W części nad ołtarzem dominuje Święta Trójca. W środkowej partii stropu dominuje postać Chrystusa otoczona wizerunkami zbawionych mężczyzn. Marię otaczają niewiasty. Widoczni są Elżbieta, Anna, Józef, Joachim i Jan Chrzciciel. Wzdłuż bocznych ścian nawy biegnie malowana balustrada, a zza niej wychylają się apostołowie, ojcowie kościoła i patriarchowie. Niezwykłym w swej urodzie jest przedstawienie Świętego Mikołaja nad organami, patrona świątyni, żeglarczy i rybaków. W trakcie prac w 1913 roku odsłonięto stare malowidło ściennie na ścianie wschodniej, za głównym ołtarzem. Jest to fresk przedstawiający „Żywy Krzyż”, powstały prawdopodobnie w drugiej połowie XIII wieku, niemal równocześnie z prezbiterium. Obecnie wymaga ponownego odsłonięcia, badań i konserwacji. We wschodniej ścianie umieszczono gotyckie, metalowe



Prospekt organowy w kościele w Cyganku,
fot.E. Pytel.

nej. Obraz główny to przedstawienie Matki Boskiej Różańcowej, w zwieńczeniu umieszczono obraz Ecce Homo. Po obu bokach obrazu głównego stoją figury św. św. Piotra i Pawła. Mniejsze postaci królów pozbawione atrybutów umieszczone są nad nimi. Podstawę stanowi antepedium zdobione płynnie wijącą się wicią roślinną.

Bardzo interesującym przykładem dzieł warsztatu gdańskiego są bliźniacze ołtarze boczne, ich poziom oceniany jest przez historyków sztuki wysoko. Drewniane, polichromowane i złożone. Oba powstałe w 1748 roku, jednokondygnacyjne z dwiema kolumnami na wysuniętych cokółkach. Zdobia je rzeźby świętych ustawione po obu bokach. W ołtarzu północnym główny obraz przedstawia patrona kościoła świętego Mikołaja z 1749 roku, prawdopodobnie autorem był A. Wichert, podobnie jak w południowym „Pokłonu pasterzy”. Obrazy umieszczone w zwieńczeniu mają nietypowy kształt trapezoidalny, a przedstawiają – północny ułomnych i chorych przed ołtarzem a południowy Zwiastowanie. Warte uwagi są kurdybany o bogatych elementach dekoracyjnych motywów kwiatowych i liściastych.

Na granicy prezbiterium z nawą, u stropu podwieszony jest krucyfiks podtrzymywany przez dwie figurki aniołów z figurą Chrystusa dobrze ukształtowaną anatomicznie. Data powstania tej grupy rzeźbiarskiej to 1750 rok. Na ścianie zachodniej umieszczono chór muzyczny pochodzący z 1748 roku. Stanowi on istotny element kompozycji architektoniczno-malarskiej wnętrza kościoła. Całość wsparta jest na czterech słupach i zakotwiona w ścianach bocznych nawy. Słupy flankujące wyjście z nawy opracowano architektonicznie. W 1912 roku powiększono emporę zachowując wszystkie elementy balustrady i prospektu organowego. Dominującym elementem jest centralnie umieszczony prospekt organowy wznoszący się ku sufitowi i wysunięty przed lico balustrady. Jego kompozycja opiera się na detalach ażurowych wplecionych między trzy wieżyczki z widocznymi piszczałkami. Oryginalny instrument barokowy został zastąpiony na początku XX w. organami romantycznymi zbudowanymi przez znaną wówczas firmę Wittek z Elbląga. Balustrada chóru muzycznego podzielona jest architektonicznie i umieszczono prosto-

cyboryum. Zamyka je krata zbudowana z plecionki pasów, których skrzyżowania zdobią rozetki.

W centralnym miejscu prezbiterium ustawiono barokowy ołtarz główny pochodzący z 1730 roku. Położono go w 1737, a w 1749 dokonano przebudowy zwieńczeń. W XX wieku został przemalowany, poddano go konserwacji w 1987 roku. Wysoki (ok. 5m) o konstrukcji architektonicz-

kątne, ze ścietymi rogami, obrazy przedstawiające sceny z życia Chrystusa na tle ciemnych krajobrazów. Przedstawiono kolejno Zwiastowanie, Narodziny, Przedstawienie w świątyni, na Górze Oliwnej, Upadek pod krzyżem i Złożenie do grobu. Obrazy pochodzą z XVII/XVIII wieku. Na ścianie północnej zawieszona jest ambona pochodząca z 1747/8 roku. Korpus czworoboczny ozdobiony jest płycinami o ściętych rogach. Płaskorzeźba frontowa przedstawia Chrystusa z wieńcem i pękiem łańcuchów. Całość wieńczy baldachim ozdobiony z rzeźbami umieszczonymi wtórnie. W zaplecku znajduje się obraz z wizerunkiem 12-letniego Chrystusa w świątyni. Wmontowany w zapiecek na stałe, w trwały sposób, umieszczony w ramie o ściętych rogach. Na ścianach powieszono są obrazy przedstawiające Przemienienie Pańskie, Nałożenie korony cierniowej, Biczowanie, Przybijanie gwoździami do krzyża. Źródła autorstwo przypisują Andrzejowi Wicherkowi i datują na rok 1752, inne poddają w wątpliwość miejsce ich pierwotnego przeznaczenia. Wydaje się, że ich rozmiary świadczą o przeznaczeniu do większego kościoła. Interesującym jest barokowy feretron i jego obrazy: Maria z Dzieciątkiem, Święta Trójca. Drewniana rama feretronu jest owalna z ażurowymi zdobieniami.

Kościół posiada dwie granitowe kąpielnice. Jedna pochodzi z XVII w, jej szeroka, wieloboczna podstawa zwęża się ku górze i przechodzi w okrągłą czaszę. W kruchcie wejściowej, po prawej stronie ustawiona jest druga, starsza, datowana na XV-XVI wiek. Wieloboczna czasza wsparta jest na małej i okrągłej podstawie a wykonano ją z granitu w szarawej tonacji. Kościół świętego Mikołaja jest jednym z nielicznych, w których zachowały się na wyposażeniu meble. Konfesjonał pochodzący z XVIII stanowiący tradycyjny fotel z wygodnymi podparciami na ręce, w którym ścianki z kratami w ramie ośmiobocznej zostały dobudowane później. W roku 1742 Maria i Ewa Wolszon ufundowały zespół ławek kościelnych ustawionych w nawie. Zdobia je ciekawie wycięte grzebienie zwieńczeń.

W kościele aktualnie trwają prace konserwatorskie pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Kościół leży na szlaku Gotyckich Kościołów na Żuławach.

Źródła:

B. Schmid, Die Bau u. Kunstdenkmäler d. Prov. Westpr. Bd. IV, Marienburg. Danzig 1919, s. 345-355.
A. Pohl, Katholisches Kirchspiel Tiegengagen, maszynopis.

Ks. dr Mieczysław Józefczyk

Kościół malborskie w I połowie XVII wieku¹

Omawiając chwalebne tradycje znaczenia politycznego Malborka jako nominalnej stolicy województwa, jego znaczenia krajoznawczego, gospodarczego, społecznego, w którym tak dużą rolę odgrywał samorząd miejski i wiejski, nie sposób pominąć dwu jeszcze elementów: różnic językowych i religijnych, bowiem one właśnie stanowiły regionalną specyfikę.

Malbork był nie tylko stolicą województwa i miejscem wielu sejmików pruskich. Był również stolicą pozostałej katolickiej diecezji pomezańskiej, połączonej unią personalną z diecezją chełmińską. Z upoważnienia biskupa chełmińskiego i Pomezanii zarządzał tą ostatnią diecezją oficjał pomezański, wyposażony we wszystkie kompetencje. Od decyzji jego przysługiwało odwołanie jako do II instancji, do biskupa. Kompetencja terytorialna oficjała obejmowała dzisiejsze powiaty malborski, nowodworski i sztumski. Wszystkie kościoły na terenie tej diecezji, prócz Tychnów, Krasnej Łąki i Jasnej znajdowały się pod patronatem królewskim, stąd też król posiadał prawo prezentowania kandydatów na proboszczów.

W interesującym nas okresie I połowy XVII wieku oficjałem pomezańskim był w latach 1605-1636 Hermann Weiher, Brabantczyk z pochodzenia, który okazał biskupowi dokument prezentacji królewskiej na stanowisko proboszcza malborskiego i prosił o nominację i inwestyturę biskupią, co też biskup uczynił.

Weiher, prawdopodobnie przeczuwając nadciągającą zawieruchę wojenną jeszcze przed rozpoczęciem działań I wojny szwedzkiej znalazł się w Mrocznie, koło Lubawy, gdzie posiadał także parafię. Pełnił również w czasie wojny od dnia 28 kwietnia 1628 roku funkcję oficjała lubawskiego.

Po wyrąbaniu drzwi kościoła parafialnego przez króla Gustawa Adolfa protestanci mieszczenie uzyskali ponownie dostęp do tej świątyni. Być może, iż zdawali sobie sprawę ze zmienności losów wojny i na wszelki wypadek woleli gromadzić się w kościele św. Jerzego, który był im przyznany jeszcze pod koniec XVI wieku. W takiej sytuacji można przyjąć, że korzystali z tej świątyni w latach 1626 – 1629 żołnierze szwedzcy.

¹ Teksty wygłoszone podczas konferencji „Malbork w I Rzeczypospolitej” w czerwcu 2010 r. zorganizowanej przez Piotra Szwedowskiego prezesa Malborskiego Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego pod patronatem Burmistrza Malborka.

Po ich wycofaniu w roku 1629 i zajęciu Malborka przez Brandenburczyków, opuszczony kościół parafialny popadał w ruinę. Z powodu podbierania przez mieszczan kamieni z nasypu, na którym był usytuowany, zapadała się zachodnia część kościoła. Po zawarciu pokoju dotychczasowy, sterany wiekiem (84 lata) proboszcz Weiher długo ociągał się z powrotem. Biskup Lipski w dniu 20 grudnia 1636 r. wyznaczył na jego miejsce archiprezbitera chełmińskiego, swego bliskiego współpracownika, Jana Schmaka. Zadaniem nowego proboszcza i oficjała było uporządkowanie spraw kościelnych w całym oficjalicie. Jako proboszcz malborski miał dopilnować remontu kościoła, zatrudnić dwu wikariuszy. Miał również wspierać jezuitów, którzy wrócili do swej spalonej w czasie wojny rezydencji. Biskup zdawał sobie sprawę z trudności, na jakie napotyka Schmak, z ogromu zniszczeń materialnych, moralnych, wreszcie i religijnych, jakie mogły dokonać się w tym mieście w ciągu minionego dziesięciolecia. Udało mu się, jak sam pisał, z *wielkim trudem i niemałą przykrością* wyjednanie u Władysława IV zarządzenia wy stosowanego specjalnie do zarządu miasta Malbork. Pisał w nim król między innymi: *...”jest to naszą największą troską, aby, tak jak w innych miejscowościach naszego królestwa, w miastach i miasteczkach pruskich rozkwitnęła na nowo religia katolicka, która tam właśnie znalazła sobie od najdawniejszych czasów swoje miejsce, umocniona i ugruntowana przywilejami świętej pamięci naszych Poprzedników. Tak więc i w mieście Malborku, które samą nazwą swoją cześć Bożą Rodzicielkę i w której religia katolicka tak bardzo się rozwijała, tym bardziej teraz ożywić się powinna, wynagradzając Bogu za niegodziwości i nieubożności, jakie tu miały miejsce w czasie wojny”*

Wizytatorzy w tym samym roku określili, że stan świątyni był żałosny i grożący całkowitą ruiną, jako, że jedna ze ścian popękała, natomiast zachodnia fasada już się osunęła w głąb skarpy. Oszklono już okna, ułożono posadzkę kamienną. Były trzy konfesjonały i ambona. Organy przed runięciem zachodniej fasady przeniesiono do zakrystii. Główny ołtarz przystosowano już do odprawiania nabożeństw, natomiast cztery ołtarze boczne były w dalszym ciągu zdewastowane. We wieży było 5 dzwonów, z których największy był pęknięty.

Szkoła mieściła się w budynkach parafialnych. Prócz ławek był tam również stół, na którym chłopcy zapisywali teksty muzyczne. Mieszkał tam Maciej Bysander lubawianin, władający oboma językami. Z lekcji korzystało jedynie dziesięciu chłopców.

Schmak po wypełnieniu swojej misji powrócił do Chełmna w roku 1639, a na jego miejsce ma podstawie nominacji królewskiej przybył nowy proboszcz malborski, mianowany przez biskupa oficjałem, Piotr Winkler² (1639 – 1655 ?).

² Piotr Winkler pochodził z Warmii, wyświęcony w Poznaniu, w roku 1635. Proboszcz malborski (1639 – 1655 ?) oficjał pomezkański (1640 – 1645), sekretarz królewski.

Ówczesny biskup chełmiński i Pomezanii, Kasper Działyński, specjalnie dla Malborka wydał w roku 1643 zarządzenie, wynikające z wizytacji generalnej, w którym zmierzył się ze smutnymi skutkami ukończonej przed siedmiu laty wojny, jak i z niedbalstwem upominanego już w jednej osobie oficjała, archiprezbitera i wreszcie proboszcza malborskiego

Biskup zainteresował się również różnymi bractwami, które powstawały przy kościele parafialnym, nie bez udziału proboszcza, który jednocześnie zaniedbywał zatwierdzone przez biskupa Arcybractwo Różańcowe. Stąd surowy nakaz, by zniesiono wszelkie takie bractwa i otoczono należyłą troską Arcybractwo. W tym właśnie celu – pisał biskup – *należy zatrudnić odpowiedniego, znającego język polski wikariusza, który ma stanąć na czele tego Arcybractwa i odpowiednio je poprowadzić.*

Po czterech latach od tego zarządzenia następna wizytacja dokonana na polecenie biskupa Andrzeja Leszczyńskiego przyniosła więcej szczegółów dotyczących kościołów Malborka i jednocześnie uwypukliła starania proboszcza Winklera około odbudowy i przyozdobienia podległych mu kościołów. Były wprowadzić jeszcze pewne braki w zakresie budowlanym, takie, jak nieodbudowana ściana kościelna, nieuzupełnione pokrycie dachu kościoła i waląca się plebania. Zaniedbania te były jednak wynikiem niedbałości miasta, zobowiązanego do tego rodzaju remontów. Proboszcz wydał znaczne kwoty ze swoich zasobów, by ratować kościół, sam również, jak powiada, ufundował organy.

Mimo tych wysiłków po następnych 7 latach wizytatorzy w roku 1654 z ubolewaniem stwierdzili, że stan budowlany kościoła nie uległ poprawie. Jedna ze ścian popękana, fasada zachodnia w stanie ruiny. Okna wprowadzić oszklono, jednakże pod osłoną nocy szyby są wybijane przez rozwydrzonych luteran. Organy wymagają naprawy. Jak podczas poprzedniej wizytacji jeden z 5 dzwonów jest pęknięty. Chrzcielnicę otoczono drewnianą ozdobną balustradą. Są czynne dwie zakrystie – w jednej przechowuje się paramenta i sprzęty kościelne, w drugiej kapłani ubierają się do mszy św. W pierwszą niedzielę każdego miesiąca ma miejsce procesja z N. Sakramentem, na co przywilej posiada bractwo różańcowe. W uroczystość Bożego Ciała procesja przechodzi ulicami miasta, przystraja się 4 ołtarze i śpiewa ewangelię, zgodnie z zaleceniami Agendy.

Kościół zamkowy. W czasie I wojny szwedzkiej kościół został gruntownie ograbiony przez okupantów.

Nowy, od grudnia 1636 roku archiprezbiter, proboszcz i zarazem oficjał Jan Schmak otrzymał polecenie, by w kościele zamkowym odprawiano msze św. przynajmniej dwa razy w tygodniu, a to do czasu, gdy kościół ten zostanie całkowicie uporządkowany i zresztą, jak wszystkie sprofanowane kościoły na Żuławach – rekuncyliowane.

Po wojnie, jak poprzednio, obowiązek utrzymania tego kościoła ciążył na ekonomii malborskiej, która rocznie wpłacała na jego wydatki 120 marek, organista otrzymywał 30 marek, kalikant 28 marek, kantor 28 marek, czterech chorałści łącznie 210 marek, dzwonnik 28 marek. Wizytatorzy w roku 1637 opisali krótko, że w kościele N. Maryi Panny w Zamku znajdują się trzy ołtarze zbezczeszczone i uszkodzone. Brak było cyborium. Obydwie zakryście zostały pozbawione drzwi. Z organów zabrano piszczałki. Dalszy ciąg opisu po polsku: *Ornaty, antependia, komży, obrazy y xięgi pod czas wojny zginęły.*

W zarządzeniu z roku 1643. Biskup Działyński stawia zarzuty proboszczowi, że *nie gospodaruje dobrze pieniędzmi przeznaczonymi przez Skarb Królewski na sprawowanie nabożeństw w Zamkowej kaplicy Matki Bożej*, czyli w głównym kościele zamkowym. W związku z tym nakazał mu zatrudnienie oprócz jednego, obciążonego wszelakimi zadaniami wikariusza jeszcze dwu dodatkowych, którzy by swoje obowiązki spełniali tylko w kościele zamkowym. Do wikariuszy również miała należeć opieka nad zamkowym kościołem św. Wawrzyńca. Nie udało się ustalenie, czy Winkler wypełnił polecenie biskupa, czy też raczej nie doszło do tego z powodu spalenia w następnym roku przez pijaną załogę zamkową dachu Zamku i kościoła.

Protokół wizytacyjny z roku 1647 opisuje, że *„Kościół N. Maryi Panny w Wysokim Zamku Malborskim istnieje wprawdzie, lecz ma spalony dach, który obecnie jest remontowany”*. Te dzwony, których Szwedzi nie zabrali, spaliły się w drewnianym zwieńczeniu wieży.

W roku 1649 w ramach lustracji dóbr królewskich ekonomii malborskiej zanotowano, iż *po pogorzeli nad kościołem murów poprawiono i filarów, dach nowy olenderskiej dachówki, bez podmuzku, którego pilnie potrzeba. Rynny dębowe przy wieży, wedle tego kościoła miejscami ołowiem obite. Druga strona nad mieszkaniem księżem także nowo po pogorzeli pobudowana i dachówką olenderską nowo pokryta bez podmuzku. Dwie stronie w tym Zamku Wysokim po pogorzeli nienakryte, jedna na południe, druga na wschód słońca leży. Na tej stronie ku południowi szczyt już po pogorzeli upadł i strop się zawalił. Te obydwie strony notabilem ruinam minantur, potrzebują prędkiej naprawy i nakrycia, bo inaczej necessario upaść muszą.*

Wnętrze kościoła przedstawiało również obraz spustoszenia: *Wszystkie okna uszkodzone, w jednym kwatery całej nie masz. Nad głównym ołtarzem sklepienie miejscami porysowane, miejscami strawione przez pożar. Należy je wzmocnić ankrami. Z kościołem były złączone trzy zakrystyjki, wszystkie uszkodzone. Ze sali nad kościołem było wejście na chór, na którym znajdował się poprzednio ołtarz kamienny a nad ołtarzem zainstalowano organy, które w czasie wojny rozmontowali i zabrali Szwedzi. Spaliła się również wieża, która wymagała szybkiej naprawy, bowiem, gdyby miała runąć, po-*

czyniłaby wielkie szkody w innych budynkach. Przy kościele znajdowały się niegdyś dwa mieszkania dla księży, w jednym z nich odremontowanych mieszkał ksiądz.³

Jezuici w roku 1652 po odebraniu im praw własności do kaplicy nadbramnej i ogrodu przyzamkowego wystarali się u króla Jana Kazimierza o przywilej na kościół zamkowy i związaną z nim kaplicą św. Anny. Przekazanie tego kościoła przez króla, jako patrona zostało potwierdzone przez biskupa Andrzeja Leszczyńskiego. Nie doszło ono w ciągu wielu lat do skutku. Prawdopodobnie przeciwstawiał się temu proboszcz i zarazem oficjał Winkler, mimo, że sam nie czynił zadość obowiązkowi odprawiania tam nabożeństw.

Kościół św. Ducha i jednocześnie szpital pod tym wezwaniem zbudowane w połowie XIV wieku z muru pruskiego znajdowały się poza murami miasta.

Król napisał w przywileju, że mając na względzie dobro szpitala św. Ducha w Malborku i pragnąc przyczynić się do jego dobrobytu, wyjmuje spod jurysdykcji zamku i miasta ulicę św. Ducha i wszystkich jej mieszkańców. Będą im przysługiwały takie prawa, jakie posiadają kościoły. Mieszkańcy nie podlegają więc ani urzędowi ani sądom czy to zamkowym, czy miejskim: *...liberi ab omni officio seu iudicio saeculari, tam Castrensi, quam Civili Civitatis*. Mogą swobodnie wytwarzać napoje, trudnić się handlem i rzemiosłem.

Prepozyt otrzymywał od ekonomii malborskiej 24 marki (16 florenów) rocznie Kościół i szpital znajdowały się w stanie upadku. Protestanci prowizorzy, acz upominani przez prepozyta, nie podejmowali nawet prób zaradzenia postępującej ruinie, ani też chcieli czuwać nad ściąganiem należnego od mieszkańców Żuław czynszu na utrzymanie szpitala.

Po I wojnie szwedzkiej i wreszcie po okupacji brandenburskiej kościół św. Ducha wraz ze szpitalem powrócił pod opiekę własnych prepozytów. Od grudnia 1636 roku oficjał pomezanski, zarazem prepozyt św. Ducha Jan Schmak otrzymał od biskupa polecenie zajęcia się tymi obiektami i sprawowania mszy św. w kościele św. Ducha.

Wewnątrz kościoła był tylko jeden ołtarz i to sprofanowany, na którym mimo to odprawiano zwyczajne msze św. oraz jeden raz w kwartale mszę św. za zmarłą darczynię Elżbietę Wiechową. Najuroczystsza msza św. była odprawiana w trzeci dzień Zesłania Ducha św. W jednej części kościoła przechowywano opał i skrzynie z nędznym dobytkiem ubogich. Dochód kościoła płynął z zapisów i legatów, z których zarząd fundacji otrzymywał rocznie 135 marek (90 florenów). Młyny królewskie dostarczały po 4 korce mąki pszennej tygodniowo. Drobnicy kupcy i rzemieślnicy dawali po kilka marek rocznie. Anabaptyści, czyli mennonicy dostarczali rocznie 4 wozy drewna.

³ Źródła do dziejów ekonomii malborskiej, Tom 3, opr. W. Hejnosz i J. Gronowski, Toruń, 1963.

Kościół św. Wawrzyńca. Kościół ten przeznaczony dla służby zakonnej znajdował się na terenie Zamku Dolnego.

Prepozytem do roku 1626 był Sebastian z Chełmna (Żoravius), który przetrwał oblężenie szwedzkie a następnie uciekł w terenów okupowanych przez Szwedów. Podczas okupacji szwedzkiej, a potem brandenburskiej kościół był używany jako spichlerz. W czasie lustracji zamku, w roku 1636 opisano go następująco: *Kościół św. Wawrzyńca, przy którym tabulatum zwierzchnie i belki, do których przybite były, pogniły, znać że tam zasypianie było i to zepsowania przyczyną. Dach, krokwy i łąty na kościele bardzo złe.*

W tym też kościele w ciągu ostatnich dziesięciu lat powojennych dokonano w miarę możliwości remontów. Były w nim trzy już na nowo konsekrowane ołtarze. W głównym ołtarzu przechowywano N. Sakrament, ze względu na *chorych katolików, zatrudnionych na zamku.*

Wizytatorzy w roku 1654 opisali kościół św. Wawrzyńca następująco: *Murowany, dach przecieka. Uroczystość poświęcenia kościoła obchodzi się w trzecią niedzielę po uroczystości św. Michała. Trzy ołtarze są już dobrze przysposobione, czwarty natomiast jeszcze zdemolowany. Pośrodku głównego ołtarza dobrze umocowane cyborium. Chrzcielnica otoczona ozdobnymi kratami, lecz bez misy miedzianej i bez nakrycia. Ławki i ambona bez zarzutu. W zakrystii trzy szafy do przechowywania paramentów. W dzwonnicy dwa dzwony. Cmentarz obmurowany, a na nim ossorium. W kościele tym odprawia się nabożeństwa na przemian z kościołem zamkowym. Z wyposażenia kościoła podano tylko dwa serbrne i złoczone pacyfikały. Miało tu miejsce duszpasterstwo dla ludzi mieszkających w obrębie zamku.*

Kaplica N. Maryi Panny nad Bramą. Obraz Matki Boskiej był słynny już w pierwszej połowie XIII wieku. Dla ugruntowania jego czci książę pomorski Warcisław przekazał aż 12 włók ziemi w Bystrzu i w okolicy. Dopiero jednak po przebudowaniu Bramy Przewozowej w XIV wieku, a zwłaszcza po bitwie pod Grunwaldem, stawał się coraz bardziej sławny.

Na przęśle nad wodą wzniesiono kaplicę i przeniesiono do niej łaskami słynący ołtarz. Zaniechanie i opuszczenie poreformacyjne nie ominęło również tej kaplicy. W roku 1599 sąd warszawski pod grozą 20 000 florenów grzywny nakazał zwrot kaplicy wraz oraz całego jej wyposażenia proboszczowi katolickiemu..

Najeźdźcy szwedzcy w roku 1626 nie oszczędzili tego miejsca kultu maryjnego. Po wojnie i po konserwacji obrazu na odwrociu jego umieszczono następujący napis, cytowany przez historyka Voigta: *Obraz ten N. Maryi Panny, ufundowany przez krzyżaków, w czasie wojny pruskiej w roku 1626 uszkodzony, teraz zaś ku czci Bożej i Błogosławionej Dziewicy, kosztem Wielmożnego Pana Piotra Stenona, sekretarza Admiralicji J. K. M. odnowiony w roku Chrystusowym 1639.*

Z biegiem czasu przejęli tę kaplicę jezuici, którzy bez zezwolenia biskupa wystawiali w niej N. Sakrament, co znalazło odbicie w protokole wizytacyjnym z roku 1640.

Protokół wizytacyjny z roku 1647 poświadcza, że to właśnie zakonnicy sprawowali nad nią opiekę. Szczególnym jej umiłowaniem odznaczył się jezuita Jan Gasperides,⁴ który pokrył ją dachówką, ozdobił ją wewnątrz i od zewnątrz obrazami, a nawet osobiście utrzymywał w niej porządek, nie gardząc miotłą.

Protokół wizytacyjny z roku 1654 nakazał proboszczowi malborskiemu, aktualnemu i przyszłemu, by wziął pod swoją opiekę całe wyposażenie kaplicy nadbramnej N. Maryi Panny, jako filii kościoła parafialnego. W kaplicy tej należy w każdą sobotę i w święta głosić kazanie w języku polskim i odprawiać mszę św.

Mimo to Gasperides utrzymał się przy swojej kaplicy, pracując jednocześnie na przywracaniu do katolicyzmu ludności Malborka i okolic. Według świadectw jego współbraci osobiście nawrócił około 300 osób. Już w następnym po wizytacji roku Malbork zajęli ponownie Szwedzi. Gasperides wywiózł obraz do Chojnic. Kaplica nadbramna stała się głównym celem artylerii nieprzyjacielskiej i przestała istnieć.

W zamku malborskim istniały dalsze jeszcze kaplice. Obok zimowego refektarza, inaczej *stołowy izby* Ekonomo Malborskiego była kaplica św. Bartłomieja i św. Wojciecha, pozbawiona jakiegokolwiek wyposażenia. Odprawiano w niej mszę św. tylko jeden raz w roku, w uroczystość św. Wojciecha. W kaplicy tej, według protokołu lustracji w roku 1649 znajdował się *...tylko jeden ołtarz goły, kamienny, dwoje drzwi i troje okien*. Naprzeciwko studni zamku średniego była kaplica św. Barbary, podówczas całkowicie opuszczona i równie opuszczona kaplica św. Urszuli, w której podówczas warzono piwo. Równie porzucona była kaplica św. Anny w przejściu od cmentarza parafialnego, w dodatku sprofanowana gwałtem dokonanym w niej przez pewnego młynarza⁵. Była niegdyś również kaplica we Wielbarku, od dawna jednak podupadła i zrujnowana, w której to miejscowości proboszcz władał aż ośmioma włókami. Po I wojnie szwedzkiej uprawiało tam ziemię sześciu chłopów, a w cztery lata po II wojnie gospodarzył zaledwie jeden i to tylko na dwu włókach. *Kościół collationis S.R. Maietatis był, teraz tylko muru część stoi*.

Jak każde znaczące miasto Prusach krzyżackich Malbork posiadał szpital zakaźny, zwany leprozorium, a przy nim przedmiejski kościół św. Jerzego, niegdyś katolicki, lecz od długiego już poreformacyjnego czasu przejęty przez protestantów i przez nich do podwójnej wielkości rozbudowany. Miasto ogradziło kościół i przylegający doń obszerne cmentarz, wybudowało

⁴ Jan Gasperides, Czech, przebywał w Malborku w latach 1647 - 1655 Zmarł w Człuchowie w roku 1661.

⁵ Źródła do dziejów ekonomii malborskiej, Tom II, s. 123.

szkołę z dwoma nauczycielami, zatrudniło dwu predykantów i organistę. Predykanci spełniali swobodnie swoje obowiązki z *wielką stratą*, jak pisali wizytatorzy, *kościola parafialnego i szkoły*.

W roku 1671 ukończono gruntowną przebudowę tego kościoła i z ogromną radością, z niemniejszą uroczystością dokonano dzieła poświęcenia..

Nie brakło w Malborku wówczas i kalwinistów, których dwaj predykanci mieszkali u mieszczanina Pacha. Górną kondygnację jednego domu przeznaczono na salę modlitw, tam też sprawowali w swoim obrządku sakramenty, uczyli dzieci i jak z ubolewaniem zauważył wizytator, w pogrzebie przez nich urządzonym wziął osobisty udział ówczesny wojewoda pomorski, którym był również kalwinista, Gerhard Denhof.

Rezydencja Jezuitów. W roku 1618 biskup chełmiński i Pomezanii Jan Kuczborski sprowadził za zgodą króla Zygmunta III do Malborka dwu ojców tego zakonu. Wyzначył im locum z boku kościoła parafialnego na cmentarzu pomiędzy fosą a samym kościołem, gdzie niegdyś znajdowała się szkoła a podówczas stał dom i znajdował się skład drewna. Ekonom malborski Melchior Weiher przekazał im sumę 1000 florenów, dzięki czemu mogli rozbudować ów dom na swoją rezydencję. Biskup w testamencie swoim, pisanym w roku 1624 zostawił jezuitom bogaty zapis, wszczę pod jednym warunkiem: *...Na Fundację także Collegium Malborskiego bardzo na ten tam miejscu potrzebnego, kędy resydenia od lat 5 albo 6 Patrum Soc. Iesu ad instantiam meam iest założona i pewnemi iuż dochodzikiem pokrzepiona, leguię 10.000 florenów a zosobna 5.000 florenów, żeby także, iako y w Toruniu tyle ubogich na każdy dzień raz ych karmiąc żywiły iako procent od tych 5.000 florenów wyniesie.*

W roku 1626 dwaj pozostali w Malborku kapłani jezuickcy zostali przez Szwedów uwięzieni w Elblągu. Ich rezydencja, uległa w dniu 16 czerwca 1628 roku pożarowi, grożącemu również murom kościoła, które zaczynały pękać z powodu gorąca. Mieszczanie ratując swoje domy przyczynili się również do uratowania kościoła przed całkowitym spalaniem.

Po skończeniu działań wojennych a następnie i okupacji brandenburskiej biskup Lipski pragnąc zreorganizować życie religijne w diecezji pomezjańskiej, szczególną uwagę zwrócił na jej stolicę – Malbork, przy czym starał się podkreślić znaczenie jezuitów..

Odmienne były relacje między zakonem jezuitów a następnym biskupem Tomaszem Działyńskim, na terenie którego znajdowały się trzy placówki jezuickie. Biskup w dniu 10 lutego 1645 roku upomniął surowo jezuitów malborskich, za to, że ignorując testament swego dobroczyńcy biskupa Jana Kuczborskiego już od 23 lat nie karmią kilku ubogich i nie utrzymują kilku studentów swego kolegium. Instygator biskupi zażądał zwrotu całej dotacji wraz z odsetkami, którą obdarował ich przed laty biskup Kucborski.

Trzeba jednak uwzględnić trudną sytuację jezuitów malborskich, którzy nie posiadali na miejscu żadnej własności a w sprawach kościelnych byli uzależnieni od biskupa i miejscowego proboszcza. Wprawdzie w dniu 25 kwietnia 1647 roku udało się im nakłonić sejmik pruski, by jego przedstawiciele poparli podczas obrad sejmu Rzeczypospolitej ich starania o utworzenie w Malborku formalnego kolegium, jednakże w tym samym dniu miasta pruskie zaprotestowały przeciwko tym usiłowaniom.⁶ Tak więc kolegium nie powstało.

W latach 1626-1636 nie ostał się nie tylko w Malborku, lecz również w całej diecezji pomezjańskiej ani jeden kapłan katolicki. Wiele wiosek, szczególnie w okolicach Sztumu, Dzierzgonia i Malborka przestało w ogóle istnieć. Ludność wymarła z głodu, chorób, w mniejszej mierze od miecza. Spalono kilkanaście kościołów a niektóre z nich do dzisiaj nie zostały odbudowane. Był to owoc pierwszej, jak na razie wojny szwedzkiej.

⁶ *Inwentarz Aktów Sejmikowych Prus Królewskich*, opr. K. Gorski, Toruń, 1950, Tom 2.

Marcin Owsiański

Ostatni świadkowie



Wywiad z p. E. Łososiem, Koszalin 2009, fot. Muzeum Stutthof w Sztutowie.

Jak opowiadać współczesnemu 15-latkowi o przeżyciach jego rówieśnika, który stracił w Powstaniu Warszawskim matkę, ojca i brata, a następnie trafił do obozu i przeżył, kradnąc resztki ze śmietnika? Jak mówić o doświadczeniu Polaka z Torunia, który widział na własne oczy publiczne egzekucje w 1939 roku, pracował przymusowo, aresztowany w 1941 roku i jako zakładnik osadzony na trzy miesiące w Stutthofie, po zwolnieniu zmuszony do przyjęcia Volkslisty, wcielony do Wehrmachtu w 1943 roku i zmuszony do złożenia przysięgi na wierność Hitlerowi? Jak podsumować jego doświadczenie wojenne, wiedząc, że zrobił to, chroniąc swoją rodzinę przed obozem, a na froncie udało mu się zbiec do radzieckiej niewoli i następnych kilka lat spędził jako jeńiec niemiecki, pracując w kopalni za kręgiem polarnym?

W jaki prosty sposób wyobrazić sobie, że Polak z Białegostoku osadzony w Stutthofie w 1943 roku, chory na tyfus i wyzwolony w marcu 1945 roku na Kaszubach, miesiąc później będzie żołnierzem Armii Czerwonej i wojnę zakończy 9 maja 1945 roku, szturmując Wrocław i dostając za to medale? Jak w końcu przedstawić obraz przeżyć 9-letniej dziewczynki spod Grod-

na, która trafiła do Stutthofu w 1945 roku razem ze swoimi rodzicami - robotnikami przymusowymi, po tym jak świadomie przy obozie zostawili ich niemieccy pracodawcy z Prus Wschodnich uciekający przed Armią Czerwoną? Dziewczynki, która przeżyła w obozie, żując przez wiele dni swoje buty, a powrót do domu rodzinnego, leżącego po wojnie po sowieckiej stronie granicy, nie był dla niej możliwy?

Czy ci ludzie z ich obrazami stamtąd, dziwnymi i nieprzyjemnymi, potrafią współcześnie zainteresować swoją refleksją, swoją historią? Czy nasz świat piękny, szybki i zadowolony chce zwracać uwagę na takie niszowe dylematy?

Pierwszy transport więźniów do Stutthofu przybył na przygotowaną w lesie polanę 2 września 1939 roku. Liczył około 150 osób. Wiadomość o powstaniu obozu dla „polskich przestępców” już w pierwszych dniach września 1939 roku triumfalnie ogłosiły gdańskie gazety. Od początku okupacji świadomość istnienia tego miejsca oraz fakt masowych egzekucji jesienią 1939 roku miały działać jako środek zastraszania i represji dla półtoramilionowej społeczności polskiej mieszkającej na wcielonym bezpośrednio do III Rzeszy Pomorzu Gdańskim oraz wielu innych regionów Polski.

Struktura więźniów Stutthofu była odzwierciedleniem okupacyjnych polskich losów. Do obozu trafiali Polacy z Gdańska, inteligencja z Pomorza, setki księży katolickich, tysiące zakładników zatrzymanych w 1939 roku w radykalnie niemczonej Gdyni, tysiące działaczy pomorskiej konspiracji, w tym całe rodziny zaangażowane w struktury Gryfa Pomorskiego i Armii Krajowej, osoby używające publicznie języka polskiego, posiadające polskie książki, pomorskie rodziny odmawiające wpisu na Volkslistę, rodziny Polaków-uciekierów z Wehrmachtu, krnąbrni robotnicy przymusowi, tysiące cywilów z powstańczej Warszawy, wspierający partyzantkę Polacy z okolic Grodna, Białegostoku i Suwałk. Dziesiątki tysięcy ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Do tego dodać trzeba kilkadziesiąt tysięcy obywateli innych, okupowanych przez Niemcy państw; w tym wielu Żydów z Litwy i Węgier kierowanych do obozu latem 1944 roku. Łącznie w obozie osadzono około 110 tysięcy więźniów.

Auschwitz, Majdanek i Stutthof to nie są popularne „obozy”, jak zwykły tytułować te instytucje media i opinia publiczna. Używając takich określeń, sprowadzamy funkcję tych instytucji do zwykłego administrowania barakami i drutem kolczastym i trywializujemy ich ogromne znaczenie społeczne, polityczne i edukacyjne. Jako pracownik działu edukacyjno-oświatowego Muzeum Stutthof uważam, że na owe „obozy”, czasem tak niechętnie traktowane nawet przez nauczycieli, muzealników i polityków, powinniśmy spojrzeć nie tylko od strony materialnej, ale przede wszystkim osobistej i ludzkiej.

Dopiero w takiej perspektywie muzea martyrologiczne przestaną uwierać jako instytucje z trudnym do wyartykułowania balastem, epatującymi cierpieniem obrazami i zapachem konserwowanego drewna. Jest to wyzwanie nie tyle dla zwiedzających, co dla pracowników tych miejsc. Od prowadzonej przez nich - trudnej tematycznie, ale nowoczesnej w formie - pracy edukacyjnej, publikacji i wystaw zależy w dużym stopniu przyszłość pamięci o roli i historii Polski w XX wieku. Praca ta nie może ograniczać się z pewnością do okresu 1939-1945, musi także pokazywać wpływ muzeów martyrologicznych na zbiorową pamięć narodu w okresie powojennym i jej ewolucję. W tym kontekście bardzo ciekawa może być, np. analiza wpływu państwa na kształt i treść wystawy stałej w Muzeum Auschwitz, czy też badania okoliczności, które sprawiły, że w latach 50. XX wieku teren byłego obozu Stutthof nie pełnił funkcji muzealnych, a był ośrodkiem wypoczynkowym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Godną w formie i nowoczesną w ujęciu pracę w miejscach pamięci winni jesteśmy świadkom historii, których za kilka lat już nie będzie między nami. Dopóki jeszcze to możliwe, musimy umocnić w nich świadomość, że ich losy, wizerunki i doświadczenie życiowe przejdą z pokolenia w pokolenie. Z wielu rozmów z nimi wiem, że to jest dla nich obecnie najważniejszym zadaniem życia. Oni liczą na to, że mogą nam zaufać, więc śpieszmy się, dopóki jeszcze możemy ich spotkać osobiście.

Dlatego powstał projekt notacyjny „Ostatni świadkowie” realizowany w Muzeum Stutthof od początku 2008 roku. Podjęcie programu i opracowanie jego wszechstronnych założeń wynikało bezpośrednio z artykułowanej przez byłych więźniów potrzeby zapisania ich przesłania i przeżyć. Bardzo ważną rolę odgrywała również silna determinacja grona młodych pracowników Muzeum z działu edukacji, którzy uważali za swój obowiązek zebranie i opracowanie spuścizny Świadców, grupy traktowanej przez wiele lat w Muzeum dość przedmiotowo, jako ogólną masę obecną na uroczystościach rocznicowych, o której tak naprawdę nie było zapisanych żadnych informacji indywidualnych z ich osobistymi spostrzeżeniami, pamiętkami i życiorysem wykraczającym poza mroczne czasy uwięzienia w obozie Stutthof.

Przeprowadzone wywiady – do końca 2010 roku było ich ponad 70 na terenie całej Polski – okazały fascynującą różnorodność ludzkich postaw, obserwacji, przeżyć, były prawdziwą kopalnią wiedzy dla historyków, a przekazane do zbiorów Muzeum setki osobistych rzeczy, fotografii, dokumentów pozwoliły na dokładne zilustrowanie doświadczenia całej Generacji Świadców XX wieku. Świadców - byli więźniowie przestali być anonimowi, „odzyskali twarze”, a opowiedziane przez nich historie były bezpośrednim impulsem do ich opracowania i przekazania dalej w formie dostępnej dla osób odwiedzających Muzeum Stutthof. Na podstawie zebranych materiałów zespół pracowników Muzeum Stutthof przygotował następujące ma-

teriały: wystawę „Świadkowie generacji”, film „Ostatni świadkowie”, scenariusz komiksu edukacyjnego, wystawę objazdową „Świadkowie mówią” oraz pakiet edukacyjny dla szkół „Pamiętamy, pamiętam... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939-1945”.

„Świadkowie generacji”

Warstwę ilustracyjną wystawy plenerowej „Świadkowie generacji” stanowią dokumenty i fotografie ze zbiorów Muzeum oraz materiały prywatne pozyskane w ramach projektu „Ostatni świadkowie”. W zakresie projektu plastycznego zachowana została celowo optymistyczna barwa tła (inspirowana niebem) oraz bardzo jasna i logiczna konstrukcja linii tekst – obraz wpływająca na jakość przekazu całości. Poszczególne plansze z wizerunkami ułożone są chronologicznie, według daty przybycia do obozu Stutthof, w zdecydowanej większości pierwszym elementem je identyfikującym jest numer (lub numery) obozowy, od najmniejszych nadawanych jesienią 1939 roku po numery przewyższające sto tysięcy, jakie były nadawane więźniom w 1945 roku. W zamyśle autorów jest to pierwszy element indywidualny przypisany danej osobie – identyfikacja historyczna. Drugim elementem identyfikującym planszę jest zawsze współczesny wizerunek danej osoby, wraz z jej nazwiskiem, imieniem oraz datą i miejscem urodzenia (identyfikacja wizualna i geograficzna). Kolejnym wyróżnikiem indywidualności każdej postaci jest przytoczony na planszy cytat z relacji charakteryzujący jej doświadczenie, postawę, uczestnictwo w jakimś wydarzeniu. Narracja na planszy oparta jest na relacji świadka i opowiada jego biografię, w taki sposób, w jaki robiła to dana osoba – za pomocą cytatów z jej wypowiedzi, długość opowieści i stopień jej szczegółowości również odpowiadają sposobowi opowiadania konkretnego człowieka. Ma to pokazać indywidualność przeżyć i różnorodność bohaterów wystawy, nadać mają podręcznikowym masom i numerom indywidualny i bardzo osobisty rys.

„Ostatni świadkowie Byli więźniowie obozu Stutthof opowiadają”

Koncepcja filmu, którego premiera odbyła się w maju 2010 roku w Muzeum Stutthof, opiera się na wykorzystaniu kilkudziesięciu nagrań wywiadów z byłymi więźniami obozu Stutthof pozyskanymi przez Muzeum Stutthof w ramach programu „Ostatni świadkowie”. Przygotowany na podstawie zebranych materiałów film „Ostatni świadkowie, byli więźniowie obozu Stutthof opowiadają” jest wspólną opowieścią kilkudziesięciu ludzi, mężczyzn i kobiet, pochodzących z najróżniejszych środowisk i regionów o doświadczeniach ich pokolenia w przeciągu XX wieku. To dość nowatorskie podejście do tematu – ilość narratorów, zakres tematyczny opowieści



Wystawa „Świadkowie generacji” w Muzeum Stutthof, fot. Muzeum Stutthof w Sztutowie.

i jej warstwa ilustracyjna (osobiste rzeczy, dokumenty i fotografie z rodzinnych archiwów) – sprawia, że historia zbiorowości jest widziana bezpośrednio oczyma pojedynczego człowieka, uczestnika „wielkich i małych” wydarzeń historycznych, dając widzowi wrażenie bezpośredniego uczestnictwa w około dwugodzinnej opowieści, w której występują ponadto autentyczne i nieskrywane emocje. Przyjęte zostało założenie, że opowieści kilkudziesięciu osób będą tworzyć spójną narrację doświadczonego przez wojnę Pokolenia II RP, pokazując tradycje jakie wyniesiono z domu oraz szkoły, patriotyczne wychowanie i postawę uformowaną przez edukację i pracę, czas wojny i okupacji jako czas próby oraz okres uwięzienia w obozach jako czas wytrwania. Całość narracji kończy podsumowanie i symboliczne przesłanie Świadków Generacji do widzów.

„Pamiętamy, pamiętam... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939-1945”

Ideą projektu edukacyjnego pt. „Pamiętamy, pamiętam... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939 – 1945. Materiały edukacyjne” jest dotarcie do wszystkich szkół naszego regionu z pakietem materiałów pomagających w prowadzeniu zajęć związanych z dziejami regionu i pokazaniem niezwykle trudnego losu Polaka na Pomorzu. Poza kilkoma tekstami o charakterze podręcznikowym wraz z bogatym materiałem ilustracyjnym, „sercem” pakietu jest 20 gotowych scenariuszy lekcji przeznaczonych do realizacji w szkołach podstawowych, gimnazjach i szkołach średnich na przedmio-

tach takich jak: historia, język polski, wiedza o społeczeństwie, godzina wychowawcza, sztuka. Całość graficznie ma formę użyteczną dla nauczyciela – segregatora z licznymi wkładkami o objętości około 220 stron. Wydawnictwa tego rodzaju i o takiej objętości dotyczącego naszego regionu jak dotychczas nie było.

Projekt był prowadzony przez niewielki, bardzo energiczny i „mocny” merytorycznie zespół złożony z historyków i nauczycieli szkół naszego regionu. Jego koordynacją zajął się Dział Oświatowy Muzeum Stutthof, a redakcję merytoryczną zapewnili znakomici specjaliści z Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku. Wszystkie osoby zaangażowane w realizację projektu robiły to społecznie i nie pobierały żadnego wynagrodzenia z tego tytułu. Całość materiału idealnie wpisuje się we wprowadzaną nową podstawę programową oraz ogłoszony przez Ministerstwo Edukacji Narodowej w 2009/2010 „Rok historii najnowszej”. Projekt zaprezentowany został w MEN i uzyskał Patronat Honorowy Ministra Edukacji Narodowej. Pakiet jest już gotowy do druku, realizacja nastąpi w 2011 roku.

Ecce Homo

Komiks edukacyjno-historyczny na podstawie relacji Felicjana Łady – więźnia KL Stutthof Nr 18 252 pt. „ECCE HOMO! OPOWIEŚĆ WIĘZNIĄ KL STUTTHOF 1943- 1945” (w realizacji). Komiks to biografia jednego z żyjących byłych więźniów obozu Stutthof – Pana Feliksa Łady (rocznik 1915). Piękny życiorys człowieka z Sosnowca, który wraz z rodzicami przyjechał budować nowe polskie miasto – Gdynię, zafascynował się morzem i maszynami. Był przedwojennym i konspiracyjnym harcerzem, działał w ZWZ/AK, zbierał materiały wywiadowcze w okupowanej Gdyni, został aresztowany i wraz z ojcem trafił do Stutthofu. Na jego rękach w obozie zmarł ojciec, a przy życiu młodego Felicjana trzymała zachowana i cytowana w scenariuszu nielegalna korespondencja z matką. W obozie Felicjan spędził 3 lata, został uwolniony w zimie 1945 w czasie ewakuacji pieszej obozu. Po wojnie nie było łatwo mu zaaklimatyzować się do nowej rzeczywistości, pracował w stoczni w Gdańsku, pracując fizycznie zdobył tytuł inżyniera i był autorem kilku patentów okrętowych. Utrudniano mu awans i rozwój naukowy, bo był ze Stutthof, nie dał się zapisać do partii, jak sam mówił: „Czasem byłem czarną owcą, ale nigdy nie czerwoną”. Na emeryturę w stoczni przeszedł w 1980 roku. Tłem opowiadania o pojedynczej autentycznej osobie jest najnowsza historia Pomorza i Polski. Wydawnictwo ilustrowane będzie także częściowo oryginalnymi pamiątkami – listami, portretami itp. ze zbiorów Pana Felicjana. Objętość wydawnictwa to ok. 90 – 100 stron/plansz. Obecnie wykonywane są rysunki do wydawnictwa.

„Świadkowie mówią”

Wystawa czasowa „Świadkowie mówią. Obóz Stutthof w relacjach byłych więźniów” (premiera w listopadzie 2010). Chcąc zbliżyć się – emocjonalnie – do wydarzeń „zza drutów Stutthofu”, próbując oderwać się od suchej narracji historycznej i szukając czysto ludzkiego aspektu opowiedzianych historii, wystawa oddaje głos naocznym świadkom wydarzeń tamtych dni. Bazując na powojennych wspomnieniach byłych więźniów KL Stutthof oraz na relacjach wideo, zbieranych od 2008 r. w ramach programu „Ostatni świadkowie”, autorzy wystawy stworzyli jedną linię narracyjną, łączącą w sobie różne doświadczenia, różne perspektywy percepcji oraz nierzadko inne niż dotychczasowy przekaz spojrzenia na obozową rzeczywistość.

Łącznie liczbę osób, które skorzystać mogły dotychczas z prowadzonych przez nas działań związanych z programem „Ostatni świadkowie” – uczestników wystaw i imprez, odbiorców filmu – szacować można na kilkadziesiąt tysięcy. Realizacja projektu „Ostatni świadkowie” była przełomem organizacyjnym i merytorycznym w działalności Muzeum Stutthof w Sztutowie w ostatnich kilku latach. Przyniosła bardzo wiele bardzo pożytecznych doświadczeń i rozwinęła zespół od strony merytorycznej. Ważne było również poczucie misji jaka nam przyświeca, ulotności czasu i poczucia niepowtarzalności ludzkich losów. Projekt „Ostatni świadkowie” łączy w sobie wiele funkcji i znacznie wykracza swoim znaczeniem społecznym poza „zwykłą” działalność muzeum martyrologicznego. Ambicją zespołu realizacyjnego było takie wykorzystanie zebranych materiałów, aby działały one na odbiorcę-gościa odwiedzającego miejsce pamięci w sposób wielowątkowy próbując zainteresować go tym, co uzna on za najbardziej interesujące – dla jednych będą to unikatowe ilustracje, w tym nielegalnie wykonywane w obozie portrety więźniów, fotografie osobiste z okresu okupacji, dla innych z kolei najciekawsza będzie narracja świadka, jego cytaty dokumentujące wydarzenia w jakich uczestniczył, dla innych ich autentyczne emocje wyrażane w czasie nagrania lub też rysowana postać, albo też odręcznie pisany pamiętnik ujawniony po kilkadziesięciu latach. Elementy wykorzystania projektu w różnej formie (wystawę, film, lekcję, komiks, publikację) można też odczytywać „geograficznie” identyfikując bohatera ze swoim regionem, miastem itp. Nie bez znaczenia jest również fakt, że poszczególne elementy opracowane na podstawie projektu są ze sobą powiązane ideowo, jednak mogą być odczytywane oddzielnie, w dowolnym czasie i wg osobistego klucza zainteresowań. Interesującym założeniem projektu „Ostatni świadkowie” jest też jego multimedialność i użyteczność zastosowania: większość elementów można wykorzystać w szkole, do pracy w klasie, można pracować z nimi indywidualnie, można też z nich skorzystać w czasie wizyty w Muzeum. Projekt

zrywa również z wizerunkowym stylistycznym i tematycznym „kanonem” wykorzystania relacji świadków w muzeach martyrologicznych tylko do gromadzenia relacji w tomy maszynopisów będących do dyspozycji wąskiego grona historyków. Wszystkie jego elementy napisane są przystępnym językiem i nie ograniczają się tylko do opisów rzeczywistości obozowej, ale dają szansę poznania człowieka razem ze środowiskiem w jakim się wychował i w jakim funkcjonował. W warstwie graficznej wszystkie elementy realizacji programu operują ponadto jasnymi barwami i pozytywnymi symbolami, które wg autorów najbardziej oddawały „portret” generacji świadków oraz ich przesłanie do młodzieży.

Jednym z najważniejszych znaczeń projektu „Ostatni świadkowie” i jego ewaluacji jest jego rola społeczno-edukacyjna, w tym przede wszystkim przypomnienie w interesującej formie, że są wciąż wśród nas świadkowie historii, byli więźniowie hitlerowskich więzień i obozów. Wystawy, filmy, publikacje pokazują ich z perspektywy ludzkiej, codziennej, uzmysłwiają – szczególnie młodym ludziom – że prawdziwi bohaterowie to często starsi ludzie, nasi sąsiedzi, dziadkowie i pradziadkowie, których mijamy na ulicy. Z kolei dla byłych więźniów, bohaterów projektu, był on swego rodzaju uhonorowaniem dobrego życia, upewnieniem się, że ich traumatyczne obrazy życia pozostaną, będą przesłaniem, przestrogą i dokumentem dla następnych pokoleń. Warto też zwrócić uwagę na perspektywę opowiadania jakie dziś snują świadkowie – w jesieni życia – jest ona o wiele bardziej refleksyjna i przepojona misją niż jeszcze kilkanaście lat temu. Zwraca się ku przyszłości, typowym jest zakończenie relacji biograficznej przesłaniem do przyszłych pokoleń i pewne zadowolenie, że pozostanie po mnie nagranie, wystawa, a rzeczy, które przekazałem do zbiorów Muzeum nie zaginą gdzieś w pomroce dziejów.

Jerzy Wiśniewski

Tajemnica mirowickiego krzyża



Polny krzyż w Mirowicach, fot. J. Wiśniewski.

Ilekoć dojeżdżam do Mikołajek Pomorskich, tyle razy moje oczy absorbuje widok krzyża w Mirowicach, oddalonego o jakieś sto metrów od drogi. Trochę odurzony wonią ziół, zagubiony w oceanie lepczycy, zbóż wszelakich i maków, kołysze się niczym ciężarny żaglowiec, nie bacząc na pasażerów z trudem utrzymujących równowagę. To dwa cynowe jezusiki, dublerzy tego pierwotnego, dębowego i starego pocziwca.

Jaką rolę pełni, co symbolizuje tam, hen na błoniu? Próbowałem rozsypać ten węzełek z pomocą tutejszych mieszkańców, lecz nasze Polaków płonne rozmowy nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Raczone mnie bowiem domysłami, ploteczkami, klehdami.

Wędrowny zbieracz puszek po piwie i napojach energetyzujących stwierdził, że owszem żyje tu w pobliskim PGR, ale zaledwie od dwudziestu wiosenek. Z kolei panowie „browarnicy” spod sklepików w Mikołajkach, zaserwowali czarną bajeczkę. Ponoć bardzo dawno temu każdy zbrodniarz, prócz poniesionej i zasłużonej kary śmierci musiał ponieść na miejsce kaźni własnoręcznie wykonany krzyż pokutny... Sugestia ta wydała mi się bardzo prawdopodobna.

Jeszcze inną wieść przekazała mi młoda mama z dzieciątkiem, którą podwoziłem do gminnego ośrodka zdrowia. Kiedyś za komuny sztumski zdun stawiał im piec kaflowy, a gdy zabrakło gliny i piasku, udał się na dziką piaskownię. Ledwo ruszył szpadlem, a odkrył ludzką czaszkę i piszczel. Niczym oparzony przybiegł z powrotem, licząc na ekspolozję emocji, lecz podobne wykopaliska, nie czynią tutaj na nikim żadnego wrażenia. To klasyka. Ciekawe, bo ani wojny wielkiej wokół nie toczono, ani potopu nie było.

Zdeterminowany brakiem postępu w dziennikarskim śledztwie postanowiłem działać. Pomógł przypadek. Przejeżdżając obok posesji sołtysa w Dąbrówce Pruskiej zauważyłem, że siedzi przed domem z żoną i listonoszem. Ze smakiem zjadali swojskiego kucha z rabarborem. Szybko dołączyłem do kompanii. Od słowa do słowa, gremium uradziło zgodnie, że należy po prostu odwiedzić właścicielkę gruntu na którym stoi świątek.

Tak trafiłem do pani Doroty Izdepskiej. W obejściu ujadął olbrzymi, płowy pies, a w oknie ukazała się platynowłosa kobieta. Lica seniorki kraślił dyskretny rumieniec. Trochę zeszło nim zostałem poproszony pod dach. Musiałem okazać identyfikator prasowy i wyjawić jasno cel wizyty. Zasadnicza dama stwierdziła, że nie każdego przybysza wpuszcza do środka, ale że wyglądam pocziwie więc drzwi otwarte. Przekraczając progi spodziewałem się scenerii bogatego chłopskiego wystroju: izb umajonych świętymi obrazami, jeleniami za szkłem, łabędziami na surowym płócienu, z kołowrotkiem i pękiem suchego zieleń u powały. Tymczasem całkowite zaskoczenie. Wnętrze lśniło kafelkami, ściany wycekolowane, krzyczały ferią barw. Plastikowe okna, chromowe łazienki, elektronika, pic glanc światowy, egede, itepe. Oto przykład, jak szanując własną osobowość i tradycję można iść z duchem postępu. Surowa początkowo gospodyni nabierała zaufania, łagodniała. Tymczasem obierała truskawki dla wnusi, odbierała komórkę, a i sama zadzwoniła do księdza, aby upewnić się co do dat i niektórych faktów historycznych, by zaspokoić moją dociekliwość. Kiedy uładziła już swe powinności, zasiadła naprzeciw i zaczęła swoją opowieść.

U zarania XVII wieku na terenach parafii postolińskiej i mikołajkowskiej wybuchła, nie wiedzieć dlaczego, zaraza. Cholera zabijała całe rodziny, kolonie, wsie. W Sadłukach, Dąbrówce Pruskiej, Pierzchowicach, jak grzyby po deszczu wyrastały kolejne mogiły. Największy cmentarz był w Miranach (obecnie Mirowice) i dlatego tam, przy polnej drodze postawiono krzyż upa-

miętniający tę tragedię. Ponad dwumetrowy postument wykonano z dębu, misternie wyrzeźbiono korpus Chrystusa ukrzyżowanego, jako znak cierpienia. Na szczycie krzyża zamocowano długi pręt z cynową chorągiewką opatrzoną datą 1628 rok. Z przekazów ustnych wiadomo, że dbano o ten symbol nieszczęścia okolicznej ludności przez dziesiątki lat. Jednak czas zrobił swoje. Prawie czterysta lat... Dziś w polu stoi właściwie zmurszały kikut monumentalnego onegdaj krzyża. Z biegiem lat, w związku z tym, że oryginalna figura Chrystusa rozpadła się, przybito na krzyżu dwie mniejsze metalowe figurki Jezusa. W dzień zaduszny wielu ludzi przychodzi tu palić znicze i modlą się za pamięć zmarłych przodków.

- My, proszę pana, i Korzeniowscy – wspominała Pani Izdepska, tkwimy tu na tej ziemi od dziada, pradziada. Cóż możemy powiedzieć o zagadkowym dziś położeniu na środku pola, krzyża. Otóż w 1933 roku utwardzano drogę główną. Ta boczna, polna dróżka jakoś uniknęła zagłady, bo grunty rolne były pokawałkowane i każdy musiał dojechać do swojego pola. Ale jak scalano grunty rolne i jak w 1970 roku wyprostowano szosę główną, wówczas dróżka polna nie była potrzebna i została zaorana. Tym sposobem krzyż znalazł się w środku pola, daleko od drogi i ludzkich oczu. Ot, i cała tajemnica...

Grzegorz Woliński

Cystersi na misyjnym szlaku w Prusach

Misja chrystianizacyjna na tereny Prus zapoczątkowana została w pierwszym dziesięcioleciu XIII w. przez cystersów z wielkopolskiego klasztoru w Łeknie, stanowiącego filię opactwa Altenberg w Niemczech. Wówczas na tereny w okolicie dzisiejszego Elbląga, wyruszyli z tego opactwa pierwsi misjonarze, by tam, m.in. odszukać grób św. Wojciecha. Misja ta jednak zakończyła się niepowodzeniem, gdyż penetrujący tereny nieznaną im Pomeranię, mnisi łeknieńscy – zostali uwięzieni przez miejscowych Prusów. W celu jej kontynuowania oraz uwolnienia swych współbraci, około 1206 r. do Prus udał się przełożony opactwa w Łeknie – Gotfryd. Jego misja zakończyła się powodzeniem. Uprzednio przyjęty przez miejscowego naczelnika, uwolnił swoich współbraci, otwierając dalszą drogę do działalności misyjnej wśród pogańskich Prusów.

W celu uzyskania pełnego zezwolenia na prowadzenie wśród Prusów misji chrystianizacyjnej, opat Gotfryd udał się w tej sprawie do Rzymu, by tam przedstawić swe założenia misyjne ówczesnemu papieżowi Innocentemu III. Papież przychylił się do jego planów, wydając 26.10.1206 r. bullę skierowaną na ręce arcybiskupa gnieźnieńskiego Henryka Kietlicza oraz podległego mu kleru polskiego, oficjalnie wzywającą do poparcia wysiłków misyjnych prowadzonych przez opata Gotfryda oraz jego towarzyszy na terenie Prus.

Podczas swej kolejnej wyprawy misyjnej do Prus, Gotfryd wędrując po terenach Pomezanii oraz Pogezanii, wraz ze swymi zakonnymi współbraćmi ochrzcił w okolicach jeziora Druso (obec. jez. Dróžno) dwóch miejscowych naczelników pruskich o imionach: Phalet i Sodrech. Nie mniej jednak, jego działalność na polu misyjnym wywołała około 1210 r. ostry sprzeciw cysterskiej kapituły generalnej w Morimond, która twierdziła, iż Gotfryd porzucił swój klasztor macierzysty w Łeknie na rzecz wędrowki ze swoimi dobranym współtowarzyszami po terenach Prus i na własną rękę podejmuje tamże inicjatywę misyjną. Ponadto kapituła twierdziła nawet, że mianował się on samowładnie biskupem (!) wzywając go jednocześnie, do rychłego powrotu wraz ze swymi współtowarzyszami w mury klasztoru w Łeknie. Polecenie to jednak nie dotarło do jego adresata, gdyż opat Gotfryd zmarł około 1208 lub 1209 r. Jednak zapoczątkowana przez niego misja chrystianizacyjna w Prusach, zaczęła odnosić sukcesy.

Na jej czele staje wkrótce nowy mnich z Łekna – Chrystian, który w 1209 r., wraz z innymi braćmi, między innymi mnichem Filipem Bogufałą, wyrusza do Prus. Około 1209/10 r. u rozwidlenia Wisły i Nogatu, założył

swoją przyszłą siedzibę misyjną - gród Satyr, najprawdopodobniej w okolicach dzisiejszej Białej Góry, by z niej uczynić „bazę” do dalszych działań misyjnych w Prusach. W dalszym ciągu jednak dawał się zauważyć poważny rozdźwięk pomiędzy cysterską kapitułą generalną, a mnichami z Łekna odnośnie prowadzenia przez nich misji w Prusach.

W 1212 r. spór ten musiał rozstrzygać sam Innocenty III, który 10.08. tegoż roku w Segni, wydał bullę potwierdzającą, że Chrystian oraz jego towarzysze Filip Bogufała za pozwoleniem stolicy apostolskiej, krzewią wiarę w Prusach oraz, że zostali oddani pod opiekę arcybiskupa gnieźnieńskiego Henryka Kietlicza. Dopiero po wydaniu wspomnianej bulli papieskiej, kapituła generalna cystersów podporządkowała się temu orzeczeniu.

Powstaje pytanie, dlaczego kapituła cystersów tak niechętnie patrzyła na działalność misyjną prowadzoną wśród Prusów przez Gotfryda oraz Chrystiana? Czyżby nie było to zgodne z zakonną regułą cystersów? Czy może sposób jej przeprowadzania nie był odpowiedni dla tegoż zakonu? Nie mniej jednak od 1212 r. misja chrystianizacyjna w Prusach zaczyna się rozszerzać, świadczyć o tym może, nie tylko założenie wspomnianego pierwszego grodu (opactwa) w Prusach – Santyru, przez Chrystiana który stał się de facto jego pierwszym opatem, ale również rozwój idei misyjnej w tym regionie. Świadczyć o tym może, np. napływ na misyjne tereny Prus dużej ilości mnichów cysterskich w tym i włóczęgów.

Chrystianizacja nie obeszła się jednak bez ofiar i oporu ze strony miejscowej ludności pruskiej. Świadczyć o tym mogą wypadki związane z męczeńską śmiercią misyjnego współpracownika Chrystiana – mnicha Filipa Bogufała, zamordowanego przez Prusów w 1213 r. Tym samym Chrystian stał się jedynym kierownikiem misji w Prusach. W 1215 r. udał się Chrystian na obrady IV Soboru Laterańskiego, zabrawszy ze sobą, dwóch nowo ochrzczonych naczelników pruskich Surwabudę z ziemi lubawskiej i Warpodę z ziemi łężańskiej, którą Chrystian otrzymał jako darowiznę od miejscowego naczelnika, tj. Warpody a znajdującą się nieco na północny-wschód od obecnego Elbląga.

Podczas trwania Soboru Laterańskiego IV, Chrystian przedstawił wyniki swej dotychczasowej pracy misyjnej prowadzonej wśród Prusów papieżowi Innocentemu III, a ten po jego zamknięciu w 1216 r. mianował go na pierwszego biskupa Prus. Warto dodać w tym miejscu, że bp Chrystian uzyskał dość ważne dla rozwoju przyszłych wydarzeń przywileje i uprawnienia na podległym mu pruskim terenie misyjnym. Na przykład: prawo do zakładania nowych kościołów katedralnych, wyświęcania podległych sobie biskupów, ponadto pozyskał przywileje odpustowe oraz co ważne od papieża Honoriusza III w 1217 r. - prawo do sprowadzenia (przepuszczania i kierowania do Prus) krzyżowców w celu obrony nowo ochrzczonej ludności pruskiej oraz misjonarzy. Warto dodać, że pruskie plany misyjne bpa Chrystiana były

ambitne, rozwijał on przede wszystkim swój zmysł organizacyjny w tym kontekście, m.in. snuł plany założenia seminarium na terenie Prus w którym kształciłoby się przyszli kapłani pruscy, zbierał środki na ewentualny wykup jeńców - neofitów (nowo ochrzczonych Prusów) popadłych w niewolę u swych pobratymców oraz planował budowę licznych przytułków dla porzuconych lub wyrzuconych z pruskich osad dzieci. Dążył on w swych planach do stworzenia na terenie Prus własnego państwa biskupiego na wzór utworzonych biskupstw w Liwonii i Estonii.

Jednak dni owocnego prowadzenia misji wśród Prusów, przez mnichów z Łekna, zdawały się być policzone. Podczas wspomnianego Soboru Laterańskiego IV, papież na skutek niepowodzeń podejmowania inicjatyw krucjatowych, np. krucjaty dziecięcej w 1212 r., wezwał wszystkich chrześcijan do obrony krzyża i udania się na nową krucjatę do Ziemi Świętej. Kto nie posiadał środków na daleką wyprawę w nieznane lub bał się o swoje zdrowie i nie tylko (np. książę krakowski Leszek Biały), ten mógł wyprawić się w imię „świętej walki z poganami” znacznie bliżej, np. na tereny nie w pełni schryścianizowanych Prus lub na Półwysep Iberyjski do walki w toczącej się tam rekonkwiescencji z Maurami.

Dlatego też propaganda i ideologia wypraw krzyżowych XIII wiecznej Europy w pewnym sensie wciągnęła tereny Prus w wir walki. Ale nie tylko ona przyczyniła się do rosnącego oporu miejscowej ludności Prus przeciwko chrystianizacji. Składały się na to również inne czynniki, tak zewnętrzne jak i wewnętrzne. Na przykład dotkliwy najazd na Sambię Duńczyków w 1210 r. pod wodzą króla Waldemara II, czy uzyskanie przez bpa Chrystiana wspomnianego powyżej prawa do kierowania na teren Prus krzyżowców w 1217 r. w celu obrony prześladowanych neofitów czy napięta sytuacja na pograniczu prusko - mazowieckim, spowodowana przez rosnące aspiracje polityczne nie tylko Konrada Mazowieckiego, ale i innych książąt polskich którzy, jak pisze T. Manteuffel, patrzyli coraz to bardziej na tereny Prus jako na obszar swojej politycznej ekspansji.

Powyższe przedstawione czynniki spowodowały w większości o przejściu plemion pruskich do ofensywy. W 1220 r. Prusowie w porozumieniu z księciem ruskim Danielem Romanowiczem, najechali Mazowsze i ziemie chełmińską. W odpowiedzi książęta polscy (m.in.: Leszek Biały, Henryk Brodaty i inni) zorganizowali w latach 1222 i 1223 wyprawy odwetowe (krucjaty), które choć nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, uspokoiły na jakiś czas sytuację na granicy mazowiecko - pruskiej.

Pod wpływem krucjat organizowanych na Prusy, starano się wzmocnić pozycję biskupią Chrystiana, świadczyć o tym mogą pokaźne nadania w ziemi chełmińskiej uczynione na rzecz tegoż biskupa przez księcia Konrada Mazowieckiego na które składało się 23 grody i 100 wsi. Ponadto ziemię chełmińską wydzielono z diecezji płockiej, a Chełmno dano Chrystianowi

z myślą utworzenia tam stolicy biskupiej. Nie mniej jednak zagrożenie ze strony Prus wciąż istniało, a nawet stało się jeszcze bardziej dalekosiężne. Dowodzi tego fakt, niszczycielskiego wypadu Prusów w okolice Gdańska w październiku 1226 r. Podczas którego najeźdźcy splądrowali tamtejsze klasztory: cystersów w Oliwie i norbertanek w Stołpi, znajdujących się na terytorium namiestnika gdańskiego Świętopełka II, a zainicjowanego lub sprowokowanego - przez jego ówczesnych przeciwników politycznych najprawdopodobniej książąt: Konrada Mazowieckiego i Władysława Laskonogiego.

Niebezpieczeństwa dywersyjne ze strony Prusów oraz trudność z dalszą chrystianizacją tych terenów, zrodziły wśród ówczesnych książąt polskich (Konrada Mazowieckiego czy śląskiego Henryka Brodatego), jak i duchowieństwa (biskupi: Chrystian czy płocki Günter) plany utworzenia na pograniczu mazowiecko - pruskim i pomorsko - pruskim tzw. „stróży rycerskiej”, tj. formacji zakonnych, na wzór utworzonej w 1202 r. w Inflantach przez tamtejszego biskupa Alberta, stróży pod nazwą Rycerzy Chrystusowych (Fratres Militiae Christi) o celach głównie obronnych.

Konwent Rycerzy Chrystusowych (15 rycerzy), osiadł w nadanym im przez Konrada Mazowieckiego Dobrzyniu nad Wisłą w 1228 r., stąd nazwano ich braćmi dobrzyńskim. Są przypuszczenia, że pojawili się oni jednak na pograniczu mazowiecko - pruskim już przed 1228 r. - czyli przed pierwszym poświadczeniem źródłowym (może w 1227 r., lub jeszcze wcześniej - przyp. G.W), sprowadzeni zapewne z inicjatywy bpa Chrystiana.

Druga „stróża rycerska” - hiszpański zakon kalatrawensów (powstały w Kastylii w 1158 r. z inicjatywy cysterskiej) pojawił się w pomorskiej Tymawie na lewym brzegu Wisły w 1227 r. w celach obronnych, osobą najbardziej odpowiednią do ich sprowadzenia, mogła być raczej tylko postać wspomnianego bp Chrystiana - być może w porozumieniu z którymś z pomorskich książąt. Zakon ten, nie był już aż tak liczny jak Rycerzy Chrystusowych - nie stanowił on, moim zdaniem, nawet konwentu, poświadczonych jest w źródłach zaledwie 5 braci. Etymologia imion zakonników z obu powyższych formacji zakonnych (tj. Rycerzy Chrystusowych i Kalatrawensów) wskazuje, iż rekrutowali się oni w większości głównie ze środowiska niemieckiego dokładnie Meklemburskiego (Konrad, Werner, Herman, Gerhard, i nast.)³². Wyjątek stanowi kilka imion wśród wspomnianych powyżej kalatrawensów (tj. Florencjusz, Herbord, Magnus, Gerhard) które można utożsamić dwójako, ze środowiskiem francuskim bądź hiszpańskim (Florencjusz, Gerhard, Herbord) lub również duńskim (Magnus, Herbord).

Spośród powyższych przedstawionych dwóch formacji zakonnych mających stanowić zabezpieczenie granicy z Prusami, Konrad Mazowiecki zainteresował się jeszcze na przełomie lat 1225/26 również przedstawicielami niejakiego zakonu występującego pod nazwą: Zakonu Szpitala NMP Domu

Niemieckiego w Jerozolimie, który został uprzednio wypędzony przez króla węgierskiego Andrzeja II z ziemi Borsa w Siedmiogrodzie, po próbie utworzenia tam własnego państwa. Zakon ten posiadał swe baliwaty głównie na terenie Niemiec ale również w Austrii, Grecji, Armenii, Apulii czy Królestwie Jerozolimski w którym w 1190 r. powstał podczas oblężenia Akki w czasie trwania trzeciej krucjaty.

Rokowania księcia Konrada z Zakonem krzyżackim trwały dość długo, bo dopiero w 1228 r. otrzymali oni od niego ziemię chełmińską oraz część dziesięcin z niej a w 1230 r. niewielki konwent osiadł naprzeciwko dzisiejszego Torunia. Według późniejszej, XIV wiecznej kroniki krzyżackiego księdza Piotra z Duisburga, już w 1226 r. [raczej 1228 – przyp. G.W.] kilku rycerzy z zakonu krzyżackiego osiadło w grodzie Vogelsang położonym nad brzegiem Wisły koło Torunia ginąc bohatersko w walce z Prusami.

Zakon krzyżacki nie był pojedynczą formacją zakonna osiadłą na pograniczu pruskim, ale jedną z wielu w których widziano swoistych sprzymierzeńców do walki z Prusami i wciągniętą w jej ideologię. Nie mniej jednak, jak się okaże w późniejszych latach, krzyżacy stanowili formację zakonną najbardziej skuteczną w sensie dyplomatycznym (np. postać wielkiego mistrza Hermana von Salza), ale nie tylko, o ich przyszłym rozwoju terytorialnym i hegemonii zadecydowała niewątpliwie szeroka protekcja ówczesnego cesarza Fryderyka II (złota bulla z „1226 r”), oraz poparcie papieskie - odnośnie praw do szerzenia chrześcijaństwa w Prusach. Stwierdzić jednak trzeba, że władcy węgierscy (Andrzej II i jego syn Bela IV) zauważyli w porę w swym kraju niebezpieczne aspiracje państwowo – twórcze krzyżaków de facto szybko interweniując.

W celu zapewnienia sobie bezpieczniejszego miejsca - przed ewentualnymi nękającymi wypadami Prusów, krzyżacy wyzyskali od Konrada Mazowieckiego w 1229 r. wieś Orłowo koło Inowrocławia, a następnie gród Nieszawę nad Wisłą wraz z 4 wsiami. W 1230 r. porozumieli się z bp pruskim Chrystianem, który odstąpił im części swoich praw i terytoriów w ziemi chełmińskiej, zachowując tamże dla siebie jurysdykcję biskupią oraz zwierzchnie stanowisk nad zakonem. Ponadto krzyżacy mieli walczyć przeciw poganom pod jego sztandarem. Natomiast 21.03.1231 r. biskup zawarł z zakonem układ w Rubenicht w Austrii na mocy którego, zgodził się by po ostatecznym schrystianizowaniu Prus 1/3 ziem należała do zakonu. Pokażne darowizny i ugody wskazywać mogą na „atrakcyjność” w tym czasie Zakonu krzyżackiego w misji pruskiej. Jednak w przejęciu hegemonii i de facto skupieniu całego kierownictwa misji chrystianizacyjnej na Prusy w rękach krzyżaków, pomogły im inne wypadki.

Mianowicie w 1233 r. bp Chrystian udał się w podróż misyjną na tereny Sambii podczas której dostał się do niewoli miejscowych plemion. Uwięziony pozostawał w niej aż 6 lat. Wykupiony z niej został w 1239 r., m.in.

przez pośredniczącego w okupie księcia gdańsko – pomorskiego Świętopełka II. Wykorzystując jego nieobecność krzyżacy (rozgłaszając w kurii papieskiej plotki o jego śmierci) weszli podczas Jego nieobecności (wykorzystując wcześniejsze darowizny i ugody) w prawo posiadania wszystkich jego dóbr i praw na terenie ziemi chełmińskiej (1234 r.) oraz inkorporowali utworzony przez niego zakon Rycerzy Chrystusowych (tzw. dobrzyńców) w 1235 r., a osamotnieni i mało liczni kalatrawensi opuścili pomorską Tymawę, być może już w 1233 r., ewentualnie w 1234 r. Ponadto krzyżacy zajęli tereny misyjne Chrystiana oraz zburzyli jego gród misyjny w Santyże. Kiedy bp Chrystian powrócił uwolniony - po 6 latach niewoli, zastał dzieło swojego życia przez krzyżaków zrujnowane. Siedzibę swoją – gród Santyr – zburzony, miejsce przebywania kalatrawensów w Tymawie dawno opustoszałe, swych współbraci z zakonu dobrzyńskiego (których sam sprowadził i protegował) dawno w szeregach zdrazieckich krzyżaków, ponadto został bez praw do swej ziemi misyjnej. Nie godząc się jednak z zaistniałą sytuacją, po 1239 r. biskup próbował odzyskać swoje dawne wpływy w Prusach, wspierany wiernie przez wielkopolskie klasztory i tamtejszych książąt, wysyłając liczne skargi do kurii papieskiej na krzyżaków, czy snując plany fundacyjne założenia nowego opactwa w Prusach. Warto wspomnieć w tym miejscu, że solidarnie poparło jego sprawę kilkunastu cysterskich opatów z terenów Francji i Niemiec.

Reasumując jego dawną pozycję próbowano odzyskać. Niestety, nieugięta postawa ówczesnego papieża Innocentego IV - odnośnie podziału schrystianizowanego terenu Prus na 4 diecezje (dzięki staraniom krzyżaków) w 1243 r. zdawała się niweczyć jego plany. Upominany przez papieża co do wyboru jednej z nich zmarł w grudniu 1245 r. – wybrałszy najprawdopodobniej diecezję chełmińską. Tak więc monopol chrystianizacyjny na terenie Prus, przejęli krzyżacy zdobywając w przeciągu 50 lat tereny te ogniem i mieczem, budując podstawy i potęgę swego państwa, ale jest to już osobny temat.

Ukazane w powyższym artykule niektóre aspekty misji pruskiej (te najważniejsze) zdają się uwypuklać nam następujące historyczne fakty. Mianowicie stwierdzić trzeba, że początki misji pruskiej prowadzonej przez konwent z Łekna miał wymiar „lokalny”, oraz że ich misja była nastawiana pokojowo, bez udziału w niej elementu rycerskiego nastawionego bardziej ekspansywnie. Pokojowy cel misji w tym czasie, potwierdza również fakt, że mimo wrogości miejscowych plemion (uwięzienie misjonarzy) ich przełożonemu opatowi Gotfrydowi, udało się nie tylko ich uwolnić, ale podczas następnej wyprawy w nieznaną region, również i ochrzcić miejscowych Prusów.

Ogólnie jednak, misja prowadzona przez klasztor w Łeknie, mimo oficjalnej akceptacji papieskiej (bulla z 1206 r.) nie spotkała się ze zrozumieniem cysterskiej kapituły generalnej, która nakazała, by czym prędzej misjonarze zaprzestali swej działalności w Prusach. Zauważyć jednak trzeba, że misja pruska z chwilą jej legalizacji przez Stolicę Apostolską i jej szerokiego papieskiego poparcia (w 1212 r.) stała się jedną z wielu europejskich aren chrystianizacji i podboju. Po przejściu kierownictwa misji przez Chrystiana około 1209 r. dzięki jego aktywnej działalności, nastąpił jej rozwój. Świadczyć o tym może, np. założenie pierwszego ośrodka misyjnego (grodu) w Santyże, czy nadanie Ziemi Lubawskiej Chrystianowi przez jednego z miejscowych naczelników pruskich. Warto też dodać, że bp Chrystian dążył w swych planach misyjnych do stworzenia własnego państwa biskupiego na wzór liwoński, co nie znajdowało akceptacji wśród książąt polskich. Nie mniej jednak, jego działalność misyjna i wyniki świadczą, że umiał się z lokalnymi pruskimi plemionami porozumieć. Praca jego została nagrodzona sakrą biskupią na Soborze Laterańskim IV (1216), na który w dowód swej pracy misyjnej zabrał ze sobą dwóch neofitów pruskich.

Wciągnięcie Prus w ideologię krucjatową, propagowaną na wspomnianym Soborze Laterańskim IV - przez ówczesnego papieża Innocentego III, przyczyniło się w konsekwencji do upadku chrystianizacyjnej misji pruskiej.

Uzyskanie przez bpa Chrystiana papieskiej zgody na możliwość sprowadzania krzyżowców do Prus w celach obrony nowo ochrzczonych Prusów (1217) zdecydowało o rosnącej - coraz bardziej - opozycji lokalnych plemion pruskich przeciwko chrystianizacji i przejście ich de facto do ofensywy. Świadczyć o tym niszczyielskie najazdy plemion pruskich na Mazowsze (Płock) oraz Oliwę w latach 1223 i 1226. Spowodowały one wyprawy odwetowe - krucjaty, książąt i biskupów polskich w latach 1222 i 1223 r., które nie przyniosły większego rezultatu. Niebezpieczeństwa dywersyjne ze strony Prusów spowodowały zaangażowanie w misję pruską obcych formacji zakonnych, które miały stanowić raczej funkcję obronną pogranicza. Dobrzyńcy, kalatrawensi i w końcu krzyżacy, zauważyli dla swojego zakonu na terenie ziemi chełmińskiej i Prus szansę państwowotwórczą.

Uwięzienie i nieobecność bpa Chrystiana podczas jego misji do Sambii w 1233 r. w której przebywał aż 6 lat do 1239 r. otworzyło krzyżakom drogę na realizacji swych wcześniejszych zamierzeń. Wykorzystując dotychczasowe hojne dokumenty nadawcze uzyskane, m.in. od biskupa Chrystiana oraz wmawiając kurii papieskiej fałszywe wiadomości o jego śmierci, wyjednali u papieża nadanie całych Prus (1234). Ponadto zajęli jego tereny misji - niszcząc jego siedzibę w Santyżu oraz inkorporowali zakon dobrzyńców. Powra-

cający z niewoli bp Chrystian zastał misyjne dzieło swojego życia w obcych rękach. Nie godząc się z zaistniałą sytuacją próbował po 1239 r. odzyskać swoje dawne wpływy.

Podział Prus na cztery diecezje w 1243 r. przez papieża Innocentego IV, pod wpływem krzyżaków, zdawał się niweczyć nowe plany biskupa Chrystiana odnośnie odbudowy misji pruskiej. Upominany co do wyboru jednej z nich, zmarł w grudniu 1245 r. wybrawszy najprawdopodobniej diecezję chełmińską. Krzyżacy natomiast na przełomie 50 lat ogniem i mieczem „schrystianizowali” tereny Prus, budując jedno z najpotężniejszych państw w Europie. Ich „chrystianizacja” różniła się jednak i to znacząco, od pokojowej chrystianizacji Prusów prowadzonej w pierwszym dziesięcioleciu XIII w. przez wielkopolskich cystersów po przewodnictwem Gotfryda, Filipa i Chrystiana. Im właśnie należy przypisać dzieło pierwszego, trudnego ale i owocnego krzewienia wiary na tych terenach.

Roman Niemczyk

Wiktoria pod Trzcianą



Hetman polny koronny
Stanisław Koniecpolski.

27 czerwca 2011 roku mija 382 rocznica wielkiego zwycięstwa wojsk polskich pod Trzcianą, dowodzonych przez znakomitego wodza, hetmana polnego koronnego Stanisława Koniecpolskiego, nad wojskami szwedzkiego króla Gustawa II Adolfa. W zasadzie działania wojenne objęły trzy miejscowości, tj. wspomniane Trzciano, Straszewo i Pułkowice. Historycy zgodnie oświadczają, że po bitwie kircholmskiej, było to największe zwycięstwo i triumf Polski nad Szwedami, w toczącej się drugiej wojnie polsko-szwedzkiej w latach 1626 – 1629¹. Była to również niewątpliwie naj-

większa bitwa na ziemi sztumskiej, największe zwycięstwo hetmana Stanisława Koniecpolskiego i jedna z niewielu przegranych przez króla Gustawa II Adolfa.

Stanisław Koniecpolski jest uznawany za jednego z największych wodzów w historii Polski i za jednego z najwybitniejszych dowódców jazdy. Potrafił znakomicie stosować działania szeroką strażą przednią, aby przytrzymać i następnie rozbić nieprzyjaciela w dogodnym terenie. Właśnie w bitwie pod Trzcianą pokazał, jak należy zaskoczyć nieprzyjaciela z marszu i zniszczyć go częściami. Prowadząc błyskawiczne marsze komunikiem, potrafił skoncentrować kilka grup w jednym miejscu i czasie. Potrafił także toczyć bitwę zaczepno - obronną w oparciu o tabor. Doceniał również rosnącą siłę ognia i z tego to powodu dążył do zwiększenia liczebności piechoty w armii koronnej. Ponadto jego zasługą było wprowadzenie do działań wojennych dragonii. Był znakomitym strategiem, gorącym zwolennikiem budowy floty wojennej. Szeroko popierał budowę nowoczesnych umocnień i fortyfikacji ziemnych w oparciu o sprawdzone wzory holenderskie.

Trzciano (nazwa niemiecka Honigfelde lub Königfelde) to miejscowość na Powiślu, we wschodniej części gminy Ryjewo (powiat kwidzyński), usytuowana na skraju Pojezierza Iławskiego. Pierwsze informacje i zapiski o Trzcianie pochodzą już z 1242 r. zaś rok założenia samej miejscowości nie jest bliżej nam znany; przyjmuje się, że miejscowość ta powstała w latach 1327 – 1366, na te-

¹ Pierwsza wojna polsko-szwedzka miała miejsce w latach 1600 – 1611. W czasie jej trwania wojska polskie odniosły 27 września 1605 r. wspaniałe zwycięstwo nad Szwedami pod Kircholmem.

renach państwa krzyżackiego. W XIII wieku Krzyżacy zaczęli zakładać na terenach Powiśla liczne wsie, zachęcali miejscową ludność do osiedlania się poprzez nadania ziemskie.

W XVII wieku Trzciano i okolice stały się widownią niezwykle ważnych działań wojennych. To właśnie tutaj, 27 czerwca 1629 roku, doszło do wspomnianej bitwy wojsk polskich z wojskami szwedzkimi. Wszyscy historycy zgodnie wzmiankowali i odnotowali właśnie bitwę pod Trzcianą².

Podczas wojny polsko-szwedzkiej toczonej w latach 1626 – 1629 wojska „lwa północy” - króla Gustawa II Adolfa zajęły w lipcu 1626 r. Prusy. Elektor Jerzy Wilhelm, lennik polski, nie stawiał absolutnie żadnego oporu, a jedynie starał się zachować neutralność. W taki to sposób niewątpliwie ocalał od zniszczeń wojennych największe miasta: Elbląg i Malbork zajęte już w tym samym roku oraz Kwidzyn, do którego wojska szwedzkie wtargnęły dwa lata później. Dalszy marsz na południe został zatrzymany przez wojska polskie, którzy zadali Szwedom wiele dotkliwych strat. Otóż król Gustaw II Adolf postanowił lepiej przygotować generalny atak i w tym też celu obwarował Kwidzyn wraz z przedmieściami. Źródła historyczne odnotowały, że w samym mieście osobiście przebywał Gustaw II Adolf.

Staranne przygotowanie wojsk polskich do przyszłych działań wojennych niewątpliwie skłoniło Gustawa II Adolfa do zmiany planów. Swoim dowódcom król szwedzki nakazał wycofanie się na północ w takim celu, aby osłabić wroga zmuszonego do forsowania silnych fortec w Elblągu i Malborku. Hetman polny Stanisław Koniecpolski przewidział zamiary Szwedów. Rozpoczęcie walki było już tylko kwestią czasu.

W 1629 r. król polski Zygmunt III Waza otrzymał od cesarza Ferdynanda II Habsburga (1578 – 1637) pomoc militarną w postaci 5000 piechoty i rajtarii. Późną wiosną 1629 r. siły te przyprowadził gen. Jan Jerzy Arnheim, który stanął obozem koło Grudziądza. Ta sytuacja nie była po myśli Gustawa II Adolfa, który postanowił zlikwidować to zgrupowanie. Król szwedzki wyruszył z Malborka mając 5000 piechoty i 4000 jazdy. Szwedzi dowiedzieli się o połączeniu sił Jana Jerzego Arnheima z siłami hetmana Stanisława Koniecpolskiego i rozpoczęli błyskawiczny odwrót.

25 czerwca 1629 r. wojska szwedzkie wyruszyły w drogę powrotną z Kwidzyna do Malborka. Pierwszy wyruszył wczesnym rankiem feldmarszałek Herman Wrangel, który miał pod sobą (nie uwzględniając taboru) 46 kompanii piechoty oraz 25 kompanii jazdy. Z kolei Jan hrabia Renu opuścił Kwidzyn ostatni (było to pod wieczór) i miał 17 kompanii rajtarów.

² Niektóre źródła podają miejscowość Trzciana, Trzciany, Trzcianka. Były to nazwy pochodzące najprawdopodobniej od rosnących tutaj nad jeziorami trzciny.

Odwrót wojsk szwedzkich został przeprowadzony w dwóch kolumnach. W pierwszej – piechota z taborami udała się do Sztumu, zaś w drugiej – osłaniająca jej marsz jazda, boczną drogą zaczęła przesuwać się przez Trzciano, Straszewo i Pułkowice w kierunku Nowej Wsi, w której te dwie trasy ze sobą się łączyły.

Hetman Stanisław Koniecpolski zamierzał pierwszy uderzyć na wojska szwedzkie. Wobec tego już wieczorem 24 czerwca 1629 r. gen. Jan Jerzy Arnheim na czele austriackiej rajtarii zwinął swój obóz i wyruszył spod Grudziądza, a za nim z Synichu wyruszyła również polska jazda. Razem sprzymierzone siły polsko-austriackie liczyły 1300 husarii (czyli 9 chorągwi), 2000 cesarskiej rajtarii oraz 1200 jazdy kozackiej. Piechota austriacka została na miejscu.

Niezwykle ciekawe i interesujące zestawienie wojsk szwedzkich podaje Michał „Kardinazi” Paradowski³. Według Michała Paradowskiego armia szwedzka w bitwie pod Trzcianą przedstawiała się następująco:

1. Król szwedzki Gustaw II Adolf – naczelnny wódz.
2. Feldmarszałek Herman Wrangel – straż przednia wojsk szwedzkich składająca się z:
 - a) regiment Wulfa Heinricha von Baudissina w ilości 1150 ludzi w 12 kompaniach (regiment ten stanowili głównie niemieccy najemnicy – ex-duńscy arkebuzerzy),
 - b) fiński szwadron dowodzony przez Hansa Ekholta w ilości 561 żołnierzy w 5 kompaniach,
 - c) szwadron najemnych kirasjerów dowodzony przez podpułkownika Hansa Wrangla w ilości 450 ludzi w 4 kompaniach.
- 3) Pułkownik Zacharias Pauli – główna kolumna, skład której przedstawiał się następująco:
 - a) Szwedzko – niemiecki szwadron dowodzony przez płk Zacharias Pauli w ilości 308 ludzi w 3 kompaniach (niemiecka kompania kirasjerów plus dwie szwedzkie kompanie rajtarów z Regimentu Södermanland),
 - b) fiński szwadron dowodzony przez Reinholda Anrepa w ilości 300 ludzi w 3 kompaniach.
- 4) Margraf reński Otto Ludwig – straż tylna, która składała się z:
 - a) regiment najemny margrafa reńskiego Otto Ludwiga składający się głównie z niemieckich najemników oraz ex-duńskich arkebuzerów w ilości 1450 ludzi w 12 kompaniach,
 - b) regiment najemny Christofera von Hünicken składający się z niemieckich najemników oraz ex-duńskich arkebuzerów w ilości 500 ludzi w 5 kompaniach,
 - c) ponadto ok. 60 muszkietów i 10 dział „skórzanych”.

³ Michał „Kardinazi” Paradowski. Absolwent UMK w Toruniu. Mieszka od kilku lat w Edynburgu. Jego pasją stała się XVII-wieczna wojskowość. Interesuje się armiami szwedzkimi, polskimi i litewskimi. Zob. strony internetowe Forum Historycznego Portalu „HISTORIA”.

5. Tabor i artyleria składająca się z:
- a) dwóch kompanii kirasjerów gwardii dowodzonych przez feldmarszałka Francoisa de Sacin i Lasska von Oppel w ilości 250 ludzi,
 - b) szwadron Johanna Streiffa von Launenstein w ilości 500 ludzi w 5 kompaniach plus piechota (ilość nieznana),
 - c) szwadron Hansa Georga aus dem Winckel w ilości 300 muszkietów z Żółtego regimentu najemnego,
 - d) szwadron Johna Hepburna w ilości 600 muszkietów z Zielonego, Niebieskiego i Czerwonego regimentów najemnych,
 - e) szwedzki szwadron Lennarta Torstenssona w ilości 360 muszkietów

Opierając się na źródłach szwedzkich, głównie informacjach von Armina, siły polskie dowodzone przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego wyniosły: 1000 husarii, 1000 jazdy kozackiej, 2000 jazdy cesarskiej. Razem: 4000 żołnierzy. Z kolei źródła polskie przedstawiają ilość wojsk polskich następująco: 1200 husarii, 1300 jazdy kozackiej, 2000 jazdy kozackiej. Razem: 4500 żołnierzy. Jak widać różnica wynosi 500 ludzi.

Sekretarz królewski Zygmunta III Wazy, biskup przemyski Paweł Piasecki, w swojej kronice podaje następujące zestawienie liczebności wojsk dowodzonych przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego⁴: 1300 husarii (8 chorągwi), 1200 jazdy kozackiej (9 chorągwi).

W bitwie pod Trzcianą ze strony polskiej wzięły również udział oddziały dragonów, które obsadziły przeprawę przez rzekę Liwę. Polscy dragoni mieli więc do wypełnienia ważną funkcję. W samej bitwie pod Trzcianą również ich widzimy, gdzie wraz z jazdą kozacką zaatakowali rajtarów. Potem jednak dragonów już nie widać w bitwie, a to z tej przyczyny, że posiadali ciężkie i mniej sprawne w walce konie. Toteż główne uderzenie na swoje barki wzięła husaria.

Wielki znawca problematyki wojskowości z XVII wieku Michał „Kardinali” Paradowski wspomina o udziale polskich dragonów w bitwie pod Trzcianą. Mówi o udziale dragonów w tej bitwie w „Relacji bitwy Trzciańskiej, posłanej od J. Mci P. Hetmana, pod Nowa Wsią, 26 Juni 1629”. Warto również w tym miejscu wspomnieć o tym, że Michał Paradowski uważa, iż istnieje błędne nazewnictwo miejscowości. Jego zdaniem powinno być napisane – bitwa pod Trzcianem. Jednak idąc za większością historyków w niniejszym artykule posłużyłem się nazwą – bitwa pod Trzcianą.

Wróćmy jednak do samych działań wojennych. Na przedstawionej mapce można zobaczyć rozmieszczenie sił polskich i szwedzkich przed bitwą. Czytelnik może z łatwością odczytać, w jaki sposób głównodowodzący swoimi wojskami stanęli do zasadniczej rozprawy.

⁴ Paweł Piasecki, „Kronika Polska”. Wydawnictwo Kraków 1870, s. 412.



25 czerwca 1629 r. wojska polskie dowodzone przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego zaatakowały tylną straż szwedzką w ilości 2000 rajtarów i 60 muszkietów. Wojskami szwedzkimi dowodził Jan hrabia Renu. Koniecpolski skierował do ataku rajtarię wraz z jazdą kozacką, sam zaś zaatakował polską husarią prawe skrzydło wojsk szwedzkich. W pierwszej kolejności z pola bitwy zmieciona została niewielka ilość szwedzkich muszkietierów; nie zdążyli nawet oddać salwy, zmienić frontu ataku, czy też ponownie naładować broń.

Polska husaria z impetem uderzyła na szwedzkich rajtarów. Uderzenie było tak silne, że już po paru

chwilach walki rajtarzy się załamali i rzucili w pośpiechu do ucieczki w kierunku Straszewa. W pogon za rajtarami skierowano jazdę kozacką, która posiadała szybkie i wyćwiczone do walki konie. Szwedzcy rajtarzy, dowodzeni przez hrabiego Renu, byli praktycznie bez szans, gdyż ich ciężkie konie nie sprostały szkolonym do tego typu walki jeździe kozackiej. Nastąpiła rzeź i pogrom rajtarów.

W odległości około 3 km od Straszewa znajdowała się druga grupa jazdy szwedzkiej w ilości 700 żołnierzy. Słyszcząc odgłosy walki, szybko ustawiła się w szyku bojowym. Do tej jazdy dołączył hrabia Renu wraz z 300 uratowanymi z pogromu rajtarami, których natychmiast ustawił w tzw. drugim rzucie (szeregu). Wtem nagle pojawiła się ścigająca uciekających Szwedów jazda kozacka, którą przywitano salwą karabinową z muszkietów. Wkrótce potem na horyzoncie swoje skrzydła rozwinęła husaria, która ruszyła z impetem do ataku. Był to niesamowity widok, podobny do ataku pod Kircholmem. Prerażeni Szwedzi nie wytrzymali nawałnicy husarii i rzucili się do ucieczki w stronę Pułkowic. Tam stacjonował sam Gustaw II Adolf z resztą swojej jazdy. Doszło w tym też miejscu do zaciętej walki. Zwycięstwo przechyliło się na stronę polską, o którym, m.in. zadecydowało znacznie lepsze indywidualne wyszkolenie wojskowe Polaków. W wyniku natarcia husarii szyk szwedzki uległ załamaniu i rozproszeniu. Widząc taką sytuację Gustaw II Adolf powziął decyzję o ucieczce do Sztumu.

Natomiast pozostawiona bez naczelnego wodza, tj. króla Gustawa II Adolfa, piechota szwedzka znalazła się w dużym niebezpieczeństwie. Szwedzi nie zamierzali się poddawać i rzucili do walki swoje resztki wojska. W rezultacie tego starcia, które było stosunkowo krótkie, niedobitki wojsk szwedzkich zdążyły schronić się za murami Sztumu. W walce tej poległ, m.in. podpułkownik Hans Wrangel. Wykorzystując zapadające ciemności Szwedzi uszli nocą ze Sztumu i udali się w kierunku Malborka.

Po przegranej bitwie pod Trzcianą Szwedzi zamknęli się w żuławskich twierdzach i w umocnieniach. Swoje działania ograniczyli już tylko do obrony. Z kolei wojska polskie przybyły pod Malbork i zaczęły oblegać to miasto, zaś Austriacy uderzyli na Szpicę Montowską. Siły obu walczących wojsk były teraz wyrównane, ponieważ przeciwko 17000 Szwedom walczyło 18000 żołnierzy polskich i austriackich. Prowadzone walki oblężnicze nie przyniosły spodziewanego rezultatu, zaś panujący głód i choroby tak samo dały się we znaki obu stronom. Warto odnotować to, iż w armii koronnej chorował co trzeci żołnierz, ponadto dochodziło do antagonizmów oraz nieporozumień między wojskami sojuszniczymi, które czasami przeradzały się w potyczki zbrojne. Żołnierze cesarscy domagali się wysokiego żołdu, zaś prawda była taka, że ciągle pusty skarb Rzeczypospolitej nie miał pieniędzy nawet na utrzymanie własnej armii. Wobec takiej sytuacji, wobec panującego niezadowolenia wśród wojsk polskich, zaczęła szerzyć się dezercja i nawet dochodziło do buntów. Coraz bardziej rzucało się przekonanie, że słaba finansowo Polska nie będzie w stanie pokonać w dalszym ciągu silnego przeciwnika.

W bitwie pod Trzcianą największe straty poniósł regiment margrafa reńskiego Otto Ludwiga, który przyjął na siebie pierwsze uderzenie husarii w tej bitwie. Natomiast stosunkowo małe straty były ze strony wojsk dowodzonych przez Reinholda Anrepa, a to z uwagi na to, że jak zaatakowała ich polska jazda, to szybki zbiegli z pola bitwy. Historycy wspólnie stwierdzają, że bitwa pod Trzcianą spowodowała całkowitą likwidację jazdy szwedzkiej. Straty są szacowane na 600 zabitych i 200 wziętych do niewoli. Zwycięstwo hetmana Stanisława Koniecpolskiego nie zmieniło stosunku sił, lecz po tej bitwie Szwedzi już do końca wojny nie zdołali przejąć inicjatywy. Jeżeli chodzi o straty polskie, to większość opracowań podaje liczbę 150.

Bitwa w sposób zasadniczy pokazała, że bez wsparcia piechoty i artylerii jazda szwedzka w otwartej walce nie mogła dorównać polskiej husarii. Ponadto na Gustawie II Adolfie duże wrażenie zrobiła jedna z kozackich chorągwi, której żołnierze otoczeni czterema kornetami szwedzkimi, dzięki znakomitemu indywidualnemu wyszkoleniu nie dopuścili, aby nieprzyjaciel użył broni palnej. Po zakończonej bitwie zostały znalezione szczątki obciętych rąk szwedzkich żołnierzy wraz z trzymanymi przez nich pistoletami. Widok był przerażający, a sam król Gustaw II Adolf przyznał, że nie przypomina sobie, aby był kiedykolwiek w takich tarapatach. Należy nadmienić,

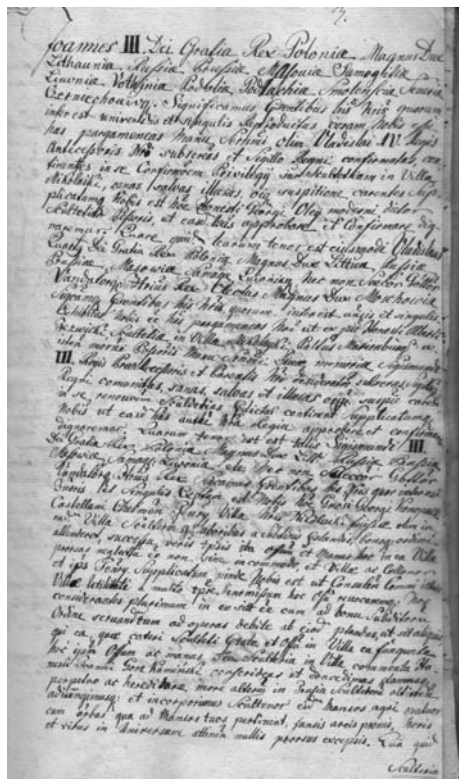
iż w samej walce brali udział obaj głównodowodzący. Hetman Stanisław Koniecpolski nawet sam z pistoletu zastrzelił jednego ze szwedzkich oficerów, a Gustaw II Adolf znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie i przeżył dzięki pomocy swoich podkomendnych.

Być może nazwanie „Wiktoria pod Trzcianą” jest na wyrost, ale warto przypominać i utrwalać w społeczności Powiśla i Żuław to wspaniałe zwycięstwo. Należy przypomnieć, że regularnie mieszkańcy Ryjewa (i nie tylko) czczą rocznicę tej bitwy. Dla przykładu 27 czerwca 2010 r. dla uczczenia tej bitwy oraz przybliżenia klimatu z tamtych lat Urząd Gminy Ryjewe wraz z Powiślańską Lokalną Grupą Działania zorganizował imprezę plenerową przed Gminnym Ośrodkiem Kultury w Ryjewie pod nazwą „Bitwa pod Trzcianą”.

Arkadiusz Wełniak

Rodziny ziemiańskie w powiecie sztumskim w latach 1772-1945

Problematyka wielkiej i średniej własności ziemskiej na Dolnym Powiślu w okresie pruskim wpisuje się w ogólną sytuację gospodarczą i społeczną wschodnich prowincji monarchii, uznawanych z racji słabego uprzemysłowienia za swoiste zaplecze rolnicze. Uwarunkowania polityczne, zmieniające się realia ekonomiczne, a także inicjatywy i umiejętna polityka zarządcza właścicieli wpływały bezpośrednio na stan rodzinnych majątków ziemskich i co za tym idzie ich rozwój lub niierzadko gwałtowny upadek. Przedstawione dzieje rodzin: von Klinggraff z Polaszek – przedstawicieli konserwatywnej, średniozamożnej szlachty pruskiej, Biberów z Goraja – rekrutujących się z protestanckiego mieszczaństwa, którym dopiero reformy agrarne z początku XIX wieku otworzyły drogę społecznego awansu i zaśluzonej dla polskośći Powiśla rodziny Schreiber z Mikołajek Pomorskich są tego najlepszym przykładem.



Kopia dyplomu króla Jana III dla sołectwa w Mikołajkach Pomorskich z 1697 r. AP w Malborku, Sąd obwodowy w Sztumie.

Uzasadnieniem dla takiego wyboru są także różnice stanowe w istotnym momencie przełomu XVIII/XIX wieku, kiedy wymienione rodziny dołączyły do klasy właścicieli ziemskich w tej części Prus Zachodnich. Żadnej z nich nie można jednak równać pod względem majątkowym z największymi rodami pruskiej (pomorskiej) szlachty jak: v. Kalkstein, Rittberg czy Schack v. Wittenau, czy z Donimirskimi i Sierakowskimi, którzy często w szerszej świadomości regionalnej pozostają jedynymi symbolami elit ziemiańskich

na ziemi sztumskiej. Ramy chronologiczne artykułu wytyczają: cezura 1772 roku związana z aneksją ziem Korony przez monarchię Hohenzollernów oraz rok 1945 oznaczający definitywną klęskę hitlerowskich Niemiec. Właśnie 1945 – swoisty rok początku, tudzież powrotu polskiej państwowości oznaczał jednocześnie przymusowy koniec świata szlacheckiego z jej wielowiekowymi tradycjami i wartościami, które Halina Szyrmerowa-Donimirska zamknęła w symbolicznym tytule swoich wspomnień - „Był taki świat...”. Podstawą źródłową opracowania są akta hipoteczne i gruntowe Sądu Obwodowego w Sztumie, znakomicie odzwierciedlające dzieje właścicieli gruntowych i ich własności, na tle procesów i zmian gospodarczych, agrarnych i własnościowych zachodzących na Ziemi Sztumskiej na przestrzeni ponad 150 lat. Wartość tej dokumentacji jest niebagatelna w badaniach z zakresu genealogii, historii gospodarczej, społecznej, a poniekąd i ówczesnej obyczajowości. Można w niej znaleźć bowiem nie tylko umowy notarialne, spadkowe, regulacje hipoteczne i majątkowe, ale także testamenty, metrykalna i kontrakty małżeńskie¹.

Rodzina Klinggraff

Po 1772 roku na włączonych do monarchii pruskiej terenach byłej Rzeczypospolitej nastąpiła konfiskata wielkich dóbr kościelnych, królewskich, ziem starościńskich i części majątków polskiej szlachty, która jawnie wyrażała niechęć wobec pruskiego króla. O znacznych dochodach z przejętych Prus Zachodnich pisał Fryderyk II z Kwidzyna w następujących słowach: Prusy to bardzo dobry i cenny nabytek. Aby jednak wzbudzić zazdrość, mówię każdemu kto chce słuchać, że podczas mojej podróży widziałem tam tylko piaski, świerki, pustkowia i Żydów. Przejęte dobra były sprzedawane lub nadawane junkrom pruskim, przedstawicielom biurokracji czy królewskim poplecznikom. Polityka nacisku fiskalnego była jedną z głównych przyczyn gwałtownej pauperyzacji dotychczasowych właścicieli i powiększanie warstwy tzw. gołoty. Konsekwencją była deklasaacja wielu przedstawicieli polskiej szlachty.

Skarb pruski zagarnął w ten sposób znaczną ilość majątków. Z mapy wielkiej własności na Powiślu i Ziemi Malborskiej znikają w tym okresie rody Wojciechowskich, Łyskowskich, Zaborowskich, Kurczewskich, Grąbczewskich czy Przybickich. W ich miejsce pojawiają się nowa elita, często z solidnym kapitałem ugruntowanym poprzez rekwizycje czy tzw. dochodowe dzierżawy. Przykładem jest rodzina von Klinggraff, która przez ponad sto lat dzierżyła dobra tak zwanego Klucza Watkowickiego z siedzibą

¹ Wykorzystana dokumentacja hipoteczna, sądowa i metrykalna znajdująca się w zasobie Archiwum Państwowego w Malborku, została w tym przypadku uzupełniona o archiwalia ze zbiorów Archiwum Państwowego w Gdańsku, wreszcie literaturę przedmiotu i opracowania o charakterze biograficznym dotyczące rodzin Klinggraff i Biber.

w Polaszkach². Trzeba nadmienić, że w XV wieku dobra należały do rodu Paleszków, następnie aż do schyłku Rzeczypospolitej stanowiły własność starostów sztumskich i starogardzkich. Klinggraffowie wywodzili się ze średniej szlachty z Turynгии, a jej liczne odnogi odnajdujemy u schyłku XVIII wieku w Prusach Książęcych, Saksonii i Brandenburgii³. Wśród aparatu wykonawczego władz królewskich w tej części Prus znalazł się zapewne inspektor fortyfikacyjny w Kwidzynie Jerzy Ludwig Meyer von Klinggraff, który już w 1787 roku uzyskał prawo do dzierżawy przejętego przez państwo pruskie folwarku Polaszki. Odstępnym dla Joanny Kczewskiej, córki ostatniego starosty starogardzkiego było niewielkie odszkodowanie za pozostawiony inwentarz. Status generalnego dzierżawcy obligował Klinggraffa do pełnienia funkcji administracyjnych w folwarku. Terminy kontraktów dzierżawnych były stosunkowo krótkie i nie przekraczały zazwyczaj 10 - 12 lat. Wobec tendencji sprzedaży folwarków przez państwo już w 1801 roku Polaszki stały się za sumę 3900 talarów własnością wspomnianego Jerzego von Klinggraff.

Folwark obejmował w tym czasie obszar 285 hektarów bardzo dobrej ziemi, z przypisanymi doń kilkunastoma rodzinami chłopskimi. Należy nadmienić, że na przełomie wieków stosunki feudalne na wsi pruskiej pozostawały nienaruszone. Wyrósł na gruncie ideałów francuskiego liberalizmu reformy uwłaszczeniowe Steina i Hardenberga zachwiały wprawdzie nieco tę strukturę, ale prymat szlachty i ziemiaństwa był ciągle niepodważalny. Proces komasacji ziemi stał się u progu XIX wieku jednym z charakterystycznych zjawisk w całych Prusach. Trudno wszak sytuację na Powiślu odnosić do tego co obserwujemy w Meklemburgii czy na Pomorzu Zachodnim, gdzie dominowały wielkie latyfundia ziemskie. Procesowi koncentracji gruntów towarzyszył gwałtowny wykup ziemi. Klinggraffowie posiadając już wtedy Polaszki, Nową Wieś i dobra białochowskie, decyzją komisji hipotecznej przy Kamerze Kwidzyńskiej nabyli prawa własnościowe do Małych Watkowic. Warto przy tej okazji wspomnieć o licznych nadużyciach i spekulacjach, cechujących kontrakty kupna. Po śmierci Jerzego von Klinggraff prawo do majątku przejął jego brat, major armii pruskiej Bernard Henryk. Po swojej pierwszej żonie (wdowie po wysokim urzędniku królewskim) przejął nazwisko Meyer oraz adoptował dzieci z jej wcześniejszego związku. To właśnie dwaj synowie Marii Teresy von Sitthof-Meyer stali się dziedzicami dóbr. Nazwiskiem Klinggraff Meyer zapisanym w dokumencie nobilitacyjnym z 1803 roku posługiwały się odtąd kolejne pokolenia sztumskiej gałęzi rodziny.

² W okresie pruskim Polaszki wchodziły wraz z Małymi Watkowicami i Pulkowicami w skład wsi Wielkie Watkowie.

³ Wśród przedstawicieli rodziny Klinggraff znajdujemy m.in. dyplomatów, radców wojennych, administratorów domen. W drugiej połowie XVIII wieku w Królewcu działał Johann Samuel v. Klinggraff archiwista, bibliograf i tłumacz.



Pałac w Goraju, fot. J. Skopczyńska.

Już przed 1805 rokiem majątek rodziny przekraczał 400 hektarów, a obie części własności Klinggraffów rozdzielały dobra porycerskie należące do rodziny Schlemmerów. Paradoksalnie kilka lat później małżeństwo dziedzica z panną von Schlemmer dało asumpt do przejęcia całości. W burzliwym okresie przemarszu wojsk napoleońskich właścicielem dóbr Polaszki były własnością Karola Ludwika, a jego młodszy brat

dziedziczył ziemię w Małych Watkowicach. Co charakterystyczne, wobec wprowadzonego jeszcze w czasach fryderycjańskich prawa dziedziczenia także przez córki, zapis testamentowy nałożył na obu dziedziców obowiązek spłaty sióstr Karoliny Krystyny i Elżbiety Zofii. Ich małżeństwa z przedstawicielami saksońskiej rodziny von Gordon, wówczas wysokimi rangą oficerami armii pruskiej, było przejawem charakterystycznego wtedy ścisłego związku arystokracji z armią.

Postępująca militaryzacja państwa wiele zawdzięczała konserwatywnym junkrom, spośród których rekrutowała się zdecydowana większość kadry oficerskiej. Specyficzna sytuacja ekonomiczna w majątkach ziemskich po wcieleniu w życie reform agrarnych, wymusiła sprzedaż zadłużonego majątku Małe Watkowice Grafowi von Findenstein. W 1823 roku Karol i Wilhelmina Klinggraff opuścili na blisko dwadzieścia lat rodzinne dobra udając się do dóbr Zamrock koło Zagrzebia (Agram), stanowiącego wtedy część monarchii habsburskiej. Po powrocie ze słonecznej Chorwacji Karol zajął się karierą urzędniczą w Kwidzynie. Małżonkowie von Klinggraff doczekali się dwóch synów, zresztą najbardziej znanych przedstawicieli zachodniopruskiej gałęzi rodziny.

Dzięki długoletnim studiom z zakresu przyrody, Karol Juliusz (1809-1879) i młodszy Hugo Eryk (1820-1902) weszli w poczet wybitniejszych botaników niemieckich XIX stulecia. Ukończyli m.in. ekskluzywne królewskie Friedrichskollegium w zakresie historii naturalnej i nauk przyrodniczych oraz tamtejszą Akademię Medyczną. Starszy z braci wślawił się pracami na temat roślinności północnej Europy i Arktyki oraz wielotomową Florą Prus Wschodnich. Znani i doceniani w kręgach naukowych Gdańska, późniejsi członkowie i założyciele towarzystw naukowych (m.in. Zachodniopruskiego Stowarzyszenia Botanicznego) musieli jednak po studiach zadbać o utrzymanie dóbr rodowych, zwłaszcza, że w 1842 roku zmarł ich wuj Adolf Henryk Meyer. Dwa lata później Karol Juliusz pojął za żonę jego córkę, a swoją kuzynkę 41-letnią wówczas Joannę v. Klinggraff. Bardzo bli-

skie pokrewieństwo małżonków nie było w warstwach ziemiańskiej arystokracji czymś wyjątkowym. Nazywano to często targiem małżeńskim (Heiratsmarkt), gdzie istotniejsze od ewentualnych konsekwencji natury biologicznej było pozostawienie całości dóbr w rodzinie. Zresztą owo małżeństwo z rozsądku nie doczekało się potomstwa. Istotnym elementem odróżniającym nowego właściciela Polaszek od typowego pruskiego junkra było porzucenie administracji majątkiem na rzecz



Pałac w Koniecwałdzie, fot. J. Kmieć.

badania naukowych, przeplatanych prywatną praktyką lekarską. Faktyczny zarząd nad folwarkiem sprawowała jego żona Joanna, która była inicjatorem przebudowy skromnego jak na tamte czasy zespołu rezydencjalnego.

Według dokumentacji załączonej do matrykuły katastralnej z 1864 roku w dobrach zatrudnionych było wówczas zaledwie siedem osób w tym, sezonowi robotnicy najemni. Zgodnie z zestawieniem majątkowym dobra w Polaszkach obejmowały w 1871 roku ponad 280 hektarów gruntów ornych i łąk położonych wzdłuż drogi do Michorowa. Pochodzące z tego czasu opisy majątkowe świadczą o stosunkowo skromnych dochodach z dzierżaw i dość archaicznym charakterze samej gospodarki opartej wyłącznie na uprawie zbóż.

Z czasem coraz większe wydatki pochłaniała organizacja prywatnego parku botanicznego w dobrach Polaszk, której w ostatnich kilkunastu latach życia całą swoją energię poświęcił jej właściciel. Na powierzchni kilkunastohektarowego parku zagościły egzotyczne krzewy, kwiaty i drzewa starannie doglądane pod okiem dziedzica przez specjalnie zatrudnionego ogrodnika. Hodowane rzadkie odmiany roślin i drzew (cedrów libańskich, choinek kaukaskich, sosny kanadyjskiej), dywany różnorodnych odmian kwiatów przyciągały uwagę ludzi polityki, nauki i okolicznych mieszkańców. Jednym z nich był przyjaciel właściciela, znany profesor botaniki z Jeny Matthias Jakob Schleiden. Park Klinggraffów promowany jako Oaza Spokoju był jeszcze w okresie międzywojennym jedną z miejscowych atrakcji i punktem letnich wyjazdów rodzin i młodzieży z pobliskiego Sztumu. Dnia 29 marca 1879 roku Königsberger Hartungsche Zeitung poinformował odeszłą na zawsze wszechstronny badacz i miłośnik nauk Karol von Klinggraff.

Akta gruntowe szczegółowo prezentują proces zabezpieczania dóbr rodzinnych, które zgodnie z wolą testamentową zmarłego miały stać się własnością młodszego brata i jego dzieci. Hugo Eryk również nie miał żyłki



Polaszki. fot. Bartosz Busz.

do zarządzania majątkiem, gdyż w latach sześćdziesiątych XIX wieku sprzedał dobra w Wiśniewie przy granicy prusko-rosyjskiej, wybierając posadę inspektora landrackiego. U schyłku życia (w 1899 roku) Hugo Eryk jako prawowity dziedzic zamieszkał u swojej szwagierki w Polaszkach. Nie nacieszył się zresztą osiągnięciami brata umierając trzy lata później. Wczesna era wilhelmińska w Prusach oznaczała ostateczny

mariaż ziemianstwa z wielkim kapitałem, a wobec kryzysu agrarnego swoistą gwarancją utrzymania pozycji były jedynie inicjatywy prowadzone we własnych majątkach. Stąd jak grzyby po deszczu wyrastały gorzelnie, garbarnie, warsztaty rzemieślnicze, właściciele majątków zawierali dochodowe kontrakty z cukrowniami i tartakami. Klinggraffowie trwając przy owym tradycyjnym modelu nigdy takich przedsięwzięć nie podejmowali. Zresztą następne pokolenie Klinggraffów nie zamierzało zresztą osiadać na ziemi sztumskiej i po uzyskaniu odstępnego wyjechało do Saksonii. Potwierdzone dobre relacje Klinggraffów z licznymi polskojęzycznymi gospodarzami uderzają w promowany, szczególnie przez historiografię Polski Ludowej, stereotyp złego pruskiego junkra, zatwardziałego w swej antypolskiej postawie.

W 1910 r. po śmierci wdowy von Klinggraff Polaszki przeszły w ręce spokrewnionej z nimi rodziny Dyck. Erich Dyck, który przez kilkanaście lat faktycznie administrował majątkiem Polaszki, natychmiast rozpoczął modernizację gospodarstwa. Dzięki zakupom maszyn, rozbudowie zaplecza gospodarczego ponad dwustuhektarowy majątek w Polaszkach stał się jednym z lepiej prosperujących w okolicy. Według stanu z 1919 r. w majątku poza robotnikami rolnymi zatrudniono rzemieślników, ogrodników, kowala, stelmacha i bednarza. Nowy właściciel przywiązany do dorobku Klinggraffów zachował dotychczasowy wygląd dworku i pielęgnowanego parku. W okresie drugiej wojny światowej majątek wykupił Paul Ortmann z Kleczewa. Wiekowi Dyckowie pozostali zresztą w Polaszkach, gdzie zakończyli żywot rozstrzelani przez żołnierzy Armii Czerwonej.

Rodzina Biber

Historia rodziny Biber, która w latach 1829 - 1945 zarządzała dobrami Goraj koło Gościszewa, stanowi modelowy przykład awansu społecznego i majątkowego dzięki umiejętnej gospodarce i inwestycjom rolnym. Nazwisko Biber (Bieber) pojawia się w źródłach już w 1273 roku, a wśród jej

przedstawicieli przeważają mieszczenie, m.in. Henryk Ignacy Biber z Pilzna XVII-wieczny kompozytor i nadworny muzyk dworski. Według zapisów początek linii Biberów z Goraja, dała jedna z rodzin ewangelickich, która wraz z grupą kilkunastu tysięcy innych protestantów w 1732 opuściła Salzburg, osiadając w ówczesnych Prusach Książących⁴.

W schyłkowym okresie przynależności ziemi sztumskiej do Rzeczypospolitej dobra Goraj stanowiły własność starostów sztumskich. W dokumentach hipotecznych wzmiankowany jest niejaki Jakub Grossmann dzierżawcą dóbr w latach 1761 - 1764. W 1771 roku folwark został wydzierżawiony Jerzemu Kalksteinowi. Według opisu z najstarszej księgi gruntowej dobra obejmują łąki i grunty przy trakcie malborskim o powierzchni 6 huf pruskich, dom mieszkalny i zabudowania gospodarcze. Nadmiernie eksploatowany folwark, mocno podupadły w okresie kwaterowania Francuzów przez krótki czas pozostawał w rękach rodu Chołojewskich. Ich jedyna córka Józefina wychodząc za mąż za nauczyciela Czychora zrezygnowała z dalszej dzierżawy dóbr w domenie koniecwałdzkiej.

W 1829 roku zadłużony majątek Goraj przeszedł na zasadzie przymusowej licytacji w ręce Wilhelma Bibera. Drogę ku temu otworzyła regulacja dopuszczająca mieszczań do wykupu majątków ziemskich. Założyciel gorajskiej linii rodziny urodził się w Starogardzie w 1805 roku. Jego ojciec Jakub piastował funkcję inspektora podatkowego. Matka Balbina z Ostrowskich pochodziła ze zubożałej rodziny ziemiańskiej, mającej dobra w Gostomiu na Kociewiu. Wilhelm wychowany w duchu idei romantycznych, hołdujący zasadom liberalizmu ekonomicznego tuż po ukończeniu gimnazjum przeniósł się do rodziny w Malborku. Nie oddał się wzorem ojca karierze urzędniczej, ale dzięki zgromadzonemu kapitałowi postanowił zająć się gospodarką rolną. Lata dwudzieste XIX wieku stanowiły ku temu dobry moment, wobec prowadzonych przez państwo reform i postępującej pauperyzacji większości starych rodzin ziemiańskich. W umowie kupna z 1829 roku czytamy: na stan kupującego przeszły poza ziemią i zapleczem mieszkalno-gospodarskim także 4 konie, 2 woły, 1 krowa, 2 cielęta, 40 owiec, 6 gęsi i 12 niosek, 1 lemiesz, 1 kara (taczka), 2 kosy żniwne, pług i waga. Od tego zaczynał budować swój majątek 24-letni wówczas Wilhem Biber. Należy podkreślić także bardzo umiejętnie skonstruowaną umowę, dzięki której Wilhelm Biber zachował pierwszeństwo przy ewentualnym zakupie sąsiednich gruntów.

Trzy lata później właściciel powiększył własność o dwustumorgowy teren tzw. Böhnhofer Krugland położony po drugiej stronie drogi do Sztumu. Małżeństwo Wilhelma Bibera z owdowiałą Karolina Serwacką pozwoliło na dalszy rozrost majątku. Dobra Goraj obejmowały w latach trzydziestych XIX wieku: 400 mórg pól uprawnych, 300 morgowe pastwiska przy

⁴ W drugiej połowie XVIII w. Biberów spotykamy także w powiatach: kętrzyńskim, tczewskim i lubawskim.

skraju lasu i kilkunastomorgowy ogród. Właściciel, wzorując się na nowych rozwiązaniach szybko wprowadził nowe, postępowe metody uprawy roli. Już po kilku latach zarządzania Gorajem wybudował kompleks budynków gospodarczych: trzy zadaszne stajnie, dwie obory, obszerną chlewnię i kur-niki. Reprezentatywny dworek stanął w pobliżu starego domu, wybudowany w ciągu kilku miesięcy przez specjalnie sprowadzonych cieśli, murarzy i dekarzy. Wapnowane ściany, zdobna weranda, łukowe okna, mocne stropy i solidne zadaszanie dopełniały obrazu całości. W pobliżu dworku urządzono także kompleks parkowo-ogrodowy z parkanami i rabatami, zgodnie z obowiązującą wówczas modą na neogotyki. W marcu 1838 roku własność Biberów została poszerzona o 500 morgową zagrodę sołecką (Freischulzerei) na pograniczu Goraja i Koniecwałdu. Również tam powstały nowoczesne jak na tamte czasy budynki gospodarcze i mieszkalne dla służby oraz spichlerz zbożowy. Z inicjatywy właściciela wybudowano tam również nieco później cegielnię z prasą i wypalarnią.

W tym czasie była to inicjatywa ze wszechmiar opłacalna, pozwalająca robotnikom rolnym na dodatkowe zatrudnienie pomiędzy zasiewem a żniwami. Nowy właściciel zlecił szereg prac melioracyjnych i doprowadził bite drogi dojazdowe do obu swoich dworków. Nie zaniedbując dobrych relacji z rodziną wykupił od wuja nieruchomości w Malborku i w podmalborskich Piaskach. W 1841 r. nabył także dwie mniejsze parcele w Koniecwałdzie i wydzierżawił grunty usytuowane przy wylocie drogi prowadzącej do Gronajna. Kilkuletni proces poszerzania majątku wyniósł dobra Wilhelma Bibera w Goraja wraz z folwarkiem Koniecwałd do rzędu jednego z większych w okolicy i z pewnością wzorcowego pod względem stosowanych metod uprawy oraz wielkości zbiorów.

Przykładem zaradności dziedzica jest, np. korzystnie wynegocjowana umowa z władzami kolei pruskiej, której linia Malbork-Sztum przecięła posiadłość. Według danych katastralnych na dobra składało się ponad 170 hektarów pól uprawnych, 13 hektarów łąk, 4 hektary lasów, ponad hektar wód (ze stawem nazywanym w źródłach Głęboczkiem) i ponad dwuhektarową powierzchnią parkowo-sadową. W 1847 r. dzięki pomocy Karla Augusta von Gersdorff, architekta i radcy budowlanego z Malborka Wilhelm Biber wcielił w życie projekt przebudowy dworku z uwzględnieniem kilkunastu nowych izb, obszernej sali reprezentacyjnej i werandy. Całość została pokryta dachówką, co w tamtych czasach było jeszcze rzadkością. Zmiany były podyktowane, m.in. licznym stanem rodzinnym. Ze związku małżeńskiego Wilhelma z Karoliną na świat przyszło aż 15 dzieci, z czego wieku dorosłego dożyło 3 synów i 4 córki. Starannie wykształcone rosły w atmosferze spokoju i szacunku dla pracy. W 1852 r. Wilhelm wykupił dla najstarszego syna Reinholda dwustumorgową działkę w Gościszewie, a drugi z synów Henryk otrzymał grunty we wsi Nogat koło Łasina. Najmłodszy syn Hans

odziedziczył działkę gruntową w Koniecwałdzie. Właśnie tam na obrzeżu swoich dóbr w obrębie folwarku w wybudował Wilhelm Biber w 1872 r. kolejny dworek. Zbiegło się to ze śmiercią jego żony Karoliny. Charakterystyczny był także dość wysoki status społeczny córek Wilhelma Bibera, które wydano za mąż za wspomnianego Karla Gersdorffa (jednego ze współtwórców dzieła odbudowy malborskiego zamku) i radcy Henryka Stechau z Elbląga. Najmłodsza Marta poślubiła hrabiego von Krebelsdorf-Benkendorf i zamieszkała w Berlinie.

Wilhelm Biber do końca aktywnie uczestniczył w życiu publicznym. W latach 1858 - 1889 zasiadał w Sejmiku Powiatowym w Sztumie oraz działał w Towarzystwie Upowszechniania Kultury Rolnej w Gdańsku. Podczas wizyty Cesarza w Malborku wszedł w skład delegacji ziemskiej powiatu. Zmarł w Goraju w 1889 roku przeżywszy 84 lata. W malborskim archiwum zachował się testament Wilhelma Bibera, w którym podziałem majątkowym objął on wszystkie dzieci i sześcioro wnuków. Co ciekawe, w zapisie testamentowym uwzględniono także spokrewnione z rodziną dwie siostry Drebs, adoptowane przez Biberów. Bezpośrednim spadkobiercą dóbr gorajskich pozostał wnuk Walter, który już w 1900 roku spłacił innych dziedziczących sumę 230 tysięcy marek. On właśnie wzorem dziadka energicznie przystąpił do modernizacji i urządzania majątku.

Warto podkreślić, że młody dziedzic poza ukończonym gimnazjum w Malborku i szkołą techniczno-rolniczą, przez ponad dwa lata terminował na majątku ziemiańskiej rodziny von Goering w Oldisleben w Turynii. Wraz z żoną Małgorzatą von Genschow zmienił system zarządu gospodarstwa, uwzględniając nowe techniki produkcji i przedstawiając nieco profil upraw. Po objęciu majątku Walter przeprowadził gruntowną inwentaryzację, zakupił kilkanaście nowoczesnych maszyn rolniczych, dla których wybudował nawet specjalny, zadaszony garaż. Zgromadził w nim liczne powozy, furmanki, sikawkę pożarniczą i zakupione (w 1924 roku) pierwsze, rodzinne auto. W latach 1907 - 1909 powstały dwie nowe obory, chlewnia oraz elewator zbożowy wraz z suszarnią opartą na nowej technologii

W tym okresie do Koniecwałdu i Goraja doprowadzono prąd, kanalizację i wodę bieżącą, wdrożono centralne ogrzewanie z współprojektowaną przez właściciela kotłownią. Walter Biber był miłośnikiem polowań urządzanych w lasach rozciągających się w trójkącie Parpary – Węgry -Koniecwałd. Większa część tego obszaru tzw. koniecwałdzki rejon łowiecki była przez niego dzierżawiona. W pamięci okolicznych mieszkańców zachował się obraz wielkodusznego, pracowitego i prostolinijnego człowieka, lubiącego polowania, wystawne zabawy i nie stroniącego od mocnych alkoholi. Po zwycięstwie armii Hindenburga pod Tannenbergiem urządził w Goraju

swoistą manifestację patriotyzmu, a zatrudnieni u niego robotnicy otrzymali nawet z tej okazji dzień urlopu. Osobiście doglądał wszystkich inwestycji, brał udział w żniwach czy najczęściej pieszo obchodził granicę majątku.

W tym czasie dochody Goraja opierały się przede wszystkim na sprzedaży zboża oraz hodowli oraz z wynajmu maszyn okolicznym gospodarzom. Klęska cesarskich Niemiec w pierwszej wojnie światowej, niepokoje społeczne i przejęte przez rząd Republiki Weimarskiej zobowiązania kontrybucyjne negatywnie wpłynęły na przemysł i rolnictwo w całym państwie. Jak większość majątków ucierpiał Goraj w latach światowego kryzysu ekonomicznego. Tylko dość rozważna polityka uchroniła majątek przed całkowitym bankructwem. Ostatnie dziesięć lat życia owdowiałego właściciela cechowały walka o przywrócenie częściowej choćby świetności dóbr i próba przystosowania się do nowych zmienionych realiów politycznych. Zmarł w 1933 roku w Szpitalu Diakonisek w Malborku. Przed pogrzebem na sztumskim cmentarzu ewangelickim, trumnę z ciałem przewieziono na symboliczne pożegnanie do dworku w Goraju.

W sporządzonej kilka dni przed śmiercią umowie majątek został przepisany na jedynego syna Hansa Bibera, który po ojcu przejął smykałkę do gospodarzenia i racjonalizacji. Zakupił nowe maszyny, znacznie zwiększyła się wydajność upraw co pozwoliło na spłatę części zadłużeń bankowych. Warto nadmienić, że po reformie administracyjnej w 1938 roku Goraj wszedł w skład gminy Koniecwałd, gdzie gospodarstwo posiadał inny z Biberów – Hans Fryderyk. W sierpniu 1939 r. właściciel Goraja został zmobilizowany do Wehrmachtu, a podczas wojny był kolejno przydzielany do jednostek stacjonujących w Normandii i Holandii. Od 1942 roku przebywał w oddziałach logistycznych w Gdyni i w Łławie. W tym czasie gospodarstwem zarządzał wiekowy już wtedy Gerhard Schwarz, a główną siłę roboczą stanowili polscy i rosyjscy robotnicy przymusowi. Wiadomo, że w czasie stacjonowania w Łławie właściciel przyjeżdżał na krótkie przepustki do odległego kilkadziesiąt kilometrów Goraja. Bezpośrednio przed wkroczeniem Armii Czerwonej żona i siostra właściciela wyjechały na Zachód. Po wojnie obszar byłego majątku Biberów w Goraju został przejęty przez Państwowe Nieruchomości Ziemskie.

Rodzina Schreiber

Charakteryzując dzieje rodziny Schreiber z Mikołajek Pomorskich warto zaznaczyć, że idealnie wpisują się one w rodowód tak zwanej ludności rodzimej, która trwała na tych ziemiach mimo zmieniających się warunków politycznych. Najwcześniejsze zapisy źródłowe dotyczące Schreiberów z Mikołajek pochodzą z 1677 roku. W zachowanym odpisie przywileju króla Jana III Sobieskiego dla sołectwa w Mikołajkach Pomorskich (Nikolayken) występuje sołtys Johann Gorz Kaminski, a wśród świadków Jakub Schreiber. W ze-

stawieniach z okresu prac komisji klasyfikacyjnej Rodena, Schreiberowie są wymienieni jako sołtysi w Dąbrówce i Pieszkowicach. Należy przypuszczać, że właśnie wzmiankowany Jakub dał początek linii Schreiberów z Mikołajek. Kilkadziesiąt lat później tj. po pruskiej regulacji hipotecznej w aktach gruntowych Mikołajek odnajdujemy bowiem jego wnuków Jana i Michała.

W odniesieniu do własności stanowiącej przedmiot wpisu w księdze wieczystej zapisano: położone tu dobra sołeckie i budynki gospodarcze obejmujące razem jedną włókę, osiem morg i 291 prętów (Ruthen) z pełnią praw w użytkowanie dla sołtysa w Mikołajkach. Jest to stan z 1773 roku, który nie uległ jednak żadnej zmianie od chwili wystawienia przywileju z 1677 roku. Sprawujący dziedziczną funkcję sołtysa Michał Schreiber dzięki małżeństwu z Salomeą z Żołędziowskich zyskał prawa do niewielkiej parceli na obrzeżach Mikołajek Pomorskich. Związek wolnego kmiecia z przedstawicielką warstwy szlacheckiej, nawet zdeklasowanej, dawało niewątpliwe korzyści pod względem pozycji społecznej. W 1784 r. Salomea, dziedzicząca dobra sołeckie wyszła za mąż po raz trzeci za Michała Kamińskiego. Mimo to w zachowanym testamencie z 1798 r. wszelkie prawa do własności nabył Michał Schreiber młodszy. Urodzony w 1783 r., z małżeństwa z córką niemieckiego kolonisty Marianna Moench z Łabunia doczekał czwórki dzieci. Właściciel, który zmarł w 1883 roku w Sztumskim Polu, jeszcze w latach sześćdziesiątych XIX wieku przepisał gospodarstwo najmłodszemu Dominikowi, człowiekowi wyjątkowo rzutkiemu i ambitnemu.

Poprzez korzystne transakcje z rodzinami Żukowskich, Ottler i Gitt powiększył o kilkanaście hektarów w znaczny sposób ojcowiznę. Dominik Schreiber był jednym z głównych inicjatorów budowy w Mikołajkach Pomorskich kościoła katolickiego. W latach 1876 - 1884 przewodniczył Zarządowi Kościoła w Krasnej Łące i był uważany za swojego przywódcę polskojęzycznych mieszkańców Mikołajek. Świadczą o tym zapisy sądowe, metrykalne czy notarialne, w których występuje on bardzo często jako świadek. O zdecydowanie polskim rodowodzie rodziny świadczy fakt, że w 1845 roku w jednym z dokumentów notarialnych Dominik Schreiber występuje jako: nie władający wcale językiem niemieckim. W maju 1879 roku właściciel był jednym z podpisujących umowę z przedstawicielem Zarządu Kolei Pruskiej w Gdańsku, która dotyczyła zbiorczej sprzedaży działek gruntowych w południowej części wsi. Wiadomo, że część z funduszy na budowę kościoła w Mikołajkach pochodziło właśnie z tej transakcji.

W kolejnym pokoleniu Schreiberów najważniejszą postacią był Franciszek Ksawery. Do gospodarki rolnej był przygotowywany pod czujnym okiem ojca. Epizodami młodości było roczne terminowanie w dobrach waplewskich u Sierakowskich i udział w wojnie z Francją w 1870 r., co odnotowano skrupulatnie w zachowanym rejestrze wyborczym do Landtagu. Według zestawienia katastralnego w 1897 r. Franciszek Ksawery był posia-

daczem 32 rozrzuconych działek o łącznej powierzchni przekraczającej 119 ha, co lokowało go wśród największych posiadaczy w Mikołajkach. W skład parceli wchodziły poza gruntami ornymi i pastwiskiem, żwirowisko, dom z ogrodem, baraki mieszkalne dla służby, trzy chlewnie i stodoła. Franciszek Ksawery doczekał aż ośmiu dzieci, przy czym dwoje z nich przyszło na świat w okolicach Gościeradza na Kujawach skąd pochodziła jego żona Antonina Pulczyńska. Na krótko przed wybuchem I wojny stary dziedzic dokonał testamentowego podziału majątku na osiem części. U schyłku życia wiekowy Schreiber zamieszkał u jednej z córek w Prabutach, skąd często zresztą przyjeżdżał doglądać swojego gospodarstwa. Do 1925 roku drogą spłaty właścicielami dóbr w Mikołajkach pozostali niezamężna Zofia i jej brat Józef Stanisław. Pozostałe dzieci Franciszka Ksawerego opuściły rodzinne strony, wyjeżdżając, m.in. do Kozielca, Klebarka, Olsztyna, czy jak w przypadku najstarszej z rodzeństwa Felicji do klasztoru w Gostolinie.

Polityczna zawierucha na początku lat dwudziestych pogłębiła kryzys gospodarczy na wsi niemieckiej, szczególnie w jej najsłabiej rozwiniętych gospodarczo wschodnich prowincjach. W drugiej połowie lat dwudziestych majątek stanowiący własność rodziny Schreiberów był już poważnie obciążony. Świadczy o tym liczna korespondencja w sprawach zastawu majątkowego, spłat kredytowych itp., m.in. spłaty egzekwowane przez Bank Zachodnio-Pruski czy towarzystwo Hellera ze Sztumu. Na rodzinie z czasem coraz mocniej zaczął ciążyć manifestowany od zawsze polski patriotyzm. Po dojściu nazistów do władzy w Niemczech nie zapomniano Schreiberom ich zaangażowania w propolskim Komitecie propagandowym w okresie Plebiscytu 1920 roku, jawnego wspieranie Sierakowskich, czy posyłania najmłodszych dzieci do polskiej szkoły powszechnej w Mikołajkach Pomorskich. Zadłużenie gospodarstwa, potęgowane galopującą inflacją stało się główną przyczyną sprzedaży w 1930 roku części majątku położonego po lewej stronie szosy do Dzierzgonia. Umowa kupna-sprzedaży z 1932 roku potwierdza fakt, że gospodarz z Młeczewa nabył od Zofii Schreiber trzyhektarową parcelę za sumę 1700 marek. W 1941 roku pozostałości po majątku zlicytował na swoją korzyść Otto Maślowski.

U schyłku drugiej wojny światowej na terenie powiatu sztumskiego znajdowało się 87 majątków i gospodarstw liczących powyżej 100 hektarów ziemi o łącznym areale przekraczającym 27 tysięcy hektarów. Największe z nich należały do Flottwellów, Rittbergów, Ortmannów, Findeisenów, czy właśnie rodziny Biber.

Wacław Bielecki

Organy kościoła św. Anny w Sztumie



Organy w kościele św. Anny w Sztumie, fot. W. Bielecki.

Do podjęcia niniejszego tematu skłoniły autora zdarzenia związane z odsłonięciem w dniu 9 maja 2010 roku w Sztumie pomnika Feliksa Nowowiejskiego, wybitnego kompozytora polskiego, twórcy „Roty” oraz przygotowaniem koncertu organowego w kościele św. Anny. Wtedy to pojawił się problem: kiedy powstały tutejsze organy? Na to proste pytanie nie potrafili dać pewnej odpowiedzi sztumscy historycy. Nie zachowały się też informacje na ten temat w kronikach kościelnych. Nie znaleziono także napisów na samych organach - kontuarze, prospekcie lub gdzieś na piszczałkach czy miechu. W tej sytuacji ksiądz dziekan Andrzej Starczewski doradził szukanie informacji w Archiwum Diecezjalnym w Elblągu. I tak się stało. Kwerenda przeprowadzona w 2010 i 2011 roku przez Danutę Thiel-Melerską zakończyła się sukcesem. Badaczka znalazła tam - oraz w Archiwum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie - wiele dokumentów dotyczących sztumskich organów i organistów.¹

¹ Składam serdeczne podziękowanie Pani Danucie Thiel-Melerskiej za przeprowadzenie kwerendy w archiwach oraz przetłumaczenie znalezionych tam dokumentów.

Kiedy powstały sztumskie organy?

Pierwsze wzmianki o sztumskich organach pochodzą z umowy z 1626 roku, którą podpisał ówczesny proboszcz Albert Węgierski z władzami miejskimi. Rok wcześniej w wielkim pożarze miasta spłonęły zabudowania kościelne i wszystkie dokumenty. W umowie tej miasto zobowiązało się dawać rocznie, m.in. 20 florenów na remont budynków parafialnych i kościoła oraz 24 florenów bezpośrednio wypłacać organiście.

W dokumentach z 1647 roku znajduje się zapis, że organy wymagają remontu. W 1683 roku ponownie spłonęło miasto i prawdopodobnie zabudowania kościelne. Kościół został wyremontowany lub odbudowany w 1687 roku. Był już wtedy murowany. Miał dobre okna, świątynia była wymalowana, zakrystia odnowiona, ale organy wymagały remontu. W 1700 roku zbudowano w kościele nowy chór na którym umieszczono 12-głosowe organy.

W spisie inwentarza z 1839 roku sporządzonym przy przekazywaniu parafii nowemu proboszczowi Piotrowi Preussowi znajduje się dom organisty, w którym mieści się wielka izba szkolna i pomieszczenie dla ... grabarza. Dom stał na kamiennej podmurówce i był pokryty dachówkami. Jego stan oceniono jako dobry. Wyjaśnić tu trzeba, że w owych czasach organiści pełnili równocześnie funkcję nauczycieli, stąd w organistówce znajduje się izba szkolna.²

W roku 1847 organy zostały poddane naprawie. Remontu instrumentu dokonał mistrz budowy organów August Kamintzki (może Kamiński). Za wykonaną pracę zażądał dwóch talarów. W 1854 roku przy przekazywaniu parafii proboszczowi Piotrowi Gaeblerowi ponownie dokonano inwentaryzacji kościoła. Stwierdzono, że w domu organisty mieściła się szkoła i mieszkanie nauczyciela, czyli organisty. Stan budynku oceniono jako dobry. Miasto zobowiązało się do wykonania remontów.

W 1871 roku proboszcz Piotr Gaebler postanowił wyremontować organy, przypuszczalnie te pochodzące z 1700 roku. O opinię o stanie instrumentu zwrócił się do mistrza organowego Jana Rohna (syna) z Orenty. Ten w dniu 19 września 1871 roku stwierdza, że instrument posiada jeden manual (11 głosów) i pedał (5 głosów). Najciekawsza jest ocena ich stanu technicznego. Rohn pisze, iż organy posiadają w czasie gry „cienki, chybotliwy ton” i są niewystarczające do akompaniowania do śpiewu. „Przyczyną tej złej intonacji są piszczałki, złe ułożenie wiatrownicy, bardzo złej jakości klawiatura i zepsuta okładzina klawiszy”. W związku z tym specjalista z Ornety dochodzi do wniosku, że w wyniku złej konstrukcji większości piszczałek „naprawa organów nie opłacałaby się” - i zaleca - „w razie budowy nowych organów wykorzystanie niektórych części starego mechanizmu” (tj. czterech z szesnastu głosów). Dzięki temu koszt budowy nowych organów obniżą się o 130 talarów. Natomiast obudowa, obudowa miechów i miechy, urządzenia

² Jan Wiśniewski, Pomezania. Z dziejów kościelnych. Elbląg, 1996, s. 279.

sterujące, nie nadają się więcej do użytku. W zakończeniu swojej ekspertyzy organmistrz z Ornety nadmienia, że w razie budowy nowych organów „pozwoli sobie przedłożyć ofertę cenową”.

Jak wiemy, nie dane mu było zająć się budową nowych organów w kościele św. Anny w Sztumie. Zbudował je dopiero trzydzieści lat później Eduard Wittek z Elbląga. Było to połączone z generalną przebudową kościoła, który w 1899 roku był na tyle zniszczony, że został w większości rozebrany i przebudowany w 1901 roku. Z kościelnych wydatków warto wspomnieć sumę 1500 marek, jakie wydano w latach 1888 – 1889 na ubezpieczenie organów.

W październiku 1899 roku podnoszono problem finansowania budowy nowych organów przez Urząd Finansowy. W grudniu tego roku proboszcz Karol Staliński stwierdził, że organy są bardzo stare i trzeba jak najprędzej zlecić wykonanie nowych. W porozumieniu z Urzędem Finansowym i biskupem zdecydowano o budowie nowych organów.

Z dokumentu pisanego w języku niemieckim i datowanego na 11 listopada 1900 roku dowiadujemy się, że Rada Parafialna przy katolickim kościele św. Anny w Sztumie otrzymała od Królewskiego Powiatowego Urzędu w Kwidzynie, polecenie wypłaty 3000 marek dla zakładu „A. Terletzki Inh. Ed. Wittek” z Elbląga, który podjął się wykonania budowy organów na podstawie umowy zawartej w dniu 9/10 maja 1900 roku. Stanowiło to 3/4 kwoty, pozostałą część, zgodnie z ówczesnymi przepisami, dokładała Rada Parafialna Sztumu.

Czy 4000 marek niemieckich jaką wydano na organy to duża kwota? Trudno jest znaleźć odniesienia do czasów obecnych. Jakąś orientację może dać informacja dotycząca organów zbudowanych przez firmę „A. Terletzki Inh. Ed. Wittek” w tym samym czasie we wsi Tuchomie koło Bytowa. Wiadomo, że sprowadzane tam wówczas z niemieckiego Würrzburga wino mszalne kosztowało 1 markę za butelkę. Czyli za sztumskie organy można było wówczas kupić za cztery tysiące butelek wytrawnego wina mszalnego.³

W innym piśmie z dnia 28 listopada 1900 roku adresowanym do ówczesnego proboszcza kościoła św. Anny w Sztumie księdza Karola Stalińskiego, właściciel zakładu – Eduard Wittek zaświadcza, że odebrał przesyłkę i przesyła pokwitowanie. Na końcu tego zaświadczenia znajduje się ważna informacja dotycząca daty powstania organów. Organmistrz z Elbląga pisze tak: „Nic nie stoi na przeszkodzie i organy mogą być wstawione, jeżeli otrzymam wiadomość, że kościół jest gotowy”.

Wiadomo, że w tym czasie kościół św. Anny w Sztumie przechodził poważną przebudowę. Organy więc, choć gotowe, nie mogły być wstawione. Nastąpiło to w następnym - 1901 roku. Z dokumentacji archiwalnej wyini-

³ Janusz Juchniewicz, Z historii tuchomskich organów i organistów. http://portal.szkola.tuchomie.pl/download/historia_tuchomskich_organ%fc3w.doc

ka, że odbiór organów miał nastąpić podczas mszy w dniu świętego Józefa, czyli 19 marca 1901 roku. Jednakże w kościele nie było jeszcze ołtarzy, a decyzja w ich sprawie zapadła dopiero pod koniec marca. Kiedy otwarto nowo wybudowany kościół i kiedy odbyła się pierwsza msza? – Dokładnie nie wiadomo. Należy przyjąć, że sztumskie organy zaczęły grać w 1901 roku. Obecnie mamy więc „okrągłą” rocznicę – 110 lat istnienia tego zabytkowego już instrumentu.

W czasie I wojny światowej w maju 1917 roku ówczesny starosta sztumski dr Walter Gottfried Awers wydał polecenie zarekwirowania na rzecz Wojskowego Urzędu Finansowego cynowych piszczałek z prospektu organowego i jednocześnie polecił wykonanie piszczałek zastępczych. Nakazał też odesłanie oryginałów piszczałek do miejsca zbiórki metalu najpóźniej do 15 lipca 1917 roku. Polecenie starosty zostało wykonane, bo w czerwcu tego samego roku Eduard Wittek, organmistrz z Elbląga wystawił rachunek na sumę 25 marek za przygotowanie, zmierzenie, wyjęcie i zaślepienie piszczałek. Pięć lat później w 1922 roku, a więc już po I wojnie światowej, Wittek przypomniał o odbudowie piszczałek i zaznaczył, że z powodu galopującej inflacji mogą być one wykonane nie za 11 500, a za 20 000 marek. Wspomniał też, że cena może się zmienić, a zlecenie jest w stanie wykonać do końca roku. Czy praca ta została wykonana? Nie można tego stwierdzić na podstawie posiadanych dokumentów.

Kto zbudował organy, czyli o firmie organmistrzowskiej „A. Terletzki Inh. E. Wittek” z Elbląga

O firmie „A. Terletzki Inh. E. Wittek” z Elbląga wiemy sporo dzięki badaniom profesora Wiktora Z. Łyjaka z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.⁴ Profesor jest znanym, koncertującym organistą i kierownikiem Zakładu Historii, Teorii i Edukacji Muzycznej wspomnianego uniwersytetu oraz badaczem zajmującym się historią organów.

Firma została założona przez Augusta Terletzkiego 22 maja 1857 roku. Jej siedzibą był okazały budynek – refektarz byłego zakonu dominikanów na elbląskiej starówce przy ulicy Wilhelmstrase 56 (obecnie ul. Studzienna). Budynek ten został całkowicie zniszczony podczas II wojny światowej. Obecnie w tym miejscu powstaje kompleks budynków zupełnie nie przypominający wielkiej, gotyckiej budowli.

⁴ Wiktor Z. Łyjak: Katalog reklamowy firmy organmistrzowskiej „August Terletzki” z Elbląga (1857 -1908). „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” Olsztyn, 1999, nr 1. Dostęp do tego artykułu uzyskałem dzięki uprzejmości historyka Andrzeja Lubińskiego. Stało się to już po przeprowadzeniu kwerendy przez panią Danutę Thiel-Melerską. I całe szczęście, bo wtedy nie byłoby problemu, gdyż w katalogu pod pozycją 318/145 są wymienione organy w kościele katolickim w Sztumie i ich rok powstania - 1900.

W latach 1857 – 1871, czyli przez czternaście lat, firmę prowadzili dwaj bracia August i Max Terletzki, stąd jej nazwa brzmiała w „Gebrüder Terletzki” (Gebrüder niem. = bracia). Potem, chyba na skutek rodzinnego konfliktu bracia się rozstali. Max przeprowadził się do Królewca, gdzie założył konkurencyjną firmę budującą organy. Natomiast August pozostał w Elblągu. W 1893 roku wydarzyła się tragedia. Zmarł jedyny syn Augusta, planowany na następcę szefa. Wtedy firmę przejął jego uczeń i długoletni współpracownik Eduard Wittek, ewangelik, pochodzący z Grudziądza. Po śmierci Augusta w 1901 roku E. Wittek prowadził firmę pod nazwą „A. Terletzki Inh. Ed. Wittek Elbing” (w języku niemieckim skrót Inh. od Inhaber znaczy właściciel). Tabliczka z tą nazwą zachowała się na sztumskich organach.

Firma „A. Terletzki Inh. Ed. Wittek” była największym zakładem budowy organów w ówczesnych Prusach Wschodnich i Zachodnich. Budowała i remontowała organy w wielu miejscowościach. W roku 1925 obchodzono uroczystość zbudowania 500 instrumentów. Wiele z nich znajdowało się w kościołach na Dolnym Powiślu i Żuławach, nie mówiąc już o Elblągu i okolicach.

W obecnym powiecie sztumskim najwcześniej, bo w 1874 roku powstały organy w ewangelickim kościele mieszczącym się na Placu Wolności w Sztumie. Organy te są zdewastowane. Do czasów obecnych zachowała się drewniana obudowa organów z ładną snycerką oraz kontuar i niewielka ilość wymontowanych piszczałek. Kolejne organy zostały postawione w Kalwie (1885), Pietrzwałdzie (także w 1885), Żuławce Sztumskiej (1887), Ryjewie kościół ewangelicki (1889), Sztumie kościół katolicki (1901), Starym Targu (1908).

Na terenie obecnego powiatu kwidzyńskiego organy wybudowano w Janowie (1864), Prabutach (1878), Rodowie (1887), Ryjewie kościół ewangelicki (1899), Kwidzynie w Seminarium Nauczycielskim (1906).



Gotycki budynek zakładu budowy organów.



Papier firmowy z logo firmy z 1908 r.

W obecnym powiecie malborskim: Nowy Staw kościół katolicki – przebudowa organów (1872), Malbork (1879), Stare Pole (1882), Świerki (1885), Nowy Staw kościół ewangelicki (1888), Malbork seminarium (1893), Malbork kościół Mennonitów (1907), Kaczynos (1907), Lisewo (1904),

W obecnym powiecie nowodworskim: Ostaszewo (1883), Lubiszewo (1893), Kmiecin (1895), Nowy Dwór Gdański (1896), Cyganku (remont po 1908).

Jak zbudowane są sztumskie organy, czyli historia sprzed 110 lat

Organy w kościele św. Anny w Sztumie są instrumentem niedużej wielkości.⁵ Mają 17 głosów rozdzielonych pomiędzy dwie klawiatury ręczne, czyli manual – 8 + 5 registrów i klawiaturę nożną – pedał – 4 registry. Można powiedzieć, że firma „Terletzki Inh. Wittek” wyspecjalizowała się w budowie takich organów dla małych, wiejskich kościołów oraz świątyni w małych miastach. Chociaż w historii tego zakładu są przykłady budowy dużych instrumentów, choćby 40-głosowe organy dla gdańskiej synagogi (1887), 50-głosowe dla gdańskiego kościoła św. Katarzyny (1908), czy największe w historii firmy 59-głosowe organy dla kościoła mariackiego w Gdańsku (1890), niestety, zupełnie zniszczone w czasie wojny.

Sztumskie organy mają tzw. trakturę pneumatyczno-rurkową, co oznacza - bardzo upraszczając zawiłości techniczne - że klawisze połączone są z piszczałkami rurkami ołowianymi o średnicy 8 milimetrów. Powietrze przechodzące tymi rurkami przez różne zawory, mieszki i wiatrownice wyzwala dźwięk w piszczałkach. Traktura pneumatyczna została wprowadzona do budowy organów w XIX wieku. Wcześniej stosowano prostszą trakturę mechaniczną, a później elektryczną i elektro-pneumatyczną.

Piszczałki sztumskich organów są jednego rodzaju, są to tzw. piszczałki wargowe, czyli takie jak we flecie prostym. Nie ma tutaj, jak w innych organach, żadnej piszczałki języczkowej, czyli podobnych w działaniu, jak znajdujących się w harmonijce ustnej. Powoduje to, że głosy są bardzo jednorodne, mało urozmaicone i nieco podobne do siebie.

Przy ustaleniu nazw poszczególnych głosów organowych (rejestrów) napotkano na poważne trudności, bo niektóre napisy na przełącznikach znajdujących się nad klawiaturą, były nieczytelne lub całkowicie zatarte. Tak było w sześciu (na 17) przypadkach. Na całe szczęście w dokumentach archiwalnych znalazły się dokładne opisy rejestrów. Wymienia je gdański organmistrz Otto Wróblewski w „Sprawozdaniu o obecnym stanie organów

⁵ Dla porównania, słynne organy z Katedry w Oliwie mają 96 głosów, 5 manuali i pedał. Natomiast największe organy na Powiślu w konkatedrze w Kwidzynie mają obecnie czynnych 29 głosów, 2 manuali i pedał (trzeci manual z 11 głosami oraz 8 głosów w pedale są nieczynne i czekają na remont). Od 2007 roku większe organy, bo mające 25 głosów (dwóch głosów jeszcze nie uruchomiono), 2 manuali i pedał, zostały postawione przez Norberta Itricha w kościele św. Królowej Jadwigi Czerninie w dekanacie sztumskim. Jest to używany instrument sprowadzony z Niemiec przez proboszcza księdza Zbigniewa Bieleckiego.

w katolickim kościele w Sztumie” z dnia 7 maja 1921 roku. Ekspertyza została przeprowadzona na polecenie dziekana sztumskiego, księdza Leona Neumanna. Oto pełny opis rejestrów (głosów) organów, czyli ich tzw. dyspozycja, obejmującą: 2 manualy w skali od C do f₃ oraz pedał – skala C – d₁.

Manual I

1. Gedackt 8'
2. Gamba 8'
3. Principal 8'
4. Bourdun 16'
5. Rohrflöte 4' *
6. Octave 4'
7. Rausch quinte 2 2/3
8. Mixtur 3-4 fach

Manual II

1. Vox coelestis 8'
2. Flaut travers 4'
3. Geigen principal 8'
4. Hohlflöte 8'
5. Salicional 8' *

Pedał

1. Principalbass 16' *
2. Subbass 16' *
3. Octavbass 8' *
4. Cello 8' *

Połączenia: II / P, I / P, II / I.

Registry zbiorowe: **O**(wyłącznik), **P**(iano), **F**(orte), **T**(utti).

**Opis głosów jest zatarty lub nieczytelny.*

Nazwy głosów na sztumskich organach są napisane zgodnie z wieloletnią tradycją, po niemiecku. Bardzo podobne głosy, razem 16, były w organach postawionych w latach dwudziestych XX wieku w obecnym kościele św. Wojciecha w Elblągu.

Otto Wróblewski pisze w swoim sprawozdaniu, że po dwudziestu latach od chwili postawienia organów „muszą być możliwie one jak najszybciej oczyszczone, bo są bardzo zakurzone”. I dalej - ”Przed wszystkim miechy są bardzo zabrudzone wapnem i piaskiem.” Te obce ciała przeszkadzają w sprawnym działaniu mechanizmów, „co wywołuje efekt wycia”. Poza tym, na kontuarze brakuje przycisku od przełączników od rejestru Rohrflöte i Mezzoforte.

Współcześnie, przed majowym koncertem z okazji 90 rocznicy plebiscytu i koncertu Feliksa Nowowiejskiego w Sztumie trzeba było całkowicie wyremontować miechy. Dokonał tego organista z kościoła św. Królowej Jadwigi w Czerninie Roman Itrich.

Organy sztumskie są instrumentem typu niemieckiego. Ich dźwięk odznacza się piękną, choć dość delikatną barwą. Poszczególne głosy mają podobną barwę, zróżnicowaną jedynie pod względem intensywności i dy-



Remont miecha w 2010 r. Na zdjęciu
Roman Itrich, fot. W. Bielecki.

Anny w lipcu 2010. Wtedy na sztumskich organach zagrał organista z katedry w Santander w Hiszpanii, Norbert Itrich,⁷ młodszy brat Romana. Obaj pochodzą ze Straszewa w powiecie kwidzyńskim i w tej miejscowości w 2010 roku gruntownie wyremontowali 6-głosowe organy zbudowane w 1902 roku przez firmę Bruna Goebela z Królewca, następcy Maxa Terletzkiego. Organy te potrzebują jeszcze remontu pedału oraz szaf mieszczących piszczałki.

Sztumskie organy wymagają dalszych nakładów na strojenie i bieżące utrzymanie. Dobrze byłoby też kontynuować tradycję koncertów z okazji plebiscytu (9 maja) oraz odpustu patronki kościoła św. Anny (26 lipca). Chętnych do słuchania takiej muzyki na pewno nie zabraknie, o czym można było przekonać się na wspomnianych koncertach. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby koncerty w Sztumie można byłoby włączyć do „Powiślańskich Wieczorów Organowo-Kameralnych”⁸ organizowanych od 2010 roku w Konkatedrze pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie.

Organy w kościele pod wezwaniem św. Anny w Sztumie liczą sobie już 110 lat i na pewno są instrumentem zabytkowym. Należy je więc chronić przed jakimiś większymi przeróbkami, bo już niewiele jest organów pneumatycznych. Znawca przedmiotu Jan Janca twierdzi, że w Niemczech takie organy należą do rzadkości.⁹

⁶ Jerzy Kukła, Projektowanie dyspozycji organów z uwzględnieniem wymogów dzieł muzyki organowej. „Organy i Muzyka Organowa” IX, Prace Specjalne 52, Akademia Muzyczna w Gdańsku, Gdańsk 1994, s.158.

⁷ Leszek Sarnowski, Organista z Santander. „Prowincja” 2010, nr 2, s. 147 - 151.

⁸ Powiślańskie Wieczory Organowo-Kameralne, <http://www.ckj.edu.pl/festiwal/index.html> Organizatorem tego festiwalu jest Powiślańskie Towarzystwo Urthona oraz Kwidzyńskie Centrum Kultury i parafia. Duchem sprawczym całej imprezy jest pochodzący z Kwidzyna organista Piotr Michna, absolwent szkoły Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Kwidzynie oraz Akademii Muzycznej w Gdańsku z klasy profesora Romana Peruckiego. W okresie od końca czerwca do września 2010 roku w niedzielne popołudnia odbyło się tam siedem koncertów.

⁹ Jan Janca, O działalności organmistrzowskiej rodziny Goebelów w setną rocznicę założenia firmy. Wykazy instrumentów z lat 1894 - 1944 i 1923 - 1944. „Organy i Muzyka Organowa” IX, Prace Specjalne 52, Akademia Muzyczna w Gdańsku, Gdańsk 1994, s. 251.

Danuta Thiel-Melerska

Służyli Panu Bogu Organiści kościoła św. Anny w Sztumie

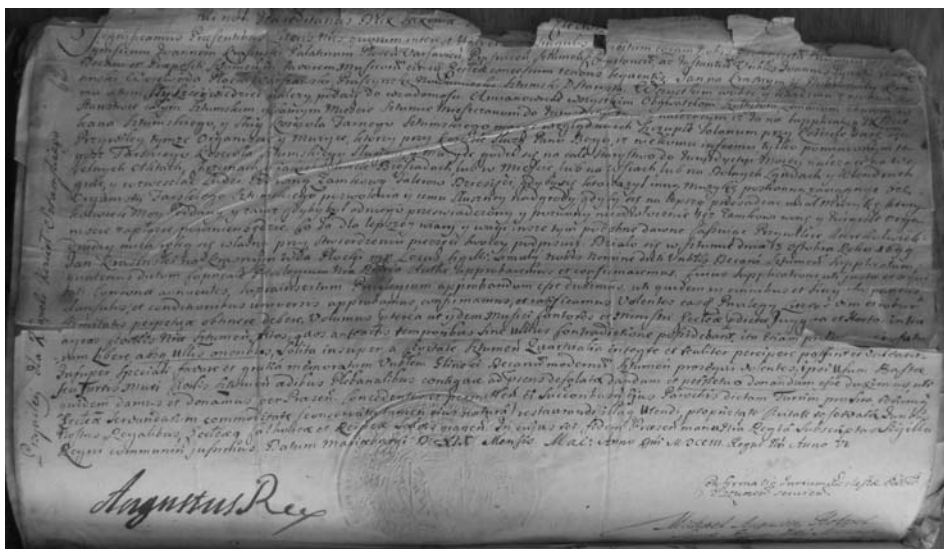
Napisanie artykułu o organistach kościoła św. Anny w Sztumie nie było zbyt łatwe z powodu braku literatury i opracowań naukowych dotyczących tego tematu. Wyławiałam mozolnie nazwiska z wielu dokumentów w archiwach Elbląga, Olsztyna, przeprowadziłam wywiady z żyjącymi organistami. Napotkałam wiele osób, które mi chętnie pomagały i prowadziły dalej w moich poszukiwaniach i dociekaniach. Tą drogą dziękuję wszystkim serdecznie, za czas nam poświęcony i wspomaganie mnie w tej wędrówce.

Nie wszystkich organistów udało się odszukać. Możemy być pewni, że w 1626 roku kościół w Sztumie miał już organy i zatrudniał organistę a zarazem nauczyciela. Najwcześniejszym znanym nam z nazwiska organistą, występującym w dokumencie z 1699 roku, jest Michał Ludwikowski. Należał do Arcybractwa Różańca Świętego. Jest on wymieniony jako świadek w skardze złożonej przez proboszcza sztumskiego Jana Glińskiego (1697 - 1706) przeciwko burmistrzowi Piotrowi Mogge. Proboszcz ten w innym piśmie z 1699 roku przytacza wcześniejszego starostę Guldensterna, za którego kadencji organy sztumskie były dwa razy naprawiane i to na koszt urzędu.

Przypuszczalnie Ludwikowskiemu i kolejnym organistom kościoła sztumskiego król Polski August II, zwany Mocnym, nadał i potwierdził następujący przywilej:

„Zawiadamiamy wszystkich obywateli sztumskich, sołtysów, gburów w całym starostwie i samym mieście, dziekana sztumskiego i sługi Kościoła Farnego w Sztumie, iż z powodu ich skromnych zarobków, nadaję ten przywilej tymże organistom i muzykom, którzy przy kościele służą Panu Bogu. Nikomu innemu, tylko tym wymienionym godzi się w całym starostwie na weselach, chrzcinach i jakichkolwiek biesiadach w mieście i na wsiach lub Dolnych Landach i u Holendrów grać i rozweselać ludzi. Pod karą więzienia dziesięciu talarów, gdyby się ktoś odważył bez pozwolenia organisty kościoła sztumskiego zagrać, ma natychmiast zapłacić organiście odszkodowanie.

Działo się to w Sztumie 13 października 1699 roku. Potwierdzam to własną ręką Jan Krasiński, Starosta sztumsk.i“ U dołu dokumentu widnieje podpis: Malbork 19 maja 1700, Augustus Rex.



Przywilej króla Augusta II Mocnego z 1699 roku, nadający organistom sztumskim wyłączne prawo muzykowania w mieście i starostwie.

Następnym organistą którego znamy z nazwiska był Maciej Michalski, zapisany w sztumskich księgach metrykalnych w 1739 roku, zmarły dnia 23 maja 1753 roku w Sztumie. Po nim stanowisko to objął Błażej Strawiński w latach 1743, 1746 wymieniany jako organista kościoła św. Anny w Sztumie.

Kolejnym muzykiem był Józef Bakeiser, wzmiankowany w dokumentach jako organista w 1772 roku. Pracował w Sztumie przez trzy lata. Proboszcz przydzielił mu dwupokojowe mieszkanie i pensję organisty, a władze miejskie pensję nauczycielską w wysokości 24 florenów. Jednakże od 1772 roku, w którym Sztum znalazł się w granicach Prus, odmówiono organście wypłacania wynagrodzenia.

Organista Jan Klingenberg, (pisany często jako Klinieberg) był wspominany od 1788 do 1803 jako świadek ślubów i chrztów. W 1793 roku był świadkiem na ślubie Jakuba Baniszewicza i Anny Gutowskiej. W 1789 i 1795 roku rodzi mu się w Sztumie córka Marianna i syn Piotr z żony Marianny Bergmann. Wpisu ślubu nie odnaleźliśmy jednak w sztumskich księgach metrykalnych. W latach 1800 -1803 był jeszcze wzmiankowany jako świadek chrztu, bez podania funkcji. Prawdopodobnie Klingenberg nie mógł, z nieznanых nam powodów, uczestniczyć we mszach, bo niejednokrotnie w latach 1789, 1791 nadmieniani są inni organisci sztumscy.

Jan Klewieński zaistniał w dokumentach jako organista sztumski w 1789 roku będąc świadkiem ślubu Antoniego Reyner i Marianny Waldowszczonek. Natomiast Tomasz Majewski, od czerwca 1789 do sierpnia 1791 roku, wymieniany był czasem jako organista, ale najczęściej jako zakrystianin sztum-

ski. W czerwcu 1789 roku rodzi mu się dziecko płci męskiej Jan Antoni z małżonki Marianny Masłowskiej. Natomiast we wrześniu 1791 roku jest już wspomniany jako zakrystianin w Białej Górze.

Jakub Warzyński, został zatrudniony w 1804 roku jako nauczyciel sztumski. Wiadomo jednak, że aż do 1867 roku nauczyciele pełnili jednocześnie obowiązki organisty.

Franciszek Orłowski był organistą w Sztumie w latach 1806 – 1813. Wiąże się z nim ciekawa historia. Otóż dnia 15 sierpnia 1806 roku proboszcz Jan Józef Mańkowski wysłał pismo do kancelarii króla Prus w sprawie zatwierdzenia na stanowisku organisty i nauczyciela Franciszka Orłowskiego. Uzasadniał tę prośbę tym, że Orłowski jako nauczyciel „... ma jedynie wykształcenie wystarczające do nauki dzieci na wsi, ale w mieście Sztumie mieszkańcami są sami chłopci i rzemieślnicy, którzy zabierają swoje dzieci ze szkoły, jeżeli te tylko trochę czytać i pisać umieją. Z takimi dziećmi nauczyciel i organista Orłowski da sobie dobrze radę i posiada wystarczające wykształcenie”.

Orłowski wcześniej pracował jako prywatny nauczyciel we wsi Wielki Łęck. Proboszcz kościoła wspomina o tym w cytowanym piśmie „...Orłowski jest stosunkowo młody i będzie miał przy mnie możliwość przygotowania się dobrze do zawodu nauczyciela. Proszę o potwierdzenie wyboru, ponieważ kościół w Sztumie potrzebuje organisty i zakrystianina, a Orłowski pozostanie tu tylko pod tym warunkiem, że będzie pewny tej posady”.

We wrześniu 1806 roku pisze następne pismo, powołując się na prawa wydane przez króla polskiego Augusta II z 1703 roku i prosi o pozostawienie chociaż do końca roku dzierżawy ziemi dla organisty. Uzasadnia to tym, że organista ma jedynie 16 talarów wynagrodzenia. Z kancelarii króla Prus Fryderyka Wilhelma otrzymuje jednak odpowiedź odmowną. Zatem ponownie zwraca się do króla i powtórnie otrzymuje negatywną odpowiedź.

W 1808 roku za swoją pracę Franciszek Orłowski otrzymał wynagrodzenie w wysokości 8 talarów i 6 sgr (srebrnych groszy), wolne mieszkanie, ale żadnego drewna, dwie morgi ziemi do własnej uprawy. Ziemię tę przydzielono mu w zamian za pracę organisty i zakrystianina. Natomiast jako nauczyciel nie otrzymywał żadnej pensji. Dwa lata później w aktach diecezji sztumskiej z 1810 roku czytamy, że nauczyciel i organista Orłowski otrzymuje 69 talarów, 15 sgr wynagrodzenia. Część pieniędzy mają mu wypłacać rodzice dzieci uczęszczających do szkoły. Wiemy też, że organista pod koniec stycznia 1811 roku przez 6 tygodni był chory na tyfus. Na pewno w tym czasie nie mógł wykonywać swoich obowiązków. W 1811 i 1812 roku proboszcz Mańkowski, powołując się na dokument z 1626 roku, przypomina władzom miasta Sztumu jakie obowiązki płatnicze mają w stosunku do nauczyciela i organisty. Jednakże miasto mimo monitów proboszcza nie wywiązywało się ze swoich powinności. Żoną Orłowskiego była Anna Szlagowska. W 1810 roku Orłowski jest także wymieniony w parafii w Lichnowach. W 1817 roku zna-

laż zatrudnienie jako organista i nauczyciel w Sztumskiej Wsi. Jak pisze proboszcz sztumski Józef Namszanski, odszedł nagle ze Sztumskiej Wsi w maju 1825 roku z powodu nie wypłacania mu pensji.

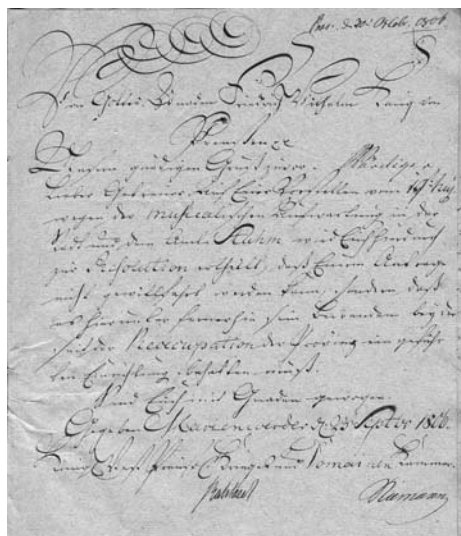
Kolejnym organistą zatrudnionym w Sztumie był Michał Czapiewski, urodzony około 1785 roku, zmarł 28 stycznia 1833 roku w Sztumie. Dwa razy wstąpił w związek małżeński. W 1833 roku pozostawił córkę z pierwszego małżeństwa i ośmioro innych dzieci, z Katarzyną z domu Schiller. W 1813 roku został wybrany organistą i nauczycielem. Oprócz tego opiekował się archiwum, biblioteką i prowadził księgi metrykalne. Sprawował tę funkcję do chwili swo-

jej śmierci. Początkowa pensja roczna wynosiła 7 talarów i 60 sgr. W 1815 roku otrzymał jako organista wynagrodzenie w wysokości 16 talarów i 30 sgr, a w 1820 26 talarów i 30 sgr. W 1833 roku połowę pensji 8 talarów i 5 sgr otrzymała wdowa po organiście Katarzyna.

Michał Wawrowski został zatrudniony jako nauczyciel i organista w kościele św. Anny od 28 lutego 1833 roku. Urodził się w 1811 roku, wykształcenie nauczycielskie zdobył w Grudziądzu. 20 maja 1829 roku otrzymał świadectwo kwalifikacyjne. Do Sztumu przyszedł z Dąbrówki Malborskiej, gdzie był nauczycielem. Otrzymywał wynagrodzenie, mieszkanie, opał. Łącznie wypłacano mu 75 talarów. W szkole nauczał 96 dzieci. Do jego obowiązków należało prowadzenie ksiąg metrykalnych. Miał też pod opieką archiwum i bibliotekę, która niestety liczyła sobie tylko parę tomów.

W 1841 roku msze święte były odprawiane po polsku, a jeden raz w miesiącu po niemiecku. Można przyjąć twierdzenie, że jego znajomość polskiego była bardzo dobra. W czasie wizytacji kościelnej w 1842 roku stwierdzono, że ze swoich obowiązków wywiązywał się znakomicie. W 1846 roku, w czasie następnej wizytacji napisano, że organy sztumskie są w dobrym stanie. Wawrowski pełnił także obowiązki organisty i nauczyciela w filialnym kościele w Sztumskiej Wsi. Dopiero około 1849 roku obowiązki w tej miejscowości przejął Wincenty Kowalski.

Michał Wawrowski pracował w Sztumie jako organista 24 lata. W marcu 1858 roku napisano na niego donos. Chodziło o to, że do obowiązków Wawrowskiego należała także praca jako zakrystianina. Doniesiono, że wyręczał



Dokument króla Prus Fryderyka Wilhelma z 1806 roku w sprawie organisty sztumskiego Franciszka Orłowskiego.

się swoim 15-letnim synem, który nie gasił światła w kościele, a bawił się rzucaniem kul śniegowych i że w szkole nauczanie kuleje. Dziekan Piotr Gaebler, który musiał ustosunkować się do tych i innych zarzutów uważał, że ktoś intryguje przeciwko nauczycielowi. On sam kontrolował często szkołę i wszystko odbywało się w najlepszym porządku. Jako dowód przytacza to, że szkoła była kontrolowana przez radcę szkolnego Wittiga i Wawrowski otrzymał wtedy 10 marek nagrody, a stan szkoły uznano za wystarczający. Na zarzut, że całe wieczory spędza w rodzinie organisty odpowiedział, że podczas częstych wizyt u Wawrowskiego - graliśmy w szachy lub rozmawialiśmy na tematy szkolne.

W 1858 roku szkoła liczyła już dwustu uczniów. W 1861 roku Wawrowski zamierzał zająć się jedynie pracą nauczycielską, pozostawiając pracę organisty, co jego przełożonym wydawało się bardzo niezrozumiałe i dali w piśmie wyraz swojemu oburzeniu. W 1862 roku znajdujemy następne pismo Wawrowskiego, w którym prosi o danie mu do użytku stodoły, aby mógł tam przechowywać swoje płody rolne. W 1863 roku przyszła negatywna odpowiedź aż z Gabinetu Ministra Szkolnictwa w Berlinie.

Michał Wawrowski zmarł 7 kwietnia 1867 roku. W tym samym roku, tuż po jego śmierci został powołany Komitet, do którego należeli Teodor Korzeniewski –przewodniczący oraz panowie Laskowski, Loethold, Bischoff, Thiel, Majewski. Komitet ten miał za zadanie zająć się i wspomagać wdowę i jej niepełnoletniego i niesprawnego syna. Mieli oni corocznie zbierać pieniądze na ich utrzymanie. Komitet ten przypominał, że proboszcz Gaebler jeszcze 9 stycznia 1862 roku ustanowił wysokość pensji organisty na 133 talarzy i 15 sgr. Wcześniej wynosiła ona, łącznie z wynagrodzeniem nauczyciela 296 talarów i 20 sgr.

13 kwietnia 1867 roku, natychmiast po śmierci ojca, do Rady Parafialnej w Sztumie wpływa pismo drugiego syna Wawrowskiego - Franciszka, z prośbą o objęcie stanowiska organisty w Sztumie. Dnia 6 maja 1867 roku Rada Parafialna w Sztumie otrzymała z Fromborka z kancelarii biskupa pismo, aby nie popierano wyboru organisty i nauczyciela muzyki Franciszka Wawrowskiego z Chocińskiego Młyna, bowiem został on wcześniej skazany przez sąd na jeden rok utraty praw obywatelskich i więzienie. Jednocześnie wspominają w tym piśmie, że Franciszek Wawrowski ledwie potrafi grać na organach.

W 1867 podzielono ziemię na: nauczycielską i organistowską. Podział ten nastąpił z powodu procesu jaki prowadzili spadkobiercy po organiście Wawrowskim. Odszkodowanie majątkowe przyznano z 6 morgów i 43 arów ziemi.

W listopadzie 1867 roku ukazało się ogłoszenie w lokalnej gazecie o wolnym miejscu pracy dla organisty w katolickim kościele św. Anny w Sztumie. Proponowano wynagrodzenie w wysokości 230 talarów. Położono też duży

nacisk na dobrą znajomość języka polskiego. Z 11 kandydatów, którzy starali się o to miejsce, Rada Parafialna wybrała czterech organistów. Byli to: Adolf Rogier - nauczyciel ze Świecia, Franciszek Lubowiecki ze Straszewa, Ryszard Borzucki z Michałowa na Śląsku, Wincenty Kowalski - nauczyciel ze Sztumu. Jako, że nie było jedności w wyborze kandydata na organistę - tymczasowo powierzono to stanowisko Gottliebowi Boldt - nauczycielowi z Bągartu. W sierpniu 1867 roku podpisano z nim umowę, że od września przejmie obowiązki organisty w Sztumie, za co otrzyma od Rady Parafialnej 4 talary, wypłacane zawsze pod koniec miesiąca oraz wyżywienie i mieszkanie w organistówce. Boldt pracował w Sztumie od 1.09.1867 do 1.01.1868, tzn. do czasu znalezienia nowego organisty. Od wdowy po Wawrowskim żądał zapłaty za wykonaną pracę. Ta mimo, że była zobowiązana wystać mu 16 talarów, nie dotrzymywała słowa. Musiał więc pisać skargę na nią do władz nadrzędnych.

Zatrudnienie Boldta było rozwiązaniem tymczasowym. W dalszym ciągu intensywnie szukano nowego organisty. I wtedy w sierpniu 1867 roku do parafii wpłynęło pismo od Antoniego Lemke z Tolkmicka, który tłumaczy się z powodu nieterminowego przesłania swojej prośby o pracę organisty i nauczyciela w Sztumie, tym że na Warmię nie dochodzą tutejsze gazety. Propozycja z Tolkmicka była poważnie rozważana przez Radę Parafialną. Do proboszcza Piotra Gaeblera nadesłano pisma polecające Lemkego. Dziekan wysłał do Urzędu Miejskiego w Tolkmicku zapytanie o prowadzeniu się i stosunkach rodzinnych kandydata. Otrzymał pozytywną odpowiedź, że organista pracuje w Tolkmicku jako nauczyciel od 1856 roku, prowadzi chór kościelny, zajmuje się dziećmi i młodzieżą. Na jednym z pism proboszcz kościoła w Sztumie pisze notatkę, że Lemke zarabia w Tolkmicku zaledwie 124 talary, a ma na utrzymaniu żonę z dzieckiem. Rada Parafialna w Sztumie była już zmęczona poszukiwaniem organisty, a że ze strony biskupa nie było sprzeciwu, dlatego dnia 6 grudnia 1867 roku podpisano z Lemke umowę o pracę.

Antoni Lemke urodził się w 1830 roku w Biskupcu na Warmii, zmarł dnia 29 czerwca 1911 roku w Sztumie. Muzyki uczył się przez 5 lat w znanej szkole muzycznej w Świętej Lipce, następnie uczył się zawodu w Seminarium Nauczycielskim w Braniewie. Dnia 1 stycznia 1868 objął pracę w kościele w Sztumie, jako organista i zakrystianin. W tym czasie nastąpiło rozdzielenie funkcji nauczyciela i organisty. Wykorzystując długotrwałe poszukiwania, Urząd Miejski w Sztumie postarał się o rozdzielenie tych dwóch funkcji.

W marcu 1868 roku Lemke poprosił o oddzielenie ziemi przypadającej organistom, od nauczycielskiej. W tym samym miesiącu ziemia została podzielona i organista otrzymał 1 morgę i 100 rut pruskich. W organistówce mieszkała wdowa Wawrowska ze swoim niepełnosprawnym synem. Dla organisty Lemke musiano znaleźć inne zastępcze mieszkanie. I na tym tle wybuchł konflikt.

Przypuszczalnie organista zabierał do domu po zakończeniu pracy klucze od kościoła. Już w lipcu 1876 interweniował w tej sprawie z Fromborka biskup Andrzej Thiel, nakazując „Natychmiastowe odebranie kluczy od kościoła zakrystianinowi Lemke i przechowywanie kluczy w odpowiednim miejscu, wskazanym przez proboszcza Gaeblera. Jeżeli Lemke nie będzie chciał oddać kluczy, trzeba go poinstruować i powołać się na paragraf 15 instrukcji z 12 stycznia 1868 roku, że w stosunku do niego przełożonym jest wyższa władza duchowna, która ma prawo go z tego stanowiska zwolnić.“

Lemke ustąpił, ale wkrótce ponownie wszedł w nowy zatarg. 26 maja 1877 roku w lokalnej gazecie „Kreisblatt für den Kreis Stuhm“ ukazało się ogłoszenie, że organista Lemke przeprasza przewodniczącego Rady Parafialnej w Sztumie pana Schulza i oficjalnie wycofuje obrazę. Z akt nie dowiadujemy się nic więcej na ten temat.

13 czerwca 1879 roku Rada Parafialna, której nowym przewodniczącym został Konrad Osiński, wynajęła u hotelarza Klingenbergga mieszkanie dla organisty, ale nie było wiadomym, czy Lemke tam zamieszka. Widocznie odwołał się od decyzji Rady do Powiatowego Sądu Królewskiego, bo 30 czerwca tego roku sąd wydał wyrok w sprawie mieszkania organisty. W wyroku tym napisano, że ma się wyprowadzić z rodziną z domu nr 109. Rada Parafialna nakazała mu przeniesienie się do domu Klingenbergów, z czynszem w wysokości 75 marek. Na to Antoni Lemke odwołał się do biskupa Andrzeja Thiela, a Rada Parafialna w Sztumie w odwecie wysłała pismo do tegoż biskupa, o zwolnieniu Lemke z pracy. 1 sierpnia 1879 roku biskup Thiel nie zezwolił na wypowiedzenie pracy organiście z powodu zbyt dużych komplikacji. Natomiast skierował do Lemkego osobiste pismo nakazujące mu przeniesienie się do domu Klingenbergów, uzasadniając swoją decyzję tym, że jeżeli w tym mieszkaniu wcześniej mieszkał burmistrz miasta Sztumu Pudor, to dla zakrystiana to mieszkanie jest tak samo dobre. Widocznie później współpraca między organistą, a Radą Parafialną układała się dobrze, bo w aktach oprócz zwykłych rachunków za wykonaną pracę nie ma więcej mowy o jakichkolwiek konfliktach. Antoni Lemke zmarł w Sztumie w 1911 roku po 55 latach pracy.

A jakie było wynagrodzenie organisty w tych czasach? Lemke za przygotowanie opłatków otrzymał w 1884 roku 15 marek, 6 marek za pracę zakrystianina, 60 marek za pranie, 4 marki za przygotowanie Grobu Pańskiego, 2,50 marki za przygotowanie ołtarzy na Boże Ciało, razem 87,50 marek. Do tego dochodziły opłaty za chrzty, śluby i pogrzeby. Nie tylko Lemke otrzymywał kościelne wynagrodzenie, ale także jego żona Dorota miała możliwość dorobienia do pensji męża. W 1884 roku otrzymała zapłatę w wysokości 24 marek za cerowanie i utrzymywanie w czystości ornatów.

Z dostępnych dokumentów wiemy, że w 1901 roku organista otrzymał 178 marek rocznie. A jak kształtowały się ceny w 1884 roku? Za płaszcz damski płacono od 28 do 80 marek, za koszulę męską 2,50 marek, buty chłopięce zimowe kosztowały 5 marek, abonament miesięczny za gazetę wynosił 90 pf (fenigów), pół kilo sera kosztowało 50 pf, 10 sztuk cygar - 20 pf.

Następnym organistą w Sztumie od 1911 roku zostaje Domachowski. Otrzymał on pensję w wysokości 485 marek, w tym pensja organisty 120 marek, zakrystiana - 120 marek, za hostie 30 marek, za utrzymywanie kościoła w czystości 90 marek, za Grób Pański 4,50 marek, za ołtarze na Boże Ciało 2,50 marek, z Beneficjum Neumanna 100 marek. Prowadził on kółko śpiewacze w Sztumie. Na słynnym koncercie plebiscytowym Feliksa Nowowiejskiego 9 maja 1920 roku informowano, że dyrygentem koła śpiewaczego był pan Domachowski, organista ze Sztumu.

W latach 1922 - 1931 organistą sztumskim był N. Schwarz. Od 1 kwietnia 1931 roku stanowisko organisty zostało zwolnione. Ubiegał się o nie Paweł Kołodziej. Jeszcze w tym roku Kołodziej podkreślał swoją dobrą znajomość języka polskiego. Jednakże z ocalałych dokumentów wiemy, że organistą został wybrany pan Litfin. W latach 1932 -1936 roku jego pensja wynosiła rocznie 1800 marek. W jednym z pism czytamy, że w 1933 roku jedynie w kościele można było śpiewać po polsku, na procesjach język ten był zabroniony. W 1939 - 1940 pensja roczna organisty wynosiła 1520 marek. W latach 1935 -1936 w funduszach kościelnych zarezerwowano 30 marek rocznie na utrzymanie i pielęgnowanie organów.

Następnym organistą w Sztumie od 1941 roku był Malies, z wynagrodzeniem 450 marek. Przypuszczalnie pozostał on na tym stanowisku do 1945 roku.

Pierwszym organistą po II wojnie światowej był Leon Pączkowski urodzony 2 czerwca 1916 roku w Nowym Mieście Lubawskim z ojca Leona i matki Marii z domu Rzepka. W latach 1943 - 1945 uczył się zawodu organisty w Szkole Organistowskiej w Pelplinie. Zaczął pracę w Sztumie od marca 1946 roku. W tym czasie proboszczem sztumskim był ksiądz Zygmunt Geneja (1946 - 1958). Leon Pączkowski dał się poznać nie tylko jako dobry organista i nauczyciel, ale także jako kompozytor utworów na organy. W październiku 1958 zmienił miejsce pracy, przeszedł do Iławy i tam w kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny pracował jako organista do chwili swojej śmierci. Zmarł 10 listopada 1971 roku w Gdańsku, a pochowany jest w Iławie.

Pochodzący z Piekła Franciszek Andrearczyk pełnił funkcję organisty w latach 1958 - 1962. Wiadomo, że oprócz tego zajmował się naprawą telewizorów.

Po nim zatrudniono na stanowisku organisty Ryszarda Szramkę, urodzonego 7 października 1944 roku w Sugajenku z ojca Franciszka i matki Stefanii z Bartkowskich. Gry na organach uczył się już w rodzinnej parafii w Mrocznie u organisty Henryka Kalisza. Następnie podjął pracę w parafii La-seczno w kościele Matki Boskiej Częstochowskiej, jednocześnie doskonalił swoje umiejętności w Iławie u znakomitego muzyka – wspomnianego wcześniej organisty Leona Pączkowskiego. Pracę w Sztumie rozpoczął w styczniu 1963 roku. W tym też roku rozpoczął naukę w Szkole Organistowskiej w Olsztynie przy Kurii Biskupiej, wybierając jako specjalizację dział muzyki sakralnej. Szkołę tę ukończył 20 grudnia 1967 roku. W Sztumie jako organista pracował jeszcze do 14 września 1970 roku. Zostawił tę pracę, aby rozpocząć studia na Wyższym Seminarium Duchownym Hosianum w Olsztynie. Obecnie jest emerytowanym księdzem w Sztutowie.

Wacław Klimek, urodzony 13 maja 1946 roku w Osuchowej Nowej ukończył Salezjańską Średnią Szkołę Organistowską w Przemyślu, a swoją pierwszą pracę podjął w Gietrzwałdzie. Do Sztumu sprowadził się w 1970 roku, pracował w kościele św. Anny do 1979 roku. Następnie przeniósł się do Elbląga i tam jako organista został zatrudniony w parafii św. Wojciecha, gdzie pełnił tę funkcję do 1983 roku. W tym też roku przeniósł się do Kwidzyna, pracując w kościele Miłosierdzia Bożego i katedrze św. Jana Ewangelisty. Obecnie jest emerytem i mieszka w Kwidzynie. Ożeniony z Haliną z domu Komorowską ma dwie córki.

Władysław Czecholiński, urodzony 7 marca 1952 roku w Sztumie, ma żonę Annę i dwie córki. Jako organista pracował w Sztumie w kościele pod wezwaniem św. Anny od 1980 do 1982 roku. Przeszedł do Malborka do kościoła Matki Bożej Nieustającej Pomocy, gdzie pracuje do dnia dzisiejszego.

Po jego odejściu przez dwa lata kościół nie miał stałego organisty. Dopiero w 1982 roku, kiedy do Sztumu przyszedł organista Józef Roman Dzierlatka, stanowisko to zostało zajęte. Muzyk ten urodził się 6 października 1957 roku w Rozogach, z matki Stefani z domu Kaczmarczyk i ojca Władysława. Zmarł 15 lipca 2002 roku w Sztumie. Jako 14-letni młodzieniec uczył się gry na organach u organomistrza Witolda Kotta, później po 5 latach zdał egzamin organistowski w Olsztynie. Pierwszą jego pracą w 1977 roku było objęcie stanowiska organisty w kościele św. Trójcy w Dzierzutach na Mazurach. Tam poznał swoją żonę Małgorzatę z domu Sokołowska, z którą mieli później dwoje dzieci: Michała i Martę. Dnia 1 lipca 1982 roku rozpoczął pracę w Sztumie. Poświęcając się całkowicie muzyce, rozpoczął także naukę w Szkole Muzycznej w Elblągu. Niestety, przedwczesna śmierć wyrwała go z naszego grona.

Po jego śmierci przez trzy lata nie było organisty w Sztumie. Dorywczo grał na organach Karol Detmer, dopóki nie poszedł do seminarium duchownego w Elblągu.

Ostatnim, pracującym od 2005 roku do dzisiaj organistą w kościele św. Anny w Sztumie jest Marcin Katarzyniak. Ma wykształcenie średnie techniczne i muzyczne. W 1998 roku ukończył Studium Organistowskie w Pelplinie. Urodzony w Grudziądzu 15 października 1977 roku, żonaty, ojciec trójki dzieci. Zanim przyszedł do Sztumu pracował jako organista w Rogóżnie, w parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Grudziądzu oraz kościele w Czarnym Dolnym.

Źródła archiwalne

Archiwum Diecezjalne w Elblągu

Księgi metrykalne kościoła św. Anny w Sztumie w zasobach Archiwum Diecezjalnego w Elblągu

Archiwum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie

Wywiady przeprowadzone w 2011 roku z: ks. Ryszardem Szramką, ks. Kazimierzem Pączkowskim, Małgorzatą Dzierlatką, Wacławem Klimkiem, Władysławem Czecholińskim, Marcinem Katarzyniakiem.

Bibliografia

Wacław Bielecki, Sztumski koncert plebiscytowy Feliksa Nowowiejskiego. Sztum 1997, Biblioteczka Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej, Tom 1, s. 57 - 62.

Andrzej Kopiczko, Duchowieństwo katolickie Diecezji Warmińskiej w latach 1945 - 1992, Olsztyn 2007.

Wojciech Zawadzki, Duchowieństwo katolickie oficjalatu Pomezańskiego w latach 1525 -1821, Elbląg 2009.

Elbinger Tageblatt, 1884.

Kreisblatt für den Kreis Stuhm, 1877.

Tomasz Gliniecki

Opowieść o kowalu z Żuław, co w Elblągu samochody robił



Franz Komnick, zdjęcie archiwalne.

Kilkanaście lat temu, do ówczesnej, elbląskiej redakcji „Dziennika Bałtyckiego” weszło dwóch starszych jegomości. Dało się słyszeć, jak mówią do siebie po niemiecku. Nic niezwykłego. Na Starym Mieście, w redakcyjnym budynku, wizyta obcojęzycznego turysty nie była żadną nowością. Często pytali tu o atrakcje, o zabytki, restauracje i kawiarnie, i o... Ci dwaj wyglądali właśnie na takich, którzy szukają najbliższej, czynnej toalety. Sekretarka niemal odruchowo chciała skierować ich do właściwego pomieszczenia. A oni wymienili moje nazwisko – że szukają Herr Glinieckiego. Podszedłem. – Grunwald – powiedział pierwszy, wyciągając rękę do powitania. Byłem gotów zażartować, uderzony ko-

mizmem sytuacyjnym i odpowiedzieć: – Wygraliśmy. – Werner Grunwald – powtórzył, nim się uśmiechnąłem do niewypowiedzianego żartu. Drugi z uwagą przypatrywał mi się, jak długo nie widzianemu wnukowi, bo mniej więcej taki przedział wiekowy dzielił nas od siebie. Wreszcie i on wyciągnął prawicę. – Nazywam się Franz Komnick – powiedział. Oniemiałem. – Nazywam się tak samo, jak mój dziadek – ciągnął staruszek, oczywiście po niemiecku. – Chciałem panu podziękować za przypomnienie historii mojej rodziny. Bo to byli dobrzy ludzie.

Z Franzem Komnickiem i Wernerem Grunwaldem spędziłem wówczas pierwsze, długie popołudnie, na rozmowach o dawnym i współczesnym Elblągu i o moim dziennikarskim zainteresowaniu historią tego miasta. Nasza znajomość trwała przez kolejne lata, głównie za sprawą listów, bo zdrowie nie pozwalało Komnickowi na częste wizyty w mieście jego dzieciństwa i rodzinnej tradycji. Dziś Franz już nie żyje. Za to legenda jego dziadka – imien-

nika, wraca powoli do świadomości mi współczesnych jako przykład pracowitości i woli, nie zauważając już dawnej, narodowościowej i mentalnej blokady. Dlaczego ta postać sprzed wieku jest ważna? Po co ją przypominać? Bo – żeby wyjaśnienie zamknąć w dwóch zdaniach – mówimy o człowieku, który – wśród wielu swoich pionierskich prac – jako pierwszy na dzisiejszych ziemiach Polski zaczął budować samochody. Myślę, że warto opowiadać o kimś, kto dokonał w życiu wiele dzięki temu, że miał w sobie siłę i charakter, wykształconego w kulcie pracy, niezwykłego kowala z Żuław.

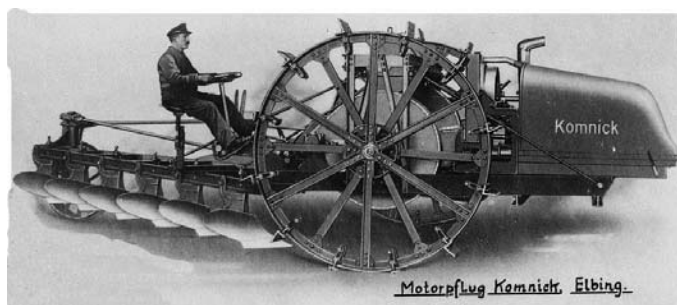
Rodzina Komnicków przybyła na Żuławę z falą niderlandzkich menonitów i gospodarowała tu uczciwie

już od ponad dwustu lat. Ojciec późniejszego milionera, Friedrich Wilhelm Komnick, był kowalem i prowadził swój warsztat z powodzeniem, kując konie i wyrabiając sprzęty, potrzebne do pracy w okolicznych gospodarstwach. Ziemia tu była ciężka, ale pracę nad nią wynagradzała plonami, a roboty dla kowali nie brakowało. W rodzinie Komnicków, gdzie praca i uczciwość były nakazami moralnymi, wynikającymi z religii, do umiejętności i solidności dołączono też wiedzę. Wspomnienia o ojcu, pokazują Friedricha Wilhelma jako człowieka – wyjątkowo jak na tamte czasy – posiadającego biblioteczkę pełną książek. Mieszkańcy wsi mieli mieć do niego niezwykle zaufanie, przychodząc po rady w różnych, życiowych sprawach. Matka, Renate – Henriette Komnick, też ciężko pracowała – obok zajęć domowych i wychowania dzieci prowadziła we wsi zajazd. Dość dodać, że sama była córką kołodzieja spod Gdańska, więc tradycje rzemieślnicze nie mogły wskazywać innej drogi dla dzieci z tego małżeństwa.

Franz Komnick urodził się 27 listopada 1857 roku we wsi Trapiszewo, w powiecie Malbork, na Żuławach Wielkich. Nic chyba dziwnego, że dorastający Komnick zaczął pobierać nauki kowalstwa. Po kilkuletniej nauce zawodu w szkole, przez kolejnych dziewięć lat był czeladnikiem, m.in. w Hannoversche Maschinenbau - Aktiengesellschaft, dawniejszym Georg Eggestorff, a późniejszym Hanomagu w Hannover-Linden. Tam też praco-



Reklama fabryki Komnicka, archiwum autora.



Plug motorowy z fabryki Komnicka, archiwum autora.

wał przy budowie dużych, stacjonarnych maszyn parowych. W Dusseldorfie dokładnie nauczył się budowy lokomotyw parowych, pracując w „Hohenzollern Aktiengesellschaft”. Pracował też w innych dużych formach – fabryce lokomotyw „Borsig” w Berlinie i w miejscowych zakładach maszynowych „Aktiengesellschaft H. F. Eckert”, gdzie nauczył się handlu maszynami rolniczymi. Terminowania jednak było mu widać mało, bo po pracy uczęszczał jeszcze na wieczorowe kursy budowy maszyn. Na pewno uzyskał przez te lata solidne wykształcenie, dużo umiejętności i doświadczenia – a nade wszystko – dostęp do technicznych nowinek. Żyłka do podglądania nowości i odważnych posunięć biznesowych będzie go cechowała przez całe życie.

W wieku 26 lat wrócił Franz Komnick do domu. Szybko się uniezależnił, co było naturalną drogą dla ambitnych synów rzemieślniczych. Elbląg i okolice przynoszą więcej takich przykładów, gdzie tradycje rzemieślnicze legły później u podstaw tworzenia nowoczesnego przemysłu. Komnick rozpoczął własną działalność gospodarczą, zakładając mały warsztat w Lubieszewie, w pobliżu Nowego Stawu, na Żuławach Wielkich. Młody kowal szybko znalazł życiową partnerkę w osobie o sześć lat młodszej krewnej, Emmy Pohlmann. Jej ojciec również trudnił się – bo jak inaczej – kowalstwem. 13 maja 1884 roku odbył się ślub Emmy i Franza. Komnickowie przeżyli ze sobą jako małżonkowie ponad pół wieku. Było to dobre, spokojne, oparte na wzajemnym poszanowaniu małżeństwo.

W nowej kuźni Komnick miał ręce pełne roboty. Był to bowiem czas, kiedy na całych Żuławach, drewniane pługi z żelaznymi lemieszami, wypierane już były przez urządzenia nowocześniejsze, całe wykonywane ze stali. Ponieważ w zwyczaju było budowanie tych pługów przez miejscowych kowali, przez cały czas eksploatacji maszyn cieszyli się oni pracą i zaufaniem rolników.

Młody Franz Komnick miał swą pierwszą wielką szansę wskutek wcześniejszej tragedii. Największa w historii Żuław powódź nadeszła w Niedzielę Palmową roku 1888. 25 marca wody Wisły i Nogatu tak przybrały, że lód spiętrzał się i atakował wały. Pod Malborkiem zerwana została tama. Przez wyrwę woda wdarła się na całe niemal Żuławy Elbląskie. Masy wody i rzecz-



Samochody wyprodukowane w fabryce Komnicka przed I wojną światową, archiwum autora.

nego piasku zatrzymały się dopiero na podelbłaskich wzgórzach. Straty na żuławskich wsiach były ogromne. Porównywano je nawet z kosztem planowanego przekopu mierzei w Świbnie.

Ta katastrofa była jednocześnie próbą dla pomysłowego kowala z Lubieszewa. Zbudował on stosunkowo proste w konstrukcji, ale bardzo wydajne pompy odśrodkowe, które pomogły w odwodnieniu zalanych, cennych terenów uprawnych. Władze rejencji gdańskiej dowiedziały się o skutecznym działaniu pomp Komnicka. Zleciły więc budowę, wyposażenie i ustawienie tak wielu przepompowni, jak to tylko możliwe, żeby jak najszybciej przywrócić rolnicze użytkowanie zatopionych pól. Dwanaście stacji pomp stanęło i rozpoczęło pracę w najbardziej newralgicznych miejscach. Do jesieni, całe zalane pola były odwodnione. Kowal miał jednak większe ambicje, a miejscowa kuźnia i okolice nie dawały już możliwości rozwoju. W roku 1890 założył, wraz ze współnikiem, warsztat naprawy maszyn w dzisiejszym Lwówku koło Pniew w Wielkopolsce. Zbudowali tam odlewnię żelaza i zajęli się budową maszyn rolniczych oraz kotłów parowych. Komnick wciąż budował przepompownie wody, które w międzyczasie zdążył opatentować. Asortyment rozszerzał się o urządzenia napędzane silnikami trakcyjnymi, napędzanymi przez kotły parowe. Były wśród nich młockarnie i inne aparaty. Zainwestował też w napędzane parą lokomobile, na których montowane były pługi. Największe aparaty tego typu składały się z dwóch samobieżnych maszyn o mocy 100 koni mechanicznych każda, z kilkuskibowymi agregatami płużnymi.

Rozwój trwał dziewięć lat. Ale po raz kolejny doszedł przedsiębiorca do ściany, oznaczającej brak możliwości dalszego rozwoju. Miejscowy rynek nie był tak chłonny, by powiększać firmę, która w tym czasie liczyła już

150 pracowników. Franz Komnick sprzedał fabrykę w Lwówku, aby z kolei wykupić udziały zmarłego Rudolfa Wermcke w publicznej spółce „Ostdeutsche Maschinenfabrik vorm. R. Wermcke Heiligenbeil A.G.” w Świątomiejsku, którą zamierzał przejąć. Jednak brak porozumienia z Radą Nadzorczą spółki spowodował, że w rok później jego oferta została odrzucona. W 1898 r. skorzystał więc z szansy zakupu wystawionej akurat na sprzedaż Fabryki Maszyn Hotopa w Elblągu. W ramach nabycia firmy, przejął też Komnick 40. zatrudnionych tam pracowników. To było miejsce, w którym miał osiągnąć szczyty powodzenia, jak też zaznać goryczy upadku.

Przejęcie zakładu w Elblągu zbiegło się z nie lada okazją, był to bowiem czas świetności gospodarczej. Niemcy, jak i cała Europa, wkraczały na drogę industrializacji, a mechanizacja coraz silniej modernizowała i rolnictwo. Nowy właściciel elbląskiego warsztatu wykorzystał też dobre notowania swego poprzednika, nazywając firmę „F. Komnick, dawniej Hotop”. Do podstawowej produkcji, czyli maszyn parowych, dołączył wiele urządzeń, potrzebnych rolnikom z tej zasobnej prowincji: w produkcji pojawiło się wiele rodzajów młockarni, wialni, młynków, sieczkarni. Nie zapomniał też Komnick o tym, od czego zaczął wielką karierę i nadal produkował całe systemy odwadniające, oparte na silnym odśrodkowym, centryfugowym zasysaniu wody do pomp i transporcie jej do rowów odwadniających dzięki maszynierii, opartej na kotłach parowych. Urządzenia te systematycznie zaczęły wypierać dawne, wiatrakowe systemy odwadniające, przywiezione tu przez przybyłych z Niderlandów osadników mennonickich.

Firma Franza Komnicka zyskała światowy rozgłos, kiedy zajął się on budową kompletnych instalacji do wytwarzania cegieł z piasku. On jako pierwszy stworzył instalacje do wytwarzania cegieł silikatowych sposobami, które czyniły produkcję opłacalną. Tuż przed 1900 rokiem powstała pod Królewcem pierwsza fabryka w Prusach - zarazem pierwsza tego rodzaju na świecie - oferująca cegły silikatowe. Ruszyła kariera sztucznego piaskowca.

Zaczął się jednak dziwnie, bo Komnick wykorzystał sposób, który niemiecki chemik i inżynier, zajmujący się materiałami budowlanymi, dr Michaelis wynalazł w drugiej połowie XIX wieku. Był to system przetwarzania piasku w silikaty, przy użyciu gorącej pary i wysokiego ciśnienia, które wykorzystywane było w prasach. W kilka godzin powstawał piaskowiec, który w zależności od modeli, mógł tworzyć cegły lub dachówki. Inżynier miał patent na ten wynalazek, lecz słabo uregulował go prawnie, wskutek czego własność patentowa wygasła, a do pomysłu zaczęło przyznawać się wielu innych naukowców. Franz Komnick stworzył i opatentował specjalną karuzelę, która prasowała i formowała cegły najwyższej jakości. Największy model prasy karuzelowej Komnicka był w stanie wykonać od 6 do 7 tysięcy silikatowych cegieł w godzinę. Jedno ze zdjęć, które ocalały, pokazuje kilka pras, zamontowanych w jednej fabryce, której łączna wydajność sięgała

160 tysięcy cegieł dziennie. Podobne prasy skonstruował Franz Komnick do tworzenia elementów z „Ternolitu” - łupku azbestu - z którego formowano dachówki, jak też do prasowania cegieł ze szlaku i żużlu. Obok brykieciarek, przygotowywał też Komnick całe aparaty napędowe i ciśnieniowe, wymagające użycia dużych, kilkudziesięciometrowych kotłów parowych. Dziś powiedzielibyśmy, że w tej dziedzinie oferował on kompletne instalacje „pod klucz”. Nic więc dziwnego, że próbując zagospodarować wielkie masy odpadów poprodukcyjnych, po systemy brykietujące Komnicka sięgały największe odlewnie i huty, nie tylko z Niemiec, bo wiele systemów popłynęło statkami za ocean. Wtedy jeszcze nie wiedzano o zdrowotnych konsekwencjach użycia w budownictwie azbestu, czy też mas poformierskich z odlewni. Interes przynosił krociowe zyski.

Budynki po dawnym zakładzie Hotopa szybko przestały wystarczać na potrzeby rosnącej produkcji. Komnick szukał odpowiedniej działki, pozwalającej na rozbudowę i kolejne inwestycje. Kiedy znalazł i kupił to miejsce, a był nim cały kwartał w rozbudowującym się w stronę dworca Kolei Wschodniej centrum miasta, rozpoczęła się wielka budowa. Nie tylko kolejnej fabryki. Żeby zatrzymać wykwalifikowanych robotników w tej ubogiej prowincji, aby nie wyjeżdżali do bardziej uprzemysłowionych, a przez to konkurencyjnych i gwarantujących lepsze zarobki rejonów, musieli tutejsi przedsiębiorcy dawać najlepszym mieszkańcom zakładowe, rozwijać system socjalny i edukacyjny. Obok fabryki zaplanowano więc domy dla robotników i urzędników firmowych, jak też instytucje medyczne, opieki społecznej i inne udogodnienia dla pracowników. Ale i ta fabryka stała się za mała, kiedy Komnick wpadł na pomysł, którego nikt przed nim w tej okolicy nie praktykował. W 1906 roku rozpoczęła się kolejna budowa hal fabrycznych.

W nowo pobudowanej fabryce nad rzeką Elbląg umieścił Komnick fabrykę samochodów. Czuł, że będzie to doskonały biznes, bo najbliższe o podobnej produkcji przedsiębiorstwa, były nie mniej niż sześćset kilometrów od Elbląga – w Szczecinie i Berlinie. Był więc pierwszy - w Prusach Wschodnich i połowie Zachodnich nie miał konkurenta. A obok był jeszcze wielki, chłonny wyrobów produkcji przemysłowej, bo słabo zindustrializowany kraj – Rosja. Pierwsze lata minęły na budowie aut dla arystokracji. Powstawały więc różnych typów samochody osobowe, które bez problemu sprzedawano. Komnick oparł się na wzorach francuskich. Był jedynym niemieckim producentem samochodów, którego produkty miały chłodnicę z tyłu silnika. Przez początkowe lata nie było to jednak wielkim kłopotem. Siłą aut Komnicka była ich wytrzymałość na drodze – co na pruskich, a szczególnie rosyjskich bezdrożach dawało gwarancję niezawodności dotarcia na miejsce. Stąd najlepiej sprzedawały się tourery – wielomiejscowe auta, mogące

pomieścić całe rodziny. Indywidualni klienci stali się jednak z czasem coraz bardziej kapryśni, a konkurencja coraz większa. Jedynie w Królewcu udało się stworzyć z wozów, rodem z Elbląga, flotę miejscowych taksówek, zwanych wówczas autodorożkami.

Świetne czasy przysły dla Komnicka wraz z I wojną światową, kiedy otrzymał zamówienie rządowe na auta dla wojska. Tu znów popisał się przewidującym przyszłość myśleniem. Ostatnią partię aut osobowych kazał przerobić na lekkie półciężarówki, tworząc nową klasę lekkich aut terenowych. Potem, z powodzeniem przestawił produkcję na wozy ciężarowe. W międzyczasie, jego auta doszuszowały do tych, w których chłodnica była z przodu, przed silnikiem. Ale Niemcy przegrały Wielką Wojnę. Tuż po wojennej zawierusze, trudno było wrócić do wysokiej produkcji. W dodatku, na kraj i przedsiębiorców produkujących uzbrojenie, spadły olbrzymie, powojenne reparacje na rzecz zwycięzców. Komnick zdołał jednak przekonać członków alianckiej komisji, żeby nie anektowali jego firmy i taśm produkcyjnych, mimo iż wcześniej wytwarzał sprzęt dla wojska. Mozolnie zbierał zamówienia, również wśród nowo powstałych państw – udało mu się wyposażyć w wozy ciężarowe, budowaną od podstaw armię Litwy. Do ciężarówek i autobusów, w ofercie dołączyły najróżniejsze pojazdy specjalne – sanitarki, pług śnieżny, a nawet trójkołowe polewaczki i pojazdy do sprzątania ulic. Odbiorców szukano i we władzach dużych miast, płatnikach równie dobrych, jak państwa. Samochody osobowe przeszły do produkcji marginalnej, choć wciąż były dumą właściciela. Powrót do świetności przedsiębiorstwa jednak nie nastąpił, bo i tu dotarły echa powojennego kryzysu gospodarczego początku lat 20-tych. Zamówienia spadły, nie było gwarancji rządowych.

Komnick próbował ratować się, tworząc w 1922 r. z wytwórni aut spółkę akcyjną, w której miał 3/5 udziałów. Z pomocą ruszył ze Stanów Zjednoczonych syn, Otto, który wkrótce stał się jednym z najbardziej znanych kierowców wyścigowych w Niemczech. Próby znalezienia nowych rynków nie ominęły też Polski – wystawcy z Elbląga pojawili się w 1926 roku na Wystawie Automobilowej w Poznaniu. Przez chwilę Komnickom wydawało się, że chwycili największego z możliwych odbiorcę – Rosję, gdzie zainwestowano w zakład wytwórczy i sieć sprzedaży, ciężarówki Komnicka wygrywały trudne, terenowe rajdy, a wozy zostawiano jako prezenty dla lokalnych władz. Niestety, poprawa sytuacji trwała jedynie kilka lat. Kolejny kryzys, z 1929 roku, przekreślił plany elbląskiego przemysłowca. Z dnia na dzień Pruski Bank Państwowy nie udzielił firmie kredytu. W nocy z 1 na 2 kwietnia 1930 r. rada nadzorcza postanowiła o likwidacji firmy. Wytwórnię aut przejęła wówczas brunszwicka firma Büssing-NAG, która utrzymała najbardziej do-

chodową część dawnej produkcji, dodatkowo montując w Elblągu autobusy. Fabrykę maszyn i wytwórnię silników przejął, uratowany przez Prusy od podobnego Komnickowi upadku, przekształcony w państwowy koncern F. Schichau GmbH – największa firma Elbląga.

Staruszek Komnick nie poddał się, tworząc firmę jeszcze raz, od podstaw, jako spółkę rodzinną z trzema synami. W ich rękach zostały obiekty przy lotnisku, gdzie współpracowali z wieloma firmami motoryzacyjnymi, min. z Kruppem. Poza drobną wytwórczością podwykonawczą, choćby sprzęgieł, zajęli się serwisem i naprawami swej dotychczasowej produkcji, jak też wozów innych marek. Nigdy więcej jednak nie wypuścili z taśm montażowych nowego samochodu pod swoim nazwiskiem. Ale walczyli. I gdy już wydawało się, że nad firmę może wrócić słońce, bo rodzina podpisała umowę na remonty aut, rosnącego w siłę państwowego koncernu motoryzacyjnego Volkswagen, Franz Komnick zmarł w Elblągu pod koniec 1938 roku. Kondukt pogrzebowy przeszedł przez miasto w asyście tysięcy mieszkańców. To pracownicy i ich rodziny żegnały swojego pracodawcę i dobrodzieja.

Synowie Komnicka, głównie zaś szefujący firmie Hans, prowadzili prace w fabryce do stycznia 1945 roku, po czym rodzina ewakuowała się. Wyposażenie fabryk wywieźli Rosjanie. Polacy wykorzystali obiekty byłej montowni samochodów na utworzenie fabryki naprawy autobusów, ale dziś i ta nie funkcjonuje. W budynku przy lotnisku urzęduje prywatna szkoła wyższa. Po fabryce maszyn nie zostało zbyt wiele śladów, a w powojennym centrum zmieniono nie tylko zniszczoną zabudowę, ale i wytyczono nową siatkę ulic.

Dziwnym trafem, nagrobek Franza Komnicka – odważnego kowala z Żuław - przetrwał do dziś na dawnym elbląskim cmentarzu ewangelickim przy ulicy Sadowej, jako jeden z nielicznych. Przed kilku laty stworzono tam lapidarium, by podtrzymać ludzką pamięć. Za to po motoryzacyjnej legendzie nie zostało prawie nic. Nie zachował się ani jeden samochód z pruską tarczą i nazwiskiem Komnicka w logo. A na taką wieść, że choć jedno auto udało się odnaleźć, do końca życia czekał wnuk założyciela firmy.

Karolina Manikowska

Ferdinand Schulz – bohater ponad podziałami



Ferdinand Schulz przy samolocie Marienburg, fot. B. Pawelcik
Marienburg.

Zakończenie II wojny światowej przyniosło zmiany polityczne i terytorialne, co zaowocowało przyłączeniem części terenów dawnych Prus do Polski. Niechęć do Niemiec jako agresora w ostatniej wojnie oraz propagandowa działalność PRL spowodowały również zatarcie historii tych ziem w całym jej bogactwie. O bohaterach przedwojennych miejscowości, wchodzących niegdyś w skład Prus, nie mówiło się wcale, bo nie uważani byli oni za „swoich”. W obecnych czasach zaczyna się to jednak zmieniać. Potomkowie przesiedleńców z Kresów i centralnej Polski, którzy urodzili się w Malborku, Sztumie, Dzierzgoniu i okolicach, traktują historię swoich miejscowości w sposób równorzędny i całościowy. Na fali takich właśnie zmian, owocujących powstawaniem stowarzyszeń miłośników lokalnej historii oraz poświęconych jej tematycznych stron internetowych, odkrywa się na nowo zapomnianych bohaterów, zwłaszcza, gdy ich życie może stanowić wzorzec postępowania dla współczesnych. Jedną z takich postaci jest Ferdinand Schulz – legendarny lotnik, którego losy nierozzerwalnie splotły się z Malborkiem i Sztumem. Warto więc przybliżyć jego sylwetkę wszystkim tym, którzy jeszcze o nim nie słyszeli.

Ferdinand Schulz urodził się 18 grudnia 1892 r. w dzisiejszym Piszewie (daw. Pissau, pow. Reszel). Był pierwszym z tuzina dzieci państwa Schulz – lokalnego nauczyciela, również Ferdinanda, oraz Rossi z d. Scharnick, ale to



Dawny zajazd „Kurfürsten” w Malborku
w którym mieszkał F. Schulz,
fot. K. Manikowska.

on zgarnął pulę talentów od Stwórcy. Od wczesnych lat zdradzał zamiłowanie do majsterkowania i talent konstruktorski, które pozwoliły mu m.in. wykorzystać własnoręcznie skonstruowany wiatrak, posadowiony na dachu rodzinnego domu, do zasilania domowych sprzętów: piły i maselnicy. I choć zgodnie z wolą ojca, po naukach w gimnazjum w dzisiejszym Braniewie, Seminarium Nauczycielskim w Reszlu oraz Kró-

lewsko-Pruskim Seminarium Nauczycielskim w Toruniu, poszedł w jego ślady, to jednak żywioł powietrza okazał się czynnikiem decydującym o całym życiu oraz śmierci Ferdinanda.

W chwili wybuchu I wojny, Schulz odbywał służbę wojskową w 128 Pułku Piechoty w Gdańsku-Wrzeszczu. Był dwukrotnie ranny, ale zgłosił się do służby w lotnictwie. Przeniesiony do Piły, a następnie do Szkoły Lotniczej w Grosshain w Saksonii, ukończył naukę w szkole dla obserwatorów lotniczych w Schwerin (daw. Zwierzyn). Podczas I wojny wykonał 97 lotów. Jeden z nich okazał się szczególnie niebezpieczny – jako członek 10 eskadry bojowej, stacjonującej na lotnisku Escaufort w Champagne, został zestrzelony podczas wspólnego lotu z obserwatorem, kiedy dokonywał ataku. Jego towarzysz nie przeżył przymusowego lądowania, podczas którego maszyna się roztrzaskała, zaś Schulz, cudem ocalały, od tamtej pory nosił jako talizman feralną kulę, która utkwiała w silniku. Po zakończeniu wojny, na mocy Traktatu Wersalskiego Niemcy otrzymały zakaz produkcji samolotów silnikowych i lotów nimi. Schulz z ciężkim sercem zdał swoje maszyny, ale w myśl starej zasady „dla chcącego nie ma nic trudnego”, już wkrótce zainteresował się konstrukcjami bezsilnikowymi, do czego natchnęła go lektura pism Otto Lilienthala, poświęconych temu tematowi. Zadziwiające jest to, że swoją pasję rozwijał obok wykonywania pracy nauczyciela w katolickiej szkole w Jeleńcu (pow. Tuchola) oraz rodzinnym Piszewie. Wkrótce, na początku lat 20. zaczął konstruować swoje pierwsze maszyny latające – FS1 i FS2. Z tą drugą pojechał w 1921 r. na II Zawody w Röhn, ale jego maszyna została odrzucona przez komisję techniczną. Mimo tego, wykonał na niej kilka pięknych lotów poza zawodami – jeden z nich, ze zbocza Pelz, w którym pokonał 365 m w 46 sekund, przyniósł mu uznanie oraz nagrodę pocieszenia w wysokości 1000 marek. Następna konstrukcja Ferdinanda, FS3, była niezwykle pod każdym względem. Drążki sterownicze Schulz wykonał z ... trzonków od miotel, co w 1922 r. pozwoliło wesołkom ochrzcić ją mianem „Besenstielkiste” (skrzy-

nia z kijów od mioteł). FS3 miał rozpiętość 12,5 m i był na 4,8 m długi, a do jego wykonania, prócz owych kijów, lotnik użył również listewek, sznurków, strun fortepianowych oraz muślinu, zastąpionego później materiałem wykorzystywanym do produkcji balonów. „Besenstielkiste” była więc tania i niezwykle prosta, dlatego w 1922 r. odrzucono ją podczas III Zawodów w Röhn jako niezbyt pewną. Jednak i wtedy Schulz odbył pozakonkursowy lot, którym udowodnił, że ta konstrukcja jest bezpieczna, zaś on – wspaniałym lotnikiem. W późniejszym okresie Schulz ulepszył FS3, co pozwoliło mu wygrać główną nagrodę w I Zawodach na Wybrzeżu (Küstengelflugwettbewerb) w Rossitten, zaś 11 maja 1924 r. w II Zawodach odbywających się w tym samym miejscu, ustanowił swój pierwszy rekord świata w locie trwającym 8 godzin i 42 minuty. Ferdinand nie bał się również latać nocą.

W tym czasie Schulz pojawił się na Powiślu, gdzie dostał posadę nauczyciela w Nowym Targu (pow. Sztum). Odwiedziny Malborka zaowocowały dostrzeżeniem potencjału lotniczego skarp nad Nogatem w podmalborskim Wielbarku (daw. Willenberg). Schulz wraz z innymi pilotami założył tam koło lotników, w 1925 r. przekształcone w Zachodniopruski Związek Lotniczy (Westpreußische Verein für Luftfahrt). Jego pierwszym przewodniczącym był sam burmistrz Malborka, Bernhard Pawelcik. Wspomógł on założenie wielbarskiego lotniska szybowcowego. Ferdinand Schulz objął kierownictwo sportowe, a jego prawą ręką został Bruno Kaiser. Po zniesieniu zakazu lotów maszynami silnikowymi, Związek zakupił dwuosobową maszynę szkoleniową. Startowano na niej z innego malborskiego lotniska, z którego odbywano regularne loty na trasie Berlin – Malbork – Królewiec. W podmalborskich Piaskach (daw. Sandhof), Schulz otrzymał do dyspozycji stodołę w charakterze warsztatu pracy, gdzie mógł wraz Kaiserem oddać się pasji konstruktorskiej. W 1927 r. Ferdinand został służbowo przeniesiony do szkoły na Piaskach. Otrzymał również służbowe mieszkanie w malborskim zajeździe „Kurfürsten” – w istniejącym do dziś przy Placu Słowiańskim budynku, mieści się obecnie bar „Puchatek”.

Dla utalentowanego lotnika specjalnie skonstruowano szybowiec „Westpreußen”. Na owej maszynie Schulz ustanowił w owym czasie 4 nowe rekordy na IV Zawodach w Rossitten (lot na czas – 14 godzin i 7 minut lotu; lot wahadłowy – 455,8 km; rekord prędkości 545,45 km/h; lot na odległość – 60,2 km) oraz 2 w Malborku – w jednym locie przełajowym, trwającym 4 godz. 1 min, na wysokości lotu 650 m (pobitym przez niego pół roku później w Karkonoszach). Osiągnął je, startując z wielbarskiego lotniska i lecąc nad Malborkiem – był to pierwszy w historii lot nad miastem.

Inną znaną maszyną, którą latał Schulz wraz z Kaiserem, był silnikowy samolot „Marienburg”. Sława malborskiego latającego nauczyciela i jego dobry charakter, przyniosły mu wdzięczność mieszkańców miasta, którzy w 1928 r., tuż przed jego 36 urodzinami, ufundowali przy lotnisku granitowy

FS3 - Besenstielkiste 2 - fot. www.delta-club-82.com

pomnik w formie głazu z napisem „Pilotowi szybowcowemu Ferdinando wi Schulzowi – 1928”. Schulz, osoba skromna i lubiana przez wszystkich, miał podobno stwierdzić, że pomniki wystawia się zmarłym, a nie żywym. Niestety, już wkrótce los zweryfikował to zdanie. 16 czerwca 1929 r., na rynku w Sztumie odsłaniano pomnik ku czci żołnierzy poległych w I wojnie. Malborski Związek ufundował wieniec, który Schulz wraz z Kaiserem mieli zrzucić z „Marienburga” podczas lotu nad rynkiem. Z nieznanych przyczyn, maszyna rozpadła się w powietrzu na oczach przerażonych uczestników sztumskiej uroczystości. Obaj piloci zginęli na miejscu. Zgodnie z życzeniem rodziny, Ferdinanda pochowano na cmentarzu w Lidzbarku Warmińskim, natomiast Bruno spoczął w Malborku, na cmentarzu przy Szpitalu Jerozolimskim. Jego grób nie zachował się, natomiast wystawiony Schulzowi w 1930 r. przez uczniów Szkoły Szybowcowej w Rossitten (gdzie w 1926 r. był instruktorem) pomnik w Lidzbarku nadal stoi i jest doskonale utrzymany. W dniu urodzin lotnika, jeszcze w 1929 r., w miejscu katastrofy odsłonięto pomnik ku czci obu pilotów. Także w Malborku uczczono pamięć Schulza, poprzez postawienie przy Nowym Ratuszu pomnika z popiersiem pilota, prócz tego na „Kurfürsten” zawisła tablica z informacją o tym, kto tam mieszkał. Również malborska szkoła (dziś nr 3) wybrała Ferdinanda Schulza na swojego patrona. Po zakończeniu II wojny światowej wszystkie te pomni-

ki zostały zlikwidowane, ale nowe spojrzenie na historię i wysiłki jej lokalnych miłośników przyniosły rezultaty: w 1994 r. Hans-Jürgen Schuch zorganizował w Malborku wystawę pod nazwą „Szybownik Ferdinand Schulz”, w 2006 r. na „Puchatku” umieszczono pamiątkową tablicę w języku polskim i niemieckim, co poprzedziła akcja uczniów i dyrekcji Szkoły Podstawowej nr 3 w Malborku pod nazwą „Ślady przeszłości”, koordynowana przez Tomasza Agejczyka, a w 2009 r. w Sztumie, na zlokalizowanym na rynku dawnym kościele ewangelickim zawisła tablica inspirowana wyglądem przedwojennego sztumskiego pomnika, również z dwujęzyczną informacją. W czerwcu 2011 r. przed malborski Urząd Miasta powrócił odrestaurowany przez władze Malborka pierwotny, odnaleziony kilka lat temu pomnik, wzbogacony o polskie tłumaczenie oryginalnej, niemieckiej inskrypcji. W tym samym czasie jedno z malborskich stowarzyszeń zorganizowało poświęcony pamięci Schulza rajd rowerowy na trasie Malbork-Sztum-Malbork, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc pamięci, zaznaczonych wyżej wymienionymi pomnikami.

Wszystko to wydaje się potwierdzać, że lokalna historia i jej bohaterowie doczekali się należnego uznania i że współcześni mieszkańcy i władze przełamują dawne uprzedzenia i stereotypy, utwierdzane latami przez propagandę poprzedniego ustroju, a Ferdinand Schulz może być jedną z ikon Malborka, jako lotnik, sportowiec, nauczyciel – w każdym calu człowiek wielkiej klasy.

Pisząc ten artykuł, opierałam się na informacjach zaczerpniętych z polskich i międzynarodowych stron internetowych, ale szczególne podziękowania kieruję do Janusza Biedronia, orędownika sprawy, który przetłumaczył tekst „Der Ikarus von Ostpreußen” zamieszczony na stronie <http://www.heilsberg.org/seiten/geschichte-sonstiges.html> oraz zachęcił mnie do napisania paru słów na temat Ferdinanda Schulza. Dziękuję również Pawłowi Głogowskiemu, autorowi fotografii przedstawiającej tablicę w Sztumie w dniu jej odsłonięcia oraz Przemysławowi Dzieszkiewiczowi, który zrobił zdjęcia pomnikowi nagrobnemu Ferdinanda Schulza w Lidzbarku Warmińskim.

Adam Langowski

Z polskiej szkoły do Wehrmachtu

Florian Piasecki jest jednym z trzech żyjących obecnie (czerwiec 2011 r.) uczniów przedwojennej szkoły polskiej w Nowym Targu. Z chłopców pozostał już tylko on, gdyż oprócz niego żyją jeszcze tylko dwie były uczennice tej szkoły - Helena Markowska (z d. Piasecka) i Łucja Klatt (z d. Paturalska). Florian Piasecki urodził się 1 listopada 1926 roku w Nowym Targu na Powiślu. Mówiąc o sobie podkreśla, że jest rodowitym nowotarusem. Jego życie pokazuje, jak złożone były losy Polaków mieszkających w Prusach Wschodnich. W latach 1933-1939 był uczniem szkoły polskiej w Nowym Targu.



Uczniowie szkoły polskiej w Nowym Targu z nauczycielem L. Wiśniewskim podczas wycieczki w 1933 r. Florian Piasecki siedzi w pierwszym rzędzie, trzeci od lewej.
fot. ze zbiorów Muzeum w Kwidzynie.

W 1944 roku został wcielony do Wehrmachtu i wysłany do okupowanej Norwegii, gdzie służył do końca wojny. Po kapitulacji trafił do obozu i kopalni we Francji. Do rodzinnego Nowego Targu powrócił na początku 1947 roku.

Rodzina Piaseckich była w okresie międzywojennym bardzo zaangażowana w ruch polski na Powiślu. Ojciec Floriana, Franciszek, pełnił w Nowym Targu funkcję przewodniczącego Związku Polaków w Niemczech i prowadził miejscową bibliotekę polską. Działalność ojca Floriana Piaseckiego i jego zaangażowanie w sprawy polskie doprowadziły do ostrej reakcji ze strony nazistów. Na początku wojny Franciszek Piasecki został aresztowany: „Powiedzieli, że ma się przygotować, ubrać. Pieszko przyszli i wyprowadzili ojca do środka wsi. Tam stał samochód i wtedy ojca i takiego Cersona zabrali we dwóch stamtąd. I jeszcze potem wzięli ze Starego Targu Piotra Wiśniewskiego i z Trop Jana Krynę”.

Po aresztowaniu ojciec Floriana Piaseckiego trafił na krótko do więzień w Sztumie i Elblągu. Później został osadzony w obozie Hohenbruch k. Królewca, czasowo przebywał także w podobozie Knauten i ostatecznie trafił do Stutthofu. Po zwolnieniu z obozu Franciszek Piasecki trafił do organizacji Todta i pracował najpierw na lotnisku wojskowym w Malborku, a następnie

przy budowie bunkrów dla Hitlera w Winnicy. Po wycofaniu się Niemców ze Wschodu został przerzucony do budowy podobnych bunkrów w Prusach Wschodnich, a następnie do Berlina, gdzie zastał go koniec wojny.

Będąc przed wojną aktywnym działaczem Związku Polaków w Niemczech Franciszek Piasecki posyłał swoje dzieci do szkół polskich. Wspomniani już Florian i Helena chodzili do szkoły polskiej w Nowym Targu, a starszy syn Feliks był uczniem Gimnazjum Polskiego w Kwidzynie. W zbiorach Muzeum w Kwidzynie przechowywana jest kronika szkoły polskiej w Nowym Targu, w której można odnaleźć zapisy dotyczące Floriana Piaseckiego i jego siostry Heleny. Jeden z nich podaje dokładnie moment rozpoczęcia nauki przez Floriana Piaseckiego: „Dnia 1.4.1933 r. rozpoczął się nowy rok szkolny. Do szkoły wstąpiło czterech nowicjuszy: 1. Piasecki Florian, 2. Mirowska Bronisława, 3. Goga Wanda, 4. Czeszka Zofia”. Inne odnotowują kolonie letnie, w których uczestniczył jako uczeń: „Dnia 7.VII.1937 r. Albin Soliński, Cecylia Paturalska i Florek Piasecki pojechali na kolonie letnie do Polski. Chłopców umieszczono we Włocławku, dziewczęta w Chodzieży”. Są też zapisy dotyczące działalności ojca Floriana – Franciszka Piaseckiego: „W sobotę dnia 4.7.1936 r. odwiedził tutejszą szkołę radca szkolny pan dr. Irmeler dowiadując się o bibliotekarza tutejszej biblioteki Związku Polaków pana Piaseckiego celem przeprowadzenia rewizji tejże biblioteki”.

Florian Piasecki wspomina, że lekcje w szkole polskiej odbywały się w poniedziałki, wtorki, piątki i soboty. Nauka rozpoczynała się o siódmej rano i trwała do dwunastej. Godziny zajęć zmieniały się zimą – wtedy lekcje trwały od ósmej rano do trzynastej.

O swoim nauczycielu Leonie Wiśniewskim mówi: „Pan Wiśniewski był wymagający, no i tam się można było u niego wtedy coś nauczyć”. W szkole w Nowym Targu, podobnie jak w pozostałych polskich szkołach mniejszościowych, musiała być zapewniona odpowiednia liczba godzin na naukę języka niemieckiego: „Co dzień jedna godzina za wyjątkiem soboty. W sobotę nie było niemieckiego. Ten niemiecki, to tak jak kijem po płocie! Tak to mi szło, niestety, bo my w domu po polsku rozmawialiśmy, a nie po niemiecku”. Po aresztowaniu nauczyciela Leona Wiśniewskiego i zamknięciu szkoły polskiej Florian Piasecki został przeniesiony do szkoły niemieckiej. Na początku pojawiły się spore trudności z językiem niemieckim, ale były również momenty, w których byli podopieczni Leona Wiśniewskiego mogli wykazać się większą wiedzą od swoich kolegów ze szkoły niemieckiej: „Geografię też mieliśmy u pana Wiśniewskiego i to tak dość dokładnie. No i raz w tej niemieckiej szkole nauczyciel zadaje pytanie do całej klasy: Jak się nazywa najwyższy szczyt w Afryce? Ja rękę do góry, mój braciszek też, a reszta klasy nic. Wtedy nauczyciel mnie wziął i ja mu mówię: Najwyższy szczyt Afryki to Kilimandżaro. Tak, to jest dobrze – mówi nauczyciel. Wtedy mówi do tamtych: Widzicie? Ci umieją, a wy?”.

Jako kilkunastoletni chłopak Florian Piasecki pracował u jednego z miejscowych gospodarzy. Wspominając trzyletni okres pracy u bauera podkreśla, że nie otrzymał od niego w tamtym czasie ani jednego dnia urlopu. Zarabiał przy tym bardzo niewiele, bo tylko 50 fenigów dziennie. Jesienią 1943 roku otrzymał wezwanie do Arbeitsdienstu: „To była służba pracy dla takich jakby junaków, dla przedpoborowych. W Redzie to było i do Wejherowa była jedna stacja. No i co tam było? Zaprawa, biegi po lesie, biegi z przeszkodami. Prace też były, na przykład kopać i taczka ziemię wozić. Na jeden, dwa, trzy! Po trzech miesiącach taki znaczek dali, że służyłem i do domu. Do Arbeitsdienstu szedłem w listopadzie 1943 roku i wyszedłem przy końcu lutego 1944 roku, a w marcu 1944 roku do wojska”.

Po otrzymaniu powołania do Wehrmachtu Florian Piasecki stawiał się w koszarach w Kwidzynie. Wraz z grupą rekrutów został przewieziony pociągiem do Koszalina, a później do Kołobrzegu, gdzie wszyscy zostali umundurowani. W czasie ponadtygodniowego pobytu w Kołobrzegu cała grupa przeszła szczepienia ochronne na tyfus, paratyfus, biegunkę, cholere i ospę. Z Kołobrzegu zostali przerzuceni do Torunia, a w Zielone Świątki 1944 roku trafili do Grupy k. Grudziądz, gdzie rozpoczęło się przeszkolenie: „Broni nam tam nie dali. Mielśmy mundury, ale poza tym goły pasek i maskę gazową, no i chlebak, menażkę. Broni, nawet bagnetu, nikt tam nie miał. Przeważnie w masce gazowej i „ein Lied!”, to znaczy „Śpiewać!” W masce, jak to ciężko jest! Kto zaczął wymiotować, to zdzierali mu tę maskę, bo wtedy mógł się udusić. (...) Przychodzimy z poligonu, a tu łóżka, wszystko rozwalone. Kaprał wchodzi, tak się rozpycha i mówi: Za 15 minut przyjdę i to ma być sprzątnięte! Przed samym obiadem, bo w przeciwnym razie obiadu nie będzie! Tak zastrzegł. No to wtedy każdy po swoje, jako tako pozbieraliśmy. On znowu przyszedł i zaczął rozwalać od nowa. (...) Najgorsze, to co dzień kołnierzyk prać trzeba było, no bo w tym pocie, w tym piachu się wybrudziło, a musiał być codziennie czysty”.

Po krótkim przeszkoleniu zostali załadowani do pociągu i wysłani do okupowanej Norwegii: „Myśmy koleją jechali aż do portu Aarhus w Danii. Tam był port wojenny i tam stały już wszystkie te okręty, na trzy okręty nas ładowali, a osłona była już w morzu. Każdy statek miał balon do góry. Dlatego były te balony, żeby samolot nie przyszedł nisko, bo by się rozbił. Przepłynęliśmy przez Kattgat, Skagerrak aż do fiordu, do Oslo. W Oslo nas rozładowali i bezpośrednio zaraz z okrętu na pociąg. To wszystko towarowe pociągi tam były, żadnych osobowych pociągów nie podstawiali. Później się jechało na północ do Trondheim, to jest w środku Norwegii, takie półmilionowe, ładne, duże miasto. Tam rozładowali nas na poszczególne jednostki. Nas jeszcze stamtąd wywieźli 250 km dalej na północ, także tam, gdzie myśmy stacjonowali, w zimie była tylko godzina dnia i ciemno”.



Transport niemieckiej piechoty do Norwegii,
fot. archiwum „Mówią Wieki”.

Florian Piasecki został ostatecznie przydzielony do 702 dywizji piechoty Wehrmachtu. Pierwotnie trafił do innej dywizji, ale wraz z 60 żołnierzami został zamieniony. W ich miejsce przyszła kompania składająca się głównie z przestępców, która została wysłana na front wschodni, gdzie jej los był z góry przesądzony. Dzięki przeniesieniu do 702 dywizji Florian Piasecki uniknął ciężkich walk na Wschodzie. Jego dywizja do końca wojny pełniła w Norwegii służbę okupacyjną na Odcinku Trondheim. Do zadań Floriana Piaseckiego należało nadawanie sygnałów świetlnych: „Z jednostki zostałem wysłany na kuter torpedowy, uczyli SOS. Umiałem nadawać z lampy. Jak gdzieś bardzo daleko, no to w chmu-

ry. Cztery tygodnie kurs, no i po tym kursie w kompanii najpierw jeszcze w dalszym ciągu ćwiczyć, a potem na stanowiska. Jak gdzieś w terenie nie było prądu, tośmy dostali takie dynamo obrotowe, tak że miałem napięcie i mogłem sobie lampę ustawić tam, gdzie chciałem, nawet w nocy”. Do innych zadań wypełnianych przez Floriana Piaseckiego należała służba wartownicza. Najczęściej przypadał mu tzw. posterunek trzeci, polegający na pilnowaniu aresztantów i donoszeniu im obiadów oraz kawy.

Ze względu na warunki klimatyczne panujące w Norwegii służba wojskowa w tym kraju była dla przeciętnego żołnierza Wehrmachtu bardzo trudna: „Dopiero jak żeśmy dostali kufajki ruskie i klumpy, drewniaki, no to wtedy na tych się wytrzymało te 40, 45 stopni mrozu. Przyszedł taki rozkaz: zajeżdża do nas dowódca dywizji, sam generał. Dziesięć minut wcześniej wszyscy na plac, na podwórze. Ten czas wizyty przychodzi, dowódcy nie ma. Dziesięć minut po czasie drugi telefon. Zrezygnował z wizyty. To wtedy staliśmy nie w klumpach, tylko w butach i to już było sześć amputacji palców, na te dwadzieścia minut, które odczekaliśmy na dworze, a odmrożeń było przeszło trzydzieści. Ja się uchowałem, bo w tych butach, które miałem, ruszałem palcami. Nie stałem jak słup, nie czekałem, aż mi palce zmarzną, tylko palcami ruszałem. Zimne nogi też miałem, ale żeby odmrozić, to nie. Wtedy na baraki, szybko ściągać buty, nacierać i już ja nie miałem żadnych odmrożeń”.

Wśród żołnierzy Wehrmachtu widoczne były wzajemne uprzedzenia, które czasami prowadziły do konfliktów. Florian Piasecki zapamiętał szczególnie, pochodzącego z Bawarii, Bernarda Schoena. Pewnego razu żołnierz ten upił się i podczas posiłku dwukrotnie zranił Floriana Piaseckiego nożem w rękę: „Bawarczycy nikogo nie uważali za kumpli. To można było być czy z Westfalii, czy z Meklemburgii, a nas z Prus Wschodnich, to oni tym bardziej nie lubili. To on po niemiecku mówił: Du bist der Saupreuse! Świński prusak! Tak on uważał.

No i wtedy, jak on mnie nożem „pstryknął”, mówię: Patrz! Ropa idzie! Ja cię zgłoszę! A on zaczął błagać, prosić. Gdybym ja go zgłosił, to miesiąc by dostał twardego aresztu i na front. Tego drania nie zapomnę”.

Pod koniec wojny Florian Piasecki starał się o zwolnienie ze służby: „Ja i taki Nowak z Kwidzyna chcieliśmy wydostać się jako Polacy. Hauptmann się pyta: dlaczego, co i jak. Tłumaczę mu, że jesteśmy z dawnej mniejszości polskiej w Niemczech. A on mówi: To wy jesteście świńskie psy! I wy zostajecie! Tak nas nazwał: Świńskie psy! I uderzył pięścią w stół. Był kapitanem, nazywał się Weichbrot. I wtedy trzeba było czekać aż kompania sukcesywnie się zmniejszała, aż w końcu i nas sięgnęło”.

Odcinek Trondheim został zajęty przez Anglików. Kapitulacja przebiegała spokojnie, nie było żadnych walk. Po rozbrojeniu żołnierze 702 dywizji zostali skierowani na punkt zbiorczy, gdzie otrzymali karty zaokrętowania i wypłynęli z Norwegii: „Jeszcze mam w domu kartę zaokrętowania, po angielsku jest napisana, 702 to numer dywizji grenadierów. Wchodziło się na okręt po dwóch, w dwóch rzędach. Jeden Anglik z jednej, drugi z drugiej strony. Tylko sprawdzał numer, czy to jest ten sam, bo tylko ta dywizja wyjeżdżała w tym czasie. Wtedy jeden za drugim wchodziło się po trapie do góry. I ten okręt był austriacki, ten który nas transportował. Wtedy, jak on się rozkołysał, to przeważnie wymiotowali chłopaki, no ale to było przez dwa dni sztormu. Potem następne dwa dni idealna cisza. Czwartego, czy piątego dnia nad ranem kapral taki sobie patrzył: Chłopcy, widzicie? To jest wyspa Helgoland. Patrzymy, ale tam nic nie było widać, bo od zachodniej strony przepływalismy, to tam nie było żadnego wejścia. Prosta ściana do góry, tam nikt nie wejdzie, a z drugiej strony nie było nic widać”. Po dopłynięciu do Niemiec przebywali tymczasowo w obozie we Frankfurcie nad Menem, a później przewieziono ich koleją do Francji. Po kilkudniowym transporcie na południe Francji i przejechaniu Marsylii, pociąg zatrzymał się w Tuluzie. Florian Piasecki wraz z innymi jeńcami trafił do obozu znajdującego się na terenie byłego poligonu wojsk kolonialnych: „Ze dwanaście tygodni, jak tam byłem, to z 85 kg zjechałem na 45 kg i w takim stanie trafiłem do kopalni”. Ze względu na swoją przeszłość w Wehrmachcie Florian Piasecki początkowo nie był akceptowany przez innych Polaków, którzy w dużej liczbie pracowali w tej kopalni: „Tam Polaków było więcej niż Francuzów (...) Nie miałem

czego szukać pamiętać nimi. Mnie tam uważali za nikogo (...) Ja byłem najgorszy. Zdrajca, oszust i tak dalej. Za takiego mnie uważali”. Stosunek innych Polaków do Floriana Piaseckiego uległ zmianie po otrzymaniu przez niego listu od ojca. W liście ojciec wspominał trochę o swojej służbie w armii Hallera i udziale w wojnie polsko-bol-



Uroczystość 80-lecia szkół polskich
w gminie Stary Targ w 2009 r. Florian Piasecki w środku, z
lewej Helena Markowska (z d. Piasecka), fot. E. Kaszyńska.

szewickiej. Treść listu poznał patron z kopalni o nazwisku Kwiatkowski i opowiedział innym o tym, czego się dowiedział. To przekonało nieufnych i wrogo nastawionych Polaków, że Florian Piasecki jest jednym z nich.

Dzięki staraniom ojca, który zdołał uzyskać od Kazimierza Donimirskiego pomocne dokumenty, Florian Piasecki został zweryfikowany i zwolniony z obozu. W Sarralbe na północy Francji otrzymał zaświadczenie uprawniające do powrotu do kraju i w transporcie liczącym 1200 osób ruszył do Polski. Wśród ludzi wyznaczonych do transportu spotkał znajomego z rodzinnych stron, który również służył w Wehrmachcie, ale walczył na froncie wschodnim: „W Saaralbe poznał mnie jeden facet z Waplewa. Mówię: Wiesz co, ja nie mogę ciebie poznać. Kim ty jesteś? On mówi: Ja jestem Jan Ruszkowski. Tak patrzę z tej i z tej strony: Wybacz, ale ja nie mogę ciebie poznać. Taki był zmarnowany po tych obozach. On był kilkakrotnie ranny. Jako ranny czołgał się, a przed nim, czy obok niego, pocisk uderzył. I on długo nie żył w Polsce. Zmarł, bo miał tych odłamków setki w sobie”. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1946 roku przejeżdżali przez Pragę i otrzymali dość pożywny posiłek składający się z białej, słodkiej kawy i czegoś w rodzaju piernika. Pierwszym przystankiem po przekroczeniu polskiej granicy były Dziedzice: „Tam zagrali nam hymn. No, nareszcie w domu! I w tym obozie spotkałem Pawła Barę, znajomego z Nowego Targu. I tak żeśmy jechali, aż dojechaliśmy do Malborka”. W Malborku odnaleźli Państwowy Urząd Repatriacyjny, gdzie dostali pajdę suchego chleba i kawał surowej słoniny. Z każdą chwilą uświadamiali sobie skalę zniszczeń, jakie dotknęły Malbork i okolice. Chcieli dojechać do Waplewa, skąd było już blisko do Nowego Targu, ale tory kolejowe prowadzące w tamtym kierunku zostały rozebrane przez Sowieców. Udało

im się dojechać do Młeczewa: „Do Młeczewa dojechaliśmy. Stacja spalona. Tam, gdzie było kiedyś mieszkanie kolejarzy, to urządzili taką prowizoryczną dyżurkę. Szliśmy z Młeczewa pieszo do Klecewa, a z Klecewa polną drogą do Kątek. No, to tu wszędzie patrzymy, to wszystko spalone. To znaczy, że Sowieci musieli działać”. Po dotarciu do Nowego Targu i spotkaniu z rodziną zgłosił się na posterunek milicji w Starym Targu i złożył wyjaśnienia. Następnego dnia wraz z ojcem udał się do Sztumu do Kazimierza Donimirskiego, kierownika referatu narodowościowego, który bez żadnych przeszkód wydał obywatelstwo Florianowi Piaseckiemu. Niedługo potem, dokładnie

27 lutego 1947 roku, Kazimierz Donimirski zmarł, tak więc Florian Piasecki był jednym z ostatnich, któremu wystawił dokument.

W powojennej rzeczywistości spotkały Floriana Piaseckiego sytuacje, w których był zmuszony do tłumaczenia się ze swojej przeszłości. Podejrzany o przynależność do SS musiał stawiać się najpierw w Urzędzie Bezpieczeństwa w Sztumie, a później w Wojskowej Komendzie Rejonowej w Malborku. Funkcjonariusz ze Sztumu kpiąco odnosił się do Floriana Piaseckiego, za to w Malborku atmosfera była lepsza. Po przedstawieniu przez Floriana Piaseckiego zachowanej książeczki wojskowej, która stanowiła dowód jego służby w niemieckiej piechocie, sprawa została zamknięta.

Florian Piasecki był jednym z wielu Polaków wcielonych do Wehrmachtu w okresie drugiej wojny światowej. Temat służby Polaków w niemieckim wojsku budzi w społeczeństwie dużo emocji. Wielu weteranów Wehrmachtu nie chce wracać do przeszłości, o czym przekonuje Barbara Szczepuła w książce o Polakach w armii niemieckiej („Dziadek w Wehrmachcie”, słowo/obraz terytoria, 2007 r.). Florian Piasecki nie bał się mówić o swojej przeszłości, dzięki czemu możemy poznać historię chłopca ze szkoły polskiej w Nowym Targu na Powiślu, który musiał włożyć mundur Wehrmachtu.

Andrzej Wiłun

„Celuloza” z pamięci cz. II Osinobus



Osinobus, fot. www.automotopedia.pl

Z chwilą rozpoczęcia budowy Zakładów Celulozowo-Papierniczych w Kwidzynie miasto praktycznie nie dysponowało publicznym transportem w rozumieniu miejskiej komunikacji publicznej. Taki stan istnieje też do dzisiaj. Wprawdzie istniała jakaś szczątkowa komunikacja PKS, ale to tylko na zasadzie kilku przystanków rozmieszczonych na obszarze miasta dla autobusów tego przedsiębiorstwa w ramach komunikacji międzymiastowej. Rozkład jazdy, jego niezawodność i częstotliwość kursowania nie zachęcała do korzystania z tej oferty komunikacji wewnątrz miasta, a tym bardziej jako dojazdu do pracy na plac budowy ZCP. Ówczesne władze miasta odcięły się od uczestniczenia w rozwiązaniu tego problemu dowozu ludzi do pracy i pozostawiły go samemu inwestorowi i przedsiębiorstwom uczestniczącym w procesie powstawania fabryki.

Prawdę powiedziawszy kreatorzy tej budowy chyba nie mieli żadnych podstaw ani złudzeń, by liczyć na współuczestniczenie miasta w transporcie zatrudnionych na niej pracowników. Budowa ta powstawała na mocy uchwały rządowej i zarządzający nią dysponowali wystarczającym plikiem pełnomocnictw, by takie problemy rozwiązywać. W tym celu zostało powołane Przedsiębiorstwo Transportowo-Sprzętowe Budownictwa Transbud w Kwidzynie, które przejęło, pośród innych zadań transportowych, również dowóz pracowników na plac budowy.

W tym czasie jakakolwiek komunikacja autobusowa w całej Polsce cierpiała na niewystarczającą ilość środków transportu pasażerskiego. Te, które były, z kolei nie były dostosowane do specyfiki rodzaju transportu; mam tutaj na myśli jego zasięg: miejski lub pozamiejski. Niektóre przedsiębiorstwa wykonawcze na placu budowy dysponowały autokarami (tutaj zwracam uwagę młodszych czytelników, że nie należy ich utożsamiać z autobusami wedle dzisiejszych kryteriów), ale te niezbyt chętnie oddawano do dyspozycji dla codziennych dojazdów, bo one musiały być gotowe do przewozów pracowników delegacyjnych na weekend do rodzinnych miast, najczęściej Trójmiasta.

W tej sytuacji jedynym możliwym rozwiązaniem stał się pojazd przeznaczony do przewozu osób, zwany „osinobusem”. Myślę, że jeszcze dzisiaj można go sporadycznie spotkać, ale raczej częściej gdzieś w krzakach niż na drodze. Pasażerowie tych pojazdów nadali im często stosowaną ksywę „świnobus” i z dalszego opracowania wyniknie, dlaczego. Kwidzyński Transbud zaopatrzył się więc w niezbędną ilość tych pojazdów, chociaż i tutaj pewne braki dawały znać o sobie, i przystąpił do obsługi dowozów do pracy. Należy tutaj wspomnieć, że trasy tych dowozów obejmowały nie tylko miasto, ale liczne okoliczne wioski i, na przykład, w kierunku południowym sięgały aż poza Gardeję.

Myślę, że czas już wyjaśnić bliżej skąd ten „osinobus”, tak charakterystyczny dla pejzażu ówczesnego Kwidzyna, pojawił się na polskich drogach. Otóż jego nazwa wywodzi się od miejscowości Osiny koło Częstochowy. Pytanie, skąd taka mała miejscowość, nie będąca nawet miastem, a zaledwie małą wioską, dysponowała potencjałem, umożliwiającym wyprodukowanie takiej masy pojazdów zapelniającej polskie drogi i ulice. Tutaj muszę zdradzić, że pod nazwą tej miejscowości kryje się dość spory kombinat wydobywczy rud żelaza pod nazwą Kopalnia Rud Żelaza „Osiny”. Skupiał on zakłady wydobywcze porozrzucane po okolicznych miejscowościach i funkcjonował już od końca XIX w., zasilając w rudę żelaza kombinaty hutnicze Śląska i Zagłębia, a przede wszystkim okoliczną hutę w Częstochowie. Tego rodzaju kombinaty mają zazwyczaj dobrze rozwiniętą bazę warsztatową, by obsłużyć wyposażenie kopalni. Ten był wcześniej znany również z produkcji małych lokomotyw kopalnianych oraz kotłów. W szczytowym

okresie swego istnienia zatrudniał on 18000 pracowników, w przeważającej ilości chłopów z drobnych okolicznych gospodarstw, a ponieważ nasz kraj w okresie powojennym wszedł na drogę przetransformowania jego struktury z rolniczo-przemysłowej, na przemysłowo-rolniczą, więc ci wchłonięci przez zakład mieszkańcy wsi doznawali awansu na tzw. chłopo-robotników. W ten sposób powstała jakaś dziwna hybryda stworzenia ludzkiego. Zaistniała potrzeba dowozu tych ludzi do okolicznych zakładów. W początku lat siedemdziesiątych rozpoczęto produkcję owych „osinobusów” na własne potrzeby kopalni.

Co to był za pojazd? No cóż, konstruktorzy tego zakładu nie wysilili się. Zaczęto sprowadzać ze Starachowic samochody ciężarowe Star 28, a wkrótce 29, bez skrzyń ładunkowych, a w ich miejsce wbudowywano wyprodukowane w zakładzie kabiny pasażerskie. Teoretycznie przewidziane one były dla przewozu 29 osób, w pozycji siedzącej. Kabina kierowcy była oddzielona od tej pasażerskiej. Niektóre parametry: masa własna – 4900 kg, silnik S47 – benzynowy, moc – 77 kW, maksymalna prędkość – 81 km/godz. Ta hybrydowa konstrukcja pojazdu stanowiła uzupełnienie dla wcześniej stworzonej dla niej hybrydy chłopo-robotniczej masy przewozowej.

Wkrótce okazało się, że wydobywanie rud żelaza przez wspomnianą kopalnię stawało się coraz mniej opłacalne i zaczęto je powstrzymywać, by ostatecznie w 1982 r. całkowicie zaprzestać. KRŻ „Osiny” przekształciło się wkrótce w Przedsiębiorstwo Budowy Maszyn, a ostatecznie w PPHU „Osiny” i jako takie zasilalo nieustannie wytworem swej myśli technicznej wiele gałęzi gospodarki i resortów (wojsko, milicja) do, bodajże, końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Tak więc kwidzyński pejzaż został w znacznej mierze zdominowany przez te pojazdy, wkomponowując ich hybrydową konstrukcję w wizję przeistoczenia pejzażu regionu w przemysłowo-rolniczy.

Fabryka Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, przysyłając swe pojazdy w wersji ciężarowej bez skrzyni ładunkowej do Osin, a jedynie z kabiną kierowcy i z podwoziem nie zamierzała wdawać się w dostosowanie resorowania pojazdu dla potrzeb przewozów pasażerskich. Tak więc przewożeni tym pojazdem pasażerowie podlegali wszelkim zasadom kinetyki i dynamiki, jakim podlega masa towarowa pojazdów ciężarowych, choćby ta w postaci, np. buraków cukrowych. Gdyby kierowcy tych pojazdów trzymali się zasady dopuszczającej maksymalną ilość przewożonych pasażerów do wspomnianej 29 + 1, przedsiębiorstwo „Transbud” musiałoby znacznie wielokrotnie stan swego parku w tym zakresie. Czy byłoby je na to stać? Tak więc do kabiny pasażerskiej, zwanej potocznie budą, upychało się tyłu, ilu weszło. Wysokość owej kabiny nie przekraczała 180 cm, więc wszyscy nie mieszczący się w tak narzuconych parametrach, a nie mający szczęścia znaleźć się wśród szczęśliwców na siedziskach, poddawani byli w sposób szcze-

gólny wspomnianym prawom dynamiki i kinetyki masy towarowej. Szansą dla tych ponadnormatywnych było zajęcie miejsca na obniżeniu wejścia po stopniach do pojazdu, w jego tylnej części. Wprawdzie ryzykowali wtedy wypadnięcie przez niedomknięte drzwi, ale przy odrobinie przezorności to się opłacało.

Była jeszcze jedna szansa komfortowego ulokowania się w tym pojeździe. To kabina kierowcy i siedzenie z jego boku. Można sobie wyobrazić, iż prawdopodobieństwo jego osiągnięcia było praktycznie zarezerwowane dla znajdujących się wśród tych, którzy znajdowali się na przystanku początkowym jego trasy przejazdu. Zajęcie tego miejsca związane było z pewnymi nieformalnymi zasadami hierarchii zawodowej, zmieszanymi z tymi dżentelmeńskimi i innymi odmianami wyrazów szacunku. Można było jeszcze liczyć na łaskawość kierowcy – a trzeba wyznać, że w większości byli takowi – i zająć miejsce w kabinie na pokrywie komory silnika. Nie muszę wspominać, że o żadnym umocowaniu pasami bezpieczeństwa w tych pojazdach nie było mowy, bo ich po prostu nie było. Nie przypominam sobie żadnych doniesień o tragicznych wypadkach z udziałem „osinobusa” w rejonie Kwidzyna. Myślę, że można to zawdzięczać ograniczonym jego możliwościom w zakresie prędkości. Jednak w razie zderzenia z czymkolwiek los pasażerów byłby bardzo niepewny, zwłaszcza tych z kabiny kierowcy. Trzeba zauważyć i docenić tutaj niezwykłą tolerancję ówczesnych organów kontrolujących ruch pojazdów pasażerskich na drogach.

Wróćmy jednak do kabiny pasażerskiej. Oddzieleni całkowicie od kabiny kierowcy pasażerowie, poprzez podwójną konstrukcję obudów, mieli szansę porozumiewania się jedynie poprzez migową formę języka z kierowcą, próbując takowego kontaktu przez szyby wbudowane we wspomnianą obudowę obu kabin. Kierowcy, nie nawykli w tego typu pojazdach do spoglądania w wewnętrzne lusterko wsteczne z rzadka reagowali na tego rodzaju próby nawiązania konwersacji z nimi. Właściwie tego rodzaju rozwiązanie spełniało wszelkie warunki komunikacji publicznej w obszarze ujętym poprzez napis: „Wszelkie rozmowy z kierowcą podczas jazdy surowo zabronione”. Wprawdzie istniała jeszcze jedna szansa nawiązania dialogu z kierowcą z kabiny pasażerskiej poprzez umieszczony w niej dzwonek i instalację prowadzoną do kierowcy. Na ogół jednak to był tylko przycisk i z uwagi na permanentny stan awarii tych instalacji odgrywał on rolę złudnej atrapy. Te ograniczenia w komunikacji porozumiewania się z kierowcą prowadziły do licznych zakłóceń, zwłaszcza gdy dotyczyły one zamierzanego opuszczenia pojazdu przez pasażera na nieformalnie rozlokowanych przystankach jego trasy przejazdu.

W uzupełnieniu muszę nadmienić, że jedynie kabina kierowcy była ogrzewana. Pasażerom nie było to przypisane. Skoro nie, to o klimatyzacji już nawet nie wypada wspominać. Oszczędzę sobie i moim Czytelnikom

innych doznań podczas korzystania z tej formy dojazdów do i z pracy. Wkraczają one w obszar już bardziej intymnych wrażeń dotyczących reakcji naszych zmysłów zapachu, dotyku.

Myślę, że nasze ówczesne aspiracje nie wykraczały nadmiernie poza wizerunek „osinobusa” w latach jego kursowania po okolicznych drogach Kwidzyna. Stanowi on jakiś symbol epoki. Przeglądając portale internetowe natknąłem się na ciekawy opis przeżyć internowanych podczas stanu wojennego we fragmencie poddawania ich torturom przewozu osinobusem z portalu www.blox.pl, pod linkiem: <http://kontogazetapl.blox.pl/2010/03/31051982-r-Koniec-kary-wracam-na-nasz-oddzial-X.html>:

[...] „Załadowali nas znowu do samochodów ciężarowych, przystosowanych do przewozu więźniów, oczywiście w dużym tłoku, bo jechało nas trzydziestu w jednym takim samochodzie, (Star 29, osinobus), siedząc prawie jeden drugiemu na kolanach i na podłodze, pomiędzy ławkami. Byliśmy bardziej stłoczeni, niż było przewożone w wagonach. Tylko, że było miało swoje koryto lub swoje miejsce, każde obok siebie, a my nie. My usadowieni byliśmy prawie jeden na drugim bez wentylacji i okien. Strażnicy oczywiście byli w osobnych, specjalnie przystosowanych pomieszczeniach z wygodnymi siedzeniami i nawiewem powietrza, nam to oczywiście nie było potrzebne.” [...]”. Ten opis sugeruje nieznaną mi wersję „osinobusa” w wykonaniu stwarzającym możliwość odbycia podróży klasami zróżnicowanymi w ich komforcie.

Natknąłem się nawet na opisy tego pojazdu, przenoszące go w sferę „latającego Holendra” (tytuł opery Ryszarda Wagnera – red.) i opisujące mrozące krew wydarzenia na trasie jego jazdy pomiędzy Mordami a Łosicami podczas burzy, w efekcie których nadano mu miano „latającego osinobusa”, który do dzisiaj, jako widmo ze szkieletami pasażerów, ma się pojawiać okazjonalnie na wspomnianym odcinku drogi.

Moją uwagę przykuły również archiwalne doniesienia „Gazety Częstochowskiej” z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Z wielkim optymizmem poświęcają one miejsce osiągnięciom Kopalni Rud Żelaza „Osiny” w dziedzinie produkcji „osinobusów”. Ciekawe, że nie wspominają one o wynikach w wydobywaniu rudy żelaza. Ogarnęła mnie refleksja, że w dzisiejszej sytuacji okoliczna ludność, stanowiąca załogę okolicznych upadłych kopalni, prawdopodobnie w większości udałaby się ku Irlandii, Wielkiej Brytanii, Norwegii, by zapewnić sobie warunki egzystencjalne. Tym bardziej mój podziw budzi ówczesna determinacja tej załogi, która uwzięła się na wydobywanie z impasu polskiego przemysłu motoryzacyjnego.

Kiedyś, w trakcie jazdy po budowie „Celulozy” „osinobusem” udało mi się zająć miejsce w kabinie kierowcy, obok niego. Wyraziłem me życzenie o celu naszego przejazdu. Ów kierowca przybrał tajemniczy wyraz twarzy i zwrócił się do mnie tymi słowami. – A teraz, patrz pan, pokażę panu cud techniki. Włożył kluczyk do otworu zamka stacyjki ze słowami:

– Patrz pan, wkładam kluczyk do stacyjki. Ja przyglądam się temu, co on czyni, a ten majestatycznie przekręca ów kluczyk. Zapala się jednocześnie lampka kontrolna, a kierowca do mnie: – Patrz pan, przekręcam kluczyk i zapala się lampka. Patrzę, co dalej, a ten kładzie palec na przycisku rozrusznika i wciskając go komentuje: – Patrz pan, wciskam przycisk i... . Tutaj chwila niepokoju dała znać na jego twarzy, po czym zakończył: – ... i silnik zapalił! Trochę zaskoczony takim banalnym zakończeniem tej historii, pytam tego kierowcę: – Co z tego wynika? A on na to:

– A dawniej to ludzie musieli na korbę zapalać! Cha, cha! cha!

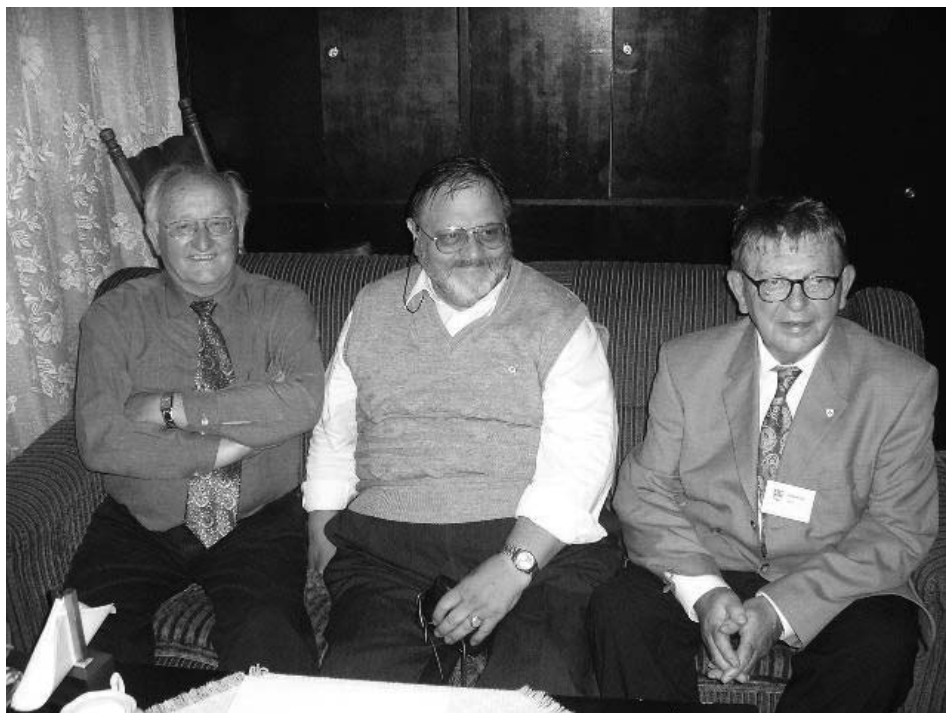
Jeden z zawodowych kierowców, który dzisiaj jeździ komfortową „Scanią”, wspomina z nostalgią, jak to dawniej pracując na „osinobusie” każdorazowo dla jego uruchomienia po dłuższym postoju, niezależnie od pory roku, musiał mu dawać na tzw. kopa „gazetę do poczytania”, czyli podkładał płonące gazety pod wlot powietrza do silnika.

Cały ten osinobusowy wątek tylko w jakiejś części odnosi się do „Celulozy”, bo pojazdy „osinobusa” dominowały w środkach przewozu ludzi do pracy także w innych rejonach Polski. Jednak wryły się one tak silnie w pamięć tych, którzy mieli cokolwiek wspólnego z tą budową, że nie można go pomijać we wspomnieniach o niej. Przy okazji jest to mój hołd dziękczynny dla ambitnej załogi KRŻ „Osiny”, o której może nikt by się nie dowiedział, a tak kojarzy mi się cały proces powstawania pojazdu w tej wytwórni, z tym opisanym w książce Mary Shelley

p.t. Frankenstein albo: Współczesny Prometeusz podczas tworzenia postaci tytułowego bohatera. Na motywie tej powieści powstało wiele filmów, a wszystkie w jakiś sposób przestrzegały przed stworzeniem obiektu ruchomego, uwalniającego się spod kontroli nad nim. Na szczęście przypadek „osinobusa” został opanowany i jego dalszy rozwój udało się powstrzymać.

Paweł Paziak

Wspomnienia z rzeki Świętej wyłowione Alfred Kontrowitz



Dawni mieszkańcy Żuław - Willy Gerdel, Rolf Schmidt i Alfred Kontrowitz, fot. A. Paziak.

Na rozmowę zgodził się chętnie. Mówi, że w Nowym Stawie czuje się jak w domu. Przez chwilę waha się, szuka słowa, by nazwać uczucie towarzyszące mu przy każdorazowym pobycie w mieście nad Świętą.

- Swojskość. Tak, to jest najlepsze słowo. Czuję się tu bardzo swojsko, stąd wyniosłem wspomnienia mojego dzieciństwa, mimo że moje prawdziwe życie zaczęło się w Niemczech – ożywia się Alfred Kontrowitz, przedwojenny nowostawianin. Jedyną pamiątkę po rodzicach stanowią rodzinne zdjęcia. Ma ich wiele. W wieku 17 lat wraz z siostrą opuszczał miasto dwóch kościołów. Rodzice zostali. Nie chcieli jechać.

- Powiedzieli, że tu jest ich Heimat, a my mamy dopiero wszystko przed sobą – zamyśla się pan Alfred.

Matki więc nie widział. Została wywieziona na Sybir.

- Rosjanie robili rzeczy straszne. Gwałty to była dla nich normalność. Polacy tego nie czynili. Myślę, że to wynikało z wiary. Sowietci wierzyli w ideę komunistyczną, Polacy w Boga. Istotna różnica – zamyśla się mój rozmówca.

Sam pochodzi z rodziny wielowyznaniowej, w której tolerancja była czymś zwyczajnym niczym powszedni chleb. Dziadkowie i ojciec pana Alfreda byli katolikami, mama ewangeliczką. Oni zresztą przeważali na tych terenach. Dzieci wychowywano w wierze matki, więc i on jest ewangelikiem.

- Ale moja żona Margriet to katoliczka, czyli kontynuujemy rodzinną tradycję tolerancji religijnej – uśmiecha się.

W dzisiejszych Niemczech palącym problemem wobec wiary jest obojętność. Człowiek przestaje wierzyć nie tylko w Boga, ale w cokolwiek. To jest najgorsze. W Polsce też jest to bardziej widoczne niż kiedyś.

- To sprawa złożona, ale jedną z przyczyn religijnej obojętności – może nawet najważniejszą – jest wysoki standard życia, jaki osiągnęliśmy w Niemczech. Ludzie wierzą w siebie i w pieniądze, a Bóg pieniędzy nie zrzuca z nieba. Taka postawa nie jest dobra i to się dobrze nie skończy. Nie można żyć bez wiary. W każdym razie ja sobie takiego życia nie wyobrażam – podsumowuje Alfred Kontrowitz.

Pamięta, że przedwojenna nowostawska społeczność była bardzo aktywna i mocno związana z życiem parafialnym. Dyrektor szkoły, który uczył muzyki, był jednocześnie kościelnym organistą. Trudno było nie śpiewać przy takim nauczycielu. Dobrze działała orkiestra, a bardzo duży nacisk kładziono na uprawianie dyscyplin sportowych.

- Zamiłowanie do aktywności sportowej pozostało nam do dzisiaj. Wspólnie z żoną lubimy jeździć na rowerach.

W powojennym Nowym Stawie jest już kolejny raz. Odwiedza również znajomych w Starogardzie Gdańskim. Podoba mu się polska gościnność.

Zastanawiające, jak często cudzoziemcy podkreślają polską gościnę, podczas gdy my sami potrafimy być wobec rodaków niezbyt uprzejmi – delikatnie mówiąc.

Według pana Alfreda nie ma na świecie narodów, które są tak związane ze sobą jak Niemcy i Polacy.

- Dam panu przykład, trochę humorystyczny, ale wiele mówiący – śmieje się mój rozmówca. - Na przełomie XIX i XX wieku wielu Polaków przybywało do pracy w Zagłębiu Ruhry w okolicach Gelsenkirchen. Zawierano małżeństwa polsko-niemieckie. Polacy rozpropagowali tam grę w piłkę nożną. Potem powstał sławny klub Schalke 04, w którym grało mnóstwo Polaków i Niemców mających polskie korzenie. Kiedy bodajże w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia niemiecki klub miał przyjechać na towarzyski mecz do Warszawy, to piłkarze niemieccy poinformowali, że prześpią się u swoich znajomych i rodzin. Nie skorzystali z żadnego hotelu!

Czy pan Alfred pamięta jakieś ciekawe historie z czasów młodości „sielskiej, anielskiej”?

Jak wiadomo Nowy Staw należał do Wolnego Miasta Gdańska - opowiada. – Były tam trzy samoloty. Jednym z pilotów był Emil Matzkuhn, nowostawianin. Za każdym razem, gdy przelatywał nad Nowym Stawem, wykonywał jakąś figurę akrobacji lotniczej dla swojej matki – takie pozdrowienie od syna. Emil mieszka dzisiaj w Baden-Baden i wspomagał remont „ołówka” – dawnego ewangelickiego zboru w Nowym Stawie.

Ciekawą legendę słyszał też w latach szkolnych. Otóż podobno z Malborka do Nowego Stawu prowadził kiedyś tunel pod ziemią wykorzystywany dla przenoszenia wiadomości. Nauczyciele opowiadali, że tunel się zawalił i nie można się już do niego dostać. Interesujące – średniowieczny tunel pod Świętą...

Po II wojnie światowej, gdy musieli opuścić Żuławy, część dawnych nowostawian osiadła w Wilster – dziś miście partnerskim Nowego Stawu – a część porozjeżdżała się w inne strony. Kontrowitzowie mieszkają obecnie w Cuxhaven; Rolf Schmidt, którego nieżyjąca już żona była mieszkanką Mirowa i przedszkolanką w Nowym Stawie, mieszka w Schenefeld; Willy Gerdel, dawny mieszkaniec Parszewa, osiadł w Altenhagen. Udaje im się podtrzymywać dawne przyjaźnie, mimo że los częściej wybiera człowiekowi drogę niż nam się wydaje.

Marian Szarmach

Opowieści z rajskiego ogrodu

Barbara Szczepuła, *Rajski ogród*. Gdańsk – Warszawa 2010.



Mam szczególnie powód, by pisać o „Rajskim ogrodzie”, bo bohaterami jednego z zamieszczonych w niej reportaży są moi Rodzice, a zwłaszcza Ojciec zamordowany w Katyniu. Może dlatego podczas tej lektury towarzyszyły mi emocje, do czego się przyznaję. Jej Autorkę, Barbarę Szczepułę poznałem przed rokiem, kiedy przyjechała do mnie po różne materiały.

„Rajski ogród” to poza nazwą jednej z dzielnic przedwojennego Gdańska metaforyczne określenie wolnej, międzywojennej Polski,

która przestała istnieć zaatakowana przez Niemców i Rosjan we wrześniu 1939 roku.

Książka składa się z dwu części. Pierwsza: „Tutejsi” opowiada o wojennych i powojennych losach mieszkańców Pomorza, którym w sposób krzywdzący przypisuje się ciągle jeszcze proniemieckie ciągoty. Część z nich będąc w Wojsku Polskim dostała się do obozów niemieckich i rosyjskich, gdzie spotkała ich śmierć, inni wskutek łapanek i denuncjacji trafiali często do Stutthofu, jeszcze inni zostali przymusowo wcieleni do armii niemieckiej (działek z Wehrmachtu). Wielu z nich wojna rozrzuciła po całym świecie. Szczególnie interesujący jest obraz życia w Wolnym Mieście Gdańsku, którego dostatek Autorka odtwarza z lubością, a co pokrywa się z tym, co wiem z rodzinnych opowiadań. Wspomnę tylko z jakim sercem pisze o luksusowej porcelanie przechowywanej w gdańskich kredensach i bufetach. Tragiczny jest w tej części koniec wojny, kiedy Rosjanie niszczyli barbarzyńsko miasto i mordowali ludność cywilną. Może jednak takie jest prawo wojny? Wszak Tukidydes pisząc o wojennych poczynaniach Korkyryjczyków w czasie wojny peloponeskiej w V w. przed Ch. stwierdza lakonicznie: „mordowano w najróż-

niejszy sposób, popełniano wszelkie rodzaje okropności, a nawet jeszcze straszniejsze”. Podobnie działo się w Elblągu i Królewcu. W reportażach Barbary Szczepiły opowiadają o tym świadkowie zdarzeń. Może ostatni, których relacje Autorka pragnie ocalić od zapomnienia. Ona sama ukrywa się dyskretnie za nimi i za piękną polszczyzną.

Część druga: „Przybysze” została poświęcona tym, których po wojnie losy rzuciły na Pomorze, głównie do Gdańska. Ze szczególnym zainteresowaniem czytałem o przejściach mojej rówieśniczki, prof. Małgorzaty Książak-Czerminińskiej z Uniwersytetu Gdańskiego, której ojciec (nigdy jej nie widział) zginął również w Katyniu. Znamy się od dawna, nigdy jednak nie dzieliła się tymi przeżyciami, bo, jak wyznaje, zamknęła je niejako programowo w sobie. Pani Szczepule udało się to wewnątrz otworzyć.

Po wojnie nastały na Pomorzu nowe porządki, które wypowiedziały bezwzględna walkę wszystkiemu, co mogłoby się łączyć z „rajskim ogrodem”. Wprowadzali je często Rosjanie zajmujący wysokie stanowiska w nowej administracji. Jednym z nich

był pułkownik Anatol-Zbarski. Tą drugą część nazwiska przylepił sobie od Słowackiego. Jako wicewojewoda gdański zajmował pałacyk w Sopocie, przez którego pokoje przewijały się pierwsze osoby ówczesnego polskiego życia politycznego. Jego przezwisko Dyzma mówi wiele o nim i o atmosferze tamtych czasów. Zanim trafił do Trójmiasta, działał w Kwidzynie i Sztumie. Może lokalni historycy zajęliby się tym etapem jego kariery?

Jemu i jemu podobnym pomagali jednak Polacy zaskakując o jego względy. Umysły zniewolone, czy oportuniści? Dziś jedni tłumaczą swoje ówczesne deklaracje ideologiczne koniecznością ratowania się w nowej rzeczywistości, inni duchem czasu. Na szczęście znam wielu takich, którzy uratowali swój honor nawet za cenę usunięcia ich z pracy na uniwersytetach. Po prostu, za Norwidem, „nie raczyli się ćwiczyć w zręcznościach czasu swego”. Owa hańba domowa może być materiałem do kolejnej książki Pani Barbary Szczepuły, bo w „Rajskim ogrodzie” temat ten zaledwie musnęła.

Leszek Sarnowski

Żuławskie klimaty



Krystyna Laskowska, *Żuławskie wiatraki czyli historia wiatrem pisana*, Muzeum Archeologiczno – Historyczne w Elblągu 2008. Krystyna Laskowska, *W żuławskim domu*, Muzeum Archeologiczno – Historyczne w Elblągu 2010.

W wyniku ostatniej reformy administracyjno-terytorialnej kraju przed kilku laty Żuławy, obszar jednolity kulturowo i geograficznie, stał się nie z własnej woli częścią dwóch województw: pomorskiego i warmińsko-mazurskiego. Mimo niezbyt szczęśliwego podziału jest wiele elementów, które łączą ten subregion, bo dziedzictwo kulturowe, na szczęście, nie zna ani granic administracyjnych, ani państwowych. Na co dzień udowadnia to choćby Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu, które znalazło się w granicach województwa warmińsko-mazurskiego, ale stara się chronić i opisywać zasoby kulturowe znajdujące się również w województwie pomorskim. Mijamy nadzieję, że podobną funkcję pełnić będzie również niebawem powstający w Nowym Dworze Gdańskim, Park Historyczny.

W ostatnim czasie Muzeum przygotowało dwie ciekawe, choć niewielkie objętościowo, propozycje wydawnicze dotyczące Żuław. Książki są autorstwa Krystyny Laskowskiej, która w Muzeum Arche-

ologiczno – Historycznym w Elblągu od wielu lat zajmuje się lokalną etnografią. Obie książki doskonale się uzupełniają. Pierwsza opisująca najistotniejszą, choć już zanikającą, część żuławskiego pejzażu czyli wiatraki, druga ukazująca oryginalne wnętrza żuławskiego domu.

Na Pomorzu Zachodnim wiatraki występowały już w 2 poł. XIII w., później znane były i w innych regionach Polski. Były to młyny wykorzystujące siłę wiatru do przemiału ziarna na mąkę i kasze. Upowszechnienie wiatraków na Żuławach, a także ich udoskonalenie i wykorzystanie w systemie melioracyjnym jako wiatraki – pompy przypisać można mennonitom. Wiatraki żuławskie były wzorowane na niderlandzkich, gdyż wszystkie ich odmiany zarejestrowane na Żuławach mają swoje wcześniejsze odpowiedniki w Niderlandach. Wiatraki występują w 3 zasadniczych typach w zależności od zastosowanych rozwiązań, umożliwiających właściwe do kierunku wiatru ustawienie wiatraka. Popularnie określa się je jako „koźlak”, „holen-

der” i „paltrak”. Niestety do dzisiaj przetrwały tylko dwa znajdujące się w Drewnicy oraz Palczewie. W niewielkiej książeczce zaprezentowano konstrukcję różnych rodzajów wiatraków z najważniejszymi mechanizmami napędzającymi, transmisyjnymi i roboczymi. Uzupełnieniem książki jest model jednego z nieistniejących już wiatraków, który obejrzeć można w elbląskim Muzeum. Książka ma dużą wartość historyczną, bo pokazuje, i to niestety smutna konstatacja, świat, który praktycznie już nie istnieje, bo dziś Żuław z wiatrakiem niemal w każdej wsi, już nie ma.

Druga publikacja, „W żuławskim domu”, jest prezentacją etnograficznych badań prowadzonych przez Krystynę Laskowską, a także cennym uzupełnieniem stałej ekspozycji elbląskiego Muzeum, pod tym samym tytułem. Charakterystyczne dla Żuław domy podcieniowe czy zabudowania typu holenderskiego, pokazują różnorodność etniczną, kulturową i wyznaniową regionu, w którym obok siebie przez wieki żyli Niemcy, Polacy i Holendrzy. Jak pokazuje wystawa, a także zbiory prezentowane w książce, poziom życia mieszkańców Żuław był zdecydowanie wyższy od innych regionów. Widać to było choćby w zdecydowanie bogatszym niż gdzie indziej, wyposażeniu domów bogatych żuławskich chłopów, niezależnie od ich narodowego pochodzenia. Oprócz intarsjowanych często szaf, zamawianych u najlepszych mistrzów stolarskich w Gdańsku i Elblągu, w wielu domostwach spotkać można

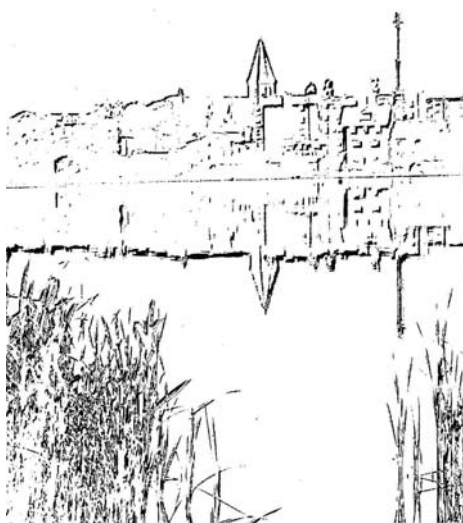
było holenderskie kafelki ściennie tzw. delfty, którymi wykładano części ścian wokół pieca lub nawet całe ściany w izbie. Oprócz tego bogato zdobione odrzwia wejściowe i stolarzka okienna. Wnętrze domu w zagrodzie holenderskiej zawierało centralnie usytuowany, szeroki od ziemi komin, tworzący u nasady, zamknięte czterema ścianami pomieszczenie tzw. „czarną kuchnię”. Po jednej jego stronie znajdowały się dwie izby, a po drugiej obszerna sień i pomieszczenia inwentarskie. W izbie mniejszej, kuchennej koncentrowało się życie codzienne. W większej, wystawnej i gościnnej izbie spotkać można było zazwyczaj zdobioną skrzynię posagową, malowane szafy, stół, zydle, ławy, łóżko z baldachimem czy liczne wiszące szafki. Część tego wyposażenia zobaczyć można w zaaranżowanym wnętrzu żuławskiego domu w elbląskim Muzeum.

Wiele domów podcieniowych i zagród holenderskich na szczęście istnieje jeszcze w żuławskim pejzażu, choć, poza nielicznymi przykładami, ich stan pozostawia wiele do życzenia. Oby nie spotkał ich los wiatraków, bo w przeciwnym wypadku turysta nie będzie mógł skorzystać nawet z takich publikacji jak te przygotowane przez elbląskie Muzeum, chyba że tylko po to, by zapoznać się z dobrem utraconym. Wartością dodatkową książek jest to, że zostały wydane w podwójnej, polsko - niemieckiej i polsko - angielskiej, wersji językowej. Obie publikacje są też bogato ilustrowane zdjęciami i rysunkami.

Wacław Bielecki

Sztumskie opowieści

Z dziejów Sztumu i okolic cz. VI. Biblioteczka Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej, Tom 8, Sztum 2010.



Z DZIEJÓW SZTUMU
I OKOLIC cz. VI

Prezentowana książeczka zawiera 9 artykułów poświęconych historii Ziemi Sztumskiej od XVIII wieku po czasy współczesne. Najciekawsze są, moim zdaniem, *Wspomnienia* Elżbiety Zakrzewskiej z domu Donimirskiej z lat 1919 – 1939, córki Kazimierza Donimirskiego urodzonej w Małych Ramzach. Obejmują one lata od jej urodzenia do wybuchu II wojny światowej. Autorka spisała je w sędziwym wieku, gdy miała ukończone 80 lat. Jak sama zauważa, test pisała z przerwami spowodowanymi chorobą i ze świadomością, że czasami się powtarza. Niemniej

wspomnienia są bardzo interesujące, bo przypominają nie istniejący już świat rodziny ziemiańskiej. Są tam opisy dziecięcych zabaw, nauki szkolnej, czy problemów sercowych autorki, w tym „miłości od pierwszego wejrzenia” i perypetie ze ślubem wyznaczonym na 30 września 1939 roku, a więc tuż po rozpoczęciu wojny. Szkoda, że w artykule redakcja przepuściła bardzo liczne błędy interpunkcyjne, których np. na stronie 24 naliczyłem ich aż 20. Jest też fatalny błąd na stronie 16 dotyczący „odpolszczenia”(?) miasta Lubawy.

Do nurtu pamiątkowego należy tekst Ignacego Górzyńskiego *Wspomnienia z Warmii i pracy w Komitecie Plebiscytowym w Malborku*. Autor wspomina, m.in. o swoim udziale w dużym pochodzie w Sztumie w dniu 3 maja 1920 roku i odnosi się do pobytu Żeromskiego, pisząc: „Myśmy Żeromskiego nie widzieli, nie był też w naszym Komitecie, choć idąc na Zamek, musiał obok siedziby naszej przechodzić.” Z noty redaktora książeczki, Andrzeja Lubińskiego wiemy, że autor tych wspomnień odwiedził Sztum w 1972 roku z okazji uroczystych obchodów 50 rocznicy powstania Związku Polaków w Niemczech.

Ciekawe, chociaż bardzo krótkie są *Wspomnienia z lat 1933 – 1939* pierwszego burmistrza Sztumu Franciszka Wojciechowskiego w latach 1945 – 1950. W okresie obejmującym wspomnienia pełnił on funkcję kierownika Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego na Powiślu i opisuje, m.in. walkę o utrzymanie polskich szkół, w tym metody walki z nimi niemieckiego inspektora dra Josepha Irmlera, bardzo inteligentnego, dobrze mówiącego językiem polskim, fanatycznego wyznawcy narodowego socjalizmu, esesmana, wroga wszystkiego co polskie.

Czytelnik znajdzie też w książeczce *Kronikę szkoły polskiej w Nowym Targu z lat 1932 – 1938* udostępnioną przez Adama Langowskiego. Kronika ta, aczkolwiek niekompletna i nieco zniszczona przechowywana jest w Muzeum w Kwidzynie. Jej autorem jest Leon Wiśniewski, który w okresie przedwojennym był jednym nauczycielem i zarazem kierownikiem szkoły w Nowym Targu. Na końcu tekstu znajduje się pięć starych fotografii z uczniami opisywanej szkoły oraz szkół ze Starego Targu i Waplewa.

Tematyką szkolną zajmuje się Jan Ziarko opisujący *Szkołę Podstawową w Postolinie w latach 1945 – 1946*. Długoletnim kierownikiem tej szkoły był Florian Wichłacz. Sytuacja wtedy była trudna, bo trzy budynki szkolne w których mieściła się szkoła były uszkodzone – dziurawy dach i uszkodzony komin, powybijane szyby - w czasie pierwszej powojennej zimy brakowało 213

szyb. Uczniowie nie mieli książek i zeszytów. W tekście wykorzystano sporo materiałów źródłowych, np. sprawozdania kierownika szkoły, dzienniki lekcyjne, zestawienia liczebności uczniów w klasach szkolnych. Szkoda, że wydrukowany na stronach 104 – 112 „Wykaz sierot i półsierot zamieszkałych na terenie obwodu szkoły Podstolin (!), pow. Sztum” obejmujący 254 nazwiska jest bardzo nieczytelny.

W roku 2010 został zdemonstrowany znajdujący się na Placu Wolności w Sztumie tzw. Pomnik Wdzięczności, złośliwie nazywany przez sztumian „beczką śmiechu”. Andrzej Lubiński przypomina o tym, jak wyglądało odsłonięcie tego monumentu i zamieszcza *Referat okolicznościowy wygłoszony przez Floriana Wichłacza z okazji odsłonięcia Pomnika Wdzięczności w Sztumie 22 VII 1956 roku*.

Czytelnik znajdzie też w recenzowanej książeczce tekst wystąpienia prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej Andrzeja Lubińskiego wygłoszony 1 września 2009 roku na sztumskim zamku z okazji 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej pt. *Sytuacja na Powiślu w ostatnich dniach wolności i pierwszych II wojny*. W tekście autor opisuje, m.in. ciekawy epizod z pierwszego dnia wojny z okolic Janowa na podstawie relacji swojego ojca.

Przemysław Szczuchniak zajął się *Polityką narodowościową władz polskich wobec ludności rodzimej Powiśla po 1948 roku*. Artykuł ten jest oparty na kwerendzie bardzo

licznych materiałów źródłowych, które autor znalazł w Archiwach Państwowych w Elblągu i Gdańsku. Można się z niego dowiedzieć, m.in., że przedstawiciele władz gminnych nie rozróżniali autochtonów od ludności napływowej. Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, zwanego w skrócie UB, uważali ludność mieszcową za Niemców i namawiali ją do wyjazdu z Polski. Test ten, aczkolwiek ciekawy, czyta się ciężko, bo autor przesadził z ilością przypisów. Zajmują one aż 1/3 artykułu, a na niektórych stronach stanowią połowę tekstu.

Prezentowany tomik otwiera kazanie Michaela Georga Nebe, ewangelickiego pastora. Duchowny ten urodził się w Sztumie w 1726 roku. Po studiach w Królewcu, Halle, Jenie i Lipsku pracował w Poczdamie, a potem w Ostródzie i Nebrowie Wielkim. Kazanie wygłosił z okazji ślubu zawartego w Kwidzynie około 1750 roku. Dowiadujemy się o tym wszystkim z objaśnień dra Wojciecha Szramowskiego z Uniwersytetu

Mikołaja Kopernika w Toruniu poprzedzających tekst. Niestety, tekst kazania, a nawet jego bardzo długi tytuł nie został przetłumaczony na język polski. Trochę to dziwna praktyka jak na popularno-naukową książeczkę. Czytelnik nie znający języka niemieckiego nic się nie dowie, o czym mówił młodej parze ewangelicki pastor pochodzący ze Sztumu. Szkoda.

Jednak ta „wpadka” z tłumaczeniem nie powinna odstraszyć potencjalnych czytelników od uważnej lektury książeczki. Jest ona bowiem urozmaicona i bardzo ciekawa dla miłośników historii Powiśla. Z niecierpliwością czekamy na następne tomiki. Niemniej lektura ostatniej książeczki przypomina, że Sztum nie doczekał się jeszcze monografii. Mimo licznych prac przyczynkarskich mieszkańcy Sztumu nie mają książki opisującej dzieje tego miasta. Najwyższy czas, aby tego dokonać. Historycy i władze miasta winne są tego nam oraz naszym dzieciom i wnukom.

Marek Stokowski

PROWINCJONALIA czyli Kronika życia terenowego

Szanowni Państwo!

Nie, nie ma mowy, nie zrezygnujemy, nawet jeżeli nowostawski trębacz znowu ugrzęźnie w ciężkiej depresji i będzie twierdził, że nasze życie powiatowo-gminne jest tyle warte, co próchno z wierzyby. I nie poddamy się jego żonie, która bez przerwy zwierza się w mięsnym, że ona czuje, jakby horyzont to była pętla zaciskająca się na jej gardle, więc chce wyjechać do San Francisco (albo przynamniej gdzieś do Elbląga). I nie zastraszą nas inne głosy, chór malkontentów, żadne ich dąsy i melancholia.

Nadal będziemy tu prezentować piękne przykłady życia nad Wisłą, tak aby każdy wiedział, pamiętał, że tam, gdzie stoi, siedzi lub leży, wypada samo centrum wszechrzeczy.

Redakcja

Życie pod ochroną

Decyzją Wojewody Pomorskiego, od dnia 25 marca do 23 września, na całym terytorium naszego województwa obowiązuje okres ochronny dla mężczyzn do sześćdziesiątego piątego roku życia. W urzędowo określonym czasie zabrania się paniom i pannom stosowania wobec panów jakichkolwiek sztuczek z obcisłymi bluzeczkami, minispódniczkami, upuszczeniem chustek, omdleniami i tak dalej. Wszyscy wiedzą, o co chodzi.

W komentarzu do decyzji Wojewoda przypomina, że od marca aż do września mężczyźni są niemal zupełnie bezbronni i podatni na złowienie, a więc muszą być objęci nadzwyczajną kuratelą, szczególną ochroną ze strony urzędów państwowych, policji i wojska.

A jak któraś z dziewcząt albo niewiast nie potrafi się powstrzymać i po prostu musi zapolować, to przecież jest kolej i może pojechać w Krakowskie czy Łódzkie. Tam są inne regulacje prawne, bardzo głupie, niehumanitarne, więc gdy ktoś chce wykorzystać sytuację, ewidentne zaniedbania władzy, to prosimy, wolna droga.

Życie historyczne

Niestety – Krzyżacy.

Obudzili się i pyszczą. W Przezmarku i Sztumie.

Leżeli w piwnicach, pod gruzem. Przypuszczamy z naszą asystentką, że musieli zostać przeoczeni przez służbę ochrony zabytków i legion szperaczy.

Przebudzeni domagają się natychmiast kluczy do różnych pomieszczeń na piętrze. W dodatku są głodni.

No i mamy, proszę państwa, kłopot.

Teraz – albo przymknie się na chwilę oko i wpuści do piwnic złomiarzy, albo trzeba będzie znaleźć klucze i budżet na kaszę, całe gary zaskwarzanej kaszy.

Życie miłosne

Wczoraj, kiedy Zygmunt Januszewicz zwrócił się do Mai Szyć słowami: „Ach, miłość, coś mi uczyniła, / Eżeś mie tak oślepiła, / Eżeśm sie ja na miłość podał, / Jako bych nikogo na świecie znał”, dostał w dziób, aż ciężko usiadł.

Bardzo szkoda, że tak wyszło.

Januszewicz nie powinien się obwiniać za to, że ta Szyć źle zrozumiała. Ona jest dość słabo wykształcona i ogólnie mało wyrobiona, chociaż dysponuje walorami trochę innej kategorii, właśnie tymi, które pchnęły Z. Januszewicza do działania. Przynamniej próbował.

Januszewicz wcale nie kpił, tylko proponował coś niebanalnego, jako wstępną fazę znajomości, prowadzącą do rozrodu.

Życie biologiczne

Ryba z jeziora Parlety jest już w jeziorze Kaniewo. Przeniesiono ją dziś rano, uroczyście, w asyście policji i wojska.

W związku z tym prosimy wszystkich, żeby więcej nie łazili nad Parlety, bo to jest bez sensu, tylko biegli nad Kaniewo. Powtarzamy – tam jest ryba.

Co zaś do tej, która zamieszkuje nasze rzeki, to jak tylko skończy żerowanie w glonach Liwy i przepłynie do Nogatu, to od razu damy sygnał.

Życie szeptane

Stanowczo dementujemy informację, przekazywaną z ust do ust w Malborku, Mątowskich Polach i Kwidzynie, że w lesie pod Sztumem jakiś wąż rozdaje paniom jabłka, bałamuci, zaś owe niewiasty gorszą potem swoich mężów.

Sami przeprowadziliśmy rozpoznanie. Nasza asystentka redakcyjna, bardzo atrakcyjna topless, przez całą sobotę błędziła po puszczy, no i nie natknęła się na węża, który by cokolwiek jej zaproponował. Uznajemy to za ostateczny dowód, że nie można wierzyć plotkom.

Dodamy coś jeszcze, w sekrecie. Koleżanka, w razie napotkania węża w lesie, miała ostro mu odmówić. Oprócz tego zamierzała przeciąć gada nożycami, które ukrywała trochę z tyłu. I kto wie, czy wtedy wszystkie sprawy – nie tylko tu, u nas – nie zaczęłyby układać się inaczej.

Życie leśne

Jagodziarze grasujący w naszych lasach natykają się ostatnio na tabliczkę: „Ostoja Stokowskiego. Wszystkim innym wstęp wzbroniony”.

Tabliczka ta znajduje się przy dukcie, przecinającym oddział 127.

Nie bardzo wiemy, co to może znaczyć, kto stoi za tym ogłoszeniem i czy naprawdę lepiej tam nie wchodzić.

Życie lotnicze

Pan podporucznik Ryszard Bagiński nauczył się zjadać wysłużone migi. Dowódcy jednostki lotniczej w Królewie już wiedzą. Przyjęli meldunek, że podporucznik osiągnął gotowość, aby na rozkaz trawić demobil.

Sprawa trochę czasu jednak zajmie, bo nie można łykać całych maszyn. Mimo wszystko warto przyjąć to ekologiczne rozwiązanie. No i ważne są korzyści dodatkowe: odpadają koszty magazynowania, nic nie będzie się marnować, nikt nie porozkłada żadnych części i nie będzie handlu w szkolnych szatniach, ani wyrabiania po garażach jakichś szpadli, garnków, pół-amfibii czy latadeł, takich do użytku prywatnego.

A podporucznika czeka awans.

Życie żywiołowe

Trąba powietrzna nad Kośliną. Nadeszła od strony Dąbrówki, przewalając się na zachód. Nocą.

Jakimś niepojętym cudem nie zerwała we wsi dachów, za to połamała kilka płotów, zmiażdżyła śmietniki przed sklepem i wyrwała znak zakazu. To da się naprawić, do środy.

Teraz toczy się dyskusja, czy to rzeczywiście przeszła trąba, czy raczej waltornia, może nawet kontrafagot.

Wielu twierdzi, powołując się na Borkowskiego, który nie spał i dokładnie wszystko widział, że to jednak był suzafon, w towarzystwie Makurata (taki młody z Konieczwału). Podobno wracali z zabawy w Dąbrówce. A Makurat ma okropnie słabą głowę i przerażająco mocne płuca.

Życie ideowe

Starszy pan dokręca śruby. Nie pobiera za to honorarium. On w ogóle żyje tylko z renty. Działa przede wszystkim w Nowym Dworze, chociaż czasem jedzie popracować na wsi.

Tam, gdzie zauważy wystający trochę łeb, dociska go właściwym śrubokrętem, a jeżeli to nakrętka, posługuje się francuzem.

Idzie mu najbardziej o to, żeby pozbyć się zdradliwych luzów, czyli żeby wszystko się nie rozjechało, żeby się nie posypało tak na amen i żeby tu u nas – poprzez nasze przeoczenia, nieuwagę, niestaranność – nie rozpoczął się stopniowy koniec świata.

Życie rodzinne

Matka, ojciec i chłopaczek w krótkich spodniach jedzą obiad. Chłopaczek się dziwi. Nie temu, że siedzą, ale temu, że tak jedzą, wkładają do głowy kartofle, wrzucają do środka pulpety. I tam to zostaje. To głupie. Chłopaczek odmawia. Dostaje od ojca i ryczy.

Na to mama z miejsca pyta, czy choć raz przy stole mogą zachowywać się jak ludzie, bo ona się stara, gotuje od rana, a co oni wyrabiają? Ona może nie gotować, proszę bardzo, i dopiero zobaczymy, jak będą musieli wyjadać z lodówki albo w końcu ze śmietnika, a niektórzy mają jeszcze gorzej!

Placz dziecka ucicha. Wszystko strasznie prędko stygnie.

Ojciec wcina, co zostało, bo on nigdy nie odmawia, ma zawsze apetyt, nawet jak się trochę zdenerwuje.

A niedługo po obiedzie mama daje chłopaczkowi czekoladę. No, i on nie protestuje, jakoś wcale się nie dziwi, że można ją wkładać porcjami w organizm.

Życie biologiczne

Na całym obszarze Dolnego Powiśla wstężnice (Nemertea), obleńce (Nemathelminthes, Aschelminthes), kolcogłowy (Acanthocephala), nawet wrotki (Rotifera) mają kłopot z rozmnażaniem. Problem w tym, że są niesamowicie obrzydliwe. Przypuszczamy, że wiedziały o tym wcześniej, lecz ostatnio, chyba w maju, jakoś do nich to dotarło z większą mocą, zobaczyły wszystko w pełnym świetle i nie mogą już na siebie patrzeć. Osobniki męskie, zdaje się, że nie potrafią szepnąć choćby paru miłych słów partnerkom, a te też już absolutnie nie umieją zdobyć się na jeden ciepły uśmiech czy przelotny pocałunek. Ukrywają się po dziurach lub pełzają – w pojedynkę, cichcem, chyłkiem, zasłonięte jedne przed drugimi, bo je skręca, mdli, odrzuca. Co to z tego będzie, nie wiadomo, no i czy obejmie to pająki (Araneae), też nie wiemy.

Życie sportowe

Siatkówka dla panów – w wynajętej sali gimnastycznej technikum dziennego w Prabutach. Borecki zagrywa z wyskoku, a Kumach odbiera, Babińczyk wystawia, Bien zbija nad taśmą, Karnasik przyjmuje, Gościński podaje, Buchała nie trafia. Borecki na serwie.

Ktoś z boku ostrzega: – Uważaj, Borecki. Pamiętaj!

Borecki pamięta. Nie tylko on jeden. Podobnie i inni, bo tak się złożyło, że w nocy przy linii kończącej boisko wyrosły koźlaki czy kanie, niełatwo rozpoznać – potrzebny jest atlas. Wiadomo, że nikt by ich nie chciał nadepnąć czy trafić.

A znowuż pod siatką osiedlił się królik. Ma kopiec, w nim norę, jest stary i ślepy, też trzeba pamiętać, uważać, nie straszyć, bo przecież on czuje, to żywe stworzenie i bardzo się boi, aż cały dygocze, tak mocno, że słysząc.

Życie nieokreślone

Nie jesteśmy w stanie przyjąć twierdzeń Joachima Ryblewskiego, że w lasach pod Ośnem pojawili się Indianie, obozują na polanach, polują na polach, pastwiskach i łąkach, przy czym łowią głównie krowy, bo nie ma bizońów, i sprzedają skóry na jarmarkach, przeważnie w Dzierzgoniu i Suszu.

Według nas, to muszą być Prusowie. Oczywiście można by ich spytać, ale ludzie się krępują.

A jeżeli nasza hipoteza jest prawdziwa, to trzeba straszliwie uważać, żeby wieści lotem strzały nie dotarły do Malborka. Tam ktoś znowu ostrzył miecze – widziały to dzieci! – jacyś ludzie w białych płaszczach.

Życie parafialne

Podczas wizyt duszpasterskich u parafian w Mikołajkach ksiądz proboszcz Majewski musiał wypić siedemdziesiąt filiżanek kawy z cukrem, zjeść dziesięć obiadokolacji i sto pięć kawałków ciasta (przeważnie fruchtplatte) bądź tortu (najczęściej był kranzkuch). Mowa tu o jednym popołudniu, które przeciągnęło się w przyjemny wieczór. Po prostu ksiądz nie mógł nikomu odmówić, bo to absolutnie nie wypada.

Tak, proboszcz Majewski ma sporą pojemność, osiągniętą za pomocą wieloletnich, bardzo intensywnych ćwiczeń, lecz tym razem, po wizycie u ostatniej z rodzin na zydlungach, nie był w stanie się poruszać. I dlatego ministranci – Gontarczyk i Kuna – potoczyli go jak kulę śnieżną, przez wieś na plebanię, a już była prawie północ.

Niestety nie zmieścił się w odrzwiach. Nakryty brezentem, przespał noc w prowizorycznym igloo. Igloo wzniesli nad proboszczem wspomniani Gontarczyk i Kuna. Oni mają po piętnaście lat, mniej więcej, a potrafią wiele zrobić i zachować się, jak trzeba.

Co ciekawe, obaj zjedli to i owo razem z księdzem, w sumie nie tak wiele mniej od Majewskiego, no a nie skarżyli się na dyskomfort. W dodatku, po późnym powrocie do domu, od razu pobiegli do kuchni, domagając się kolacji, bo – po pierwsze – jeszcze rosną, a po drugie – mają prawo.

Życie Zimmermanna

Budowniczy David Zimmermann ma ze sobą własne krzesło. Usiadł na nim i tak siedzi – po południu, na pięć dni przed środą popielcową.

Gapi się na dom, co go postawił kiedyś z bratem, bardzo, bardzo dawno temu – podcieniowy (od południa podcień wsparty na dziewięciu słupach), z piętrem i strzelistym szczytem o konstrukcji szachulcowej, tak wysoki, jak nie przymierzając kościół, niegdyś najpiękniejszy dom w tej części Żuław, swego czasu, no bo teraz leci z niego łupież tynku, z wypełnienia pól ryglowej ściany wypadają pokruszone cegły, a robale wygryzają stare drewno.

Zimmermann właściwie się nie rusza, tylko siedzi, sam, na skraju brukowanej drogi. Nikt nie wyszedł, nie zagadał, nie wyściubił czubka nosa z powciskanych w szachulcowy dom kurników-gołębników z talerzami anten i dekodernami, i z plastikowymi butelkami zamiast rynien. Koło czwartej zrywa się od wschodu wiatr i zaczyna padać deszcz, marcowy. Deszcz rozpuszcza Zimmermanna, jak ostanie bryły śniegu. Najpierw znika mu kapelusz, potem ulatniają się wysokie buty, wełniana kapota i kaftan, zegarek z dewizką, binokle i laska. Dłużej opierają się sumiaste wąsy ze stygnącą w deszczu fajką. W końcu – pyk – i nie ma Zimmermanna. A ostatnie ginie krzesło, mocne, zgrabne, ze zdobieniem na oparciu – w formie pięciu róż w owalu. Już po krześle. Rozpuściło się zupełnie, zanim ktoś z kurnika-gołębnika zdążył się połapać w sytuacji, zanim wybiegł z domu, bez beretu, schwycił i przyciągnął je do kuchni, na opał, bo zimno a prąd drogi jak zaraza.

Życie oceaniczne

Biały żaglowiec na Żuławach. Płynie z kilem zanurzonym w falach zboża, przeskakując nad liniami lip i klonów, przecinając dziobem łachy wierzb i rafy owocowych sadów. Statek zwalnia koło wyspy z domem Leonarda Mackiewicza i zatacza wokół kręgi. Marynarz na mostku gromkim głosem pyta gospodarza, gdzie tu jest najbliższy port z nabrzeżem odpowiednim dla oceanicznych fregat. Mackiewicz chce wiedzieć, czy to może być, na przykład, Elbląg. Tak, może, woła ten od koła sterowego. No, to w takim razie w tamtą stronę – Mackiewicz wskazuje kierunek patykiem. To bardzo dziękuję, odpowiada grzecznie sternik a może kapitan, dość trudno powiedzieć – tak z dołu nie widać munduru i czapki. Padają komendy. Statek kładzie się na lewą burłę, idąc dalej bajdewindem. Bardzo dobrze, że to raczej niedaleko, bo połowę ludzi męczy szkorbut, słodka woda już zupełnie stęchła, chleb spleśniał na amen.

Jacek Albrecht - ur. w roku 1951 w Łodzi. Od 1952 z przerwą 15 lat mieszkaniec Malborka. Konserwator zabytków architektury i artysta plastyk, autor książki popularno-naukowej „Tajemnice Malborka” i szeregu artykułów o tematyce konserwatorskiej, współwłaściciel firmy „Kopiał”. Absolwent Wydziału Budownictwa Politechniki Koszalińskiej, Podyplomowego Studium Konserwacji Zabytków Politechniki Warszawskiej i Wydziału Edukacji Artystycznej ASP w Gdańsku. W 1989 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Malborku oraz Klubu Obywatelskiego. Inicjator powołania pierwszej niezależnej gazety malborskiej „Nowiny Malborka”. Autor kilkunastu wystaw plastycznych w różnych miastach Polski.

Wacław Bielecki - od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Szkół Policelanych w Sztumie. W 1980/81 roku redaktor naczelný tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Zainteresowania pozazawodowe: muzyka - nie tylko klasyczna, fotografia, spaceró rowerowe i wnuki.

Anna Bołt - poetka, bibliotekarka, wydawca, dziennikarka. Debiutowała w „Nowym Wyrazie”, drukowała wiersze w „Zeszytach Literackich”, „Tytule”, „Tyglu”, „Schodach Kawowych”. Wydała arkusz poetycki pt. „Dziedzictwo” oraz tomiki poezji pt. „Szczęść Boże”, „Szklana kula”, „Wiersze na kartki/Kartki na wiersze”. Jest laureatką konkursów poetyckich w Elblągu, w Gdańsku, w Nowej Soli. Publikowała wiersze w almanachach środowiskowych: „Rekonensans”, „Litteraria”, „Badanie DNA”. W 2008 r. założyła Towarzystwo Literackie – Narocz Kwidzyn Gdańsk. Otrzymała Nagrodę Burmistrza Miasta Kwidzyna za działalność artystyczną.

Jerzy Domino - ur. 1957 r. Absolwent historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim oraz konserwacji dzieł sztuki na ASP w Warszawie. Doktor nauk humanistycznych. Uprawia grafikę i rysunek. Brał udział w kilku wystawach polskich i zagranicznych, między innymi w Niemczech, Kanadzie, Szwecji, Włoszech, Litwie. Publikuje w „Elbląskich Studiach Muzealnych”, „Roczniku Elbląskim”, „Mówią Wieki”, współautor „Historii Elbląga”. Pracuje w elbląskiej delegaturze Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie. Mieszka w Elblągu.

Jerzy Fila - w tym roku osiągnie wiek emerytalny, ale pewnie nie zasiądzie na kanapie przed telewizorem. Z fachu mechanik samochodowy (specjalista od mercedesów) a z pasji jazzman. Gra na klarnecie, banjo, śpiewa... Zorganizował w Nowym Dworze Gdańskim zespół, który daje koncerty jazzowe. Okazuje się, że także pisze wiersze.

Ryszard Filbrandt - ur. w 1950 r. w Malborku. Członek Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów. Do tej pory opublikował: „Klocki dla dorosłych” (1990); „Przebudzenie” (1991); „Impulsy istnienia” (1994); „Korowód” (1996); „W strumieniach światła” (1998); „Wyrok” (2001); „Zanim spadną grudy ziemi” (2003); „Przystań” (2006); „Cierni” (2008). Jego utwory ukazały się także na łamach prasy: „Pomorze”, „Nowiny kulturalne”, „Magazyn Kulturalny OKO”, „Dziennik Bałtycki”, „Wiadomości Elbląskie”, „Nowiny Malborskie”, „Tygiel”, „Borussia”. Mieszka w Malborku.

Tomasz Gliniecki - ur. 1967 w Elblągu. Absolwent pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. Poeta, dziennikarz, redaktor naczelný „Dziennika Elbląskiego”, „Gazety Olsztyńskiej”. Poszukiwacz lokalnych historii Elbląga i okolic z okresu drugiej wojny światowej i powojennego. Obecnie pracownik Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu.

Ks. Mieczysław Józefczyk – ur. w 1928 roku w Woli Michowej (Bieszczady). Doktor teologii w zakresie socjologii religii, historyk. W latach 1968-2005 proboszcz katedralnej parafii Św. Mikołaja w Elblągu. W latach 1987-92 wikariusz biskupi na terenie byłego województwa elbląskiego. Od 1992 roku wikariusz generalny i konserwator zabytków diecezji elbląskiej, wykładowca historii sztuki i konserwacji zabytków w Wyższym Seminarium w Elblągu, Prototypariusz Apostolski, kombatanant Armii Krajowej. Od 1994 roku Honorowy Obywatel Elbląga i Honorowy Członek „Solidarności”. Autor i współautor takich książek jak: „Historia Elbląga”, „Średniowiecze Elbląga”, „Elbląg i okolice (1937 – 1956)”. „Chrześcijaństwo w tyglu dwu totalitaryzmów”, „Elbląskie duchowieństwo katolickie na tle dziejów miasta, 1246 – 1945”. Mieszka w Elblągu.

Andrzej Kasperk - ur. 1958 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent filologii polskiej UG. Działacz SKS, NZS UG. Pracował w DKF „Żak” w Gdańsku. Nauczyciel języka polskiego w Nowym Dworze Gdańskim. Autor opowiadań „Back in the DDR i inne opowiadania”(2010). Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Marek H. Kotlarz - ur. 1959 w Gdyni. Absolwent ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego, w 1980 roku członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów i jeden z przywódców studenckiego strajku w listopadzie i grudniu 1981 r. Po ogłoszeniu stanu wojennego prowadził podziemną działalność opozycyjną. W 1983 roku wraz z Maciejem Płażyńskim i kilkoma innymi osobami został jednym z założycieli Spółdzielni Pracy „Świetlik”. W latach 1989 – 1991 publicysta i szef działu gospodarczego tygodnika „Młoda Polska”. Współpracował z Video Studio Gdańsk i Agencją Filmową „Profilm”. Publikował także w „Dzienniku Bałtyckim”, „Tygodniku Gdańskim”, „Gazecie Gdańskiej”, „Przeglądzie Politycznym”. Debiut prozatorski w 2009 roku - „Opowiadania z pierwszej połowy”. W roku 2010 ukazał się reportaż z kilku pobytów w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych zatytułowany „Ameryka – stronnicze refleksje”.

Maciej Kraiński – ur. 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na UMK w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego „Litteraria”. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. W latach 1975-1977 mieszkał w Anglii. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. Jak o członek grupy ZLP, wspierającej strajk, był tłumaczem. Z sierpnia 1980 pochodzi jego najbardziej znany wiersz „Druga brama”. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Po odejściu z biblioteki właściciel restauracji *Turbot*, gdzie organizuje kilkanaście przedstawień „Kuchni według Gunthera Grassa”. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Gunthera Grassa. Pomysłodawca i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. Współpracował z miesięcznikiem „Punkt” i „Dziennikiem londyńskim”. Wydał tomik poezji „Jelita” i współtworzył almanach poetycki „Nowy transport posągów”. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę „Panowie na Waplewie”.

Agnieszka Kuczkowska – ur. 1989 r. w Sztumie. Studiuje zaocznie historię sztuki w Gdańsku. Pracuje w Sztumskim Ośrodku Kultury. Jej pasją jest fotografia i poezja. Wiersze zamieszczone w kwartalniku „Prowincja” są jej debiutem poetyckim. Mieszka w Sztumie.

Kordian Kuczma - ur. 1986, absolwent klasy matury międzynarodowej III LO w Gdyni, w 2008 r. obronił pracę licencjacką (specjalność: dziennikarstwo i nowe media), aktualnie studiuje stosunki międzynarodowe w warszawskim Collegium Civitas. W „dorosłych” mediach lokalnych (głównie sportowych) od 15 roku życia. Laureat wyróżnienia w Konkursie im. Roberta Mrozewicza na najlepszą pracę magisterską w dziedzinie stosunków międzynarodowych oraz nagrody kwartalnika „Sport Wyczynowy” za cykl artykułów na temat historii piłki nożnej. W latach 2007-08 jako stażysta pracował w Muzeum Żuławskim w Nowym Dworze Gdańskim.

Adam Langowski – ur. 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu, wychował się w Ramotach w gminie Stary Targ. Mieszka w Sztumie.

Karolina Manikowska – ur. w Malborku. Absolwentka PWSZ w Elblągu (język polski - licencjat) oraz UG (magister historii sztuki). Prezes Stowarzyszenia Inicjatywa Aktywny Malbork. Miłośniczka Żuław. Pracuje w elbląskiej delegaturze Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie. Mieszka w Malborku.

Janusz Moździerz – absolwent ART w Olsztynie. Był nauczycielem w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Malborku. Debiutował jako laureat Ogólnopolskiego konkursu na prozę współczesną, opowiadaniem „Gdziekolwiek jesteś” na początku lat 80 – tych. Publikował w „Tygodniku Literackim”, „Akcencie”, „Autografie”, „Tyglu” i „Toposie”, a także w Polskim Radio w Szczecinie i Olsztynie. Wydał trzy zbiory opowiadań – „Krzyk kani”, (1999), „Konik polny” (2006) i „Dzikie trawy” (2007). Jest członkiem Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów „SEKA”. Mieszka w Malborku.

Roman Niemczyk – ur. w 1952 roku w Dąbrówce Tczewskiej. Nauczyciel przedmiotów ekonomicznych w Zespole Szkół w Sztumie. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego Wydziału Ekonomiki Produkcji. Wykładowca rachunkowości w Powiślańskiej Szkole Wyższej w Kwidzynie oraz nauczyciel przedsiębiorczości w Wojewódzkim Zespole Szkół Policealnych w Sztumie. Ekspert oświatowy z zakresu przedmiotów ekonomicznych. W swoim dorobku naukowym posiada 50 napisanych książek oraz 58 artykułów naukowych o tematyce ekonomicznej. Z zamiłowania historyk amator, zajmujący się problematyką wczesnośredniowiecznej historii Pomorza Nadwiślańskiego. Autor „Zarysu dziejów Pomorza Nadwiślańskiego do II połowy XIV wieku”. Od 2006 roku na emeryturze. Mieszka w Sztumie.

Aleksandra Paprot – ur. w 1988 r. Studentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim i wiceprezes Studenckiego Koła Naukowego „Mozaika” zajmującego się regionami Polski oraz ginącymi kulturami świata. Uczestniczka etnologicznych badań terenowych na Żuławach Elbląskich i Gdańskich organizowanych przez IEiAK UAM w Poznaniu oraz studenckich badań terenowych UG nad szamanizmem syberyjskim wśród Buriatów nad Bajkałem. Interesuje się regionem i kulturą materialną Żuław, obrzędowością, tradycją i folklorem wsi polskiej oraz sztuką i strojami ludowymi. Mieszka w Starej Kościelnicy.

Paweł Paziak – ur. 1970 roku w Słupsku. Absolwent filologii polskiej WSP w Słupsku, w 2001 r. doktorat na UG. Na Żuławę przybył w 1994 roku „za chlebem”. Jak sam twierdzi, przyjechał na Żuławę tylko „na chwilę” i ona wciąż trwa. Mieszka w Nowym Stawie i tam pracuje jako nauczyciel w ZSP nr 5. Od 2005 r. współpracownik „Gazety Malborskiej”. Publikował w „Poradniku Językowym”, „Gazecie Polskiej”, „Gościu Niedzielnym” i „Naszej Polsce”.

Ewa Pytel – absolwentka Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki UMK Toruń. Ważniejsze samodzielne realizacje to: konserwacja Fontanny Neptuna w Gdańsku, epitafii marmurowych gdańskiego kościoła św. Mikołaja, zespołu kamiennych rzeźb Muzeum Narodowego, herbów patrycjatu gdańskiego Biblioteki PAN wraz z ceramicznym wystrojem rzeźbiarskim. Pełniła funkcje kierownika prac konserwatorskich przy Bramie Mariackiej w Gdańsku i fasad Biblioteki PAN w Gdańsku, konserwacji wewnętrznego łoża ścian wieży w Lubieszewie. Obecnie związana zawodowo z Żuławami. Mieszka na Mierzei Wiślanej.

Lothar Quinkenstein – ur. 1967 w Bayreuth. Wychował się w Kraju Saary. Absolwent filologii germańskiej i etnologii w Freiburg im Breisgau. Pracował jako nauczyciel języka niemieckiego w St. Petersburgu i w Mielcu. Od 1999 r. starszy wykładowca w Instytucie Filologii Germańskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ostatnie publikacje: „Beim Stimmen der Saiten” („Przy strojeniu strun”, wiersze, 2007), „Einige Momente Karls” („Kilka chwil Karła”, opowiadanie, 2010). Publikuje artykuły literaturoznawcze, eseje oraz recenzje w niemieckich i polskich czasopismach. Stypendysta Willi Decjusza w Krakowie. Mieszka w Malborku.

Janusz Ryszkowski – ur. 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz w „Wieczorze Wybrzeża”, „Wiadomości Elbląskich” i „Dziennika Bałtyckiego”. Jako poeta debiutował w 1975 roku w „Nowym Wyrazie”, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach „Nowych Książek”. Opublikował tomiki: „Wiersze” (1983), „Stan podgorączkowy” (nagroda im. Kazimierza Iłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „Płatny romans”, „Prywatne śledztwo” (1992), „Do snu nie przemycisz domowych zapachów” (2001). Autor reportażu „Requiem dla hrabiego” (1997), „W podróż po ziemi sztumskiej” (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „Sztum-Stuhm” (2000) i „Odcienie szarości” (2003). Z Krystyną Błaszczuk-Ryszkowską przygotował antologię „Oko judasza” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Wzięzionej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski – ur. 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, Radiem Gdańsk, Radiem Plus, TVP Olsztyn, TVP Gdańsk. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego” (2005). Prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Obecnie dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Miejskiego w Elblągu.

Mariusz Stawarski – ur. 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawianiem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach - Grand Prix Satorykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski – ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosze Muzeum Zamkowego w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. „Dzień nad ciemną rzeką” (1996), „Sny dla dorosłych i dla dzieci” (1998), „Legendy i opowieści zamku Malbork” (2002, 2005), „Krzyżacy, ich państwo i zamki” (2003), „Błazen” (2004), „Noc tajemnic” (2005), „Samo-loty” (2005), „Stroiciel lasu” (2010). Mieszka w Malborku.

Marian Szarmach – ur. 1939 w Łasinie. Absolwent LO w Kwidzynie i filologii klasycznej UMK w Toruniu. Profesor nauk humanistycznych, wykładowca w katedrze filologii klasycznej UMK w Toruniu. Obecnie na emeryturze. Członek Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. Przewodniczący ogólnopolskiego komitetu olimpiady języka łacińskiego. Autor wielu publikacji poświęconych literaturze grecko-rzymskiej w czasopismach polskich i zagranicznych. W latach 1980 – 81 był współpracownikiem biuletynu „Sztumska Solidarność”. Odznaczony medalem „Zasłużony dla Ziemi Sztumskiej”. Mieszka w Sztumie.

Danuta Thiel-Melerska - ur. w Tczewie. Absolwentka historii UMK w Toruniu. Kustosz Muzeum Zamkowego w Malborku i kierownik Muzeum Powiśla w Sztumie do 1984 r. Kierownik Archiwum Miejskiego w Lörrach (Niemcy), obecnie na emeryturze. Zajmuje się historią fotografii, dziejami wsi pomorskich, historią żelazek, genealogią i ogrodem. Mieszka w Nadbrzeżu gm.Tolknicko.

Tomasz Wandzel - ur. 1975 r. w Głucholazach. Od najmłodszych lat zapalony turysta górski. W 1998 roku traci wzrok. Cztery lata później rozpoczyna studia na UMK w Toruniu i angażuje się w działalność studenckiej gazety. Od 2004 roku mieszka wraz z żoną i dziećmi w Prabutach. Poza pracą zawodową publikuje reportaże oraz krótkie formy prozatorskie. W 2010 roku zajmuje I miejsce w ogólnopolskim konkursie na reportaż prasowy im. Macieja Szumowskiego. Radny Miasta i Gminy Prabuty w kadencji 2010 – 2014.

Arkadiusz Wełniak - kierownik Oddziału Ewidencji i Opracowania Archiwum Państwowego w Elblągu z siedzibą w Malborku, doktorant Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego. Zainteresowania naukowe koncentrują się wokół zagadnień demograficznych i społecznych na ziemiach zachodnich i północnych bezpośrednio po wojnie, ze szczególnym uwzględnieniem Elbląga. Autor inwentarzy archiwalnych urzędów administracji pruskiej i niemieckiej, dwóch szerszych opracowań z zakresu archiwoznawstwa oraz kilkunastu artykułów publikowanych m.in. na łamach „Rocznika Elbląskiego”, „Archiwisty Polskiego”, „Archeionu”, „Altpreussische Geschlechterkunde”.

Andrzej Wiłun - ur. w 1949. Absolwent wydziału budownictwa lądowego na Politechnice Warszawskiej. Pracował przy budowie kwidzyńskiej „Celulozy”. Od 1988 roku mieszka w Berlinie. Interesuje się tematyką stosunków polsko-niemieckich, polsko-żydowskich oraz Kresami Wschodnimi, skąd pochodzi jego rodzina. Aktualnie publikuje w polonijnym periodyku „Akcenty” w Berlinie i w kwidzyńskim kwartalniku „Schody Kawowe”.

Jerzy Wiśniewski - ur. 1939 r. Malarz, karykaturzysta, dziennikarz. Publikował między innymi w „Wiadomościach Elbląskich”, „Kurierze Kwidzyńskim”, „Kurierze Powiatu Kwidzyńskiego”, „Dzienniku Bałtyckim” i „Pulsie Kwidzyna”. Mieszka w Kwidzynie

Grzegorz Woliński - ur. 1983. Absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Gdańskiego (2009). Praca magisterska pt.: Kalatrawensi w Hiszpanii i na Pomorzu Gdańskim w XII i XIII wieku, napisana pod kierunkiem prof. dr hab. Wiesława Długokęckiego. Od 2010 r. współpracuje z „Kociewskim Magazynem Regionalnym” kwartalnikiem wydawanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Tczewie. Mieszka w Piasecznie.

Patrycja Wróbel - ur. 1974 w Malborku. Absolwentka Wydziału Grafiki na UMK w Toruniu oraz Państwowego Ogniska Plastycznego w Malborku. Pracuje i mieszka w Toruniu. Aktualnie zajmuje się grafiką komputerową, a swoje prace prezentuje w galeriach internetowych oraz na swojej autorskiej stronie: patrycjawrobel.pl

100 najwybitniejszych Pomorzan i Ludzi Morza

Uprzejmie zapraszam do udziału w ankiecie pt. „100 najwybitniejszych Pomorzan i Ludzi Morza”. Podstawowym zadaniem uczestnika ankiety jest wytypowanie 10 (dziesięciu) najwybitniejszych Pomorzan i Ludzi Morza na przestrzeni minionych wieków. Z oczywistych powodów, ankieta nie dotyczy obecnie żyjącego pokolenia. Wybieramy 10. najwybitniejszych reprezentantów i ustawiamy listę od 1 do 10, wedle własnej hierarchii ważności i znaczenia. Ankieta dotyczy postaci historycznych, uczestników życia publicznego, reprezentantów kultury, oświaty i nauki, innych profesji, jak również uczestników życia gospodarczego.

Każdy uczestnik ankiety „100 najwybitniejszych Pomorzan i Ludzi Morza” przedstawia hierarchicznie ułożoną własną najlepszą dziesiątkę. Dodatkowy trud polega na uzasadnieniu (wraz z zalecanym życiorysem „bohatera”) postaci opatrzonej pozycją - „nr 1”! Ankieta ma przede wszystkim charakter ideowy i promocyjny, w zakresie pomorskiego dziedzictwa. Naturalnie przyświeca mi idea, że to ludzie tworzą historię! W moim przekonaniu ankieta może przybliżyć i spopularyzować wielkie indywidualności z Pomorza, które chwalebnie i zaszczytnie zapisały się w dziejach regionu, a nierzadko i Polski. Być może, niejedną wielką indywidualność, uda się wydobyć z niepamięci i zapomnienia.

Ankieta „100 najwybitniejszych Pomorzan i Ludzi Morza” ma odświeżyć i wzbogacić wiedzę, pamięć o naszych wielkich przodkach. Z mojej wiedzy wynika, iż otwiera ta ankieta obszar odkryć wielkich i szlachetnych indywidualności, z których współczesne pokolenie Pomorzan może być dumne, a nierzadko i brać przykład. Pamiętajmy przede wszystkim o naszej młodzieży, która potrzebuje i poszukuje wzorców i przykładów. Pragnę też podkreślić, że jedynie tytułem zachęty i skromnego przykładu, proponuję nagrodę 1000 zł dla najlepszej odpowiedzi (ocenionej tak przez redakcję czasopism i inicjatora ankiety) nadesłanej w okresie czasu 2011 - 2012. Naturalnie, im szybciej tym lepiej, ale najważniejsza jest jakość. Najlepsze odpowiedzi mają też szansę być publikowane w naszym zasłużonym czasopiśmie regionalnym „Pomerania”, jak też w naszej największej gazecie regionalnej, tj. w „Dzienniku Bałtyckim”.

Zapewne, wszystkie nadesłane odpowiedzi na ankietę, docelowo złożą się na zbiorowy wizerunek „100 najwybitniejszych Pomorzan i Ludzi Morza.”

Odpowiedzi na ankietę proszę przysyłać na adres: biuro@jankulas.pl lub pocztą Biuro Poselskie Jana Kulasa, ul. Kołłątaja 9, 83-110 Tczew.